

# Nowe swiaty

## Antologia SF



calibre 0.9.43

Antologia opowiadań iberoamerykańskiej science-fiction

Nowe światy

Wybór Bernard Goorden  
*Nouveau Monde, mondes nouveaux*  
Tłumaczenie: Zofia Siewak-Sojka

*Angelica Gorodischer*  
*De navegantes*

# Jeszcze o żeglarzach

Za dziesięć czwarta usłyszałam dzwonek u drzwi. Był czwartek, wiosenna pora — jak zwykle u nas, w prowincji Rosario — podstępna i zdradziecka: w poniedziałek zaskoczyła nas zima, we wtorek nękało lato, we środę niebo zaciągnęło się chmurami na południu, a na północy żar wprost lał się na głowy, natomiast dzisiaj oziębiło się i świat poszarzał. Poszłam otworzyć: no, proszę, co za gość — Trafalgar Medrado.

— A, przyszedłeś — powiedziałam. — Nie mam kawy.

— Nic bredź — odrzekł. — Pójdę kupić.

Po chwili wrócił z kilogramową paczką. Wszedł do kuchni, usiadł przy stole, a ja nastawiłam wodę. Powiedział, że będzie padało, na co stwierdziłam, iż to szczęście, że w ubiegłym tygodniu przycięliśmy gałęzie krzewów ligustru. Przybiegła kotka i otarła się o jego nogi.

— Jak ci leci? — zwrócił się do kotki, po czym odezwał do mnie:

— Nic rozumiem, jak ludzie mogą obchodzić się bez kotów. Wyobraź sobie, że na dworze Królów Katolickich w ogóle ich nic było.

Podaliśmy mu kawę.

— A co ty możesz wiedzieć o dworze Królów Katolickich?

— Właściwie stamtąd wracam — odpowiedział i wypił od razu pół filiżanki.

— Nic wygłupiaj się i powiedz lepiej, jak ci smakuje kawa.

— Obrzydliwa — burknął.

Nic zdziwiłam się. Między innymi dlatego że, jak wiem, smakuje mu tylko wtedy, kiedy sam ją sobie przyrządza. Lubi jeszcze kawę Marcosa z Burgunday, poza tym ledwie dwaj czy trzej wybrańcy z całego świata potrafią go zadowolić. Ja natomiast robię parę rzeczy dobrze, ale parzenia kawy nic mogę do nich zaliczyć. Kotka zastanawiała się, czy warto pozostać dłużej.

— Uspokój się, proszę, i masz trochę jeszcze — napełniłam mu filiżankę. Na swoją kawę musiałam czekać, aż przestygnie.

— A jakim to sposobem udało ci się odbyć podróż w piętnasty wiek?

— Nie widzę powodów, dla których miałbym udać się w piętnasty wiek. Nie mówiąc już o tym, że podróże w czasie są niemożliwe.

— Jeśli przyszedłeś tu tylko po to, żeby mieszać mi pod sufitem, możesz się wynosić choćby zaraz, ale kawę zostawisz tutaj jako należną mi daninę za stracony czas. Właśnie czas, bo ja lubię podróże w czasie i skoro wierzę, że są one możliwe, to muszą być możliwe.

Kotka zdecydowała się pozostać na jego kolanach.

— Kawę masz w prezencie — wygłosił Trafalgar. — Wytłumaczę ci, dlaczego nie są możliwe podróże w czasie.

— O, nie, dziękuję, niczego mi nie tłumacz. I z łaski swojej nie opowiadaj, że właśnie wróciłeś z dworu Królów Katolickich, skoro twierdzisz, że nie użyłeś maszyny czasu, żeby się tam dostać.

— Nic możesz się poszczycić nadmiarem wyobraźni.

I to mnie zdziwiło.

— No, dobrze, zacznij już swoją opowieść.

Dzbanek z kawą postawiłam na stole.

— Wszechświat wydaje się być nieskończony — rzekł.

— Mam taką nadzieję. Choć niektórzy uważają, że jest inaczej.

— Mówię ci to, ponieważ tym razem zawędrowałem w bardzo dziwne okolice.

To już rzeczywiście mnie zastanowiło. Trafalgar ma zwyczaj szwendania się po różnych gwiazdach i trudno go czymś zaskoczyć. Skoro jednak przyznaje, że widział coś niezwykłego, wówczas to coś faktycznie musiało być niezwykłe.

— Chciałem powiedzieć — ciągnął i nalał sobie jeszcze kawy — nic masz przypadkiem większej filiżanki? Dziękuję. Chciałem powiedzieć, że nawet księżęta handlowcy nic zawitali w tamte strony.

— A któż to taki ci... jak mówisz?... księżęta handlowcy?

— Jeśli już ich tak nazywam, porusz mózgiem i pomyśl, dlaczego. Oni samych siebie nazywają Caadis dc Caa. Są jak Fenicjanie, tylko jeszcze bardziej przemyślni. Wiem, że tam nie jeżdżą, bo kiedy ostatnio widziałem się z jednym z nich, chyba to było w Blutedorn, odkryłem, że nie obstawili tamtego sektora.

— Ale dlaczego? Czy to jakieś niebezpieczne i podejrzane miejsce? A może ci, którzy tam się udają, znikają na zawsze albo dostają bzika?

Rozczarował mnie.

— Bo daleko. Księżęta handlowcy to nie idioci: koszt duży, zyski niepewne. Ja też nie jestem durniem, ale miałem dużo forsy. Poza tym ciekawość, sama rozumiesz. Sprzedałem traktory w Eiquen. Czy ci kiedyś opowiadałem o Eiquen? O malutkim zielonym światku, który obraca się powolutku wokół dwóch bliźniaczych słońc?

— Daj spokój Eiquen. Jakim sposobem znalazłeś się na dworze Izabeli i Ferdynanda?

— Kiedy bardzo możliwe, że Eiquen jest skrzyżowaniem lub czymś w rodzaju zawiasu. Ty, słuchaj, a co by było, gdyby wszechświat okazał się symetryczny?

Spodobał mi się pomysł, kotce też.

— Zaraz się dowiesz, dlaczego to mówię — podjął Trafalgar. — Zostawiłem traktory w Eiquen, wziąłem za nie więcej, niż możesz sobie wyobrazić i zamiast wrócić, udałem się w daleką podróż. Nic zapominaj, że raczej jestem ciekawski. Chciałem zobaczyć, co się znajduje dalej, a przy okazji może i coś kupić, bo do sprzedania już nic nie miałem. Moja kabza była pełna, a ja czułem się dość zmęczony. Podróż dłużyła mi się. Spałem, jadłem, ziewałem z nudów i nie znalazłem nic godnego uwagi. Zamierzałem wracać, ale właśnie dojrzałem świat, który sprawiał wrażenie zamieszkałego, i postanowiłem wylądować — przerwał i spojrzał smutnym okiem na to, co pozostało po kawie. — Jednego jestem pewien: jeśli tym razem miałem nosa, znaczy, że zawsze powinienem się kierować moim niuchem.

— A co? Co ci się przytrafiło?

— Zrobiłabyś jeszcze kawy. Ale nie lej tyle wody. I pilnuj, żeby ci się nic zagotowała. Zanim wstawisz, zmocz ją paroma kroplami ciepłej wody.

— Chciałabym kiedyś wydać moje wspomnienia — powiedziała. — Ale jakoś brak mi odwagi. Wobec tego opiszę twoje przypadki i wtedy się zemszczę — i poszłam przygotować kawę.

Widocznie kotka rzuciła mu jedno ze swoich specjalnych spojrzeń, ponieważ znów zaczął mówić.

— Był to świat o barwach niebieskich, szarych i zielonych. Zbliżyłem się doń i w miarę jak się obniżałem, rozpoznawałem lądy podobne do Europy, i Afryki, i wody o konturach Atlantyku. Przez chwilę przemknęła mi przez głowę myśl, że wróciłem do domu. Nic wiem, czy jesteś w stanie zdać sobie sprawę, jakie niezwykle, mówiąc delikatnie, robiło to wrażenie. Bo naprawdę tysiąc głupich myśli przemknęło mi przez głowę i nawet wydało mi się, że umarłem w pewnym momencie, gdzieś między Eiquen a Ziemią. Uspokoilem się jednak, puściłem w ruch instrumenty i stwierdziłem, że mam przed sobą trzecią planetę z systemu dziewięciu. Powiedziałem sobie, że pewnie zwariowałem i poprosiłem moje maszynki o więcej danych. Okazało się, że ani nic umarłem, ani nic straciłem żadnej klepki: spektrum nic było zupełnie takie samo. Zacząłem obserwować to co miałem przed oczami z większym spokojem i odkryłem parę detali, które różniły tę planetę od Ziemi. Świat był bardzo podobny do naszego, można rzec identyczny z naszym, niemniej nie był to nasz świat. Chyba mi nic powiesz, że nie kusiłoby cię, co? Więc i ja uległem pokusie zapominając o strachu. Okrążyłem to coś i wylądowałem tutaj. Oczywiście specjalnie wycelowałem, żeby wylądować tutaj, bo skoro ten świat miał swoją Europę, Morze Śródziemne, Atlantyckie i Afrykę, musiał też mieć drugą Amerykę Południową i drugie Rosario. Wymierzyłem w sam środek. Widzisz, nasz kontynent istniał również, ale był puściutki, pusty jak kieszeń biedaka. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zatrzymałem się nad brzegiem Parany. Bądź łaskawa zrozumieć mnie dobrze. Tej drugiej Parany. Poczulem się tak, jakbym śnił jakiś koszmar: wiedziałem dobrze, gdzie się znajduję, ale nic tu nic było takie, jakie powinno być! Nic było nikogo! Niczego nie było! Tylko wystraszyła mnie żmija, potem jeszcze usłyszałem jakieś groźne pomruki i w końcu zmarzłem jak diabli. No więc wzniosłem się do góry. Zrobiło mi się smutno. Świat niby podobny do naszego, ale pusty. Ale znów się pomyliłem. Przeleciałem nad Europą — była zamieszkała. Wylądowałem w Hiszpanii. W Kastylii. Latem. Ta kawa jest trochę lepsza od poprzedniej. Nic twierdzą, żeby była dobra, ale da się już pić.

— Posłuchaj mnie, kretynie, nie sądzisz, że lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś jako przyszły bohater mojej książki zachowywał się uprzejmiej?

Uśmiechnął się tylko i pociągnął spory łyk kawy, która według niego nie nadawała się do konsumpcji.

— No, dobrze, i?

— Jakie i?

— I właśnie wtedy Izabela i Ferdynand wyskoczyli ci na powitanie?

— Nic, ale za to zrobiło się zbiegowisko nie z tej ziemi. Możesz to sobie wyobrazić? Jesteś w Kastylii, roku pańskiego tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego i tu prosto z nieba leci na twoją biedną głowę jakaś piekielna machina.

— Zaraz, zaraz... chcesz powiedzieć, że rzeczywiście?...

— I widzisz, kobieto, że brak ci wyobraźni? Nigdy nie słyszałaś o możliwości istnienia światów podobnych? Był to właśnie świat podobny. Do naszego. No, prawie podobny. Na przykład kontynent afrykański różnił się trochę od ziemskiej Afryki. Zaobserwowałem kilka półwyspów i parę archipelagów, których u nas nie ma. Poza tym zegar historyczny spóźniał się tam pięć wieków. To tylko szczegóły. Będziesz ich miała jeszcze więcej, poczekaj. Oczywiście, jeśli przestaniesz mi przerywać. Zbiegowisko nic z tej ziemi, jak ci mówiłem. Musiałem czekać całe przedpołudnie, aż przyjdzie przedstawiciel ichniej władzy, a tymczasem gawiedź zawzięcie dyskutowała nad problemem: ukatrupić czy kanonizować? Wreszcie pojawili się żołnierze, ale nic zdołali uspokoić

tlumu. Siedziałem więc nic wyściubiając nosa z pojazdu i czekałem na rozwój wypadków. Kiedy ujrzałem zbliżający się korowód pochodni, purpur, adamaszków i orderów, otworzyłem drzwi i wysiadłem. Udzieliłem wyjaśnień. Ta zabawa tak mnie pochłonęła, że nic oparłem się pokusie, żeby nic opowiedzieć im ładnej bajki. Otóż byłem wędrowcem i pochodziłem z bliżej nieokreślonej miejscowości na wschodzie. Zawędrowawszy do Kitaju zasłużyłem się cesarzowi, który podarował mi latającą machinę. Z początku nic miałem wielkiego powodzenia wśród słuchających, więc wziąłem się na sposób i uderzyłem w ton mistyczny. Cała ta heca skończyła się na kolanach. Możesz też sobie wyobrazić, jak wyglądało moje ubranie!. Całe ubabrane w ziemi i zroszone moim własnym potem, bo żar lał się z nieba, kiedyśmy zgodnym chórem wznosili modły do Najwyższego oraz do wszystkich członków niebieskiego dworu i, psiakość, żadnego z niej nie pominęliśmy. Zamknąłem moje pudło i włączyłem mechanizm zabezpieczający, którego działanie polegało na tym, że jeśli ktoś podchodził bliżej, otrzymywał takiego kopniaka, który powaliłby wielbłąda. Ci z korowodu oznajmili, że mam im towarzyszyć na dwór. Co ci mogę powiedzieć o tej przechadzce? Skwar, pragnienie. Dali mi konia, z którego musiał zleźć jakiś rębajło o ponurej gębie, a wiesz, że ja nie przepadam za sportami; no, ale wreszcie dotarliśmy. Tego samego dnia znalazłem się na dworze.

— Oczywiście włożyłeś któryś z twoich wspaniałych szarych garniturów, dobrałeś koszulę i z namaszczeniem zawiązałeś krawat.

— Ależ nie. Miałem na sobie to, co zwykle noszę w podróży. Zresztą mój ubiór mógł uchodzić za ceremonialne kitajskie szaty. A poza tym w pałacu kazali mi się przebrać. Dali mi niebieskie ubranie, haftowane i obszyte koronkami. Nie zapinało się na guziki tylko zawiązywało sznurami — cisnęło mnie niemiłosiernie. Na domiar złego nie mogłem wziąć kąpieli, czemu przestałem się dziwić, kiedy poczułem, czym zalatywało od tych w purpurach i adamaszkach — odetchnął głębiej — no i nie mogłem palić ani pić kawy. Teraz, ilekroć o tym myślę, zastanawiam się, jak to się stało, że nie zbzikowałem. Naprawdę.

Kotka spała lub udawała, że śpi, poziom kawy w dzbanku obniżał się niebezpiecznie szybko.

— Było dobrze uchodzić za cudzoziemca, wiesz? A im się nawet nie śniło, że faktycznie byłem cudzoziemcem. Supercudzoziemcem. W każdym razie ów fakt pozwolił mi wyjść obronną ręką, kiedy strzeliłem byka. A zdarzało mi się to niekiedy. Wzięli mnie na przyspieszony kurs etykiety, a jakże. Niczego nie zrozumiałem, ale pływałem dobrze, jak trzeba było.

— Jak chciałbyś nazwać ów rozdział twoich wspomnień? „Moje niedyskrecje z królewskiego dworu”?

— Moje niedyskrecje, wybaczyć, zostawiamy w spokoju, przynajmniej na razie. Trzymajmy się jakiegoś porządku. Więc mięscina wyglądała okropnie: labirynt brudnych, wąziutkich i gołych uliczek, mieli zaledwie parę z kocimi łbami. Kiedy znaleźliśmy się na przedmieściu, zaczęły się pojawiać większe budynki, domy z kratami i balkonami oraz figurkami świętych, ale były pozamykane jak grobowce. Ulice nadal wąskie, tylko niektóre odrobinę szersze, ale wszystkie, bez wyjątku, pełne nieczystości. Żadnego drzewa, krzewu, nawet chwastu. Wszędzie osły, konie, psy, krowy, kury i ani jednego kota. Za to hałas piekielny. Wydawało się, że wszyscy z jakichś powodów krzyczą, kłócą się i biją. Powinienem czuć się ważną osobistością, ale owszem, czułem się... śmieszny, co w ogóle nie było zabawne. Na przedzie szły draby w żołnierskich mundurach i rozganiały ciekawskich, którzy rozchodzili się, żeby wrócić, natrętni jak muchy, choć niejednen z nich dobrze dostał po pysku. Poruszaliśmy się tak powoli, że traciłem nadzieję, że kiedykolwiek osiągniemy cel podróży. A jednak dobrnęliśmy. Pałac był prawie tak brudny jak ulice, tylko

oczywiście bardziej luksusowy. Zobaczyłem też parę rzeczy, które zrekompensowały mi okropieństwa, jakie musiałem oglądać, powodowany moją nieposkromioną ciekawością. Podziwiałem więc teraz pyszne kobierce, rzeźbione stoły, kraty żeliwne i pewną piękność o czarnych oczach. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat, nosiła ogromną suknię w kolorze pomarańczowo-brązowym z koronkową kryzą.

Kotka przeciągnęła się, ziewnęła i wstała opierając się łapkami o kościste kolana Trafalgara, po czym znów się położyła, układając głowę odwrotnie niż przedtem. Trafalgar odczekał, aż ułoży się ostatecznie i pogłaskał ją za uszami.

— Doña Francisca Maria Juana de Soler y Torrelles Abramonte.

— Frania dla przyjaciół — skomentowałam. — Założę się, o co chcesz, że i ty znalazłeś się wśród nich.

— Owszem. Była żoną szlachciury należącego do świty dworu. Starego śmierdziela, chudziny z ogromnym bandziochem i patykowatymi nogami, w tym z jedną przykrótką, jękały z pomarszczoną twarzą, w ustach łykały mu jedyne trzy zęby, do tego popsute, zasmarkańca z włosami wyrastającymi mu w miejscach najmniej do tego celu przeznaczonych. A ona na nieszczęście miała nic więcej jak piętnaście lat.

— Dlaczego na nieszczęście? Czyżbyś nie lubił małolat?

— Na jej nieszczęście. A wiesz? Chciałem ją nawet z sobą zabrać. Jestem jednak szalony.

— Zawsze uważałam, że z tobą coś nie tak.

— Tego dnia ledwo ją dostrzegłem w tłumie. I to tylko dlatego, że wychyliła się z szeregu dam. Musisz wiedzieć, że byłem gwiazdą dnia. Zresztą i miesiąca i roku... Naprawdę nie przesadzam. Patrzyła na mnie z podziwem i ja wiedziałem, że ona na mnie patrzy; a ona wiedziała, że ja wiedziałem. Zaprowadzili mnie do sali, gdzie było jeszcze więcej kobierców, rzeźbionych mebli, obrazów, krzyży, klęczników i brudu. Wskazali mi fotel, bardzo niewygodny, prawdziwe dzieło sztuki, ale bardzo niewygodny, podano miseczkę z wodą i serwetkę. Umoczywszy czubki palców, chciałem sobie wyobrazić, że biorę prysznic, ale z przykrością muszę ci oznajmić, że nie jestem podatny na sugestie, ani na autosugestie. Siadłem, wszyscy jakby nieco się oddalili i zaczął się bal.

— Wydali bal na twoją cześć?

— Głupia gęś. To taka metafora. Wybacz, ale powinnaś wiedzieć, że na dworze Królów Katolickich nie dopuszczano żadnych frywolności. Pomyśl. Oni byli bardzo zajęci: po pierwsze, musieli się szarpać z Maurami, po drugie, wyrzucać ze swojego kraju Żydów, po trzecie, odkryć Amerykę i tak dalej...

— Zatrzymaj się z łaski swojej. Jaką znów Amerykę?

Trafalgar posiada cenną cechę cierpliwości. Oczywiście, jeśli chce.

— Jaką podałem ci datę, powtórz.

— Mówiłeś, że byłeś tam pięć wieków temu.

— Gwoli ścisłości, był rok tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi.

— Jak w pysk strzelił?

— Właśnie.

I nie czekając, aż mnie sam o to poprosi, postawiłam wodę na gaz. Kotka mruczała cichutko. Nic jak (przypuszczam) doña Francisca Maria Juana Jakaśtam, ale po cichutku, tak jak tylko potrafi to robić.

— Więc zaczął się bal. To metafora, moja droga. Znaczy, że weszło paru typów ze skwaszonymi



minami i poddało mnie inwigilacji. Pośród nich znajdował się jakiś szmatławy księżulo, na którego zupełnie nie zwróciłem uwagi. Od razu ci powiem, że był to poważny błąd z mojej strony. Nie wiem, jak mogłem go zlekceważyć, przecież te wszystkie fiske nie pozwoliłyby, żeby się przy nich pętał jakiś łachmyta. A ten, faktycznie, nosił wytartą sutannę i wciąż patrzył na boki, jakby się bał i niczego nie pojmował. Zauważ, że wtedy byłem nieco oszołomiony. Ta zabawa przestała mi się podobać, no, ale nic nie straciła z emocji. Tam właśnie pomyślałem sobie, że wszechświat jest nieskończony i symetryczny. I nic mów mi, że nie jest, bo jest. Pomyślałem sobie również, że znalazłem środek zastępczy, zupełnie dobry do podróży w czasie. Szkoda tylko, że go zniszczyłem.

— Aha, rozumiem. Powiedziałeś im prawdę, nie uwierzyli ci, po czym oddali cię Świętej Inkwizycji, doña Maria Francisca uratowała cię, jej mąż się dowiedział i...

— Ty naprawdę jesteś stuknięta. Ona się nazywała doña Francisca Maria Juana Soler y Torrelles Abramonte, żebyś wiedziała. I wcale nie powiedziałem im prawdy. Oni znali się na etykietce i katechizmie, ale ja uczyłem się trochę historii i geografii, a poza tym byłem od nich lepszy o pięćset lat. Nie jest to może tak dużo, ale mi wystarczyło. Kiedy ich zobaczyłem, już miałem wstać i pozdrowić, a nawet myślałem o złożeniu im ukłonu, może niezbyt głębokiego, ale prawdziwie dworskiego. Oczywiście to tylko przemknęło mi przez głowę, bo jak im się lepiej przypatrzyłem, powiedziałem sobie, żeby ich szlag. Wiedziałem już, że najchętniej daliby mi kopa na tamten świat i że najlepiej zrobię, jak sam ich załatwię pierwszym ciosem. Przybrałem więc wolteriański wyraz twarzy.

— Ale ty przecież... ani trochę nic przypominasz Woltera! Powiedziałabym, że raczej Fernandela, masz taką... miłą twarz.

— Stokrotne dzięki. Spojrzałem więc na nich z dumą i pogardą. Oni zaraz złożyli mi ukłony, a ja bez słowa przymknąłem oczy i, ledwo skinąwszy im głową, przybrałem wyczekującą pozę. Nie owijali w bawełnę. Chcieli wiedzieć (a jeśli nie powiedziałbym prawdy zastrzegli, że wyciągną ją ze mnie przy pomocy wszelkich dostępnych im środków, których, owszem, użyją, jeśli to będą uważali za stosowne) więc po pierwsze, chcieli wiedzieć, czy nie jestem wysłannikiem Złego; po drugie, czy to prawda, że przybywam z Kitaju; po trzecie, czy mogliby po odprawieniu egzorcyzmów, mszy, błogosławieństw i innych durnot zobaczyć latającą karetę od wewnątrz; po czwarte, po cholere tu przybyłem; po piąte, czy zamierzam osiedlić się w Kastylji; po szóste i ostatnie, jak się nazywam.

— Solidna lista pytań. I co im odpowiedziałeś?

— Dałem półgodzinny spicz, podczas którego wszyscy siedzieli jak zaczadzeni; wszyscy, prócz łachmytowanego księdza. Przypomniałem sobie Suli Sul O Suldi, córkę bogatego farmera z Eiquen, błogosław panie jej duszę, gdyż godna twojej uwagi, i błogosław jej ciało, gdyż godne mojej. Otóż Suli Sul O Suldi podarowała mi wisior, który miałem zawieszony na szyi. Był zrobiony z metalu podobnego do złota, ale cięższego i twardszego, bardzo ładnie rzeźbiony, ciężki i szacownych rozmiarów, kiedyś ci go pokażę, jestem pewien, że ci się spodoba. Ale w naszej sytuacji ważne było, że ten wisior miał kształt krzyża. Wyciągnąłem go i zmieniłem twarz. Tym razem, zrezygnowawszy z dumy na korzyść niezgłębionego żalu, który jeszcze ozdobiłem autorytatywną miną, godną kierowniczkii szkoły podstawowej, zapytałem, czy mogą uwierzyć, że miałbym być wysłannikiem Złego, skoro ten oto symbol noszę na mojej piersi. Zdobyłem punkt dla siebie. Jeśli idzie o Kitaj, wymieszałem wiadomości z podręcznika do geografii do trzeciej klasy z opisami podróży Marca Pola i zdobyłem następny punkt. Owszem, mogli oglądać moją latającą karetę, i nie tylko udzielałem zgody na odprawienie egzorcyzmów, ale proszę, błagam o to, ponieważ jest ona darem niewiernych,

co wciąż napawa mnie niepokojem. Trzeci dla mnie. I tak dalej, że niczego nie oczekuję, nie interesują mnie dobra tego świata, ale, owszem, pragnąłbym złożyć hołd Ich Królewskim Mościom. Możliwe, że pozostanę w Kastylii, ziemi moich przodków, lecz jestem grzesznym wędrowcem, który zwykł błądzić po świecie, nigdy jednak nie zapomina przywieźć wspaniałości z innych krajów, aby złożyć je w darze najznamienitszym w królestwie klasztorom. Wobec tak postawionej sprawy faceci sikali po nogach, a księżuło rzucał spojrzenia spode łba, miętosząc w palcach paciorki różańca. Pomyślałem sobie: no, mam cię w garści, ptaszku, ale potem okazało się, że to on mnie miał.

— A co im powiedziałaś, że jak się nazywasz?

— Tak jak się nazywam, a co byś chciała. W końcu Trafalgar to zupełnie dobre nazwisko, nie zapominaj, że oni byli do tyłu o trzysta lat, jeśli oczywiście po upływie tego czasu urodzi się admirał Nelson i rozprawi z nim i z Francuzami. Trochę je ozdobiłem, przyznaję. Poza Medrano wstawiłem sobie de, dodałem jeszcze dwa imiona oraz nazwisko matki uprzednio dobrze je kastylizujące. Świeciło jak złoto i to niezłej próby, bowiem typom w gębach smak się zmienił, powiadam ci, ciekło z nich miodem. Stwierdziwszy, że mam ich wszystkich w kieszeni, jałem rozmawiać z towarzystwem jak równy z równymi. Po chwili zostałem poinformowany, że będę umieszczony w pałacu (zważ, jak mnie uhonorowano) ale szczęśliwy z tego powodu nie byłem, bo jak przypuszczałem, nikomu się nie śniło o łazienkach. Pocieszyłem się jednak myślą, że w całej Kastylii nie tylko nie uświadczyłbym łazienki i dezodorantu, ale nawet najmarniejszego czystego pokoju. Znów zmieniłem twarz, i okazałem zachwyty.

— To znaczy, umiesz zmieniać twarz, nie wiedziałam, że jesteś taki... elastyczny.

— Więc kiedy pozostawiono mnie samego, czyli, żebyś sobie nie myślała, z trzema służącymi, którzy wciąż latali jak opętani bez wyraźnego powodu, rzuciłem się na łożo, ozdobione metrami zasłon i zasłoneczek, choć wcale wygodne, i zasnąłem.

— Nie rozumiem, jak mogłeś spać, skoro tyle się wokół ciebie działo.

— Śpię, kiedy nic się wokół mnie nie dzieje. Zauważyłaś, żeby coś tu się działo od paru minut?

— Czy mam jeszcze zrobić kawy?

— Właśnie chciałem cię zapytać, na co jeszcze czekasz? Po dwóch godzinach przyszli, żeby mnie obudzić i z wielką pompą podali mi na ogromnej poduszce ubranie, które ci już opisałem. Boże, nie zapomnieli nawet o kapeluszu i szpadzie. Buty mi dali takie, że obydwie z trudem założyłem na jedną nogę. Krzyczałem z bólu wkładając te cholerne hiszpańskie trzewiczki. Pomyślałem sobie, że jeszcze wiele setek lat będą musieli czekać, żeby im porządnie stopy urosły. Włożyłem to wszystko na siebie i udałem się do sali tronowej, czy jak ją tam nazywali.

— Wreszcie. No, mów, co się tam działo.

— Jakie działo. Nuda i tyle. Anonsy, przemarsze, uderzenia laską, b ja wiem? Wszyscy cuchnęli jak stare capy. W tym upale, masz pojęcie? Czulem, że ja sam zaczynam się psuć jak cesarstwo Hiszpanii.

— Kastylii i Aragonii, gwoli ścisłości.

— Wszystko jedno. Z kursu etykiety nic mi w głowie nie zostało, ale coś ci powiem... Izabela była bardzo piękna, no nie tak piękna jak doña Francisca Juana de Soler y Torrelles Abramonte, ale piękna. Twarz miała piękną, bo o reszcie, ukrytej pod kupą cuchnących szmat, pojęcia mieć nie mogłem. Ferdynand miał tik — otwierał i zamykał oczy co pięć sekund. Jakby go postawić w disco, wiesz, ale by świecił gałami. A teraz zgadnij, kto stał najbliżej tronu?

— Ten twój łachmyta.

— Właśnie.

W ogrodzie zaszumiało i rozległ się grzmot.

— Pada — poinformował mnie Trafalgar. — A nie mówiłem? Deszcz i kawa zawsze mi przypominają wspaniałe burze na Trudu. Wiesz, co to jest Trudu?

— Sądzę, że jest to miejsce, gdzie zawsze leje jak z cebra i zamiast wody z kranu leci kawa.

— Na Trudu? Coś ty! Po pierwsze, na Trudu nawet nie znają kranów, a po drugie, tam pada raz na dziesięć lat!

— Wymarzone miejsce do uprawy ryżu.

— Nie bądź taka dowcipna. Wyobraź sobie, że na Trudu są uprawy ryżu. Oczywiście, nie takiego, jaki znasz. A ten deszcz...

— Nic mnie to nie obchodzi! — krzyknęłam. — Zostaw w spokoju Trudu i wyduś wreszcie z siebie, jak tam było w pałacu, i co z twoim przedstawieniem u dworu, jacy byli Izabela i Ferdynand i jak zachował się twój księżulek.

— Ferdynanda spokojnie możesz odłożyć ad acta. Pomówmy o Izabeli — i znów się uśmiechnął. A dwa uśmiechy Trafalgara w jedno przedpołudnie to prawdziwy sukces. — Więc była piękna, bardzo, ale miała baba charakterek, przysięgam. Widziałem to po jej oczach i ustach. Niby taka milutka, ale jak zacisnęła te swoje usteczka, to jakbyś widziała dwa ostre sztyleciki wymierzone w pierś. Plecy wyprostowane, długa szyja, mocne ręce. Powiedziałem sobie, że ta facetka gotowa mi biedy napytać.

— A księżulo?

— Otóż właśnie. On pierwszy dał mi w kość, a ja myślałem, że to takie niebożątko. Tym razem nie zlekceważyłem go, bo po pierwsze, brał udział w najważniejszych ichnich zebraniach; po drugie, stał zawsze blisko tronu. Myślę, że nikomu nie przyszłoby do głowy z nim zadzierać. Wreszcie zrozumiałem, że nie był taki, na jakiego wyglądał. Chyba za późno się spostrzegłem, że muszę uważać na to, co mówię i robię. Nie zapominaj, w co wdepnąłem. Musiałem ponownie opowiadać swoje przygody, więc przywłaszczyłem sobie to i owo od Marca Pola, Edgara Ricec Burroughsa, Itala Calvina i czerpałem obficie z annałów geograficznych. Wyszło mi zupełnie dobrze. Cały czas trzymałem ich w napięciu: czynili przerażone gesty, kiedy trzeba było się bać, i śmiali się, jak było z czego. I znów zobaczyłem doń Franciszkę Marię Juanę.

— De Abramonte Soler y Terrclles.

— De Soler y Torrelles Abrmonte! Zachowujesz się gorzej jak ja w pałacu, gorzej jeszcze od śliniącego się i prychającego na przemian starucha! Ferdynand zamykał i otwierał oczy, ruszał nosem, myślę, że uszami także, natomiast Izabela rozsznurowywała usta i obdarzyła mnie uśmiechem. Jak się zdawało, było to najwyższym wyróżnieniem tam, na dworze. Jeśli już mówimy o przywilejach, to musisz wiedzieć, że jadłem obiad z Ich Królewskimi Mościami. A jest to naprawdę ogromny przywilej, rozumiesz?

— Smakował ci

— O tak. Co? Ach nic — nędzne żarcie. W byle garkuchni dają lepsze. Nic mówiąc już o zachowaniu Majestatu przy stole. Moje też pozostawiało wiele do życzenia, ale spróbuj sama zachowywać się elegancko bez sztuczków. Księża tam na szczęście nic było. Ale przypędził, kiedy rozpoczęła się rozmowa o Kolumbie. Wtedy dopiero zaczynałem się adaptować do nowej rzeczywistości i czułem się jak nieważna figurka dolepiąca do kompendium historii. Powiem ci tylko tyle, że miałem dość. I jeszcze kretyńsko spytałem, czy mógłbym go poznać, «co tamci pospieszyli z

odpowiedzią, że owszem, ponieważ jutro oczekują Kolumba u dworu, aby złożyć sprawozdanie dotyczące prac przygotowawczych do wyprawy. Nie wiem, czy z powodu jedzenia, którego nie dość, że skąpiono, to jeszcze nie do końca je dogotowano, bo w żołądku czułem beton, czy też dlatego, że miałem w perspektywie spotkanie z nim, nawet jeśli nie był prawdziwy, choć do cholery był prawdziwy, w każdym razie czułem ucisk w żołądku. Całe szczęście, że ta ich pieska uczta nie trwała długo. Zdaje się, że oni dość wcześnie chodzili spać. Ja też niebawem udałem się do łóża. W towarzystwie. Oczywiście odprowadzili mnie służący.

Znów zagrzmiało, zaszumiał deszcz, a my wypiliśmy następną kawę.

— Jakże przeklinałem samego siebie. Odprawiłem służących, zrzuciłem to błazeńskie przebranie i nie przestając kląć, gryzłem palce marząc o kawie, papierosie, powieści kryminalnej Chandlera lub Jackarsa, telewizji i o wszystkim, co mi tylko wpadło do głowy, a nie znajdowało się w zasięgu ręki. Czekałem. Przyszła dopiero około północy, kiedy właśnie pogasiłem świece, chociaż jeszcze nie dałem z wygraną i nie położyłem się spać. Powiedziała mi, że staruch w związku z jakąś ważną funkcją, jaką pełnił na dworze, musiał chodzić na inspekcje do koszar, czy może na rynek, nie pamiętam dobrze, przed świtem, i dlatego kładł się spać o szóstej po południu, wstawał pół do jedenastej, zamykał ją na klucz i wychodził.

— No to jak ona wydostała się z pokoju?

— Myślisz, że wynaleziono taki klucz, na który dałoby się zamknąć kobietę? Wybacz, ale chyba sama rozumiesz. Ona przecież miała zaufanych. Kazała stać na straży jakiej wiedźmie, której uroda w porównaniu z wyglądem męża mojej wybranki mogłaby pretendować do tytułu miss świata, po czym przypędziła prosto do mojego łóżka.

Zamilkł.

— Ej, Trafalgar, czyżbyś zamierzał być dyskretny?

— Żebyś wiedziała. Wybacz, ale będę dyskretny. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że nie ja pierwszy doprawiłem rogi staruchowi. Jej wyznanie zamiast mnie oburzyć (wiesz przecie, że byłem nawróconym libertynem i powinienem skłaniać się tylko ku niewiastom czystym i wstydliwym) więc zamiast mnie oburzyć, ucieszyło. Nie mogło być uczciwego prawa, które zabroniłoby jej mścić się za małżeńską miłość takiego męża. A zapewniam cię, że mścić się umiała. Kiedy zaczęło się rozwidniać, starucha walnęła w drzwi, a ona wybiegła w pośpiechu. A tobie się pewnie wydaje, że żyjesz w piętnastym wieku w Kastylii i to cię chroni przed zrobieniem człowiekowi odrobiny kawy?

— Taka ilość pozbawi cię apetytu.

— Założę się, że nie. Zapraszam cię na obiad.

— Nic, to ja ciebie zapraszam.

— Zobaczymy.

— Żadne zobaczymy. Moja lodówka to róg obfitości. Zostaniesz tutaj i koniec. A skoro już mówimy o rogach, to co było dalej?

— Rano wskoczyłem w rolę dworaka, choć mnie skręcało i cholernie brakowało mi kawy i papierosa. Otoczony sztywnymi damami i jeszcze sztywniejszymi kawalerami znów opowiadałem swoje przygody, spacerując po pałacu i ogrodach, straszliwych brzydactwach. Po śniadaniu znów widziałem Izabelę. Posłała po mnie, żebyś wiedziała. Braciszek już tam był. Jak zwykle z miną nieszczęśnika, jak zwykle samotny, ale w dobrym miejscu. A ja już go wymazałem z pamięci, dzięki tej nocy oczywiście. Znów zaczęła mnie niepokoić jego obecność. Bo widzisz, on zupełnie nic nie robił. Nie sprzeciwiał mi się, nie wieszał na mnie psów, ale mimo wszystko czułem, że coś się

święci. Wdaliśmy się z Izabelą w długą rozmowę: dyskutowaliśmy o filozofii, religii, polityce, i trzymaj się dobrze, bo padniesz, o matematyce. Walczyłem jak lew. Pamiętasz, co ci o niej mówiłem? Po tym wszystkim nabrałem do niej szacunku — cholernie inteligentna, mądra, psiakrew. A na dodatek oblatana w każdej dziedzinie wiedzy, oczywiście wiedzy jej czasów. A bezlitosna była jak kat. Nie wiem, czy zabłysnąłem przy niej, ale przynajmniej nasza rozmowa była partnerska, tak, partnerska.

— Ponieważ jest pan człowiekiem światłym, Don Medrano.

— Przydały mi się niektóre moje wiadomości. Nie zapominaj, że przy tej rozmowie był obecny nasz księżulo.

— Już wiem, to był członek Świętej Inkwizycji.

— Gorzej. Ponieważ miałem te pięć wieków przewagi, czułem się pewniej w dyskusji. Staralem się oczywiście podporządkować jej wiedzy i opiniom, jakby to były moje własne przemyślenia, choć w paru momentach flaki się we mnie wywracały, kiedy musiałem opowiadać brednie. Kiedy gorąco popieraliśmy rekonkwistę, zaanonsowano przybycie Kolumba.

— Ojej!

— Trzonowy?

— Nie. Dreszcz emocji.

— Mnie też przeszedł wtedy taki dreszcz.

— Ale jak on wyglądał? Co ci powiedział? Co zrobił?

— To szalony facet.

Zatkało mnie, ale zaraz przyszła mi do głowy szczęśliwa myśl:

— Masz rację, oni wszyscy byli szaleni.

— Kto znowu?

Faceci tacy jak Kolumb. I jak Hektor, Gagarin, Magellan, Bosch, Galileusz, Dürer, Leonardo, Einstein, Villon, Poe, Cortes, Cyncero, Mojżesz, Beethoven, Freud, Szekspir...

— Zatrzymaj się, stój, gotowa jesteś całej ludzkości odebrać rozum!

— Oby. Wiesz dobrze, co ja myślę o rozumie.

— Niekiedy jestem skłonny przyznać ci rację. Ale jak mówiłem, był to facet szalony, gotów na wszystko, powtarzam, na wszystko: mógł motać, kłamać, zabijać, płaszczyć się, przekupywać, kraść, żeby tylko wyjść w morze z tymi swoimi trzema łupinami. Tylko, że tam były cztery: „Santa Maria”, „Pinta”, „Nina” i... „Alondra”.

— Coś ty? Naprawdę cztery?

— Naprawdę. M1 iłem ci, że parę szczegółów nie zgadzało się z naszą rzeczywistością geograficzną i historyczną. Ale nic przerywaj. Dumalem sobie nad ich prymitywnymi stateczkami, gdy nagle oświeciła mnie genialna myśl. Cholerna, szalona.

— Czyżbyś i ty?... No, nie przypuszczałabym, ale mów Trafalgarku kochany, co to za myśl. Co uczyniłeś?

— Nic takiego znowu. Po prostu zmieniłem im bieg historii. Wtedy jednak nie było to dla mnie lakic jasne, żal mi się go zrobiło, ot, co. Podziwiałem go i, prawdę mówiąc, trochę się go bałem; oczywiście nie tak bardzo, jak tego zafajdanego księdza, ale jednak. Był taki bohaterski i słaby zarazem, szkoda mi było chłopca i tyle. Dość to niebezpieczne współczucie, ale pomyślałem sobie: „Po co ci oberwańcy mają cierpieć na morzu przez tyle miesięcy, umierać na szkorbut, z głodu i ze strachu, skoro mógłbym podrzucić ich do Ameryki w pół godziny”.

— Niesłychane. Ale jasne, nie mogłeś o tym nie pomyśleć.

— Właśnie. Ale nie mogłem zaproponować im tego wprost. Pamiętasz, że był tam ksiądz, więc musiałem mieć się na baczności. Poprosiłem więc, żeby pozwolili mi zobaczyć ich statki i, żeby było śmiesznie, tego pozwolenia udzielił mi sam Jego Królewska Mość. Ale będę się streszczał: dwa dni spędziłem w roli dworaka, zaś dwie noce — kochanka doñi Franciski Marii Juany de Soler y Torrelles Abramontc, a trzeciego dnia wyruszyliśmy do Palos de Moquer. A ponieważ księżulck był zawsze na smyczy Izabeli, nic towarzyszył nam, co mnie ogromnie radowało.

— A statki? Jak wyglądały te statki?

— Zobacz w podręczniku do geografii. Rozdział o odkryciu Ameryki. Takie, jakie były. Prawdę mówiąc nic bardzo rozumiem, jak im się udało przepłynąć na nich taki szmat świata. Sam Admirał pokazywał je nam ze wszystkich stron. Bo został w końcu admirałem. I wicekrólem, i gubernatorem ziem, które zamierzał odkryć, ponadto miała do niego należeć dziesiąta część znalezionych bogactw. Jak ci powiedziałem, strasznie mi go było żal i uważałem za swój obowiązek zabrać ich do Ameryki. Zaproponowałem mu to przy butelce, pojęcia nic mam, jakie to było wino, bo ja tęskniłem do kawy, a on choć wiedział o mojej latającej karecie, nawet okiem nic mrugnął. Zbaczał z tematu i ładował mi z ogniem w oczach o Ptolemeuszu, Imago Mundi, astronomii, kosmografii i o tym, jak można wciąż płynąc na zachód dostać się Cipango. Wyrażał opinie o wielkich tego świata. Na przykład, mówił dobrze o Garcí Fernandezie, źle o ojcu Juanic Perczec, raz źle raz dobrze o królu portugalskim, dobrze o Izabeli. Przerzywałem mu, jak ty mnie, wciąż proponując podróż do Ameryki, chciałem powiedzieć, do tego ich cholernego Cipango, a on słowem mi nie odpowiedział. Wróciłem na dwór i tam przedstawiłem moje propozycje. Izabeli wystarczyły trzy sekundy, żeby zrozumiała, jakie korzyści może przynieść ta błyskawiczna wyprawa, Ferdynand nic nie mówił. Nie wiem, dlaczego. Natomiast ksiądz, żeby choć beknął, ale nie, milczał jak zakłęty. Admirał nie był zdecydowany: wysuwał tysiące argumentów, które musiałem zbijać jeden po drugim z iście anielską cierpliwością. W końcu pomyślałem sobie, że boi się, że mu świsnę sławę odkrywcy, ale chyba nawet nie o to mu chodziło; przecież o swojej przyszłej sławie i tak nic mógł nic wiedzieć. Ja wiedziałem, ale on nie. Nic jestem przekonany, czy rzeczywiście chodziło mu o tę sławę, czy raczej chciał udowodnić wszystkim swoją rację. Skończyło się na tym, że oddałem się pod jego rozkazy, a sobie wyznaczyłem rolę pilota karety. Ale moja inicjatywa nie liczyła się. Najważniejsza była decyzja Izabeli.

— To Ameryka nic została odkryta dwunastego października tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego roku?

— Jasne, że nie. Przynajmniej tam. Odkryliśmy ją dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego drugiego. Ale nim do tego doszło, musieliśmy oddać się w ręce Świętej Inkwizycji, która dość nam dojadła tym swoim niuchaniem, śpiewami, mszami i kadzidłami. A potrafiysz sobie wyobrazić nasze pożegnanie z doñą Franciską Marią Juaną de Soler y Torrelles Abramontc? Biedna dziewczyna przestrzegała mnie przed niebezpieczeństwem od bestyj z finis rerrae, biedna. Głupia nie była, ale ignorantka okropna. Ale przestań się jej czepiać.

— To ty się czepiasz.

Trafalgar zapadł w głębokie zamyślenie, które trwało dobrą chwilę. Zostawiłam go i poszłam wyrzucić niedopałki z popielniczki.

— Umieściliśmy załogę z czterech statków w moim gracie.

— Zmieścili się wszyscy?

— Czy ci już mówiłem, że sprzedałem w Eiquen pięćset traktorów? Pięćset dziewiętnaście.

Miejsca więc było dużo. Oberwańce trzęsły się ze strachu, ale strugały odważniaków, choć twarze miały blade jak śmierć. Upał był okropny i zmieszanie też: wyruszyliśmy w samo południe, bo chciałem dotrzeć do Ameryki rankiem jeszcze tego dnia. Odprowadzała nas para królewska, cały dwór, cały kler, wojsko i gawiedź. Tłumaczyłem zebrany, że nie powinni się zanadto zbliżać, ale nikt nie słuchał. Żołnierze próbowali rozpedzić tłum, ale kiedy i to nie pomogło, włączyłem silniki i wtedy rozbiegli się jak kundły z podwiniętymi ogonami. Wewnątrz panowała martwa cisza. Natomiast jak się wznieśliśmy, rozległ się nieludzki wrzask. Na szczęście był z nami fantastyczny facet, Vicente Yanez, kapitan jednej tych łupin, i trzech zabijaków, którym nie radziłbym wchodzić w drogę, a w ogóle byłoby najlepiej omijać ich z daleka. Oni właśnie i ten facet zagrozili wszystkim wrzeszczącym, że zrobią z nich sieczkę, jak się jeszcze który odezwie. Leciałem niziutko, tuż nad morzem, żeby mogli sobie popatrzeć. Ale sam nawet nic pamiętam tej podróży. Pod pretekstem, że muszę pilnować steru, uwolniłem się od ich towarzystwa, zamknąłem i wreszcie mogłem napić się kawy i zapalić. Do całkowitego szczęścia brakowało mi tylko gazety. Jakby mnie tu zobaczyli ci ze skwaszonymi minami, jak nic oddaliby w ręce Świętej Inkwizycji. Opadły mnie wnet smutne myśli: oto stu zaplutyh brodaczy i analfabetów, jeden szaleniec i jeden człowiek z innego świata mają odkryć Amerykę... płynąc ku niej statkiem międzygwiazdowym. Szaleństwo to wielka mądrość, jak twierdzi Bernard Goorden. Byliśmy na miejscu dopiero po czterdziestu pięciu minutach, ponieważ jechaliśmy powoli — rzekł Trafalgar. — Za dziesięć dziewięta rano wylądowaliśmy w San Salvadorze bo jeszcze łudziłem się, że jednak uda mi się uszanować historię i uniknąć większej rozróby. Kolumb i Yanez wierzyć mi nie chcieli, że już jesteśmy po drugiej stronie świata, a wiesz, ile nas kosztowało wysiłku, żeby przekonać o tym załogę? Mimo że ci durnie widzieli ocean i wybrzeża. Wysiedliśmy, wzięliśmy w posiadanie nowe ziemie, oczywiście nie obyło się bez przemówień i modłów, Admirał z łkaniem spisywał dane. Kiedy działo się to wszystko, Yanez i ja zaczęliśmy buszować po Nowym Świecie, ale w końcu rzuciliśmy się w morze, aby zażyć kąpieli. Potem trochę polowaliśmy, łowiliśmy ryby, jedliśmy, a po południu zabrałem ich na przejażdżkę po morzu opływając Antyle, które oni także nazywali Morzem Karaibskim. Dwa dni spędziliśmy na Kubie, trzy na Haiti. Nie umacnialiśmy ani nie naprawialiśmy tam sfatygowanych statków, bo ich w ogóle nie mieliśmy. Piątego dnia ja i Yanez — z Admirałem w ogóle nie można się było dogadać, bo cierpiał na obsesję Cipango, do którego się można dostać wciąż żeglując na zachód, więc zostawiliśmy go w spokoju, no więc razem z Vicentem zegnaliśmy załogę do kupy i zabrałem ich w podróż dookoła świata.

— Grając na nosie Magellanowi.

— Żeby jemu jednemu. Zresztą to pestka, wzięwszy pod uwagę jeszcze inne sprawy. Choć jestem nawet skłonny przypuszczać, że krzyżówkę, jaką im zostawiłem po wyjeździe, jakoś sobie w końcu rozwiążą. Parę krzyżówek zresztą i to ze sfuszerowanymi hasłami. Nie tylko objechałem dookoła Ziemię, tuż nad poziomem morza, kiedy było możliwe, ale wznosiłem się coraz wyżej, żeby im udowodnić, że Ziemia jest okrągła, a przy okazji powiedziałem im, że lepsza od nieba, bo... jest, a przy innej, żeby się wreszcie odczepili od Japonii, tego ich Cipango, bo to przecież Ameryka. Nie, nie powiedziałem Ameryka, niech się sami pomęczą, chociaż nad nazwą. Wreszcie przestali się bać, ale za to zaczęły się kłopoty. Mówiąc oględnie zdrowotne.

Wróciliśmy do Kastylji, jak trzeba było, drogą od wschodu. Przyjmowano nas w pałacu, odbywały się uroczystości jedna po drugiej. I jeszcze jak dodam do tego wszystkie rogi, jakie przyprawiłem za pozwoleniem dońi Franciski Marii de Soler y Torrelles Abramonte jej mężowi,

możesz sobie wyobrazić, że wyglądałem, jakby mnie ktoś połknął, a ja mu zaszkodziłem.

— A co z księżulem?

— Bez zmian. Zacząłem go obserwować i domyśliłem się — nikogo o nic nie pytając, gdyż instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, abym nie ważył się tego czynić, a ja ufam mojemu instynktowi, bo nieraz mi dopomógł w paskudnych sytuacjach — więc domyśliłem się, kim był ów ksiądz.

— Przepraszam cię, ale nie jestem zbyt mocna w historii, kto to?

— Pożyczę ci biografie królowej Izabeli, to się dowiesz. Zrobiło się późno i trzeba pomyśleć o obiedzie. A zresztą, powiem ci — rzekł przyciszonym głosem — to był Torquemada.

Miał rację mówiąc, że było późno, ponieważ kotka już spała.

— Żeby już raz skończyć z tą całą kolumbiadą, skoro i tak popieprzyłem im historię, powziąłem jeszcze pięć wypraw, które raczej należałoby nazwać kiłombiadą, a tu, w tym miejscu oddaję historii, co się jej należy. Wyprawy te miały na celu zasiedlanie nowych ziem. Słuchaj dobrze: nie wozilem konkwistadorów, tylko kolonistów, którzy targali ze sobą zwierzęta, narzędzia rolnicze, meble, statki, nauczycieli, lekarzy, kronikarzy, murarzy, kowali, stolarzy i te pe. I jak najmniej żołnierzy. Księży musiałem nabrać do cholery — mniej ku potrzebie, a więcej ku niewygodzie.

— Więc konkwista tam zmieniła się w coś takiego?

— Nic wiem, w co się zamieniła, bo musiałem wiać gdzie pieprz rośnie. A wiem tylko tyle, że sławę i chwałę złożyłem w ręce Kolumba, choć na moje nieszczęście do mnie też przywarło trochę jednego i drugiego. Aha, byłbym zapomniał: jeszcze im podpowiedziałem, żeby założyli miasta, nawet zostawiłem plany, które własnoręcznie wyrysowałem z pamięci. Więc jeśli są tam już Buenos Aires, Lima, Hawana, Santiago, Nowy Jork i Quito — jest to moją zasługą. Brazylia i Stany Zjednoczone też są już pewnie koloniami Kastylii i Aragonii. Widzisz teraz, jak narozrabiałem?

— Żałujesz?

— Nie.

— Jak to nie?

— Nic. Nic i już. Owszem, trochę mnie to niepokoi, ale niczego nie żałuję. Niepokoję się, bo nic wiem, kto wynajdzie telefon, kto wygra drugą wojnę światową i w ogóle, jaki będzie układ sił na świecie? Jest to sprawa niebagatelna, bo wyobraź sobie: z jednej strony Majowie, Aztecy, Inkowie, nie licząc mniejszych narodów, a z drugiej Portugalia, Anglia i Francja. Przede wszystkim Anglia. Jak myślisz, co zrobi w swoim czasie moja królowa?

— Powinieneś tam zostać i dalej mieszać, przynajmniej wiedziałbyś, co i się wysmaży. A może raczej po to, żeby już całkiem zmienić historię?

— Hm... tak myślisz? To głupi pomysł. Po pierwsze, gdybym chciał zostać, a nie chciałem, potrzebowałbym przynajmniej pół życia, żeby to wiedzieć, A i tak by m się nic udało.

— Znów ten twój łachmyta?

— Wyobraźni to ty nie masz, ale błysnąć czasem potrafisz. Owszem, łachmyta. A po drugie, po tym całym zamieszaniu nie pozostawałoby mi nic innego, jak stracić nadzieję, że za pięćset lat pojawi się mój bliźniaczy, symetryczny Trafalgar Medrano, miejmy nadzieję też ciekawski, przybędzie tutaj, również namiesza i zamieni bieg historii, co w obecnej sytuacji byłoby raczej mile widziane.

W tym momencie zaczęło mi się kręcić w głowie. Z tego wynika, że kobieta o moim nazwisku miałaby kotkę z rasy dachowców o manierach księżniczki perskiej. Za pięć wieków siedziałaby w kuchni i słuchała opowieści z podróży niejakiego Trafalgara Medrano po zielono-niebieskiej



planecie, trzeciej z systemu dziewięciu krążących wokół jednej gwiazdy gdzieś po drugiej stronie wszechświata, który jest nieskończony, symetryczny i okropny?

— Już wiem — powiedziałam. — Ja też napiję się jeszcze kawy.

Kotka skoczyła na podłogę. I ta kobieta również zadawałaby sobie pytanie, czy pięć wieków temu istniała kobieta, która...

— Daj jej jeść, nie widzisz, że jest głodna — powiedział Trafalgar.

— Zamilknij wreszcie i pozwól mi pomyśleć.

— Będziesz miała dużo czasu do myślenia. Zrób mi kawy, to opowiem, jak to się skończyło.

Dałam kotce siekanego mięsa, Trafalgarowi kawy i sama też się napiłam, chociaż prawie była wrząca.

— Przebywałem tam dwa miesiące — powiedział. — Dość czasu, żeby skolonizować cały kontynent. W Kastylii i Aragonii była już jesień, a tutaj wiosna. Nic, tam była wiosna, rozumiesz chyba, o czym mówię? Właśnie jesień w Kastylii i Aragonii, ech, do cholery, kiedy pewnego dnia, takiego jak dzisiaj, wychodząc z pokoju natknąłem się na księżula. Zrozumiałem, że nie było to spotkanie przypadkowe i wiedziałem już, czym sprawa pachnie. Oczywiście nie mówię o zapachu, jaki zalał od księdza. Tu znów użyłem metafory. Księżulek był czysty w sensie dosłownym, jak niewiele osób na dworze. Habit, sutannę, czy jak to się nazywa, miał stary, wyświechtany na łokciach, ale nie śmierdział. Doña Francisca Maria Juana de Soler y Torrelles Abramonte też nie. Jak ci mówiłem spotkałem parę osób, które nie śmierdziały. Nie znaczy, że się myły; sądzę, że jest to sprawa gruczołów.

— Dobrze, a co z księdzem?

— Przecież ci powiedziałem, że nie śmierdział.

— Jesteś męczący. Czego od ciebie chciał?

— Żebym się wyniósł. Jak myślisz? O co innego by mu chodziło? Klecha miał swoje ambicje. Popierał plany Kolumba dlatego, że sam był przekonany, że można dotrzeć do Cipango płynąc na zachód, ani też mu się nie śniło, że na zachodzie jest jakiś kontynent, ale tak na wszelki wypadek, że może jest. Niezły był z niego gracz: siedział cicho jak kornik w szafie i gryzł, a jak co, rzucał się do ataku. On chciał tylko władzy, nic jawnej, lecz ukrytej, która daje więcej satysfakcji i nic jest tak niebezpieczna, jak oficjalna.

— Ale przecież ją miał, więc o co mu jeszcze chodziło?

— O władzę. Nic tylko Kastylii i Aragonii, ale wszędzie, gdzie tylko byłoby to możliwe. Wyciągnij stąd wnioski i naucz się pokory. Przeszkadzałem mu. Kiedy ja działałem jawnie i czyniłem rzeczy widoczne, on knuł intrygi. Ja nic tylko dopomogłem królestwu w podbojach. Zresztą, jakich znowu podbojach? Jaka to znowu była konkwesta? Przecież oni dostali wszystko za darmo, ale jeszcze używałem do tego celu środków nadnaturalnych. A jak wobec tego, co nadnaturalne, zachowują się marne duszyczki? On miał swoje ambicje.

— Nigdy nic zrozumieć, jak można pragnąć władzy. Tyle obowiązków.

— Głupstwa opowiadasz. Przecież nic nie musiałbyś robić. Wtedy na korytarzu odezwał się do mnie po raz pierwszy. Głos pasował mu do sutanny: był starty i cichy, jakby mu się coś pruło w gardle. Powiedział mi „dzień dobry”, choć nie miała to być godzina dobra dla mnie, i zapytał, czy nic uważam, że prawdziwa mądrość polega na posłużeniu się siłami nieprzyjaciela przeciwko nieprzyjacielowi. Nie byłem w nastroju do prowadzenia rozmów typu „przy okrągłym stole”, wprost przeciwnie, myślałem o zwykłym stole, zastawionym jadłem, jako że nic jadłem jeszcze śniadania po

nader męczącej nocy. Chciałem jednak wiedzieć, co on ukrywa pod habitem i odrzekłem, że owszem, w pewnych wypadkach taka działalność mogłaby przynieść najlepsze rezultaty — ty. Uśmiechnął się i powiedział, że obserwując moje manewry (tak właśnie rzekł, manewry) chwycił się tego sposobu. Szedłem tam, gdzie spodziewałem się dostać jeść, a on mnie nie odstępował. Wreszcie wypruł z siebie, że chciałby mnie właśnie poinformować, że już mu nie jestem potrzebny. A ponieważ nie odpowiadałem, dodał: „Nadeszła chwila, panie de Medrano, aby pan odszedł tam, skąd pan przybył”. Wtedy przystanąłem i powiedziałem, że o tej sprawie tylko ja decyduję. „Ach, nie, nie”, odpowiedział, po czym wytłumaczył, że jeśli nie odjadę natychmiast, on ogłosi światu, że doña Francisca Maria Juana de Soler y Torrelles Abramonte dopuściła się wiarołomstwa i jako wiarołomna małżonka utrzymywała stosunki cielesne ze sługą szatana. Zrozumiałem, że facet miał wszystkie asy w rękę, a ja co najwyżej mogłem rozglądać się za drewnem na opał, ponieważ on mógł mi wszystko udowodnić; a mógł, bo o naszych sprawach z dołą Franciską Marią Juaną de Soler y Torrelles Abramonte wszystkie psy szczekały. Jednak stawiłem mu czoło. Na próżno. Klecha miał wyświechtaną sutannę, ale też materac pełen pieniędzy. Przekupił moich służących oraz paru ludzi, których wozilem do Ameryki i z powrotem. Więc miałem na koncie nie tylko cielesne obcowanie z mężatką, ale kiedy zostawałem sam, piłem dziwne czarne napoje, po których z moich nozdrzy i gardła wydobywały się kłęby gęstego dymu. No więc dzięki tym świadkom i innym, których można było dostać za marny grosz lub cenę lęku przed piekłem, Święta Inkwizycja mocno mnie ścisnęła w garści. Zaprzestałem walki i zapytałem, czego chce. Chciał, żebym się wyniósł. Nic więcej. Więc jeszcze tego dnia odjechałem, skąd przybyłem, to znaczy do samego Pandemonium. Nie ruszył mnie palcem, ani też nic nie uczynił, aby zniszczyć moje dzieło, czyli konkwistę... jaką znowu konkwistę — kolonizację podaną im na talerzu, ponieważ to godziłoby w jego własne interesy.

— A co z twoją ukochaną?

— Ona go wcale nie obchodziła. Jak ci mówiłem, nieraz już chodziła na boki. Zapewniam cię, że jedno skrzyknięcie tronu interesowało księżula bardziej niż dobre obyczaje w jego owczarni. Tak, że wyjechałem stamtąd.

— To szkoda.

— No, nie wiem. Był to najważniejszy moment, żeby zniknąć: Kolumbowi nie groziła śmierć w nędzy i opuszczeniu; wprost przeciwnie, chodził okryty sławą i złotem. Nikt nie musiał zabijać ani dawać się zabijać w poszukiwaniu Eldorado, na dodatek kiedyś cała Ameryka będzie mówiła po hiszpańsku.

— Jesteś tego pewien?

— Niezupełnie, ale mogę przypuszczać. Miałem jeszcze zamiar wypuścić się do Australii, żeby zobaczyć co dałoby się zrobić dla tamtego kontynentu i zupełnie serio rozważałem możliwość porwania do mojego grata doń Franciszki Marii Juany de Soler y Torrelles Abramonte, ale nie zdecydowałem się na to. Powiedziałem więc ich światu: „Bye, bye, czekajcie na mnie o'clock of tea, ciao, ciao, bambina” i dałem nogę. Jeszcze tylko miałem kłopot z Yanezem: za wszelką cenę chciał ze mną do tej Australii, ale na szczęście miał właśnie objąć urząd gubernatora Nowego Świata, więc wytłumaczyłem mu, że jego stanowisko jest teraz ważniejsze od wszystkich ekspedycji. W końcu został. Ona wyleje za mną trochę łez, dopóki nie znajdzie następcy, ja przejdę do legendy jako bohater zaginiony w tajemniczych okolicznościach, zaś księżulo siądzie na swym sekretnym tronie i będzie władać całym kontynentem.

Obydwoje, Trafalgar i ja wpadliśmy w zadumę. Po chwili wyjrzałam, czy pada deszcz. Owszem

padało, padało, choć na południu zaczynało się trochę rozjaśniać. Kotka wyszła do ogrodu, żeby zbadać kwestię klimatu i wróciła ze zmoczonymi łapkami, na co zaprotestowałam. Trafalgar wciąż siedział wpatrując się w pustą filiżankę.

— W drodze powrotnej miałem dość czasu na rozmyślenia — rzekł, kiedy przeglądałam zapasy w lodówce. — Mam nadzieję, że księżulo po tym, jak dostał swoje, dał jej święty spokój, staruch umarł na ospę, Yanez został wicekrólem Ameryki Północnej i pewnego dnia... no, wiesz, co mam na myśli.

— Aha — odpowiedziałam. — Co wolisz? Cynaderki w białym winie z ryżem, czy makaron w ciemnym sosie ze smażoną wątróbką i pietruszką?

Była to, bądź co bądź, decyzja pięćsetlecia.

— Cynaderki — powiedział.

*Maria Carlos Federici*  
*El nexu de Maeterlinck*

# Związek Maeterlincka

Kerwood odsapnął.

Kleiła mu się koszula do pleców, a pod pachami też czuł ciepłą, lepka maź. Pot spływał zeń strumieniami rysując wspaniałe plamy po obu bokach. „Oto moje mokre szlify wygnania”, pomyślał z sarkazmem. Zdenerwowany, nic przerywał swojej wędrówki tam i z powrotem po pokoju.

— Coś tu u was ciepłutko — odezwał się Saldaña.

Kerwood w odpowiedzi zrzucił z siebie koszulę i ściągnął skarpetki. Czy mógł zrobić coś jeszcze bez uszczerbku dla swojej rangi, którą w ostatnich dniach zaczął uważać za osobistą zniewagę?

— Już trzy razy zgłaszałem konieczność naprawienia termu — poczuł się w obowiązku odpowiedzieć. — I proszę... — wzruszył ramionami.

Saldaña mimowolnie uczynił gest zrozumienia. Siedział bez ruchu od dłuższego czasu i tylko nad jego górną wargą widać było nitkę maleńkich kropelek.

Ten czarnowłosy latynos był dla Kerwooda zagadką. Miał w sobie coś tak enigmatycznego, jak, nic przymierzając, tubylcy z Kamohatti. W końcu żył wśród nich przez siedem lat — oczywiście zachowując dystans, jakiego wymagały normy obcowania z odmiennymi rasami — więc dość się naobserwował.

— Jeśli mam być szczerzy, to czuję się rozczarowany — uśmiechnął się Saldaña. — Marzyłem sobie o miłym chłodku w konsulacie DSAP-u, a tymczasem...

Kerwood z wyraźnym wysiłkiem odpowiedział na uśmiech tamtego. Przeszedł jeszcze parę kroków po gabinecie i w końcu z rezygnacją zajął miejsce za biurkiem Duboisa.

Poduszka opadła ze świstem pod jego pośladkami. Kerwood z niezadowoleniem przypomniał sobie swoje obietnice przeprowadzenia kuracji odtłuszczającej. Niebom niech będą dzięki, zaraz się pocieszył, że w tym piekielnym klimacie siedemdziesiąt pięć procent kalorii wypływa porami skóry.

Pochylił się nad biurkiem, złączył grube palce obu rąk i uśmiechnął się do Latinoamerykanina, rzucając dobroduszną zaczepkę:

— Wie pan, że będę miał przez pana cholerne kłopoty?

Saldaña zwrócił do niego głowę gestem przeprosin, a zarazem nonszalancji.

„Jakie to dla nich typowe”, pomyślał Kerwood, „podobnie jak z natychmiastowym dostosowaniem się do tych okropnych temperatur tropiku. Przyjmują pozę lub zachowanie „x” i trwają w nich niezmiennie, jakby byli nieustraszonymi bohaterami, spiżowymi pomnikami. Nic potrafią nawet zdobyć się na wypowiedzenie formułek grzecznościowych. Czego nas nauczyła historia w ciągu ostatnich pięćdziesięciu siedmiu lat? Powstanie Południowej Federacji spowodowało utworzenie się silnego bloku obronnego przeciwko gwałtownej ekspansji Demokratycznych Stanów Ameryki Północnej. Próbowano, owszem, sforsować ów blok przy pomocy różnych machinacji mających na celu odrodzenie oportunistycznego międzynarodowego, ale odkryto, że PF silnie się trzyma dzięki prymitywnemu dziedzicznemu uporowi tubylców, nazywanemu przez nich...

godnością. Niemniej ich dyplomaci robili najbardziej układne miny, hm... a takich niewielu już można spotkać na Matce Ziemi”.

Oczywiście, tu, w kosmosie, sprawy miały się inaczej. Na Zewnątrz nieliczni południowcy należeli raczej do *rome aves*, ostatniego żywego eksponatu indywidualizmu, charakteryzującego się romantyką i umiłowaniem przygód, które to cechy — Kerwood był zamiłowanym paleobiografem — potwierdzały zły smak Hemingwaya i różnych *pulps*... Ten tu Saldaña wydaje się reprezentować najbardziej typowe egzemplum.

— Nie wiem, co z panem zrobić, z... państwem — wyznał Kerwood. Przesunął palcami po rudej szczecinie pokrywającej jego czaszkę. — Sprawa jest delikatna, pan to rozumie, i jeśli mam być szczerzy, obawiam się, że moje doświadczenie...

„Przekłeta historia”, pomyślał. Przekłety Basil de Boli, który wysłał do łóżka dyrektora do Spraw Ksenokontaktów. Przekłety Di Trazzi, że też akurat ten tydzień wybrał sobie na urlop, żeby się ożenić, zresztą po raz siódmy; oczywiście musiał jechać na Matkę, bo to w dobrym tonie, i gdzieżby indziej, jak nie do rodzinnego terramiasta. Przekłete obowiązki, które Dubois, bo też musiał wybrać się na urlop, zwałił na jego barki, nie racząc uporządkować wszystkich spraw. Jakby jeszcze mało było tej piekielnej temperatury i wiecznej wilgoci... Termokomory wciąż nie naprawione, bo w rubryce Naprawy Semestralne stoi jak terrabyk: ‘Środki wyczerpane’. Niech to szlag trafi!”

W końcu, zdobył się na sprawiedliwość, Saldaña nie ma nic wspólnego z kłopotami, z jakimi on tu się musi borykać.

Podsunął Latynosowi papierośnicę. Przybysz wyciągnął papierosa.

— To syntety — objaśnił Kerwood — ale niezłe. Przynajmniej nie cuchną spaloną terrakukurydzą.

— A nie macie tu marihuany? — zażartował Saldaña. Amerykanin wyszczerzył zęby. „Facet jakiś do rzeczy) pomyślał.

— Nie dla mnie takie przyjemności — odpowiedział. — Owszem, trochę dobrego jedzenia, dymku, ale żadnych środków halucynogennych.

W powietrze przesycone wilgocią uniosły się gęste kłęby dymu — tak, ale rzeczywistości ukryć w nich nie można, znów zaczął się martwić Kerwood. To tak, jakby komuś wpadło coś do oka, a poszkodowany, zamiast od razu wyciągnąć paskudztwo, przewraca gałką i czując przez chwilę ulgę uważa, że wszystko w porządku. Ale kiedy popatrzy wprost, podrażniona tęczówka gwałtownym bólem przypomni o zaparanym oku.

Trzeba by go rozgryźć, ale jak się do tego zabrać?

— Pan pochodzi z Południowej Federacji, prawda? — zapytał, w swoim mniemaniu ustępliwie i uprzejmie.

— Nie. Urodziłem się w Maragwaju... Niech się pan nie trudzi z odszukaniem tego miejsca na mapie — dodał. — Nic czułbym się uszczęśliwiony, gdyby pan znał nasze położenie geograficzne... a raczej naszą sytuację geograficzną. Uważam, że jedyną rzeczą, z jakiej powinniśmy być dumni, jest zupełny brak znaczenia naszego kraju na arenie terrapolitycznej.

— Pan przesadza ze swoim sceptycyzmem — powiedział Kerwood. — Słyszałem o pana kraju. Należy do dwóch ostatnich, które opary się wcieleniu do Połfedery i według mnie jest to sprawa nic bez znaczenia!

— Jeden ze sposobów na zdychanie z godłu! Gdybyśmy należeli do Południowej Federacji, bylibyśmy trzeciorzędą prowincją. A propagandą „silnego rządu Carlevara oszukuje się tylko

żołądek, karmiąc go szowinistyczną zupą i kromką chleba... W końcu...

Kerwood wyciągnął w jego stronę rękę z wypalonym do połowy papierosem. — To rzeczywiście nie dla pana. Ale jak tam panu powiodło się Na Zewnątrz?

— Przez jakiś czas kręciłem się z Satsami.

— No, proszę! Ekipy konstrukcyjne! To musiał pan być w Okręgu 2!

— Aha! Ale szybko mi się znudziło. — A potem?

— Pojechałem na Pas Asteroid. Można nieźle zarobić.

— W kopalni? To musi być ciężka praca.

— Zależy, jaki kto ma grzbiet... Ale nie zawsze dobrze się wychodzi na podziale. Wolałem zacząć pracować na własną rękę. Poznałem paru facetów, agentów z Astrosafari, no i widzi pan, jestem tutaj!

— Pan pracuje jako przewodnik?

— Żeby zaspokajać zachcianki zgrai wydelikacyonnych milionerów? Owszem, próbo — wałem i tego, ale szybko mi się odechciało. Jestem zawodowym myśliwym. Zaopatruję ogrody fauny pozaziemskiej i parę muzeów, oczywiście na Matce.

„Awanturnik”, pomyślał Kerwood, gdyż nie uznał za stosowne wyrazić swojej opinii gośno. W końcu nie na darmo interesował się psychiką cudzoziemców... „A w tym aż kipi młodzieńcza werwa... Ale oto ciekawość Kerwooda nagle się ulotniła, kiedy dostrzegł po obu stronach ust tamtego pierwsze głębokie bruzdy. Teraz już zupełnie nic różnił się od bohaterów *pulps* sprzed wieku. „Te ślady znaczą, że kończą się wielkie porywy i namiętność”, stwierdził, jednak trochę rozczarowany.

— A co będzie z nią?

Pytanie Saldańy zaskoczyło go. Trzeba będzie coś postanowić.

— To sprawa delikatnej natury i o wiele trudniejsza od pańskiej — powiedział.

— Mną niech się pan nie przejmuj. W tym wszystkim obchodzi mnie tylko Hájeba.

Kerwood podniósł do piegowatego czoła wymiętoszoną, mokrą szmatę, która niegdyś była chusteczką. „Czyżbym właśnie czytał jakiś stary thriller”, zdumiał się.

Miriady maleńkich impulsów przebiegły mu przez wargi, które, bardziej ku jego własnemu zaskoczeniu, niż zadziwieniu Saldańy, poruszyły się i uformowały w słowa:

— Czy pan jest w niej... zakochany? — zapytał.

*...Badania przestrzeni kosmicznej (których postępującemu rozwojowi stawała na przeszkodzie konieczność rozwiązywania kolejnych pozornie ważniejszych spraw takich jak zanieczyszczenie środowiska, kryzys żywnościowy nękający którąś z nadmiernie rozrastających się narodowości świata etc.) stały się wreszcie możliwe, dzięki pojawieniu się baterii Torr-33, co znacznie obniżyło koszty podróży kosmicznych, które obecnie znajdują się w potencjalnym zasięgu każdej korporacji, posiadającej przeciętny kapitał stały (1933).*

*I tak nieoczekiwanie Homo Terraris zrzucił swe kajdany, opuścił swoje więzienie, aby przemienić się w Homo Spatti — jeśliśmy chcieli wyrazić ów fakt w stylu entuzjastyczno-eufemistycznym... Natomiast posługując się obiektywizmem historycznym należy podać, co następuje: owo awanturnictwo kosmiczne zwiódło piętnaście procent ludzkości, która ruszyła na poszukiwanie kosmicznych przygód na innych planetach, gdy tymczasem pozostała większość pogrążyła się w błocie oddając nałogom i zboczeniom seksualnym, pogrążając w abulii umysłowej,*

Jeśli by wspomnienia z całego mojego życia ułożyć na palecie barw, wówczas te z lat najmłodszych musiałbym widzieć poprzez czerń i szarość: bójkę na brudnych ulicach, ciosy nożem, kopanie w jądra. Pierwsze brutalne związki: dziewczyna jak nie poszła sama, to się ją brało siłą i zawsze temu towarzyszyła obojętność, zapach starego zjełczałego potu, tarcie źle ogolonych nóg. Stary, oćpany marihuaną czy jakimś innym świństwem, wrzeszczy: „poleeeecę, poleeeeeecę”, poczym rzuca się z dziesiątego piętra na bruk i zostaje z niego jajecznicą.

Chciałem z tego wyjść.

Prawie co godzinę na ulicy jakiś tumult: to Siły Porządkowe rozprawiają się z niezadowolonymi przy pomocy gazu i pałek. Byli tacy, którzy spędzali czas na fajdaniu ścian napisami w rodzaju: **PRECZ Z CARLEVAREM! W JEDNOŚCI ZWYCIĘSTWO!** i inne bzdury w sprayu i smole. Inni, popieprzeni „intelektualiści”, przebijali głowami mur... Idioci! Jeśli o mnie chodzi, chciałem za wszelką cenę, choćbym miał sobie ręce urobić do łokci, uciec stamtąd na zawsze, więc powoli przygotowywałem drogę.

Moje późniejsze wspomnienia nabierają nieco innej barwy, nie są już takie ponure, coś niecoś rozjaśniło się w moim życiu. Ryzykowne prace — jedyne dobrze płatne — więc: nitowanie belek na wysokości pół kilometra w gęstych chmurach. Trzeba było w odpowiednie miejsce wystrzelić snop ognia. Tymczasem pół tuzina szefów Construba — nas siedziało przy kawusi, ładowało dywidendy do własnych kieszeni i patrzyło, jak miasto im rośnie. A owszem rosło, jak wrzód na... Albo pod wodą niejeden zostawił rekinom kawał ręki albo nogi, a wszyscy musieliśmy się długo lizać z ran od soli morskich lub poparzeń, bo nietrudno było wpaść na meduzę albo ośmiornicę. Pod ziemią też: w „pewnych” kopalniach, w których mimo zapewnień o bezpieczeństwie, są wybuchy, po których z górników pozostaje kupa poszarpanych flaków... Krew wciąż jest tańsza od pochodnych ropy. Owszem, były maszyny i roboty do tego typu prac, ale nie każda spółka handlowa mogła sobie na nie pozwolić.

Z czasem moje wspomnienia nabierają trochę więcej barw. Miałem jedyną szansę: Na Zewnątrz. „Strzel się w kosmos, chłopcze, tam łatwiej...” Rzeczywiście Torr-33 było genialnym wynalazkiem. Każdy, nawet smarkacz, z biedą, ale mógł pozwolić sobie na jakiegoś kosmicznego grata. „Roboty Na Zewnątrz nie brakuje”. I faktycznie, możliwości było dużo. Wielkie firmy Sats zajmowały się budową stacji transmisyjnych i baz zaopatrzenia, Vigo przysposabiała i konstruowała asteroidy, całe ich łańcuchy, aby jak rodzynki z ciasta wydobywać najbardziej użyteczne minerały, ale nie tylko, bo również w celu obserwacji ruchów KURAE i krajów — satelitów. No więc powstawały planety, księżycy, stacje kosmiczne i potrzeba było ludzi, ludzi, ludzi.

No to wyruszyłem w kosmos.

Polubiłem alkohol, piłem najczęściej syntet, ale jak mogłem zdobyć, delectowałem się rumem i whisky Leg. Lubiłem mocne trunki i wiedziałem, że dużo mogę wypić, ale nie byłem durniem. Nigdy się nie upijałem — to dobre dla mięczaków. Paliłem dla przyjemności, lubiłem kobiety. Wszystko: papieros, trunek, kobieta, ale bez przesady, nie leciałem do tego jak ćma do ognia. Myślę, że umiałem być twardy.

Nauczyłem się polować. Zostałem myśliwym przypadkowo, kiedy nie miałem pracy, i natychmiast w tym zasmakowałem. Wspecjalizowałem się w polowaniu przy pomocy kapsułek



usypiających na nieznane zwierzęta. Krwawe polowanie od samego początku było zabronione poza Matką. Organizowałem także emocjonujące, oczywiście sfabrykowane, astrosafari.

Ale i tym razem nie musiałem długo czekać, żeby znudzili mnie ci niewydarzeni myśliwi; lalusie, którzy nic potrafili utrzymać w ręce sztucera. Kiedy strzelali, ze słabości i strachu trzęsły im się tłuste brzuchy. Miałem parę wypadków z powodu idiotów, którzy szukali „mocnych wrażeń” i to dołało oliwy od ognia.

Postanowiłem założyć własną firmę, więc najpierw obrałem szefa: Liber Saldaña, obywatel Systemu, a potem personel: Liber, Saldaña. Godło firmy: Za–u–fa–nie. Koniec. Szło nam dobrze...

Piąty etap życia to już wspaniałe żywe barwy. Ileż emocji, ciągle podniecenie, przygoda, obliczanie ryzyka, aby dany krok nie okazał się samobójczy, żeby nie igrać z logicznymi przemyśleniami.

Coraz bardziej podobało mi się takie życie. Obce miejsca, nieznane stworzenia, fantastyczne dżungle z drzewami czarnymi, czerwonymi, purpurowymi, żółtymi... Karłowate słońca, niebieskie i zimne, lub ogromne rozpalone kule, pod którymi wypływały z człowieka hektolitry potu... Zielone nieba, nieba pomarańczowe, wrzące morza. I daleko od tłumu.

Czasem wizyta w jakimś terrakonsulacie, prawie zawsze DSAP-u albo Komunistycznej Unii Republik Azji i Europy, albo w hotelowym burdelu czy tawernie.

Ale właśnie teraz, ta piąta część mojego życia nabiera we wspomnieniach barwy najczystszej złota.

Szedłem śladem articopa. Jest to skrót nazwy naukowej, nie potrafię podać jej w całości. Więc wydawało mi się, że jestem już blisko, ponieważ słyszałem jego sapanie. Arti oddycha nosem tak jak my, ale kiedy ucieka, wypuszcza powietrze przez otwór, który ma... no jakby to powiedzieć...no... pod ogonem. Ten dźwięk można porównać z sapaniem gigantycznego miecha kowalskiego, jeśli pan wie, co to jest. Kiedy już się nabierze doświadczenia, dokładnie można rozróżnić, kierując się tylko słuchem, w jakiej odległości może znajdować się to zwierzę. Nie miałem ze sobą pojazdu, ponieważ w tamtym regionie są tylko dżungle i moczary, więc typ maszyny o pneumatycznych gaśnicach, jaki miałem do dyspozycji, nie nadawały się do użytku. A więc, jakbym się znalazł w starych dobrych czasach: na nogach miałem długie plastikowe buty najlepszej jakości i byłem wyposażony w najlepszy sprzęt — refleks oczywiście. Na Kamohatti w niektórych miejscach grunt jest ruchomy, jakże zdradziecki dla nowicjusza.

Działo się to na chwilę przed zapadnięciem zmroku, kiedy milkną głosy zwierząt. Jeszcze można było widzieć całkiem wyraźnie, gdyż stała pokrywa chmur dość dobrze odbija ostatnie promienie słońca.

Słysząc więc było tylko chłupot podeszew w błocie moczarów, plaskanie przemoczonej koszuli i nieodłączne głucho trzaski rozgniatanych butami głów plantogadów. Wychwalałem pod niebiosa dobrą fakturę mojego obuwia. Żądło tych prawdziwie diabelskich roślin ukryte w kielichu, pąku, czy jak się to nazywa, gdyby mi wlaźło w nogę, wstrzyknęłoby jad, który w ciągu paru godzin dotarłby aż do uda. Oczywiście cała noga byłaby już zgangrenowana.

Nagle stanąłem jak wryty.

— Co to takiego?

Mam zwyczaj mówić do siebie. Wiem, że można to uważać za śmieszne. Mnie się jednak wydaje, że takie rozmowy z samym sobą pomagają. Kto wie? Może nawet dzięki nim zmniejsza się ryzyko?

Ten dźwięk przypominał krzyk articopa. Ale nie był to krzyk przestraszenia — pomimo swojego

olbrzymiego cielska owe stworzenia są płochliwe, a mój articop czuł się przecież ścigany — lecz głos euforii. Słysząc go było w gęstwinie krzaków zwanych rori, zwiniętych jak spaghetti.

Z całą ostrożnością użyłem mikrolasu, żeby otworzyć sobie drogę. Najcieńsze łodygi rori mają grubość rury cylindra snorkela i konsystencję płynnej stali. Tylko promienie laserowe dają im radę, dlatego nigdzie się nie wybieram bez mojego ołówka.

Kiedy już zrobiłem dziurę wielkości jajka liki, mogłem wreszcie zobaczyć, co się dzieje tam, wewnątrz.

Z reguły rori rosną w miejscach, gdzie kończy się dżungla a zaczyna skalista pustynia. Według artykułu, do którego się kiedyś zabrałem i jakoś strawiłem, pewna grupa korzeni wydobywa skadniki odżywcze z podłoża błotnistego, inna natomiast z minerałów znajdujących się w skałach i przekształca je w substancje przyswajalne przy pomocy czegoś tam, ma to bardzo zawiłą nazwę, którą wymyślili uczeni, w końcu co innego mają do roboty... Dla mnie ważna jest tylko ta jedna rzecz: rori ściśle odgraniczają dwa różne środowiska naturalne: moczary dżungli i skały pustyni.

Podszedłem bardzo blisko do otworu i ujrzałem rozległą równinę, suchą i pustą. W dali rozciągał się łańcuch górski, a z jednej strony dość ograniczonego pola mojego widzenia zauważyłem nowy gąszcz rori, wskazujący, że dalej jeszcze znajduje się dżungla. A na tej ogromnej scenie znajdował się pierwszy aktor.

Było to zachwycające.

Łeb ma podobny do gigantycznej terragruszki, ozdobionej dwiema czarnymi lodowatymi półkulami. Faktycznie te wielkie oczy widzą wszystko. Na samej górze tej gruszki znajduje się obrzydliwy otwór, który nieprzerwanie rozszerza się i kurczy. Uczeni mówią, że jest to otwór nosowogębowy. Nie będę się sprzeczał. Dla mnie w końcu był to tylko cel — tam właśnie ładowałem grot sopowy.

Ciało długości siedmiu lub ośmiu metrów też ma niezłe obstawione, skurczybyk, podobnie zresztą jak głowę. Sześć łap, choć para środkowych, atroficzna, zwisa zabawnie z każdego boku, w miejscu, gdzie kadłub staje się niewiarygodnie wąski, co przypomina vita di vespa, jak mawiały nasze praprababki, więc jeśli te dwie kielbaski mogą być zupełnie niegroźne, to przednie kończyny są bardzo niebezpieczne. Prawa „ręka” uzbrojona we wspaniale „uzębione” szczypce może odciąć głowę z taką łatwością jak byle nożyczki kosmyk włosów. Lewa też nie jest gorsza: na końcu ma „dłoń” z trzema „palcami”, a każdy taki paluszek kończy się pazurkiem długości czterdziestu centymetrów, ostrym jak bagnet.

Articop potrafi utrzymywać pozycję stojącą. Jego tylne dolne członki mają fantastyczne przeguby i ścięgna i są wspaniale umięśnione, co umożliwia mu wykonywanie skoków sześć razy dłuższych od jego ciała. Ale, żeby się pocieszyć, arti skacze dziwnie rzadko, w zupełnie wyjątkowych przypadkach. Na przykład, kiedy znajdzie się w miejscu zamkniętym lub takim, które go oddziela od jakiegoś celu, względnie, kiedy chce wyprzedzić rywala zdążającego ku samicy. Zwykle porusza się używając środkowej części tylnych łap wielkości ładowników, a kiedy jest znużony odpoczywa, podpierając się przednimi kończynami. Ponieważ waży około dwu i pół tony, męczy się bardzo szybko, a wtedy kładzie się na brzuchu i wyciąga ogon szeroki i spłaszczony jak u terrabobra.

Ale właśnie wtedy tym ogonem zaczął tłuc o ziemię wydając przy tym euforyczne krzyki, a była to iscie piekielna kombinacja beczenia terrajagnięcia, pohukiwania terrasowy i monotonnego ćwierkania terracykady. Ów głos rozległ się jeszcze raz.

I wtedy nogi się pode mną ugięły.

Ale nie z powodu tego wrzasku articopa.

Właśnie ujrzałem ją.

I jest to moje ostatnie wspomnienie, złoty sen mojego życia.

W pozycji półleżącej, podparła się łokciem, jej nagie ramię miało barwę terramiody, pięknie toczona noga była nieco ugięta, drugą rękę trzymała przy twarzy. Nie wyglądała na przestraszoną, choć smrodliwe sapanie zwierza rozwiewało jej białe włosy podobne do wzburzonego oceanu mleka.

Nastawiłem mikrolas na maksimum: krzewy rori padały jak lodowe ściany bombardowane retrorakietami. Wpadłem w otwór.

Obcasy zastukotały na skalistym podłożu, mój oddech stał się ciężki i chrapliwy, strumienie potu spływały mi po plecach i piersi. Wciągając powietrze głęboko w płuca wydałem groźny okrzyk.

Słuchy articopa, zawsze czujne, wchłonały mój głos. Poruszył łbem i wypuścił spod ogona kłęb cuchnącego gazu.

Ona też spojrzała w moją stronę. Jeszcze raz, a teraz znajdowałem się w pełnym biegu, straciłem zaufanie do własnych nóg. Całe moje ciało aż do pięt pokryło się gęsią skórą i włosy stanęły mi na głowie.

W fioletowym świetle zmierzchu jej szeroko otwarte oczy, owalne, o złocistej źrenicy, poraziły mnie. Zupełnie jakbym miał przed sobą żarnik Hill-06. Potrwałoby trochę, zanim zniknąłby z siatkówki oczu jego oślepiający blask.

Po następnym ryku, że użyję tego skrót, oprzytomniałem całkowicie. Podbiegłem na odległość strzału i w ułamku sekundy wycelowałem automatyczny grotonośnik.

I wtedy wydawało mi się, że śnię: arti skoczył!

— Nie do wiary! — wydusiłem z siebie, z trudem łapiąc oddech i bezwiednie zaciskając zęby.

Przecież nie znajdował się w zamknięciu ani też w pobliżu nie było samicy. I mimo to jego potężne tylne kończyny sprężyły się i wybiły go w powietrze. Zawisł dokładnie nad moją głową jak ładownik, kiedy zbliża się do celu.

Zacząłem biec.

Pędziłem zygzakiem, jak to robi terramucha, kiedy ucieka przed gazetą zamienioną nagle w śmiercionośną broń; wierzyłem, że moja zręczność da mi nad zwierzem przewagę.

Zapomniałem o upale. Krew zastygła mi w żyłach... Niezwykłość tej sytuacji paraliżowała mnie i zacząłem czuć smagnięcia strachu.

Przez chwilę nic mogłem myśleć, kręciło mi się w głowie jak po zażyciu dawki narkotyku. Oto ja, człowiek wyrwany z cywilizacyjnego więzienia staje się również zwierzęciem, przestraszonym zwierzęciem, które może tylko zdać się na swój instynkt, mięśnie i szybkość reakcji. Ów stan trwał tylko parę sekund, ale naprawdę było to straszne.

Ale jej obraz nic zniknął z mojej pamięci, nawet kiedy życie zawisło na włosku.

*...Sprawa istnienia w Galaktyce istot rozumnych nie okazała się taką oczywistością, jak to z upodobaniem i z niemal maniackalnym uporem głosili przede wszystkim autorzy fikcji naukowych sprzed wieku. W rzeczywistości dotychczas stwierdzone egzorasy, faktycznie humanoidalne, ograniczają się do trzech i są to: Linkowie z Aury, Alliterowie z Io oraz Malalowie zamieszkujący zachodnią półkulę Kamohalti. Odnośnie do tej ostatniej planety studia etnoegzologiczne znajdują się ledwie w stanie przedembrionalnym. Obecnie debatuje się nad problemem, czy pewien gatunek*

wykazujący charakterystyczne cechy humanoidalne, zwany Etejami, jest podgatunkiem Malalów i stanowi integralną część grupy właściwej, czy jest rasą całkowicie odmienną, nie mającą z Malalami nic wspólnego. Ta sprawa była omawiana na Corocznym Kongresie Egzoetnologicznym i nie została ostatecznie rozstrzygnięta, jako że naukowcy podzielili się w swoich opiniach na dwa przeciwstawne obozy. Autor tego artykułu uważa, że żadne sądy nie mogą być miarodajne, gdyż żadna ze stron nie może pochwalić się dysponowaniem wystarczającą ilością dowodów, które mogłyby posłużyć do wydania opinii ugruntowanej sprawdzonymi faktami.

...Z analogicznych powodów moje powyższe stwierdzenia, być może, również wypływa z fałszywych pobudek. Może jest to, jeśli wolno mi odwołać się do niewinnego porównania, tak, jak z owym rezolutnym nowojorskim terraślimakiem, kiedy opuścił ogród, w którym żył, i rzucił się w niezwykle przedsięwzięcie — mianowicie postanowił eksplorować świat znajdujący się od niego w odległości „tylko paru kroków”... Nasz wyczerpany, ledwo żywy bohater zatrzymał się po przebyciu jakichś dwustu metrów i możliwe, że stwierdził, iż dalsza wyprawa nie jest czynem rozsądnym ani też tak bardzo interesującym, aby poświęcić na nią najmniej dwie trzecie życia. Niemniej pozostawił potomności terramięczaków sąd, że Świat Zewnętrzny zamieszkują wyłącznie „dwunożne giganty o różowej skórze”. Bowiem nasz odważny ślimak wylazł był z zielska w południowej stronie Central Parku. Zebrał siły i, jak powiedziałem, odwagę i rzucił je na żer chimerycznej przygody — i oto na swojej drodze znalazł tytanów o białej skórze. Natomiast jak swoim ograniczonym mózgiem zdołałby pojąć na przykład Harlem?

G. Koli Koyannis:  
„Egzoetnologia” — „Mit Bemsów”

Kerwood patrzył sponad przyjemnie parującej chłodem szklanki i myślał o krętych drogach, po jakich wędrował Liber Saldaña.

Latynoamerykanin miał krótki nos, był chudy i nie odznaczał się silną budową, ale w tym ciele, pod wiele pozostawiającym do życzenia ubraniem, odgadywało się siłę i odwagę, które rekompensowały warunki fizyczne.

Miał dość dobrze ścięte włosy (choć widać było, że strzyże się sam), ale jego twarz wyglądała jak szczotka — pewnie efekt przebywania w dżungli przez trzy dni. Kerwood mimowolnie dotknął własnych, gładkich policzków. Tamten na pewno nie pozbawiał się zarostu raz w miesiącu przy pomocy kremu depilującego, jaki zwykło się stosować w DSAP-ie.

— Ma pan złote ręce — skomplementował swojego gościa pracownik konsulatu napełniając mu szklankę. Faktycznie wychylał je dość szybko. — Nie wiem, jak mam panu dziękować za ten błogosławiony chłód!

Saldaña zrobił pogardliwą minę trochę jakby pod własnym adresem. Potem na jego twarzy ukazał się uśmiech trudny do określenia.

— To nic takiego... A z drugiej strony, skoro już jestem przymusowym gościem, mam obowiązek być miłym i przydać się na coś. No nie?

Zręczne ręce Maragwajczyka przywróciły życie małemu wentylatorowi, który od miesiący leżał wśród rupieci, gdzie cisnął go Kerwood, stwierdziwszy, że do niczego się już nie nadaje. „Prawdziwa oaza ta półkula oświetlona przez Merkurego”, pomyślał przymusowy tymczasowy dyrektor do Spraw Ksenokontaktów, „ale tylko jeśli chodzi o upał”.

A problemy wisiały mu nad głową jak lampka na terrakrylik. Żeby to choć był Amerykanin z

Północy!

Kiedy zapytał Saldańę, czy jest zakochany, ten ominął kwestię, ale energicznie zareagował, choć zupełnie nieodpowiedzialnie, słowami:

— Nie oddam jej za nic na świecie!

„Jakim świecie”, pomyślał znowu Kerwood. Wyobraził sobie widok za oknem: zbity tłum siedzący przed wejściem do konsulatu... Od razu otrząsnął się ze swojej zwykłej apatii, jakby zrzucił stare ubranie. I zaraz pojawił się przed oczami inny obraz: olbrzymi Niecy wyszczerzający czarne kły, otwierający i zamykający potężne pięści.

**Oh, Gosh**, i przypomniał sobie o butelce Lęgu, **rye 50%**.

*...na mocy którego uroczyście ogłasza się ustanowienie Prawa Azylu, które przysługiwać będzie każdemu obywatelowi Ziemi, jeśli się o nie zwróci do każdego terrakonsulatu na każdej planecie, satelicie, względnie asteroidzie, gdzie wspomniane konsulaty pełniłyby swoje funkcje zgodnie z przepisami Prawa Międzynarodowego...*

*(Fragment przemówienia wygłoszonego przez Jego Ekselencję Lumbę N’Gabi, Sekretarza Generalnego DEMOGANAZ-u — Demokratycznej Organizacji Narodów Ziemi, dnia 3 grudnia 1999 roku).*

Podczas pierwszych trzech kroków stwora mogłem kluczyć, ale przejście do ofensywy to już inna para terrakaloszy.

Sopowe grotty nie były dobre; bo trzeba wiedzieć, że arti ma skórę twardszą od budowy kosmolotu, a oczy pokrywa mu przezroczysta błona, zdolna odbić nawet nukowe wiertła. Nie mogłem wystrzelić mu groty w gębonos, bo wycelowanie było zupełnie niemożliwe: zwierzę poruszało się szybko we wszystkich kierunkach w istnym ataku szału, bo tylko tak mogłem nazwać jego dziwne zachowanie.

— Do diabła z przepisami!

Wepchnąłem rękę za pas, żeby wyciągnąć kapsułę Nuc-5 i naładować sztucer. Tę piguleczkę bez problemu można wetknąć mu w pancerz, czy co on tam ma.

Usłyszałem suchy trzask i spojrzałem oglupiały na kikut sztucera. Kikut, bo lufa zniknęła! W okamgnieniu śmiertcionośne kleszcze zwierza ścięły ją tuż przy samym spuście, jakby była łodyżką terrastokrotki.

— Przekl....

Dotknąłem uda i poczułem na palcach gorącą krew. Coś wżarło mi się w skórę... Jak mogłem zapomnieć o jego drugiej łapie z bagnetami...

Teraz swoją nieuwagę musiałem przypłacić nie nadającą się do niczego nogą. A sprawy miały się zupełnie niedobrze.

— A ona! Boże! Co z nią!

Wreszcie mogłem ją dojrzeć. Siedziała na ziemi i mocno obejmowała kolana. Jej oczy...

Articop ryknął. Byłem osaczony! Sapnął paskudnie spod ogona, nadał się i znów huknął parę razy, wystrzeliwując w powietrze obrzydliwe ekskrementy.

— No, stary, teraz to już albo ty, albo ja — powiedziałem i zacząłem ładować mój niezawodny pistonuk, który nieraz wybawił mnie z podobnych opresji. To moja ostatnia rezerwa, ta zabawka. Przemyciona, jeśli mam być szczery.

Zapadła dziwna cisza. Wokół jeszcze bardziej pofioletowało. Było dobrze po zachodzie słońca — zza gęstych chmur połyskiwało sześć satelitów, jakby wisiały tu tylko polo, aby ich światło przebijało ciemności Kamohatti.

Musiałem spieszyć się z opatrzeniem nogi. Zranienia infekują się tutaj natychmiast. Usiadłem na skale, wyciągnąłem co trzeba z torebki primo, którą zawsze noszę u pasa.

Pieczenie szybko ustało, rana była już czysta i dobrze zabandażowana. Strzępy spodni powiewały przy każdym ruchu, ale to nie miało znaczenia.

— Proszę, niech pan tu podejdzie! Już bezpiecznie!

Ku mojemu zdziwieniu wstała i podeszła do mnie. Nie spodziewałem się, że cokolwiek zrozumie po pierwszej próbie nawiązania kontaktu. No, ale tym lepiej.

Była to prawdziwa uczta dla oczu! Drobną, o wspaniałej budowie, ubraną tylko w jakieś powiewne przezroczyste szmatki. Zapewniam pana, doktorze, że nie ukrywały niczego, a wszystko godne było uwagi.

— Niech mi pani pomoże wstać — poprosiłem.

Nic było nic poza dotknięciem palców dłoni i lekkim naciskiem paznokci, a ja przelykałem ślinę. Boże! Uważałem się przecież za znawcę kobiet...

Zapytała, czy mnie boli.

Niech pan nie pyta, jak to się stało, że ją rozumiałem... Ona nie używała słów, mówiła gestami i poruszeniami ciała, ale naprawdę nie miałem kłopotów. Możliwe, że któreś z nas było geniuszem. Konkluzje zostawiam panu.

Musiałem objąć jej plecy ramieniem. Trzeba panu wiedzieć, że ta boląca noga bardzo mi utrudniała poruszanie się. Białe włosy rozwiewały się tuż przy mojej twarzy, a ja szedłem jak pijany.

— Dziękuję — powiedziałem i nie tylko miałem na myśli jej pomoc.

Ona uśmiechnęła się. Czy już panu mówiłem, doktorze, że miała uśmiech jak... Ale po co? To daremne. Takie rzeczy trzeba widzieć na własne oczy.

— Pani daleko mieszka? Jak pani mogła być tak nieostrożną i przyjść samej aż tutaj! Wyciągnęła rękę w kierunku dżungli. Przy pomocy paru gestów zrozumiałem, że jej osada znajduje się na polanie (czyżby zrobionej sztucznie?) pośród gąszczy, jeszcze o pół dnia drogi. Kiwnąłem głową. Byłem tam już wcześniej.

Dotknąłem palcem jej piersi.

— Malał?

Pokręciła głową na nasz sposób.

— Ete — powiedziała. — Ete!

Wzruszyłem ramionami. Nie znam się na tych sprawach. Kiedy przybyłem na Kamohatti poinformowano mnie, że istotami inteligentnymi zamieszkującymi planetę jest rasa Malałów. Nie wiem, kto ich tak ochrzcił. Może ktoś zniekształcił jakieś słowo z ich języka albo słyszał coś piąte przez dziesiąte i rozpowszechnił je uważając za nazwę rasy, a mogło być ono równie dobrze nazwą miejsca zamieszkania tych istot. W każdym razie nie miało to większego znaczenia praktycznego... Nazwa brzmiała „Malał” i mogło to być jakieś sztuczne zaszufadkowanie, ale nie słyszałem, żeby ktoś przeciw niej protestował. Zaś ci z konsulatu DSAP-u nie mieli zastrzeżeń, więc dla mnie było O.K.

Ale pewnego razu w tawernie słyszałem jak jakiś typ, pijaczyna z wielkimi siwymi bokobrodami i czaszce śliskiej jak lód, mówił o jakiejś innej rasie, o Etejach. Ale on podkreślał, że ta nazwa brzmi

Ete w liczbie pojedynczej, a mnogiej Etei. I, jak utrzymywał, nie mają oni nic wspólnego z rodowodem Malalów, i znów powtarzał, że w liczbie pojedynczej jest Malae, a w mnogiej Malał. Twierdził, że nie do pojęcia jest fakt, jak naukowcy mogli przeoczyć tak ważną sprawę; dalej mówił coś o niekompetencji, bo jak można było nie zauważyć tak oczywistego faktu. W tym miejscu przestała mnie interesować jego gadanina i odsunąłem się trochę, żeby dokończyć mojego półlega on the rocks z dziewczętami z lokalu.

A teraz żałowałem, że nie poprosiłem o więcej szczegółów tamtego starego pijaka. Egzemplarz tych Ete, jaki miałem przy swoim boku, był wyjątkowo wspaniały.

— Pani nazywa się Ete? — dotknąłem kilka razy, delikatnie, wskazującym palcem jej piersi. — To jest pani imię?

Znów pokręciła głową i tysiące zapachów rozpląnęło się pod moim zachwyconym nosem. Piękną dłonią dotknęła swojej piersi.

Hájeba. Tylko Hájeba.

Uderzyłem się w pierś końcem palca. — Liber — powiedziałem. — Ete — i przesunąłem w powietrzu dłonią wzdłuż jej sylwetki — tacy?

— Etei — poprawiła i potwierdziła — tacy. Mało.

— Malal?

— Inni.

— Mało? — znów zapytałem.

— Dużo — odpowiedziała.

Było to zadziwiające, jak szybko chwyciła mój język. O jej mowie nie miałem pojęcia. W każdym razie rozumieliśmy się. Niechby sobie mówiła nawet terrachińsko–rosyjską mieszanką, mógłbym słuchać tygodniami i rozkoszować się melodyjnością jej głosu.

Usłyszałem skrzeczenie fifa.

Dawno już zapadła noc, a ja, kretyn, stałem jak słup, na otwartej przestrzeni, beztrosko, obejmując tę piękność, jakbyśmy się znajdowali w moim living–room.

— Nie możemy się zagłębiać w dżunglę nocą — powiedziałem. — Musimy znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg.

W rozproszonym świetle księżycy, które przebijając się przez chmury tworzyło fantasmagoryczną iluminację, znów zobaczyłem jej oczy. Długie rzęsy zatrzepotały ukazując mi ogromne złociste owalne źrenice... Ponownie dostałem gęsiej skórki.

Zakrztusiłem się.

— Trzeba się pospieszyć — wyjąkałem z trudem i ruszyliśmy.

Na szczęście ból w nodze prawie ustąpił, ale nie był to powód, bym zrezygnował z mojego wspaniałego oparcia. Trochę nas to kosztowało wysiłku, ale dobrnęliśmy do krzewów rori.

Mieliśmy szczęście, bo wkrótce pośród gąszczy ujrzeliśmy polanę i zaraz zaczęliśmy się ku niej przedzierać. Cuchnąłem wszystkimi warstwami potu, jakimi moja skóra pokryła się w ciągu dnia, ale Hájeba nie wydawała się mniej świeża od kwiatu. Tak sobie myślę, panie doktorze, że ten jej wspaniały zapach wydobywał się porami skóry... Nie potrafię znaleźć innego wyjaśnienia... Wydaje mi się...

No, ale nie mówmy o sprawach, które... Szybko znalazłem to, o co mi chodziło: ogromny kolczasty garlot, w którego pniu można by pomieścić nawet cały dom. Mikrolasem wydrążyłem otwór, przy sposobności zlikwidowałem znajdujące się tam gady, które mogłyby nam zagrażać. I w

tym gnieździe rozłożyłem minitent nadmuchiwany. Te namiociki, panie doktorze, świetnie się sprawdzają. Plastik rozciąga się z łatwością, więc można zrobić schronienie różnych rozmiarów. Może służyć zupełnie swobodnie nawet trzem osobom razem z ich sprzętem. Tak, że w jednej kieszeni może się pomieścić... Razem ze śpiworami.

Kiedy skończyłem pracę i otworzyłem autolitową tubeczkę, która dostarczyła zupełnie przyzwoitego światła, zwróciłem się ku Hájebie, w nadziei ujrzenia jej zachwyconego spojrzenia, bo na pewno nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Ale to ja się zdumiałem, gdyż w jej przezroczystych źrenicach nie było nic więcej prócz poprzedniego spokoju. Patrzyła na mnie, a nie na udekorowane wnętrze drzewa.

Ukląknąłem, aby napełnić powietrzem śpiwory. Odłożyłem pierwszy, ponownie odkręciłem wylot mikrolasu, aby przyłożyć doń drugi... i w tym momencie moje nozdrza podrażnił zapach terramięty i terrajaśminu. Wiedziałem już, że nie trzeba nadmuchiwać drugiego śpiwora.

Tej nocy, panie doktorze, nie zapomnę póki mojego życia. To tak, jakbym zawsze żał tylko surowe terraziemniaki, aż tu nagle ktoś włożył w moje usta dojrzałą terrabrzoskwinię; piękną, soczystą, oblaną słodkim syropem.

...Dokument, który dołącza się do niniejszego sprawozdania pochodzi z wiernej transkrypcji z taśmy magnetofonowej, wyjąwszy jedynie fragmenty nieistotne dla interesującego nas tematu. Podkreśla się, że tekst dokumentu został zaprzysiężony i stanowi cenny materiał dowodowy, z którego wynika, że wreszcie szala przeważyła się na korzyść jednej ze stron, a mianowicie zwolenników tezy Sardisa.

Podczas ostatniej lokalnej Konferencji Egzobiologów uchwalono projekt — z widokami na zaprezentowanie go przy sposobności Zgromadzeniu Ogólnemu DEMORGANAZ-u — przydzielenia odpowiedniej sumy Fundacji Sardisa w celu pośmiertnego uhonorowania wielkiego luminarza nauki, a zarazem spełnienia jego życzenia pogłębiania studiów nad teorią zwaną „Tezą związku Maeterlincka” i ewentualnie jej weryfikacją. Uczeni powinni korzystać ze stałych wyżej wspomnianych sum przydzielanych na ten cel w sposób przypadkowy, jak to miało miejsce dotychczas.

(Z artykułu opublikowanego w „Przeglądzie Egzobiologicznym” wydawanym nakładem Uniwersytetu Nauk Ścisłych we Władystoku, numer październikowy, 2038).

— Wciąż jeszcze odpoczywa — usłyszał jakiś głos.

— Dziękuję — odpowiedział Kerwood — proszę mnie poinformować, gdyby coś się zmieniło.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał Saldaña.

Powaga sytuacji wykluczała wesołość, jednak Kerwood powstrzymywał uśmiech. Latynoamerykanin zmusił się do mówienia obojętnym rzeczowym tonem, ale nie potrafił całkowicie zapanować nad drżeniem głosu.

— Proszę się nie martwić — zapewnił pracownik konsulatu. — Jest pod dobrą opieką. Saldaña odetchnął, starając się z uporem nie dopuścić do uzewnętrznienia swoich emocji.

„Emocji?”, zapytywał sam siebie Kerwood. Spojrzenie Saldañy można było uważać za czule i ciepłe... Dopóki patrzący tkwił w niewiedzy, że to wrażenie brało się stąd, że tęczęwki jego oczu były nieproporcjonalnie duże w stosunku do wielkości białówek. Taką samą budowę oka posiadają



terrapiżmowce i teerrapsy rasy chihuahua, a także niektóre ludy terrapolinezyjskie. Za tymi pozorami nic więcej nie można było dojrzeć.

Latynoamerykanin wyczerpał jego zapasy alkoholu i papierosów, z żalem stwierdził Kerwood. Pochłaniacz przymocowany do biurka połknął wiele dziesiątek niedopałków, a płuca obu mężczyzn wchłonęły sporo nikotyny, no, może nie tak dużo, przecież syntety są robione z nieszkodliwych surogatów tytoniu. „A jeśli chodzi o butelkę... Hm, stoi sobie teraz bez ducha”, ironizował Kerwood z goryczą. Przewidywał przymusową abstynencję przez parę najbliższych miesięcy...”Cierpliwości...” Przyjemności zawodu... i pełnienia funkcji zastępcy.

— Czy pan już coś postanowił? — rzucił Saldaña.

Patrzył nań zza obłoku dymu z ostatniego papierosa, którego Kerwood złożył na ołtarzu gościnności.

Urzędnik odezwał się ochrypłym głosem:

— Już panu tłumaczyłem, że sytuacja jest bardzo delikatna — zniecierpliwił się. — A bez skonsultowania się z...

— Pan nie musi konsultować tego z nikim — Saldaña przerwał grzecznie, lecz dobitnie. — To zależy tylko od pana.

— Skąd taka pewność — zapytał Kerwood i poczerwieniał.

— Myślę, że ma pan prawo wydawać tu polecenia wszystkim, może tylko trudno by panu było kazać zaśpiewać fifowi — roześmiał się Latynos. — Proszę się nie przejmować! Na pana miejscu tak właśnie bym postąpił.

— Dziękuję panu, ale niech zechce pan mnie zrozumieć, dobrze?

Saldaña kiwnął głową nachmurzony.

— Niech mi pan wierzy, ta historia nie jest dla mnie miła.

— Wierzę panu, ale... przyszedłem tutaj, bo nie miałem gdzie się ukryć... Widział pan, panie Kerwood tych ich Nieków?

— Widziałem, są ogromni.

— Potrafią wrywać drzewa z korzeniami, ot, tak dla zabawy. Wyobraża pan sobie, co by mogli zrobić ze mną, jakby wpadli w furję? A te ich czarne kły?...

— Nie miał pan przy sobie pistonuka?

— Zgubiłem w dżungli. Potknąłem się i pewnie wtedy mi się wysunął. Możliwe też, że arti wtedy przerwał mi pas i broń utonęła w trzęsawisku.

— Amikrolas?

— Jest do niczego. Niecy są bardzo ruchliwi.

Saldaña pokręcił głową pogrążony w myślach. Nagle poczuł, że wypalił mu się papieros. Wstał z krzesła i wyrzucił niedopałek do pochłaniacza. Lekki trzask i po niedopałku.

Obaj zapadli w milczenie, które trwało dłuższą chwilę. Monotonne bzyczenie wentylatora jakby stawało się szybsze, ale jeden i drugi dobrze wiedzieli, że jest to złudzenie słuchowe.

— Uważa pan, że uszanują konsulat? — zapytał w końcu Saldaña.

— Widziałem ich z zewnątrz — odpowiedział tamten sucho. — Nie wygląda na to, żeby przyszli urządzić sobie piknik. Niech mi pan wierzy.

— Czyżby mieli zamiar?...

— Niech pan prosi Boga, żeby nie mieli — przerwał Kerwood — w przeciwnym razie spadną czyjeś głowy.

Saldafta opadł ciężko na krzesło.

— Nigdy nie próbowali czegoś w tym rodzaju?

— Nigdy. Dlatego Kamohatti uważa się za planetę użyteczną. Według Prawa Międzynarodowego ów fakt wystarcza, aby nie oponowano w udzielaniu zgody na... A te istoty całymi godzinami siedzą u wejścia do swoich chat, zupełnie jak ci religijni Hindusi. Nie wykazują zainteresowania niczym, nawet nie zmieniają wyrazu twarzy i chyba ledwie oddychają.

Saldaña znów kiwnął głową:

— Właśnie, też to widziałem.

Kerwood spróbował wyobrazić sobie tę scenę:

...Ogorzały drobny Maragwajczyk, kulejąc i opierając się ramieniem o drobną piękną postać Ete, w samo skwarne południe wchodzi do zalanej oślepiającym, szarym światłem osady...

A oto przed jego oczami odkrywają się rzędy chat, jakże odmiennych od tych, które znalazł! Jakby igloo! Ależ nie, to są przecież stożkowate muszle, jakże podobne do skorup morskich terraślimaków; białe, jak najczystsza terraporcelana. A ci Malalowie tacy bladzi, tacy posępni siedzący w pozycjach terrabudystów, wychudzeni jak oni. A oczy tego ludu są bez wyrazu, puste...

Skwar i ta cisza, w której słyhać nawet szelest przepoconego ubrania, lekkie plaśnięcia wilgotnych roślin bezlitośnie miażdżonych podeszwami butów i sapanie człowieka z Ziemi, umęczonego długą wędrówką... I nagle! — jeszcze te przed momentem puste oczy gorzej wściekłością, opadnięte smutno ramiona wznoszą się w gwałtownym zrywie, zaciskają się pięści spragnione mordy, języki poruszają szybko — gwar i harmider rośnie. I oto wzburzone głosy rozkazują Niekom, aby ruszyli do ataku...

Kerwood powstrzymał bieg myśli... przecież to żywcem wyjęte z literatury pulp...

— Zaatakowali pana zaraz, jak pana zobaczyli? — zapytał.

Latynoamerykanin pokręcił głową.

— Nie, to się stało w nocy. Po tym, jak jednemu z nich rozwaliłem łeb.

*Pierwsze wrażenie podróżnika to ogromne zaskoczenie: nagle czuje się wolny (co wkrótce okaże się paradoksem) po miesiącach dobrowolnej banicji, hermetycznego więzienia kosmolotu. A ponieważ brak mu doświadczenia, wprowadza się w stan euforii, każda komórka jego ciała drży radością, że oto jego istota uwolniła się od węzłów, jakie łączą ją z otoczeniem.*

*Jednak po chwili ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu stwierdza, że to wrażenie nie jest niczym innym, jak odczuwaniem jakiegoś dziwnego duszenia, przykrą niemożnością pochwylenia powietrza w płuca. Odnosi wrażenie, że znalazł się w gęstwinie chmur, które wygrażają mu niczym pięść cyklopa. Płuca odmawiają mu posłuszeństwa, wysiłek, aby rozszerzyć je do maksimum, powoduje puchnięcie żył, napływanie krwi do twarzy, ale w niczym nie pomaga. I wtedy nasz podróżnik wpada w panikę. Ciało mu się pokrywa gęsią skórą, nozdrza rozszerzają, unosi rękę do gardła i ...poci się.*

*Podczas całego swojego pobytu na Kamohatti ani przez chwilę nie przestaje się pocić.*

*Borys Kerczow „Świat tropiku”*

— Obudziłem się zlany potem. Pocienie się nie jest niczym nadzwyczajnym. Tutaj nigdy nie można mieć zupełnie suchej skóry, choć wydawałoby się, że hektolitry potu, jakie już z człowieka wypłynęły, w końcu pozbawią jego ciało resztek wilgoci. Niezwykłość sytuacji była powodem, że

wyskoczyłem ze śpiwora jak oparzony.

— Hájeba!

Wokół było przygnębiająco cicho. Na materacu pozostało tylko wgłębienie — jedyny ślad jej obecności.

Poczułem gorąco, ponieważ stanąłem bosymi stopami na kamieniach. Poruszając się cicho szedłem ku wyjściu z chaty. Ściany jakby lekko fosforyzowały, więc mogłem widzieć dość dobrze.

Nic wiem, doktorze, czy zna pan ich schronienia. Chaty mają tylko jedno pomieszczenie, zupełnie puste, prócz dołu pośrodku, który chyba im służy do wzniesienia ognia, kiedy gotują potrawy. Śpią, jedzą, siadają na gołej ziemi, jak mi się wydaje. Chyba w ogóle nie znają mebli.

Wyszedłem.

W absolutnej ciszy tylko od czasu do czasu rozlegał się krzyk ptaka i trzeszczały gałęzie. Jednym z pozytywów Kamohatti jest zupełny brak owadów. Człowiek tu nie musi znosić tego piekielnego bzyczenia ani lękać się ukłuć, jak to się dzieje na polach i w lasach Ziemi... W końcu coś dobrego też tu musiało być!

Na tle ciemnego nieba widać było dobrze ogromne muszle oraz dziwne sylwetki pod sfalowanymi ścianami — bowiem ci ludzie wykonywali jakieś niezwykle czynności, sobie tylko zrozumiałe, poruszając się przy tym bardzo wolno. Zdaje się, że jest to ich normalny tryb życia. Tylko w nocy trochę się ruszają.

Ale ani śladu Hájeby.

Pozornie... Ja mam wyjątkowy węch i przez całe moje cholerne życie będę pamiętał jej zapach... Przysunąłem nos do ziemi tuż przy wejściu do chaty, którą obydwójce zajmowaliśmy, i niezadługo wpadłem na jej trop.

Teraz wiem, że powinienem był najpierw trochę pomyśleć... ale wtedy, jak to wszystko zobaczyłem, krew we mnie zawrzała.

Leżała pośrodku domu — muszli... była naga. A tamten... I to zaledwie parę metrów od chaty, gdzie byliśmy razem!

— Zostaw ją w spokoju, ty sukin...

Typ odwrócił głowę w moim kierunku i proszę mi wierzyć, doktorze, że to, co zobaczyłem... było bardzo nieprzyzwoite. Przeżyłem wiele i wydawało mi się, że już wszystko widziałem, ale czegoś podobnego... Na dodatek był to jeden z tych niewydarzonych Malalów.

Nie jestem świętoszkiem, ale zobaczyć coś takiego... I jeszcze ona... Ja naprawdę...

...Kiedy opadła mgła, człowiek leżał twarzą ku ziemi i chyba nie miał jednej całej kości. Ręce i nogi niewiarygodnie poskręcane, a kark wisiał mu jak pusta skarpetka.

— Hájeba!

Nie ruszała się. Przeraziły mnie jej otwarte oczy. Były zupełnie nieruchome. Z kącika ust ciekła strużka śliny.

Ukląknę i przystawiłem ucho do jej piersi.

— Na szczęście...

Podłożyłem rękę pod jej kolana, drugą objąłem plecy. Jak piórko! To dobrze.

— Biedna... jest w szoku — powiedziałem do siebie przygnębiony. Musimy uciekać. Kto wie, jak oni to...

Nagle zaschło mi w gardle. Całe moje ciało oblewał stary pot, ale poczułem, że jestem sztywny z zimna. Nie mogłem nawet mrugnąć. Przede mną, blokując wyjście, pęczniał żywy mur mięśni,

szczeciniastych włosów i ociekających śliną kłów.

— Niecy — wymamrotałem i moje ciało ponownie opłynęło potem.

*...Unikalność klimatu Kamohalti, w którym zauważa się tylko niewielkie zróżnicowanie pomiędzy poszczególnymi długościami geograficznymi, można tłumaczyć złożonością jej orbity. Mianowicie: planeta znajduje się równocześnie w ruchu obiegowym i rotacyjnym. Obydwa mchy są względem siebie uzależnione w taki sposób, że tworzą „spirale ciągłych elipsoid”. W efekcie na 85% powierzchni planety promienie jej gwiazdy padają stale pod tym samym kątem w ciągu całego roku słonecznego. Z tego samego powodu masy chmur, których gęstość jest o wiele większa niż normalnie, powodują powstawanie owej „kapy klimatycznej”, która okrywa planetę swym duszącym skafandrem.*

*Okazuje się też, że istnieją tu wyjątkowe gatunki zwierząt: nie ma owadów ani pająkowatych, ale ssaki posiadają cechy charakterystyczne dla swojego gatunku oraz cechy owadów i pająkowatych. Istoty inteligentne są humanoidalne z małymi odstępstwami od zwykłej ludzkiej budowy, na przykład: krew oligochromiczna, owalny lub eliptyczny kształt źrenicy, włosy w przekroju o budowie trójkątnej, pigmentacja typowa dla albinizmu. Aktualnie dyskutuje się nad podziałem istot rozumnych na dwie rasy: klei i Malal (Ele i Malae w liczbie pojedynczej). Cechy charakterystyczne obu tych ras dotychczas nie są zbadane, w związku z tym trudno mi podać miarodajną i ostateczną definicję.*

*...Zaobserwowano także istnienie dużych obszarów pustynnych, nie zamieszkanymi, na których znajdują się ślady starożytnych osiedli, których rozmieszczenie i budowa wskazują na znaczne podobieństwo do naszych miast. Odważni teoretycy pozwolili sobie na postawienie nie mniej odważnej hipotezy, którą nazwałbym raczej awanturnictwem naukowym, a która chce tłumaczyć istnienie owych konstrukcji anomaliami klimatycznymi, zaistniałymi pod wpływem nieznanymi bodźców. Mało tego: owa niezwykła hipoteza obejmuje także zachowanie Malalów i pewne cechy fizyczne tej rasy oraz ignoruje istnienie „próżni”, względnie brak „ogniwa”, jakże niewytłumaczalnych w łańcuchu ewolucji gatunków na Kamohatti. Oczywiście w ten sposób wrzucają wszystko do jednego worka, tłumacząc istniejące fakty przyczynami nie związanymi z naturalnym rozwojem gatunków.*

*Konkretnie: w konsekwencji działań wojennych w skali planetarnej z użyciem wszelkich dostępnych środków, czyli broni nuklearnej...*

*Botys Kerczow „Świat tropiku”*

Kerwood wstał i odwrócił się plecami do Maragwajczyka. Jego spojrzenie zatrzymało się na wielkiej mapie ściennej ukazującej dwa kontynenty Kamohatti.

— Pozwoli pan, że zadam pytanie dość delikatnej natury?

Saldaña uśmiechnął się lekko.

— Osobiste... jak wy to mówicie?

— Szczególnie osobiste.

— Jak to, które zadał mi pan przed chwilą?

— A na które odpowiedział pan pytaniem...

— ...na które, pan z kolei, nie udzielił odpowiedzi — dokończył Saldaña.

— Ja zapytałem: „Czy pan jest w niej zakochany?” na co pan wykrzyknął: „Nigdy jej nie oddam!”

A kiedy nic dawałem za wygraną, pan znów zaczął kluczyć ze swoim: „A co to znaczy, być zakochanym?”... „I co do cholery mam panu na to odpowiedzieć?”

Maragwajczyk wzruszył ramionami. Kerwood poczuł się zaskoczony swoim własnym wzburzeniem i znów usiadł, przypatrując się pilnie swoim rękóm. Palec miał uwalany atramentem.

Wreszcie zdecydował się mówić i usłyszał swój własny zduszony głos:

— Panie Saldaña... Nie miał pan skrupułów?

Dziwne oczy Latynosa kazały mu zwrócić się doń twarzą.

— Żeby spać z nią? Żadnych.

Kerwood znów zaczął ochryłym głosem:

— Pytam, bo według... dlatego, że... jeśli chodzi o ścisłość, ona nie jest... To znaczy, ja nie mógłbym uważać jej...

Saldaña machnął ręką w powietrzu. — Bzdury!

— Co? — Kerwood zamrugał powiekami.

— Idiotyzmy — powtórzył. — W życiu miałem wiele kobiet, więc poznałem się i na jej urodzie.

Co z tego, że urodziła się na tym ich dziwnym świecie. Należy do rasy ludzi, daję Panu słowo, jeśli już o to panu chodzi. A poza tym to bardzo piękna kobieta.

Amerykanin z Północy pokręcił głową nie podnosząc wzroku:

— Niech mnie pan źle nie zrozumie — powiedział w końcu. — Nic jestem znów taki wyczulony na...

— Nie myślę tak o panu.

— Czy mógłby pan mi powiedzieć, jakie wrażenia... Proszę mi wierzyć, nie jestem voyerystą...

— W porządku — przerwał Saldaña — nie musi się pan tłumaczyć.

— Ale ja chcę panu wyjaśnić, skąd to moje pytanie. Szukam wszystkich możliwych danych, aby znaleźć sposób na tę zagmatwaną historię. Gdybym mógł wytłumaczyć ową... Mam!

Saldaña uniósł głowę. — Co takiego?

— Eureka! — zawołał Kerwood i klepnął Saldanę w plecy. — Jak mogłem wcześniej nie pomyśleć o doktorze!

— O doktorze? — Saldaña zmarszczył brwi.

— To światowa sława. Jest u nas od trzech miesięcy. Robi badania naukowe. A ja, idiota, nie pomyślałem o nim wcześniej. Tutaj tylko Guimarãcs może pomóc! — Kerwood nacisnął guzik interkomu znajdującego się na biurku.

— Proszę pani, zechce pani poprosić tu do mnie doktora Guimarãcsa. Proszę mu powiedzieć, że sprawa jest pilna!

— Czy może mi pan powiedzieć, co to wszystko znaczy? — zapytał Saldaña.

Kerwood wznosił do góry otwartą dłoń.

— Jedną minutę. W sprawach krytycznych prosi się zwykle ekspertów. Prawda?

— Ano tak.

— A on znany jest na całym świecie.

Oczy Kerwooda zabłyśły dziś po raz pierwszy:

— Przyjacielu Saldaña, wierzę, że ta sprawa wreszcie się wyjaśni.

... *Z najnowszych badań przeprowadzonych przez doktora Camila Guimarãesa, laureata Nagrody Nobla 2030 w dziedzinie egzoetnologii, wynika, że wiele potrzeb naturalnych Malalów*

zaspokajają swoją pracą Niecy, bardzo dziwny gatunek — hybryda powstały ze skrzyżowania dwu podgalezi Piymitoidów. Posiada on charakterystyczne antropoidalne cechy, jak na przykład kciuk przeciwstawny, a zarazem takie, jakich nie należałoby oczekiwać od gatunku znajdującego się na stosunkowo niskim szczeblu rozwoju, na przykład ruchomość gałek ocznych, jakby ta ich niezwykła mimika była efektem długotrwałych ćwiczeń wyłącznie w tym celu.

— Niecy — transkrypcja fonetyczna słowa pochodzącego z języka tubylców i oznacza nazwę wymienionego gatunku — charakteryzują się uległością i posłuszeństwem. Nieprawdopodobne jest, jak szybko rozumieją i wykonują otrzymane polecenia. Są to istoty doskonale wyposażone, jeśli chodzi o ich budowę fizyczną. Swoich wspaniałych mocnych mięśni używają tylko do zabaw i igraszek, którym oddają się w godzinach porannych, kiedy Malalowie (ich panowie?) nie potrzebują ich usług, (Doktor Gumaraes twierdzi, posiada bowiem na to dostateczną ilość dowodów, że Malalowie kierują Nieków do ciężkich prac, jakimi by sami nie podolali, a mianowicie: uprawa bulw, którymi się odżywiają, a także w wyjątkowych przypadkach posługują się nimi jak wierzchowcami i jest to jedyny na Kamohatti środek lokomocji). Nieków zdołaliśmy ujrzeć (i sfotografować) w chwili wrywania z korzeniami krzewów rori. Trzeba tu zaznaczyć, że chcąc wykonać tę czynność, należałoby użyć potężnych ziemskich maszyn.

Jest rzeczą niewątpliwą, że te istoty — średni wzrost dwa i pół metra, waga około 680 kilogramów — mogłyby stać się groźnymi przeciwnikami, gdyby z jakichś powodów znalazłyby się w stanie agresji.

Borys Kerczow „Świat tropiku”

Przyznaję, że czułem wtedy strach, najprawdziwszy strach. Hájeba jednak ciążyła mi na rękach i jej jedwabista skóra w zetknięciu z moją piekła mnie żywym ogniem. A na samą myśl, co mogłyby z nią zrobić te bestie...

Ale do tej pory nie uczyniły nic, co miałoby oznaczać gotowość do ataku. Może tym głupim zwierzakom obca była przemoc? „Może”, pomyślałem, żeby dodać sobie odwagi, „sami Malalowie poskromili ich albo w jakiś inny sposób zlikwidowali w tych, nawet nie wiadomo czy półludziach, instynkt zabijania, bo w przeciwnym wypadku przecież i dla nich byłiby niebezpieczni”.

Usłyszałem głęboki niski pomruk. Włosy stanęły mi na głowie. Zagryzłem wargi. Gdzie się podziała moja ślina?

— Cofnąć się! — krzyknąłem.

Kiedyś, dawno temu, ktoś mnie zapewniał, że chcąc poskromić zwierzę, trzeba mu spojrzeć w oczy. Jakoś nigdy nic miałem okazji do wypróbowania tego triku, bo nigdy nic zdarzyło mi się, żebym w podobnej sytuacji nie miał przy sobie broni...

— Zrobić przejście bydlaki! — wykrzyknąłem i wykonałem głową parę gniewnych ruchów.

Rozsunęli się. Serce waliło mi jak młot. Pływałem we własnym strachu, który był moim potem.

Zrobiłem pierwszy krok, drugi i jeszcze jeden. Czułem się, jakbym miał wymierzoną lufę Fullbright-90 w sam kręgosłup. Na to, aby się obejrzeć, zabrakło mi odwagi.

Nagle poczułem mocne uderzenie w sam czubek nosa. Mokre uderzenie.

— Jeszcze tylko tego brakowało!

Musiałem walczyć ze wściekłymi biczami wody o sekundę oddechu. Takie są właśnie deszcze na Kamohatti. Jakby ktoś bardzo szybko śmigał mocnym powrozem.

Wstrząsałem głową, aby zrzucić z niej nieustannie kilogramy wody zalewającej mi oczy —

Strugi deszczu biły z chłupotem o plecy, ubranie, ziemię, ciało Hájeby... Zacząłem biec.

W pewnym momencie odwróciłem głowę, żeby spojrzeć za siebie i serce mi stanęło:

Oni szli!

Zza gęstej wodnej zasłony ich sylwetki przypominały potwory, jakie tylko może stworzyć wyobraźnia podczas najgorszego sennego koszmaru.

Oddech zmienił mi się w ciężkie chrypienie, woda chłupotała i grząskie błoto wsysało moje buty. Przy każdym skoku czułem coraz większy ciężar. A oni podążali wciąż za mną: mizerne ludziki na monstualnych gorylach!

Wreszcie dżungla.

Nad moją głową zawisła zbawienna, chroniąca kolczuga. Stopy jeszcze raz dały mi poznać swoją nadzwyczajną umiejętność wymijania zdradzieckich kłód, korzeni i niewidocznych dołów. Pod płataniną różnych drzew i roślin panował półmrok. Słyszeć było tylko odgłosy ulewy.

Wreszcie znalazłem odpowiednie miejsce: ogromny korzeń zampla wznoszący się półtora metra w górę i kapryśnie wykrzywiony w łuk. Przy pomocy mikrolasu pogłębiłem znajdujący się tam otwór i oczyściłem go z drobnych zwierzątek. Ukryłem się z Hájebą. Ułożyłem ją najlepiej, jak to było możliwe — jeszcze nie odzyskała przytomności, ale nie wydało mi się, żeby coś zagrażało jej życiu. Zacząłem maskowe niszę, używając w tym celu kawałków korzeni i błota. Portalit, nastawiony na jedynekę dawał wystarczające oświetlenie. Spływały z nas strugi wody, ale nie czułem zimna. Na Kamohatti jest to w ogóle pojęcie nieznane. Niemniej ubranie nie powinno wysychać na ciele. Zrzuciłem koszulę, spodnie, a następnie ściągnąłem buty. Przygryzłem usta: rana była brudna, a strzępy bandaża przylegały do rozoranej skóry. Przyjrzałem się uważniej, ale na szczęście nie dostrzegłem oznak infekcji.

— Tego było chyba za wiele — mruknąłem.

Zapewne tylko dzięki przypadkowi ocalał neseserek primo. Chciałem osuszyć go włosami, ale szybko zrezygnowałem z tego zamiaru, ponieważ były za bardzo mokre.

Ale najważniejsze teraz, to zająć się dziewczyną. Ledwo oddychała i jej cera nie miała już odcienia terramiodu, lecz zrobiła się tak jasna, że przypominała przeciętną terracytrynę. Strużki wody spływały po jej skórze, kierując się ku zagłębieniom ciała. Miękka lepka masa włosów oblepiała twarz i ramiona tworząc białe arabeski. Zacząłem ją masować — na próżno, za dużo było wody, poza tym bałem się, że pościeram jej skórę odciskami na dłoniach... Teraz na jej ciele pojawiły się zielonkawe żyłki. Zdałem sobie sprawę, że nic powiniennem przebierać w środkach i postanowiłem zrobić, co trzeba było i to bez ociągania się.

Sięgnąłem po mikrolas i odkręciłem dolną część. Wyjąłem dwie z trzech maleńkich baterijek i zakręciłem koniec. Zrobiłem parę prób na mojej piersi, lewą ręką wciąż nastawiając go na mniejszy płomień. Pierwszy raz trochę się poparzyłem, tak, że byłem już pewien, że mogę zaryzykować. Celując pod odpowiednim kątem, zacząłem ogrzewać promieniami ciało Hájeby, z największą ostrożnością, od czoła po paznokcie u stóp. Unosiły się nad nią ciemne chmury pary i wreszcie skóra zaczęła przybierać naturalną barwę. Nie odważyłem się jednak wysuszyć włosów, gdyż bałem się, że mogę je uszkodzić. Zgarnąłem je tylko z twarzy i delikatnie ułożyłem z nich wachlarz. Nawet mokre były naprawdę wspaniałe.

Od razu dostawiłem mikrolas do ubrania, które momentalnie stało się suche. Koszulą okryłem Hájebę, a sam włożyłem tylko spodnie. Spojrzałem na buty pokryte grubą warstwą błota i wzdrygnąłem się:

— Zajmiesz się nimi później — powiedziałem do siebie — teraz musisz zabrać się do swojej nogi.

Zwiększyłem nieco promieniowanie i odciąłem strzępy zwisające wokół rany, po czym zabezpieczyłem ją łatwo przylegającą czystą materią.

Wtedy dopiero poczułem ból we wszystkich mięśniach i położyłem się.

Musiałem jeszcze zaplanować co mam robić, ale stwierdziłem, że najważniejszy jest teraz sen. Upewniłem się, że niczego jej nie brakowało. Co jeszcze mogłem zrobić? Czuwanie nad nią byłoby zupełnie niepotrzebne; nic by nie dało siedzenie i trzymanie jej za rękę. Obydwoje będziemy potrzebowali moich sił, więc najpierw musiałem wypocząć.

Zamknąłem oczy i od razu zaczęło mi się śnić, że Niecy drą ze mnie pasy.

*...Różnice pomiędzy Etejami a Malalami winny być rozpatrywane zarówno w dziedzinie estetyki, jak i nauk biologicznych i filogenetycznych. Jedni i diudzy są dwunoga — humanoidalnymi i rozmnażają się po spełnieniu aktu seksualnego według identycznych mechanizmów, jak to się dzieje u człowieka ziemskiego. Anatomia owych istot spełnia warunki zachowania symetrii bilateralnej, ich fizjologia — według tego, co o niej dotychczas wiadomo, nie różni się na ogół od ludzkiej, poza pewnymi nieistotnymi wyjątkami, jak na przykład redukcja wydzieliny potowej — różnica 0,6% od normalnej dla Homo Sapiens Tetrae.*

*Wygląd zewnętrzny ludu (rasy?) wykazuje rozkład filogenetyczny: oligohemia, oligocytemia, oligochromia, zarobaczenie przewodu pokarmowego, rozedma płuc. Stwierdza się częste wady serca, ponadto wyjątkową skłonność do zawałów; następnie atrofię mieszkła jądrowego z tendencją do nadzwyczaj szybkiego zanikania owłosienia etc. Rozwój mięśni bardzo słaby, zaawansowana anemia, wyraźne wady wzroku i objawy anosfrezji. Z tego, co zdołano zaobserwować, w godzinach dziennych zanik jakiegokolwiek działalności. Owe cechy wydają się wspólne dla obu płci, które, jak się wydaje, nie wykazują, przy pobieżnych oględzinach, widocznych różnic. Ponadto charakteryzują się ekstremalną apatią, która nie pozwala im na wyrażanie swoich emocji, nawet mimiką twarzy. Wobec tego powstaje dość ciekawy problem odwoływania się (być może) do afrodyzjaków, jako że fazę reprodukcji, tak jak ją rozumiemy, poprzedzić musi kontakt seksualny.*

*...Milczące grupy ludzkie Malae, siedzące na sposób terratybetański tuż u wejścia do swoich schronień (fantastycznych wieżyczek w kształcie terramuszli Turritellae, których spimlowate wierzchołki wznoszą się ku zawsze pokrytemu chmurami firmamentowi) wydają się różnić bardzo od nielicznych Ele, których obecność zaobserwowano, a są to jakby cudowne krzyżówki leśnych bogów oraz rusalek z męskimi i żeńskimi osobnikami zwanymi w ubiegłym wieku gwiazdami filmowymi. I ci ludzie Malae w porównaniu z owymi Ete są jak terrarobaki obok przepięknego koralowca. Jest to niezwykle dziwne i oszałamiające — nasz zdrowy instynkt każe nam odrzucać wszelkie prawa logiki i kieruje się ku domysłom, że, być może, pomiędzy tymi odmiennymi rasami istnieje jakiś kontakt, dla nas niezwykle, niemożliwy i w ogóle nie na miarę naszych pojęć.*

*Fun–Hwan–Soo „Szkice egzofilogenetyczne”*

Podczas oczekiwania na doktora Guimaräesa Kerwood mógł kontynuować refleksje na temat dziwnej, złożonej osobowości tego oto Maragwajczyka, którego wciąż miał przed oczami.

Na przykład, jego sposób wysławiania się pozostawiał wiele do życzenia. Saldaña używał wulgaryzmów, ale również, może nieświadomie? Potrafił posłużyć się opisem poetyckim.



Oczywiście była to poezja chropawa i raczej wytworzona instynktownie. I jakie wymieszanie się różnych kultur... Tak, to one wpłynęły na jego ukształtowanie psychiczne; podobnie, jak różnorodne środowiska, w jakich się obracał. I wszystko takie przypadkowe... Kerwood w swoim rozleniwiającym uśpieniu porządnego Amerykanina z Północy XXI wieku ledwo zdołał uchwycić wszystkie te elementy.

A jednak — wierzył z uporem — mógł z łatwością rozróżnić poszczególne warstwy okrywające dane indywiduum, tak jak się odczytuje stratygraficzny diagram. Bez wątpienia Saldafla miał twardą skorupę — nie dawała się tak szybko zerwać. Ale, myślał, jest zapewne w tym człowieku jakieś miękkie, ciepłe miejsce — ukryte w głębi. Oczywiście mógł się tylko domyślać, bowiem istota problemu tkwiła w prymitywizmie i nieprzystępności natury Latynosa.

— Proszę wejść! — zawołał Amerykanin z Północy i w drzwiach pojawił się doktor Guimarães.

— Pan mnie prosił? — przesadny oksibrdzki akcent wywołał mimowolne drgnięcie kącików ust Kerwooda, jak zawsze, gdy tylko słyszał Guimarãesa.

— Proszę, niech pan wejdzie, doktorze. Przedstawiam panu pana Saldañę, naszego przymusowego gościa, który przebywa u nas od paru godzin.

Maragwajczyk skinął głową na znak pozdrowienia. Było oczywiste, że nie podzielał nazbyt widocznego entuzjazmu swojego przymusowego amfitriona dla tego człowieczka o jajowatej głowie, ptasim nosie i zapadniętej piersi.

— Miło mi pana poznać — zwrócił się do Amerykanina z Południa doktor Guimarães w eleganckiej hiszpańszczyźnie. Zdaje się, że pan ma coś wspólnego z tym tumultem Pod bramą, nieprawdaż?

Bardzo mnie to dziwi, ale muszę przyznać, że faktycznie jestem powodem tego stanu rzeczy... Ale może będziemy rozmawiali po angielsku, jeśli to panu nie sprawia różnicy ze względu na naszego gospodarza? — dodał po chwili.

Guimarães odwrócił się do Kerwooda, po czym na jego zapraszający gest usiadł w wyświechtanym fotelu.

— Słyszałem coś o uciekinierze... Nie pochodzenia ziemskiego — dodał.

— Mamy tu przedstawicielkę Ete. Znajduje się w sąsiednim pokoju — poinformował go Kerwood. — Stało się to w najbardziej nieodpowiednim momencie. Wybacz pan moją niedelikatność, panie Saldaña.

Małe, głęboko osadzone oczka Portugalczyka rozbłysły iskrami. Podskoczył w fotelu.

— Ete! W sąsiednim pokoju! Ależ to... — i zaczęły mu drżeć wargi. Saldaña zmarszczył brwi i spojrzał na niego spode łba.

Kerwood wyciągnął krótką rękę pokrytą skręconymi włoskami i tym gestem nakazał doktorowi, aby znów usiadł w fotelu.

— Zobacz ją pan trochę później. Na razie pozwoli pan, że go zapoznam z wypadkami, które poprzedziły pojawienie się Ele tutaj. Uważam, że jest to nieodzowne.

Wysiłek Portugalczyka, aby zachować spokój, był tak widoczny, jak efekty działania wentylatora produkującego wspaniałe świeże powietrze. Guimarães zakaszał parę razy, przesunął chusteczką w okolicach ust, po czym uchwycił się mocno poręczy fotela.

— Wybaczcie moją niedelikatność, panowie — przeprosił. — Chciałbym usprawiedliwić moje entuzjastyczne zachowanie. Otóż możliwość dokonania badań z tak bliska i na żywym egzemplarzu tej rasy, byłoby jednym z największych dokonań naukowych ostatniej dekady... Aż do dziś nic jest znany

przypadek kontaktu naszych ludzi z Etejami, więc...

— Ja znam taki wypadek kontaktu — wyrwało się Kerwoodowi. Natychmiast zacisnął usta, modląc się w duchu, aby jakimś cudem jego słowa nie dotarły do uszu Maragwajczyka.

— Nie sędzę, żeby ona zgodziła się na to, aby ją poddano oględzinom — przerwał Saldaña. Jego wielkie tęczówki zapłonęły gniewem.

— Caballero! Widzę, że niezupełnie dobrze pan mnie zrozumiał! — zawołał Guimarães. — Pan nie pochwycił...

— Już ja cię dobrze pochwyciłem, stary! — wykrzyknął Saldaña zjadliwie. — Wydaje ci się, żeś złapał świnkę morską, co? A ona z uciechy wywija ogonem!?

— Ależ — wtrącił się Kerwood — niech pan posłucha, panie Saldaña...

— To raczej panowie będziecie mnie słuchać! Ona należy do ludzkiej rasy, a oprócz tego jest kobietą! Słyszeliście?! Wiem, widziałem i gwarantuję. I nie pozwolę, żebyście mijali ładowali pod mikroskop. Czy to dla pana jasne... panie doktorze?

Kerwood mocno uderzył szeroką dłonią w blat biurka. — Dość tego!

Saldaña odwrócił się do Amerykanina z Północy. Nagle stał się wcieleniem dzikiej agresji, gotów przejść do ataku bez ostrzeżenia.

— Nie pozwolę, abyście ją traktowali jak zwierzę!

Kerwood powoli wstał. Jego wyblakłe oczy rzuciły Maragwajczykowi wyzwanie, a zaokrąglona figura ustawiła się naprzeciwko drobnej postaci, złożonej jednak wyłącznie z mięśni. Powiedział:

— Przede wszystkim musimy sobie wyjaśnić pewną sprawę. Pan i ta kobieta schroniliście się w konsulacie i zgodnie z przepisami Prawa Międzynarodowego udzielono wam azylu. Te same przepisy zezwalają mi na podejmowanie takich decyzji, jakie sam, zgodnie z moim rozpoznaniem, będę uważał za najwłaściwsze... Jako przedstawiciel... najwyższej władzy... w chwili obecnej.

To nie ja spowodowałem obecną sytuację i, proszę mi wierzyć, nie życzyłbym najgorszemu wrogowi, aby znalazł się na moim miejscu. Ale, skoro rozpoczęła się już ta zabawa, klnę się na piekło, że sam poprowadzę korowód. A jeśli pan ma odmienne zdanie, proszę, tu jest brama, niech ją pan otwiera i rzuca się w objęcia tych bestii żądnych krwi. One tylko na to czekają...

Powieki Saldañy zwęziły się pozostawiając dwie ciemne szparki błyskające niebezpiecznym ogniem:

— A jeśli nie będę akceptował postawionego mi warunku? — zapytał słodkim głosem. Kerwood ścisnął mocno krawędzie biurka, aż pobieleły mu knykcie i posiniały białe półksiężycy u nasady paznokci.

— Wtedy sam pana stąd wypchnę! — wykrzyknął. — I niech pan będzie pewien, że to zrobię, choć do cholery nie wiem, jak miałbym się do tego zabrać!

Ostatnie słowa wyrwały mu się nieświadomie i jego wrodzone poczucie humoru nakazało mu się prawie uśmiechnąć. Ujrzał lekki błysk ironii w oczach Saldañy i podziękował niebiosom. Był pewien, że ten paskudny wrzód wreszcie pękł. Powoli uwolnił biurko z uścisku palców.

— Cholera — mruknął Amerykanin z Północy mieląc uśmiech w zębach — niekiedy zapominam, że mam pięćdziesiątkę na karku i nieco sadła. Takie sytuacje powodują niebezpieczny wzrost ciśnienia.

Było widać, zupełnie wyraźnie, jak rozluźniają się napięte mięśnie Latynosa. Westchnął i pokręcił głową:

— Ten charakterek odziedziczyłem po matce! Wybacz pan, przyjacielu Kerwood. Nadto się

uniosłem.

— Jeśli panowie pozwolicie — włączył się doktor Guimarães, znalazłszy wreszcie najodpowiedniejszy moment — muszę przyznać, że winę tu ponosi pewien uniżony sługa nauki. Powinienem był panów uprzedzić, że macie panowie do czynienia z naukowcem, to znaczy przedstawicielem pewnego bardzo dziwnego gatunku, który żyje sobie poza sprawami tego świata i nie rozumie nic oprócz konkretnych faktów, a obchodzą go tylko wyniki badań laboratoryjnych.

W atmosferze ponownie powiało leciutką bryzą spokoju. Jakby nagle ustała gwałtowna południowa nawałnica i przesiała rzucać maleńkim stateczkiem. Po niewidocznych drogach, krzyżujących się w powietrzu, zaczęły wędrować spojrzenia zebranych — tym razem bardziej serdeczne. Miękkie poduszki w fotelach, teraz mniej gniecione i uciskane, westchnęły z ulgą wobec owego faktu pogodzenia się ludzkości.

— Nie chciałem pana urazić, doktorze — powiedział Saldaña. — Po tej nieszczęsnej przygodzie stałem się kłębkim nerwów... Więc...

— Wszyscy żyjemy w napięciu... Najmniej chyba w moim zamiarze pozostawało obrażanie kogokolwiek tu z obecnych — rozbawienie wyzierające z oczu Portugalczyka zaraziło obydwu mężczyzn.

— Musi pan wiedzieć — zwrócił się do Saldañy — że w naszym gronie naukowców największym zaszczytem byłaby nasza przydatność do badań naukowych. To znaczy, że gdyby któremuś z nas udało się zostać materiałem badawczym... Ponieważ dokonywanie badań jest naszym jedynym realnym życiem, przyjacielu Saldaña. Pan to rozumie? Ja chciałem tylko być panu pomocny!

Saldaña pochylił się do przodu, wyciągnął swoją zniszczoną szorstką dłoń i dotknął nią małej, suchej ręki naukowca:

— Jestem panu bardzo wdzięczny.

— Swoją wdzięczność może pan okazać, opowiadając mi wszystko — powiedział Guimarães z niezwykłym ożywieniem. — Niech pan jeszcze poczeka! — rzucił szybko i wyciągnął z kieszeni pudełeczko. — Zapiszę tu sobie wszystko, o czym będzie pan mówił — i włączył mały magnetofonik.

Kerwood dotknął guzika interkomu:

— Proszę, żeby nikt nam nie przeszkadzał — rzucił polecenie i dał znak Guimarãesowi.

Przez prawie pięćdziesiąt minut Portugalczyk dobrze się wysilał, aby wypowiedzi Saldañy, dotyczące jego ostatnich przeżyć na Kamohatti, uczynić możliwie najbardziej ścisłymi i wyczyścić je z niepotrzebnych wtrętów.

Kerwood zauważył, że w miarę opowieści Saldañy w oczach doktora rósł entuzjastyczny blask. Zastępca szefa Do Spraw Ksenokontaktów gratulował sobie w skrytości ducha pomysłu wciągnięcia w tę sprawę Guimaraesa.

„Jest to chyba”, powiedział do siebie, „jedyna sensowna rzecz, jaką zrobiłem w ciągu tych ostatnich godzin... Bo kto przyszedłby mi z pomocą? Kamohatti nie jest planetą zasobną w bogactwa naturalne: nie ma tu złota ani kamieni szlachetnych, brak paliw zarówno ciekłych, jak i stałych. Jedyną racją bytu tego konsulatu to konieczność jego formalnego istnienia. A konsul pewnie też stara się o przeniesienie. Prosić o instrukcje DSAP-u w ex-Waszyngtonie? Bzdura. Na pewno kłopoty jakiegoś małego urzędnika w jakimś nieważnym zakątku wszechświata nie będą spędzać im snu z powiek”. Kerwood nie bawił się w eufemizmy, kiedy określał swoją sytuację. A pewne fakty widział tak, jak wyglądały one w rzeczywistości: odarte ze złudzeń i pięknej otoczki. Jeśli chodziło o własną osobę, potrafił spojrzeć na siebie ze sceptycyzmem.

Guimarães zatrzymał taśmę.

— Gotowe. Wydaje mi się, że zdobyłem brakujące mi informacje.

— I co pan o tym wszystkim sądzi? — zapytał Kerwood niecierpliwie.

— Uważam, że istnieje możliwość' rozwiązania tego problemu.

— Chwała niebiosom.

— ...Ale przede wszystkim muszę z panem porozmawiać, panie Saldaña. Najwyższy czas — podkreślił, na co Latynoamerykanin uniósł brwi — żeby opowiedzieć panu bajeczkę o terrakwiatuszkach i terrapszczólkach... No tak, tak, trzeba będzie pana uświadomić.

*...Przypadł mi w udziale wielki zaszczyt wyróżnienia pana doktora Camila Guimarãesa Da Souza z Terraiberii najwyższą nagrodą przyznawaną każdego roku przez Akademię Nauk Wszystkich, za jego bezcenny wkład na polu badań naukowych, dzięki którym została uzupełniona i udokumentowana teoria zmarłego profesora Sardisa. Inspirujący umysł wielkiego uczonego przyniósł ludzkości jedną z najodważniejszych koncepcji wieku, a mianowicie Tezę związku Maeterlincka, która w świetle zaistniałych faktów została uznana przez wszystkie poważne ośrodki naukowe we Wszechświecie, czyli wszędzie tam gdzie dotarł Homo Sapiens.*

*(Fragment przemówienia Rektora akademii Wszech nauk wygłoszonego z okazji wręczenia Złotego Medalu za Osiągnięcie Roku doktorowi Camilowi Guimarãesowi Da Souza dnia 3 grudnia 2039).*

No cóż, jak powiedziałem, moje wspomnienia są jak paleta barw: czarne i szare, jasne i czyste, zaognione czerwienią lub oślepię żółcią albo krzykliwym szafirem... Wspomnienia, które snują się powoli lub iskrzą prędkością flashbacku. Zanurzone we mgłę, jaśniejące jak bliźniacze słońca... Moje życie...

I w tym życiu nigdy niczego dość... nigdy dość niespodzianek, i o tym wiedziałem... zawsze wiedziałem... że zawsze coś...

Chciałem udawać spokój, obojętność, ale mi się to nie udało. Pewnie, myślicie sobie, jestem głupim szczeniakiem!

Odepchnąłem Kerwooda i doktora i wpadłem do pokoju. Teraz rozumiem, dlaczego Guimarães starał się mnie zatrzymać... Ale w tej chwili myślałem tylko o tym, żeby znów ją zobaczyć.

— Hájeba!

— Ćśśś...

Nie pamiętam, kiedy się ostatni raz zaczerwieniłem, ale teraz właśnie mi się to przydarzyło. Na szczęście w pokoju panował półmrok. Kobieta, która przy niej siedziała, nie była żadną tam pielęgniarką. Pewnie należała do personelu Kerwooda. Zrobiła zagniewaną minę, gdy wszedłem i głośno zawołałem Hájebę. To jej „ćśśś”, które wyświszczała, jeszcze przez wiele godzin słyszałem w moim mózgu i drażniło mnie bardziej, niż wszystko inne.

— Śpi — szepnęła niby — pielęgniarka. — Trochę zrozumienia i odpowiedzialności, proszę pana!

Guimarães zbliżył się do łóżka i wyciągnął rękę, żeby zbadać puls Hájebę. Spojrzałem zza ramienia doktora.

Stwierdziłem, że jest spokojna: oczy miała zamknięte i oddychała lekko. Była przykryta od stóp

po szyję.

— Czy szok już minął, doktorze? — wyszeptalem.

Pokręcił głową i nie odpowiedział. Pomyślałem sobie, że pewnie liczy uderzenia pulsu, ponieważ trzymał ją za rękę, więc nie ponowiłem pytania. Nic nie istniało dla mnie poza żółtawym kołem światła pochodzącego z atermicznej lampy, w którym jaśniała twarzyczka Hájeby i kosmyki jej włosów wysuwających się spod nakrycia. Przeszkadzała mi tylko obecność doktora i niemiłe brzęczenie termokomory, dzięki której powietrze było tu świeże i miało stałą temperaturę.

Guimarães puścił jej rękę.

— W porządku — powiedział.

Poczułem, jak wbijają mi się w plecy jego kościste palce. W gardle mi wyschło i serce jakby gwałtownie zmałało.

— Czekają pana jeszcze ciężkie chwile, przyjacielu — oświadczył doktor. Poczułem na policzkach miliony drobnych uszczypnięć i pobladłem, jak chyba nigdy dotąd.

— Słucham?! — wykrzyknąłem zduszonym głosem. — Przecież pan powiedział, że...

— Wszystko w porządku. O jej zdrowie proszę się nie martwić.

— To znaczy, że nic ma niebezpieczeństwa? Nic...

— Szok już minął. Wstrzyknąłem jej narkotyk, który spowoduje, że zapomni o wszystkim, co się wydarzyło.

Zamrugąłem powiekami.

— Zapom... Nie rozumiem, panie doktorze.

— Inaczej nie mógłbym jej wyrwać z szoku.

— Ach, to znaczy, że wszystko jej minie?

Skinął głową nie zwalniając jednak uścisku swoich rąk.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił.

— Jeśli pana prognozy się sprawdzą, wybuduję panu pomnik! — wykrzyknął Kerwood.

— Ćśśś — zasyczała znów niby pielęgniarka.

Ogarnął mnie spokój. Teraz dopiero poczułem, jak bardzo jestem zmęczony.

— Dziękuję, panie doktorze — szepnąłem.

Doktor jeszcze bardziej wcisnął palce w moje plecy i pokręcił głową:

— Niech się pan tak bardzo nie spieszy z podziękowaniami.

— Budzi się, panie doktorze! — poinformowała nas niby pielęgniarka.

W oczach Guimarãesa, który nie przestawał na mnie patrzeć, przemknął jakiś cień smutku, ale zaraz zwrócił wzrok ku Hájebie, tak że szybko zapomniałem o tym dziwnym wrażeniu.

Odwrócił się do mnie plecami, pochylił nad nią i ściągnął z niej koc. Nagle wydało mi się, że dostrzegłem Coś dziwnego, coś takiego, że zmartwiałem. Plecy doktora nieoczekiwanie zadrżały, potem wyprostowały się, jakby doznał jakiejś gwałtownej emocji — żalu, czy przestachu.

— Proszę stąd wyjść! — rozkazał swojej pomocnicy zduszonym głosem. . O Boże! — kobieta podniosła rękę do ust.

— Jeśli pani nie potrafi tego wytrzymać, proszę się natychmiast stąd wynosić! — krzyknął Guimarães.

— Co się stało? Czy ona?... — i rzuciłem się naprzód.

— Jedną chwilę — zagroził mi drogę doktor.

— Ale proszę mi powiedzieć, co się stało?! — zacząłem się z nim szarpać. — Dlaczego pan nie

pozwała mi jej zobaczyć?

W oczach doktora znów pojawił się cień, było to coś, czego nic umiałem sobie wytłumaczyć i dlatego przestraszyłem się jeszcze bardziej.

— Pozwolę panu ją zobaczyć — powiedział nosowym angielskim, który jednak wolałem od tej jego afektowanej hiszpańszczyzny — tylko niech pan nie zapomina, że sam pan tego chciał. Zamierzałem pana przygotować... wytłumaczyć, ale zabrakło panu cierpliwości...

— Dobrze, dobrze. A teraz proszę mnie puścić! Odsunął się.

Chwiejnym krokiem podszedłem do koła światła.

— Hájeba!

Serce zabolalo mnie tak, jakby ktoś mocno ścisnął mi je w dłoni.

Jej tam nie było!

— O Boże! — wyszeptała znów pielęgniarzka.

Z szybkością, z jaką rozplywa się chmura, na moich oczach dokonywało się niezwykle przeobrażenie...

Na moich oczach jej kobieca postać rozmazywała się, rozplywała i formowała w... ciało mężczyzny... tak samo harmonijne w swojej budowie, tak samo wspaniałe jak niegdyś ciało Hájeby, piękne jak u półbogini.

— Chciałem pana do tego przygotować — usłyszałem głos Guimarãesa wstrząsany gwałtownym przyływem nudności.

*A kiedy odważycie się rzucić w czarne lodowate odmęty i dotkniecie stopą swą ziem nieczystych, obcą ujrzycie bezwstydną i nieludzką naturę, i w ów czas pojmiecie, iż tam, Na Zewnątrz, czekają was rzeczy, o jakich się, nie śniło waszym niecnym i nędznym filozofom.*

*(Z „Księgi Powszechnej” — świętej księgi Uniwersalistów Przedostatniego Wieku, religii ustanowionej w r. 2002 przez Trixi Graciani, Wybranę.)*

Teraz Kerwood tęsknił za wypitym alkoholem. Dobrze by mu zrobiło coś mocniejszego. Czuł się osamotniony. Jakby żywcem wyskoczył z którejś książki Lovecrafta i wrócił ze swojego osobistego piekła. „Jakbym”, szepnął w duszy, „wydostał się z epicentrum trzęsienia własnego mózgu”.

Hordy na zewnątrz uspokoiły się. Malalowie zabrali to, po co tu przyszli, i powrócili do swoich apatycznych medytacji. Niecy znów stali się nieszkodliwymi łagodnymi tytanami. Jeszcze raz lepka rutyna rozsiadła się na poczesnym miejscu, które należało się jej z racji nudnego zajęcia w małym, niewiele znaczącym konsulacie.

Kerwood spojrział na Saldańę. Maragwajczyk nie przejawiał żadnych wzruszeń, które przecież powinny się w nim obudzić z powodu przebytych przeżyć. „Pewnie ukrył je za grubymi warstwami swojej skorupy”, kombinował w myślach zastępca dyrektora Do Spraw Ksenokontaktów. „Do cholery, istota ludzka powinna przejawiać swoje człowieczeństwo, nawet jeśli z jakichś powodów chce się przed czymś ukryć”.

Saldaña kiwnął głową patrząc na Guimarãesa.

— Niech pan mówi, panie doktorze.

Człowieczek westchnął.

Słychać było heroiczne brzęczenie małego wentylatora i Kerwood spieszył się — kiedy dotarło

do jego uszu także własne szybkie sapanie. Głowy trzech mężczyzn utworzyły równoramienny trójkąt. Amerykanin siedział pośrodku na wyświechtanym fotelu, a dwaj pozostali, zwrócenii do niego twarzami, na krzesłach z oparciami na ręce.

— Będzie to trochę trwało — poinformował ich Portugalczyk. — Trzeba bowiem zacząć od uwzględnienia pewnej dość kontrowersyjnej na Matce teorii, która dotyczy mieszkańców Kamohatti, klimatu Kamohatti, a także pozostałości owych konstrukcji, które podobno nawet były badane detektorami radioaktywności, znajdujących się w niezamieszkałych regionach planety.

— Spojrzał na Maragwajczyka.

— Czy to coś panu mówi?

— Podobno wybuchła tu kiedyś wojna atomowa — powiedział Saldaña. — Jakieś bujdy wymyślone przez kolonię Ziemi. Uważałem to za zwykłe mielenie ozorem. Nic przypuszczałem, że bada się tę sprawę na poważnie!

— W pewnym sensie — zaprotestował Guimarães — każda nauka wywodzi się, jak pan to nazywa, z mielenia ozorem i na pozór bzdurnych opowieści... Ale przez moment przyjmijmy jako hipotezę roboczą, że legenda rozpowszechniona na Kamohatti odpowiada rzeczywistości. Uznajmy za Fakt, że w jakimś momencie, zagubionym w Historii Wszechświata zdarzyła się tu wojna atomowa o zasięgu planetarnym.

— No dobrze — zgodził się Saldaña — ale...

— Idźmy jeszcze nieco dalej i dopuśćmy twierdzenie, że wspomniane ruiny są faktycznie pozostałością miast zniszczonych przez bomby atomowe. Dołączmy do tego zakażoną atmosferę i dodajmy naszej hipotezie istnienie jednego lub paru gatunków, dla których promieniowanie radioaktywne nie było całkowicie szkodliwe, a dojdziemy do cywilizacji pozaziemskiej, bo tak ją nazwiemy, która znalazła się na etapie powolnej zagłady.

Jest sprawą oczywistą, zgodnie z odwiecznymi prawami natury, trudnymi do całkowitego zrozumienia przez nasze mózgi znajdujące się na obecnym szczeblu rozwoju, że natura zawsze będzie walczyć, za pomocą wszelkich jej dostępnych środków i za wszelką cenę o prawo do życia. I jaką to sobie obierze drogę, aby ów cel osiągnąć? Może uczyni to poprzez jedną lub kilka mutacji żyjących jeszcze gatunków?

— Mutacji? — Saldaña przygryzł dolną wargę.

— Wyobraźcie sobie panowie coś takiego jak otorbienie, otoczenie czymś w rodzaju cysty funkcji życiowych zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym. Odrętwienie, totalną inercję wszelkich funkcji życiowych.

Ralenti życia — życie w zwolnionym tempie — prawie wszystkie siły bodźców genetycznych użyte będą do obrony danej istoty przed trucizną radioaktywną. Pomińmy poszczególne etapy tego procesu, gdyż byłoby to zbyt pretensjonalne starać się je teraz zrekonstruować wobec naszych ograniczonych, powtarzam: ograniczonych danych naukowych. Przyjmijmy tylko, że zakończeniem tego procesu będzie powstanie gatunku, w tym przypadku ludzkiego, całkowicie pozbawionego bodźca do życia i jego prokreacji. Nasuwa się teraz problem przetrwania gatunku. Jak uniknąć stopniowego ześlizgiwania się po równi pochyłej, aż do ostatecznej zagłady owej zmodyfikowanej i pozornie ginącej już rasy?

Kiedy Guimarães przerwał swoją arcymądrą przemowę, zapadła cisza, którą Kerwood porównał do efektu, jaki by nastąpił, gdyby nagle zgasło światło. Poruszył się na siedzeniu, nie mając odwagi spojrzeć na Maragwajczyka, który też nie wykazywał ochoty do zabrania głosu.

Doktor Guimarães uśmiechnął się przepaszająco:

— Wiem, że kiedy zabieram głos i przemawiam, często wdaję się w szczegóły i zachowuję jak nauczyciel. Ale bardzo was proszę, caballeros, o trochę wyrozumiałości. My, naukowcy, tacy już jesteśmy: nauczamy, co zresztą wynika z definicji.

Toteż muszę jeszcze dodać, że — jak mawiają uniwersaliści — tylko tutaj, Na Zewnątrz, człowiek — ten sam lubiący się bawić w szczegóły człowiek — kiedyś się zorientuje, ileż „niemożliwości” (tak to się bowiem nazywa w języku owych terrarobaków, wykazujących owe męczące tendencje) przemieni się niegdyś, w szerszym widzeniu Oka Kosmicznego, w bezsporne „możliwości”.

Saldaña odetchnął czyniąc to z największą delikatnością.

— Wyobrażam sobie, że pan przez te wszystkie lata Na Zewnątrz nabył tyle różnych doświadczeń, aby tę przemowę uważać za nieistotną. Ale przywilejem naukowca jest, iż może on prezentować swój pogląd najbardziej metodyczny.

Przejdźmy obecnie do konkretności. Kiedy słuchałem pana, panie Saldaña, od razu, w pierwszym punkcie, mogłem stwierdzić zaistnienie pewnego zakłócenia. Mianowicie, wystąpiło coś, co przekroczyło zaobserwowaną przez pana normę.

Umysł Saldañy, znajdujący się w stałym pogotowiu, automatycznie pochwycił intencje Guimarãesa.

— Tak — odrzekł — chodzi o articopa.

Guimarães kiwnął głową. Ponieważ jego cienki nos przypominał dziób ptaka, wyglądało to, jakby coś dziobnął.

— Nie zachowywał się tak jak powinien, prawda? Skoczył, zamiast przyspieszyć kroku.

— Oszalał — przytaknął Saldaña. — Widziałem nieraz, jak ze zwierzętami dzieje się tak samo jak z ludźmi.

Portugalczyk potrząsnął jajowatą głową:

— Ale nic w tym przypadku — podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać przeciwstawne opinie. — Proszę zaczekać. Pan pozwoli, że będziemy się ściśle trzymać faktów, rozpatrując je po kolei. Potem będzie pan jeszcze miał na to ochotę. Musi mi pan wyjaśnić pewien punkt... i jest to sąd raczej subiektywny...

— Proszę, niech pan mówi.

— Czy w panu też nie było, jak pan to określił, czegoś poza normą? W panu samym? Kerwood zauważył, że w przypadku, kiedy chodziło o wrażenia emocjonalne Sal — daña stawał się powściągliwszy, jakby chciał bronić swojej intymności. Dopiero po jakiejś chwili (oczywiście on przewidział, że tak się stanie) tamten jakby wychylił się ze swojej skorupy.

— Przedtem nigdy nie dopuszczałem, żeby jakaś kobieta za bardzo mnie ze sobą wiązała — Saldaña miał teraz policzki ciemniejsze niż zwykle. — Uważałem, że sprawy łóżkowe zupełnie wystarczą, tak bym to określił, i nic więcej nie potrzeba. Ale z Hájebą...

Spojrzał na Kerwooda, jakby przypominał sobie o jego obecności.

— Zwykle nie używam sobie z tubylkami — poczuł potrzebę wytłumaczenia się. — Właśnie, chyba chodziło o to coś innego we mnie. I dlatego tak panu odpowiedziałem, panie Kerwood, kiedy pan pytał o nasze... sprawy. Ja sam nie byłem z siebie zadowolony.

— Niech już pan o tym nie myśli — przerwał Jankes. — Wszyscy przeżyliśmy trudne chwile i mam nadzieję, że obejdzie się bez przykrych następstw.



„Tym razem”, pomyślał, „chyba naprawdę straciłem parę ładnych kilo”.

— W tym szczególnym przypadku — ciągnął Guimarães — było coś jeszcze. Pan posunął się nawet do morderstwa! Czy teraz wydaje się to panu logiczne?

Saldaña wciągnął powietrze głęboko w płuca, a potem jego pierś, okryta zniszczoną koszulą koloru khaki, zaczęła gwałtownie opadać. Pokręcił głową. Jego źrenice pociemniały jeszcze bardziej i znieruchomiały.

— Teraz, kiedy rozpatruję tę sprawę na zimno... Ja chyba byłem wtedy szalony... — wyszeptał.

— Szalony jak articop — ucieszył się Portugalczyk i pochylił do przodu gwałtownym ruchem. — Ów niepokój w obu przypadkach pochodzi z tych samych źródeł. Ale o tym później... Będziemy do tego dochodzili powolutku, krok za krokiem...

„...jak to czynili ci wspaniali Poirot i Philo Vances z ubiegłego wieku”, pomyślał Kerwood.

— A czy pan pamięta, że w pewnym momencie, jeszcze przed konfrontacją, zwróciłem się do pana wprost, mówiąc coś o terrakwiatach i terrapszczołach?

Saldaña kiwnął głową. Siedział teraz z zaciśniętymi ustami.

— A wie pan, do czego służą owe terrastworzonka, prócz tego, że produkują dla nas miód?

— Nie wiem za wiele o terraowadach. Ja poluję na grubszego zwierza...

Kerwoodowi właśnie przyszło coś do głowy, ale tak mało mu się to wydawało prawdopodobne, że zaczął się wahać, czy z miejsca nie odrzucić tej dziwnej koncepcji. Chyba jakimś szóstym zmysłem musiał przekazać Guimarãesowi swoją myśl, bowiem doktor znów zaczął błyskać oczkami w kierunku Amerykanina z kontynentu północnego.

— Zapyłanie? — Kerwood zdobył się na wypowiedzenie pytania.

— Właśnie!

— A co to ma wspólnego z... — przerwał Saldaña.

— Zaraz panu wyjaśnię. Chodzi o bardzo ważną funkcję, jaką spełniają terrapszczoły. Oczywiście nie tylko pszczoły, bo nie można pominąć tej samej roli pewnych terraptaków, a nawet niektórych gatunków terraślimaków... Oczywiście nie są one tego świadome — uśmiechnął się tylko do Maragwajczyka. — Czy pan widział, jak fruują w powietrzu? Na Matce Ziemi. W miesiącach letnich.

— Nie urodziłem się na steroidzie — odparł Saldaña spokojnym głosem. — Oczywiście, że widziałem. Pamiętam ich mutantów, których jedyną czynnością było zabijanie ludzi i bydła.

— Zostawmy w spokoju zabijanie i zatrzymajmy się przy zwyczajnych pszczołach... Widział pan, jak fruują z kwiatka na kwiatek i jak do ich łapek przylega pyłek?

— Oczywiście! Ale czy matki nie wykorzystują tej pracowitości, żeby zawstydzić leniuchów ich gatunku?

— Ta pracowitość, mój przyjacielu — ciągnął nieubłaganie doktor — to jedyny cel ich życia, choć wątpię, aby o tym wiedziały. Jednak nie będąc tego świadome, pracują dla dobra swojego gatunku, choć pracują także i dla nas.

— Jako, że mamy za sobą prawo silniejszego — zakpił Saldaña.

— A poza tym — mówił dalej niewzruszony naukowiec — zasadniczo od nich zależy rozwój świata roślinnego!... Pan wie, jak powstają rośliny? Jak się rozmnażają?

— Coś mi jeszcze zostało ze szkoły — Maragwajczyk poszukał w pamięci — już wiem: pręciki, pylniki, słupki, nagozalążkowe, okrytonasienne... — wyrecytował jednym tchem. — Takie różne trudne nazwy.

Portugalczyk dziobnął nosem powietrze z satysfakcją.

— Na końcach pręcików znajdują się pylniki, które zapładniają słupek. Ale rzadko się zdarza, aby ów proces zapylenia dokonywał się w tym samym kwiecie. Owszem, dzieje się to w takich kwiatach, których korony się nie otwierają, na przykład u terrafiołków lub u niektórych gatunków pokrzyw. Ale w większości wypadków zapyła — nie jest w zasadzie pośrednie. Do tego celu niezbędny jest pośrednik, który przeniesie pyłek z jednego kwiatu na drugi.

— I takimi właśnie agentami są te pańskie pszczoły, prawda?

— Najczęściej. Niekiedy tę funkcję spełnia wiatr, na przykład w przypadku rozmnażania się terrakasztanów i terradębów — perorował Guimarães. — W innych natomiast przypadkach dzieje się to za pośrednictwem terraptaków. Och, czy kiedykolwiek, panowie mieliście okazję obserwowania przepięknych terrakolibrów?

Kerwood, nie zdając sobie z tego sprawy, niebieskim pisakiem rysował na firmowym papierze różne kreski, kwadraty, spirale, cylindry, kwiaty... Ale nie kierował ruchami ręki świadomie. Jednak w pewnym momencie spojrzał zaskoczony na szkic przedstawiający ostry dziób. Pospiesznie zamazał rysunek.

— Jeśli chodzi o niektóre kwiaty, to owady trzeba zmuszać do współpracy. Na przykład, orchidee nie mogłyby istnieć bez udziału owadów. O, wiele czynników powoduje zainteresowanie kwiatem: niektóre kolory, zapachy...

Liber Saldaña wstał. Odwrócił się, spojrzał na mapę Kamohatti, po czym nie stosując żadnych wybiegów, utkwiał wzrok w twarzy doktora i powiedział:

— Może pan zakończyć swój obszerny wstęp. Czuję się na siłach, aby pojąć sedno sprawy.

Guimarães roześmiał się bezgłośnie:

— Niech mi pan wybaczy — poprosił — ale nieczęsto mi się zdarza znaleźć grono chętnych słuchaczy, więc kiedy mi się nadarzy okazja, taka jak dzisiaj, wykorzystuję ją, jak mogę. A poza tym — jego głęboko osadzone oczka zajrzały w ciemne źrenice Saldańy — nic jest to takie łatwe powiedzieć panu prawdę, drogi przyjacielu.

Maragwajczyk znów usiadł. Pochyliwszy się nieco powiedział ostro:

— Ułatwię panu drogę, doktorze. Co ona ma z tym wszystkim wspólnego? Bo coś mi się wydaje, że ma!

— Tak, oczywiście! Ona jest żywym przykładem Tezy profesora Sardisa! Jest dowodem, że faktycznie istnieje ów związek Maeterlincka!

Saldaña zmarszczył brwi.

— Pan mówi do mnie w jakimś pozagalaktycznym języku — burknął.

— Przepraszam — rzekł Portugalczyk poprawiając kołnierzyk cienkiej koszuli. — Profesor Gustaff Sardis był jednym z najświetlejszych umysłów. Daleko w tyle pozostawił sobie współczesnych. Dopiero po jego śmierci ludzkość mogła zrozumieć genialność teorii profesora. Nazwał ją Tezą związku Maeterlincka łącząc w ten sposób niewinny figiel z, jeśli to tak można określić, majestatycznym humorem, co czasem zdarza się nawet ciału profesorskiemu. Niekiedy wśród kamieni można znaleźć kwiat... Jak zapewne panowie wiecie, a jeśli nie, to chętnie przypomnę, że Maeterlinck był pisarzem belgijskim. Żył i tworzył w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Zostawił potomności słynne dzieło pod tytułem Życie pszczół... Chodzi tu w końcu tylko o pewną analogię, zresztą nic wartą aż nazwy dla teorii, muszę przyznać.

— I co — Kerwood odkasznął — co znaczy ta teza związku?

— Próbuje wydedukować, jakiego środka użyła natura, aby zapobiegać zagładzie Malalów z Kamohatti — powiedział Guimarães. — I rzeczywiście, żeby zaakceptować jego koncepcję, należy otworzyć umysł na przyjęcie takiej rzeczywistości, w której nie będzie miejsca na nasze przesady człowieka uplanetarnego... A jeszcze lepiej — zetknąć się twarzą w twarz z dowodem.

— Z do...wodem? — wyjąkał z trudem Saldaña.

— Dowodem na to, że Etejowie są drugą mutacją Malalów. I stanowią jedyny bodziec, jakim jest akt seksualny! W obecnym stadium degeneracji gatunku Malalów — któremu natura musiała pomóc w zachowaniu śladów życia wobec zakażenia radioaktywnością — pamięć najstarszych i pierwotnych instynktów rozplynęła się w totalnej apatii. Bezpośrednie bodźce seksualne istnieć nie mogły. Tak więc natura musiała wytworzyć bodźce pośrednie, czyli pośredników. Etejowie — sublimacja piękna właściwego ludzkiej rasie, tak jak je widzi Oko Kosmosu — są rezultatem drugiej mutacji rasy Malalów, mutacji cząstkowej, jako że na dziesięć tysięcy zwykłych Malalów rodzi się jeden Ete. Etejowie, poza tym, że obdarzeni są długowiecznością i absolutną niewrażliwością na zewnętrzne czynniki chorobotwórcze (pan, panie Saldaña, zapewne mógł zaobserwować fakt, że Ete biegła bosymi stopami po puszczy depcząc pączki plantogadów bez najmniejszej szkody dla swojego ciała) posiadają zupełnie inne właściwości nie mieszczące się w naszym rozumowaniu. Mianowicie są oni jednorodnymi przemiennopłciowcami.

— Mój Boże — wyszeptał Kerwood — biseksualiści... i jeszcze do tego zmieniają płęć!

— Znajdując się w jednej lub drugiej postaci, czy to kobiety czy mężczyzny, spełniają funkcję afrodyzjaku wobec jednej i drugiej płci przy pomocy bodźców zarówno fizycznych, jak i psychicznych, tworząc środowisko naturalne, konieczne dla spełniania aktu seksualnego.

— Teraz dopiero rozumiem — mruknął Saldaña.

Kerwood zobaczył, jak bardzo jego gość był blady.

— A ja zabiłem tego nieszczęśnika tylko dlatego, że...

Guimarães kiwnął głową.

— On oczywiście reagował na bodziec. Podobnie jak articop, który zaatakował pana pod wpływem zachodzących u niego procesów neurokrynicznych będących w początkowym stadium powstawania, jakby znajdował się w okresie rui. Pan... zresztą tak samo, oczywiście nie zdawał pan sobie sprawy z przyczyn swojego podniecenia, jakie pan odczuł, i które całkowicie opanowało pana wolę.

— Ano tak — Saldaña zacisnął szczęki.

— Wydaje się trochę dziwne, że... Hájeba była sama daleko od swoich, a jeszcze dziwniejsze, że przyszła do kogoś zupełnie jej obcego... Ale... Hájeba, jako przedstawicielka gatunku Etejów, była wyjątkowa, to znaczy wykazywała anomalie psychiczne. Dlatego opuszczała wioskę i błądziła po dżungli. Również dlatego dała się ponieść chorobliwej ciekawości i sprowokowała kontakt z panem. Możliwe, że chciała poznać coś dla niej zupełnie nowego.

— No, myślę — Saldaña miał teraz nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Ale po powrocie do wioski, do codziennego życia — instynkt był oczywiście silniejszy — musiała się poddać jego nakazom. Opuściła więc chatę, w której pan spał i poszła za głosem swojej natury. Mogłem stwierdzić, że zwykłym i zgodnym z prawami natury jest proces, którego istotą jest kontakt z indywiduum o cechach męskich po okresie przebywania w stadium paralarwalnym — podobnym, jeśli można użyć tego porównania, do takiego, jakiemu podlegają na przykład gąsienice w swym oprzędzie — podczas którego pierwszo — i drugorzędne cechy płciowe ulegają zamianie na

przeciwnie poprzedniemu stanowi, aby w końcu mógł dokonać się kontakt z indywiduum o cechach żeńskich.

— Zapyłanie — wymruczał Kerwood.

— Przenoszenie załączków życia — kontynuował Guimarães — jest jednym z cudów Wszechnatury... Ale w tym właśnie przypadku nastąpiło zakłócenie.

— Rozumiem — rzekł Saldaña.

Guimarães kiwnął głową z powagą.

— Akt przemocy — zwrócił się do Saldañy — zburzył naturalny proces i spowodował szok katatoniczny paraliżując tę funkcję i przedłużając ją poza granice normalności. Musiałem wstrzyknąć jej narkotyk amnezjogeny, który zlikwidował przyczyny komy psychosomatycznej, w związku z czym ów nadzwyczajny proces został odnowiony, a którego świadkami byliśmy wszyscy tu obecni.

Ucichły mądre wywody doktora i Kerwood znów poczuł się przybity zalegającą ciszą, w której zdawał się świszczeć przesuwający się po papierze pokrytym różnymi znakami, nic nie przedstawiającymi, niebieski pisak.

— Czy znów zamieni się w Hájebę, Hájebę, jaką znałem? — odezwał się wreszcie Saldaña.

— Kiedy spełni swoją androidalną funkcję: przeniesie nasienie, jakie zachowuje i pozostawi je w ciele istoty żeńskiej, ponownie nabierze cech żeńskich, które przecież stanowią jej drugą połowę.

Saldaña wstał oddychając gwałtownie.

— Czy byłoby możliwe?... Nie — Guimarães potrząsnął głową — nie jest to możliwe. Dlaczego pan tak uważa! Pan nie ma prawa!

— To nie zależy ani ode mnie, ani od pana. I nie jest to zgodne z jej naturą, czy pan mnie rozumie, przyjacielu? Ona nie może być znów z panem!

Saldaña uderzył prawą pięścią w lewą dłoń.

— Niech się pan uspokoi! — gwałtownie zareagował Kerwood. — Niech się pan tak nie spieszy i trochę pomyśli.

— Mam dość myślenia! — powiedział po cichu, ale grubiańskim tonem. Muszę ją odzyskać. Potrzebuję jej.

Guimarães położył swoją kościstą rękę na drżącym ramieniu Maragwajczyka.

— Tylko, że ona nie potrzebuje pana, Saldaña — rzekł i spojrzał na niego z wyraźnym współczuciem. — Pan już przestał dla niej istnieć”.

Saldaña skrzywił górną wargę pokazując zęby:

— Z powodu tego pana narkotyku? — zapytał tonem, w którym można było wyczuć groźbę.

Oczka doktora patrzyły na niego z głębi ciemnych orbit.

— Częściowo, ale działanie narkotyku szybko minie...

— Więc nie widzę powodów...

Guimarães pokręcił głową.

— Ona nie jest tak ukonstytuowana.

— To znaczy jak?

— Jedynym sensem ich istnienia jest przenoszenie załączków życia. Oni nie mogą być celem, oni są tylko i wyłącznie środkiem. Żadna z tych istot nie mieści się w naszej ludzkiej koncepcji wartości absolutnych. Pan chciałby mieć ją wyłącznie dla siebie, posiadać ją. Otóż tych istot nie można posiadać... całkowicie.

— To są tylko domniemania! — upierał się Maragwajczyk. — Nie jest pan przecież tego pewien!

Opadł na krzesło oddychając ciężko.

Kerwood westchnął. Czuł dla niego podziw. Nieoczekiwany nagły podziw dla charakteru Maragwajczyka. Był świadomy beznadziejności walki tamtego. I odkrył, że to go zabolalo.

Guimarães zaczął mówić z dozowaną stanowczością, starając się wypalić ranę Maragwajczyka tak, żeby jej nie pogłębić.

— Z mojej strony byłoby to okrucieństwem, gdybym pozwolił, aby pan przekonał siebie samego. Dlatego proszę, aby uszanował pan słowa człowieka nauki... z uwagi na ów względny autorytet, jakim, wydawałoby się, świat nas obdarza. Ona należy do nich. Jest organiczną częścią Malalów, podobnie jak pańskie płuca są częścią pańskiej szanownej osoby. Jeśli pan ją im wyrwie, ona umrze, natomiast tamci, okaleczeni, będą walczyć z własną śmiercią.

— Ach, to o nią im chodziło — wymamrotał Kerwood bawiąc się wciąż pisakiem — nie o zabitego Malae.

Guimarães żywo przytaknął.

— Oczywiście, oni nie są zdolni do reagowania na gwałt zadany jednostce. Ale ich mechanizmy obronne, zwykle uspione, zaczynają funkcjonować, kiedy zaistnieje zagrożenie dla gatunku. A przetrwanie gatunku zależy od Etejów. Etejów natomiast jest bardzo niewiele.

Latynoamerykanin poruszył się, ale nic nie odpowiedział.

„Teraz”, pomyślał Kerwood, „walka toczy się tam w środku. Kto wie? Może w tym niedostępnym zakątku jego istoty? Zewnętrzna skorupa dobrze ukrywa ów mozolny trud. Te rozszerzone źrenice robią się coraz ciemniejsze...”

— Bardzo mi przykro — powiedział w końcu Portugalczyk i westchnął.

...Wiele, wiele później, kiedy zapadał duszący zmierzch i nie czuło się najłżejszego powiewu powietrza, Saldaña pożegnał się.

— Adiós, Kerwood — wyciągnął rękę. — Dziękuję panu za wszystko.

Amerykanin mocno uściskał rękę Latynosowi. Jego wyblakłe zmęczone oczy szukały spojrzenia tamtego.

— Ma pan jakieś plany?

Saldaña uniósł wzrok ku dusznej atmosferze nieba pełnego gęstych ołowianych chmur, wśród których nie można było dopatrzeć się najmniejszego nawet prześwitu.

— Za tym, co tam wisi, jest wiele gwiazd — powiedział po prostu. — I wiele dróg. Kiedyś pracowałem w Służbie Astronautycznej. Wrócę do tego. Wątpię, aby mi dobrze robiło przesiadywanie na jednym miejscu. Trzeba rozruszać kości.

Klepnął lekko Kerwooda w ramię i odwrócił się.

Szedł w kierunku dżungli, która pęczniała cieniami, napełniała się skrzeczeniem, piskiem, pojękiwaniem, szeptami, trzaskami, które, dochodząc do konsulatu, obiecywały niezwykle świat niezwykle przygód.

Kerwood stał patrząc za nim tak długo, aż stracił go z oczu.

*Ángel Arangé*  
*El cosmonauta*

# Kosmonauta

Git chłósnał Nuí.

Ona podskoczyła z radości w tumanie błękitnego pyłu.

— Przysuń się — powiedział Git.

Nuí uniosła się i wyciągnęła ku niemu szczypce. Git zakręcił macką nad ciałem Nuí i wypuścił kłąb dymu.

— Dziabnij, dziabnij — poprosił.

Nuí przecięła mackę Gitaw trzech miejscach: dziab! dziab! dziab!

Jeden kawałek zjadła.

Git zjadł drugi.

Trzeci wymknął się im, potoczył po błękitnym pyle i wydał na świat dziecko.

Nuí pochwyciła inne najbliższe baraszkujące dziecko Gita i przecięła je na pół.

— Jeszcze, jeszcze — poprosiło.

Ale Nuí szukała właśnie odciętego kawałka, który zapodział się gdzieś w błękitnym pyle.

Nuí stuknęła szczypcami w pancerz i chlusnęła żółtym strumieniem wprost na Gita. Niemym świadkiem zabaw Gita i Nuí był Mut.

Kurs statku zakłócił rój meteorytów i człowiek, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, skierował go ku planecie. Wkrótce znalazł się w sferze jej przyciągania i pędził ku niej po szerokiej spirali. Aby wyrównać trajektorię, włączył silniki hamujące.

— Przejrzę instrumenty i poczekam, aż przepłynie meteorytowa fala — powiedział do siebie kosmonauta.

Pojawił się już na niebie planety — wyglądał jak czarny punkcik, jak gwiezdna drobina. Powoli nabierał swojego właściwego kształtu, wreszcie osiadł w błękitnym pyle.

Git, Nuí i Mut nigdy jeszcze nie widzieli takiego dziwnego meteorytu: błyszczał bardziej od tych, jakie znali, nie był gorący i miał niespotykany symetryczny kształt. Git wyciągnął się na tym meteorycie. Białe oko Gita drżało i wszystkie kule mózgowie na jego mackach zwilgotniały. Wreszcie pot kapiący z rozłożonych wśród macek maleńkich mózgow spłynął po przezroczystych prostokątach meteorytu.

— Przetnij mnie — poprosił znów, a Nuí, dziab! odcięła mu kawałek macki i jeszcze jedno dziecko Gita zaczęło swawolić w błękitnym pyle.

W porze spadania meteorytów zwykle wzmagało się pragnienie prokreacji.

Nuí cięła szczypcami macki Gita i małe kawałki toczyły się i rosły bardzo szybko.

Natomiast Mut wyciągnął się w stymulacyjnym błękitnym pyle, po czym popełznął w kierunku statku i otoczył go wielokrotnie pierścieniami swojego ciała. Każda macka rozwijała się i prostowała w błękitnym pyle, a następnie sama dzieliła na części.

Kosmonauta, niezachwiany w swojej odwadze oraz wiedziony ciekawością i potrzebą nawiązania kontaktu, stanął w luku pojazdu, żeby poobserwować dziwnych mieszkańców błękitnego pyłu. Miał na sobie obszerny skafander, a głowę chronił mu kryształowy hełm, opatrzony skrzącymi się antenami, umieszczonymi tuż obok oczu. Powoli zszedł z trapu i wmieszał się w zadziwiony tłum.

— Skąd on się tu wziął? — zapytał Mut. — Jeszcze nigdy nikt nie wyszedł z meteorytu.

— Dziwne, dziwne — stwierdziła Nuí i dziab! dziab! poruszyła szczypcami w powietrzu.

Ta niezwykła istota z meteorytu miała tylko cztery macki! Jedna para dłuższa, służyła jej do pokonywania odległości. A do czego była ta druga, krótsza, która zwisała zupełnie beczynn timer?

Zuchwałość człowieka wzrosła: oto jest królem tych wszystkich istot, które teraz zachowują pełen szacunek bezruch. A mieszkańcy planety tysiącem myślących oczu obserwowali jego wygląd, ruchy, kształt postaci i przy pomocy licznych kul mózgowych poddawali wnikliwej analimer.

Wszedł w błękitny pył. Tamci spojrzeli nań z podziwem: jak zręcznie porusza się na swoich dwóch mackach, jak patrzy wokół miotając iskry.

— Powiedz coś do niego — zaproponował Mut Gitowi. — Cokolwiek.

— Kim jesteś? — zapytał Git.

Kosmonauta nie usłyszał pytania. Jego kryształowy hełm skrzył się nieprzerwanie. Wyczuł jednak, że tamci chcą z nim nawiązać rozmowę. Jedyne, co mógł zrobić, to chyba wysłać im więcej iskie, najlepiej niebieskich.

Git, Nuí, Mut i pozostali zrozumieli, że były one symbolem pokoju.

— Jego słowa są błękitne jak nas? pył. Chce nam coś powiedzieć.

— Dlaczego jest taki mały? — zapytała Nuí.

— Spójrzcie, ma dwa bliźniacze mózgi, błyszczą mu. Zamyka je i otwiera. Przypatrzcie się dobrze — zwrócił im uwagę Git.

— Tak — zgodziła się Nuí. — W jakim może być wieku?

— Musi być bardzo młody — wydedukował Mut. — Ma bardzo krótkie macki.

Nuí zwróciła się do przybysza z meteoru:

— Przysuń się trochę. Przysuń.

Kosmonauta nic nie usłyszał. Nuí podpełzła w jego kierunku.

— Jesteś sam? Nikt więcej nie przybył z tobą?

Pozostali zwrócili swoje spojrzenia ku otworowi w meteorycie, ale nikogo tam nie było. Jedna z macek — dziecko — potoczyła się i wspięła na dziwną nierówną górkę prowadzącą do meteorytu.

Człowiek, widząc, jak pnie się po trapie, znów spróbował nawiązać rozmowę.

— Lubią się bawić i są łagodni — pomyślał. — A ich malcy przypominają wesole szczenięta.

Dzieci otoczyły go, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

— Spowodowałem wielkie poruszenie swoim przybyciem — pomyślał znowu człowiek.

— A jakie są twoje dzieci? — odezwał się Mut. — Jak wyglądają? — I podzielił się, żeby tamten zrozumiał, o co go pyta.

Nuí, która obserwowała go z bliska dłuższą chwilę, pomyślała sobie, że przybysz jest podobny trochę do Gita, mimo że na jego czterech mackach nie zauważyła mózgow.

— Nie ma ich, bo jeszcze jest bardzo młody — powiedziała do siebie.

A potem, bardziej wiedziona ciekawością, niż naturalną potrzebą prokreacji, uniosła szczypce i dziab! dziab! odcięła przybyszowi przednie macki.

Kosmonauta krwawił i dusił się z braku tlenu, ale wreszcie po raz pierwszy — i ostatni — coś



usłyszał: dziab! dziab! dziab! dziab!

Wyobraził sobie epokę, w której królował Cień, Mściciel, Doc Savage... A potem pomyślał o czasach, nie tak odległych, w których bohaterowie i poszukiwacze przygód obowiązkowo musieli wykazać się obywatelstwem amerykańskim...

*Hugo Correa*  
*Meccano*

# Meccano

Meccano spoglądał na ludzi wielkimi, pustymi oczodołami.

Kamienny piedestał uciskała masywna szyja, podtrzymując gigantyczną czaszkę przypominającą głowę pogańskiego bożka. Od tysiąca lat Meccano czyhał w kraterze wulkanu. Jego oblicze ściągał grymas gniewu i okrucieństwa.

— Kapitanie, tego tu przedtem nie było. Któż to mógł skonstruować?

— Ależ, Robercie, nie jesteśmy jedynymi humanoidami w całej Galaktyce. Wprawdzie podczas naszej wycieczki z Ziemi i podróży powrotnej postarzeliliśmy się tylko o dziesięć lat, jednak tutaj minęło dziesięć wieków. Nie sądzi pan, że ktoś mógł odwiedzić tę planetę w ciągu tysiąclecia?

— Kapitanie, coś mi jednak mówi, że to ręka Daniela. On lubił gigantyczne konstrukcje!

— Możliwe. Był miłośnikiem sztuki. Ale wątpię, żeby jego hobby na coś mu się przydało. Już Księżyc wydaje się oazą w porównaniu z tym tutaj.

— Kapitanie, on przecież był prawdziwym geniuszem cybernetycznym. Nie pamięta pan, co nam powiedział? „Zaczekam tu na was”. Jego słowa nie wychodzą mi z myśli.

Samotną głowę, skały, i ciemne kotliny zalewało teraz zielonawe światło padające z płaskiego słońca otoczonego pierścieniem płomieni. Ludzie obeszlą ściętą równo szyję, a następnie spróbowali odłupać kawałek twardej substancji.

— No co, widzi pan tu gdzieś delegację powitalną? A może ta głowa zaraz wygłosi przemówienie na naszą cześć? On nie miał nawet bomby atomowej. W przeciwnym razie, kto wie, może potrafiłby wymyślić jakąś... bombę czasu, która czekałaby tu na nas i tysiąc lat. Na szczęście zostali bez broni. Głupiec! Przecież, kiedy znalazł się sam ze swoimi trzydziestoma wiernymi i dwoma rozbitymi statkami, powinien się domyślić, że do jego ekspedycji wśliznął się nasz człowiek, członek Sprawy. I on doniósł nam o jego pogroźkach!

Za niewzruszoną maską Meccana, w głębi jego ciemnych oczodołów obraz ludzi wchodzących do krateru został uchwycony przez precyzyjne obiektywy, zamieniony w mozaikę ładunków elektrycznych i porównany z pamięcią komputera, który uruchomił ukryty w ciemnościach obwód głównego zasilania.

— Na tej planecie znajdują się prawdziwe skarby, a wykorzystanie tych minerałów gwarantuje zwycięstwo naszej Sprawy, Robercie. Daniel, który w końcu nie był durniem, rozumiał, jak wielkie może mieć znaczenie przypadkowe odkrycie tego świata. Ale w imię swoich zasad, ideałów wolności, porządku, sprawiedliwości zniszczył mapy nawigacyjne, żeby nikt tu nie mógł wrócić. „Ziemia liczy sobie pięć tysięcy lat życia w sprawiedliwym, zorganizowanym systemie. Ludzkość jest szczęśliwa. Czy potrzebujemy czegoś więcej?” — mawiał. Nie rozumiał, że mogą być ludzie, którzy mają dość tego zrutynizowanego systemu.

Przybysze wsiedli do traktora i odjechali czyniąc to tak, żeby gąsienice nie pozostawiły śladu na twardym gruncie. Meccano podążał w ich kierunku spojrzeniem z czarnych oczodołów, utkwionym w

drogę wiodącą wzdłuż doliny; niezmiennym od tysiąca lat, od dnia kiedy pozostawiono go na martwej planecie.

— I niech pan pamięta, Robercie, wcześniej nas tu nie było. Wszyscy jesteśmy po raz pierwszy. Pozostali nie mogą się niczego dowiedzieć ani domyślać.

Inny traktor odkrył w rozpadlinie jakiś dziwny pojazd, którego ledwie widoczne koła kryły się we wnętrzu zaokrąglonego brzucha — wehikuł swoim kształtem nie przypominał żadnego mechanizmu znanego ludziom. Kiedy tylko poszukiwacze oddalili się od pojazdu, ten potoczył się w kierunku rozległej równiny, następnie zmniejszył szybkość w jej środku, jakby orientował się w terenie, po czym zatrzymał z niezwykłą ostrożnością. Inny pojazd o płaskim brzuchu, wygiętym grzbiecie i długich łapach zbliżył się do pierwszego i ułożył na nim, dopasowując się do jego powierzchni. Następnie zebrał i złączył swoje kończyny ruchem jakiegoś monstrualnego insekta.

Tymczasem ludzie z „Łabędzia” nie mieli najmniejszego wyobrażenia o manewrach na równinie.

— Tego dziwnego pojazdu też tutaj nie było, kiedy przybyliśmy, kapitanie.

Za okienkiem kabiny kapitana widniały połyskujące cienie wierzchołków gór i grzbietów planety, które kurczyły się jak czarne sukno przytknięte do żagwi, w miarę jak słońce zbliżało się ku zenitowi.

— Możliwe, że to Odasyeci, budowniczości cyklopicznych mechanizmów, wydobywali na planecie jakieś minerały i teraz znajdujemy ślady ich kultury.

— Daniel mógł wykorzystać motory astrolotów, które mu zniszczyliśmy, i zainstalować je w jakimś odległym miejscu, żeby przekazywały energię dowolnemu mechanizmowi.

— Pan ma coś z nerwami nie w porządku, Robercie. Przypuśćmy, że tak było. Ale nawet i sto pojazdów nie jest w stanie zaszkodzić „Łabędziowi”!

— To prawda. Ale co się stało z dźwigami, warsztatami i różnymi urządzeniami, których nie zdążyliśmy zniszczyć? Gdzie się znajdują szczątki Daniela i jego trzydziestu ludzi? A pozostałości statków? W tym świecie, pozbawionym wysokich gór i przepaści, takie obiekty jak statki kosmiczne dałyby się łatwo zauważyć.

— Oczywiście. I ja na to zwróciłem uwagę. Ale przecież w ciągu dziesięciu wieków mógł ktoś tutaj przybyć i zniszczyć albo zabrać wszystko co pozostało; a w końcu Daniel ze swoim cudownym talentem cybernetycznym i swoimi chłopcami nie mógł przeżyć więcej niż dziesięć lat w tym piekle. Oczywiście, jeśli by miał cholerne szczęście. Nie widzę powodu, żeby głowić się nad tym, co się stało z urządzeniami i gdzie się, do diabła, podziały trupy.

Na odległej równinie inne pojazdy powtórzyły manewry dwu pierwszych i połączyły się tak, że nie można byłoby wskazać miejsc stykających się części. Na równym podłożu leżała już cylindryczna forma, szersza po obu przeciwnych stronach i węższa pośrodku, przypominająca korpus ludzki pozbawiony kończyn.

— Tak, to prawda, panie kapitanie.

Dwa ogromne uda prześliznęły się po rozgrzanej równinie i wniknęły zakończeniami w otwory miednicy, następnie połączyły się z nimi łękotki dwu nóg z taką precyzją, jakby jakaś inteligentna istota dopasowywała do siebie części figury. Wszystkie elementy poruszały się i stykały ze sobą zgodnie z poleceniami głowy z krateru. Tymczasem ludzie ładowali do „Łabędzia” tony minerałów, które znikwały w nienasyconych lukach. Meccano dopasowywał wszystkie swoje części, które tworzyły teraz potężną maszynę. Miał już w komplecie nogi i uda, wysokie jak trzydziestometrowe wieże, i do potężnych bicepsów i przedramion dołączył dłonie szerokie jak tarasy. Pośrodku równiny lalka bez głowy ze skrzyżowanymi rękami i rozchylonymi nogami nabierała kształtu ludzkiego

giganta.

Ustala gorączkowa praca.

Tam, w kraterze głowa sprawdzała funkcjonowanie automatu. Dłonie nabrały życia, palce prostowały się i zaciskały w olbrzymie wygrażające pięści. Jednym ruchem kolos siadł i wokół jego potężnego ciała rozpełzł się krąg cieni.

— Robercie, ukryłem mapę nawigacyjną, żeby nie dopuścić, aby widziały ją oczy, które nie należą do pana i do mnie. Nikt nie może wiedzieć, gdzie się znajduje ta planeta. Tylko my i my będziemy napełniać kieszeń. Zrozumiano?

Meccano wstał, wybrał właściwy kierunek i stumetrowymi krokami podążył w stronę krateru wulkanu. Słońce zmieniło jego cień w gigantycznego płaza sunącego za swoim panem po chropowatej powierzchni. Meccano ukląkł, ujął głowę w skaliste dłonie, uniósł ją ku górze ruchem kapłana spełniającego ofiarę i zamknął nią otchłań wyzierającą ze swoich ramion. Jeszcze tylko oczy. Z pozostawionego przez głowę otworu w piedestale wyciągnął dwie białe kule i ostrożnie, jakby to były pęcherzyki powietrza, włożył je w oczodoły.

— Jak na obecną wyprawę dość już naładowaliśmy materiału, prawda, Robercie?

— Tak, kapitanie.

— Pozwoliliśmy szczeznąć trzydziestu ludziom i genialnemu Danielowi, pokieroszowaliśmy dwa astroloty, żeby mieć pewność, że nikt nie będzie się panoszył na planecie, którą mamy dla naszej Sprawy. Czyż nie? No to wyślij tych tam, niby po ostatnią partię minerałów, a ja zajmę się pozostałymi.

Strażnik był gotów.

Wznosił swoją postać prawie trzystumetrową, do której przylegały kółka, co nadawało mu wygląd fantazyjnej zabawki. Ze środka krateru gigant wychodził na świat, którego strzegł od tyłu wieków, nieodłączny od niezmiennego gorącego krajobrazu siekanego palącymi promieniami słońca.

I oto narodził się i powracała mu ludzka pamięć.

W rytm bezdźwięcznego marsza szedł ku statkowi ludzi.

— Gotowe, chodźmy Robercie.

Obok astrolotu leżały porozrzucane ludzkie ciała, z których palące promienie słońca wysysały wszystko, co było w nich wilgocią.

Niedaleko oblane fioletowym światłem trzy traktory, wypełnione minerałami, przygotowywały się do powrotu na „Łabędzia”. Nawigator opuścił dźwignię uruchamiając procedurę startową. Luki zamknęły się hermetycznie. Motory wydały głuchy odgłos. Za okienkiem pojawiła się gigantyczna figura zmierzająca w kierunku astrolotu.

— O Boże! Kapitanie! To... to jest dzieło Daniela!

— Szybko! Ruszamy!

Meccano opuścił swoje potężne pięści. „Łabędź” właśnie zaczynał powoli odrywać się od ziemi, kiedy nagle wypadł z trajektorii i wykonawszy szeroką parabolę, uleciał w górę z szybkością racy. Wiele kilometrów dalej rozpadł się w chmurze ognia.

Meccano zniszczył traktory z niepotrzebnymi nikomu minerałami i ludźmi bąkającymi jakieś fałszywe usprawiedliwienia, następnie zebrał szczątki „Łabędzia” i jego załogi, po czym przeniósł je do skalistego pagórka. Wewnątrz znajdowały się stare żelastwa i zmumifikowane ciała. Włożył tam swój pakunek i zaczął zasypywać otwór profesjonalnymi ruchami grabarza.

Meccano wrócił do krateru, umieścił swoją głowę na piedestale i znów na równinie jego ciało

rozdzieliło się na kawałki, jakby uległo sile gwałtownego biologicznego rozkładu. Rozmaite części kończyn i kadłuba, wprawiane w ruch bezgłośnymi kołami, ukryły się w kotlinach i zagłębieniach planety upodobniając się swoją barwą do skał i tworząc z nimi jednolity krajobraz.

Na powierzchni widniały tylko rozpalone słońcem kamienie.

Ze środka krateru pustymi oczodołami patrzyła na martwą planetę głowa Meccana, zwrócona zniekształconym grymasem złości i okrucieństwa obliczem ku drodze wiodącej wzdłuż doliny, tak jak nakazał jej twórca przed tysiącem lat.

Ze środka krateru pustymi oczodołami patrzyła na martwą planetę głowa Meccana, zwrócona zniekształconym grymasem złości i okrucieństwa obliczem ku drodze wiodącej wzdłuż doliny, tak jak nakazał jej twórca przed tysiącem lat.



*Marie Langer*  
*El cambio*

# Zamiana

Nie wiem, jak mogłam się w coś takiego wplątać Jeszcze, rozumiem, gdybym była jakąś dzikuską i nic umiała panować nad swoimi uczuciami; no i ciałem — bo będę panną z dzieckiem, już niedługo. A przecież w naszych czasach takie rzeczy już się nie zdarzają. Opiszę wszystko tak, jak było, może mi się w głowie przejaśni; a kto wie, może i nauka skorzysta z moich notatek.

Wszystko zaczęło się od tego, że poszłam na leczenie do Aliny Apfelbroot. A może i jeszcze wcześniej. Pewnie, że wcześniej, bo już kiedy przyszłam na świat, tak to się odtąd za mną wlecze. Zawsze byłam dziwna i dlatego udałam się do niej, do tej Apfelbroot. A po tym spotkaniu to jak zawsze, czułam się niewyraźnie i niepewnie. Ale muszę powiedzieć, że czułam nie tylko smutek, ale jeszcze nauczyłam się cieszyć.

Już podczas trwania kuracji zaczynałam rozumieć to, co się we mnie działo, ale nie tylko. Bo rozumiałam i to, co z nią się działo — z Aliną. A kiedy Alina nagle zniknęła, właśnie teraz, kiedy czytam jej dziennik i pracę doktorską, muszę powiedzieć, że już całkiem się pokapowałam. Ta praca naukowa nazywa się „Antecedencje i rozwój psychomodelizmu”. Uważam, że jest bardzo, bardzo pouczająca, może nie pisana pięknym kwiecistym stylem, ale za to jasna. Wszystko po kolei i mądrze. Ale styl pracy jest inny — w dzienniczku nie pisała tak samo. Nawet używała pióra i wszystko notowała własnym charakterem pisma — zupełnie tak samo jak to czyniono w dawnych czasach. Właśnie dzięki jej pamiętnikowi mogę, jak to się mówi, zrekonstruować najbardziej ukrytą część jej osobowości i zrozumieć coś więcej z tego, co ona nazywała procesem naszych wzajemnych oddziaływań. A ten proces to się tak rozwinął, że nie można było go zatrzymać.

Zacznę od samego początku. Tak mi się coś zdaje, że Alinę od dziecka ciągnęło do psychomodelizmu. Musiała mieć to powołanie. Rozwijała je (w sposób nieświadomy, oczywiście) i możliwe, że wystąpiły jakieś zakłócenia. Pisała w swoim dzienniczku, że ogromne wrażenie wywarły na niej słowa pewnej piosenki, które obudziły w niej dziwny smutek — w końcu uczucie niezwykle rzadkie w naszej epoce — oraz pragnienie dokonania zmiany w sobie i innych ludziach. Wiele razy wpisywała ten kawałek do dzienniczka: {How you have changed my way to be, nobody can take away from me}. To stara piosenka o miłości i pożegnaniu. Jeszcze babka Aliny ją śpiewała. A ona przecież była psychoanalityczką. Jasne, że nie należała do szkoły tych pierwszych, klasycznych psychoanalityków, gdyż leczyła i pracowała naukowo w drugiej połowie ubiegłego wieku. Ona właśnie uważała, że słowa tej piosenki wchodziły głęboko w świadomość i uczucia pacjentów pod koniec udanej kuracji.

Kiedy Alina była małą dziewczynką, już wtedy zadawała sobie pytanie, co to znaczy „czuć”; co w ogóle znaczy to słowo? Zapamiętała dobrze pewną poważną rozmowę, jaką odbyły jej babcia i mama. Chodziło o nią. Dzięki zastosowaniu psychonarkotyków zdołano wyeliminować wybuchy rozdrażnienia u dziecka, oczywiście nie były one częste, niemniej przebiegały dość gwałtownie. I właśnie matka z dumą poinformowała babkę o skuteczności oddziaływania zastosowanego leku.

Dodała, że odtąd, mimo że Alicja jest jeszcze malutka, będzie mogła rozpocząć codzienną kurację, zalecaną przez neopedagogikę, przyjmując psychonarkotyki — prawdziwie wielkie osiągnięcie nauki. Babcia, zawsze taka spokojna, choć nigdy nie zażywała żadnych narkotyków, tym razem zaprotestowała, a w jej głosie dał się słyszeć ton zdenerwowania: „I ty chcesz żywą istotę, reagującą tak spontanicznie, przemienić w uległego robota typu clever?” Mama zaś odpowiedziała jej bardzo zdziwiona: „Czyżbyś chciała doprowadzić do tego, żeby któregoś dnia głośno zapłakała albo nawet parsknęła śmiechem?” Alina wówczas niezbyt dobrze rozumiała niektóre słowa z tamtej dyskusji, ale właściwie odebrała jej nastrój i głęboki sens. Matka chciała ustrzec ją przed cierpieniem, jakie niosą ze sobą dwie rzeczy: zdolność odczuwania oraz istnienie w człowieku zmysłów. Żeby nie cierpiała, jak na przykład ja, Selma. Żeby nie musiała za czymś tęsknić i żeby nie czuła się opuszczona. Żeby niczego od nikogo nie potrzebowała, a nawet nie rozumiała takich słów jak: rozpacz, konflikt, pragnienie. „W ten sposób”, myślała Alina z gorzką ironią, „wyrośląbym na doskonałą obywatelkę naszego chwalebego drugiego wieku ery atomowej”.

O, tak, Alina dobrze sobie zapamiętała tamtą chwilę. Również i to co czuła, kiedy one rozmawiały. Ale swoją babkę pamiętała jak przez mgłę. Była starą kobietą — to wszystko. Przecież w tamtych czasach nie znano jeszcze juvenalu i kuracji odmładzających. I ta staruszka opowiadała jej śliczne bajeczki w stylu science-fiction, wtedy niewinne bajdy, bo przecież nauka już sto razy wyprzedziła ich naiwne rewelacje. W końcu babcia umarła na zapalenie płuc — chorobę zupełnie w staroświeckim stylu — i Alina o niej zapomniała. I oto odkryła ją na nowo w dniu, kiedy przyszła do Biura Kontroli nad Powołaniami. Dziewczyna sama była zdziwiona, kiedy powiedziała testującej ją sekretarce, że zamierza zająć się techniką psychologii stosowanej — inaczej psychotechniką oraz wzorowaniem psychicznym czyli psychodelizmem. A przecież nigdy przedtem o tym nawet nie pomyślała!

Niełatwy to zawód, a studia też nielekkie. Najpierw trzeba przejść kurs preatomistyki, to znaczy poznać takie przedmioty, jak: gimnastyka jogów, rachunek różniczkowy i całkowity... Potem dochodzą różne przedmioty należące do nauk klasycznych, co to zaczynają się od tele, a więc: telepatia, telekineza, telekomunikacja. Pod koniec studiów dochodzi NOListyka, adaptazm rotterdamski, no i w końcu historia psychodelizmu. I właśnie o tym psychodelizmie chciała napisać pracę.

W tym celu zamknęła się w bibliotece swojej babci i zaczęła czytać jej książki, które w wielu miejscach były popodkreślane, opatrzone dopiskami. Czytała również jej własne prace. Alina, chociaż była dziewczyną o zdrowym umyśle i nie należała do społeczeństwa psychicznie zaadaptowanego, zaczęła ulegać fascynacjom, a nawet robiło jej się smutno — czuła ten smutek, kiedy odkryła, jak daleko pozostał Freud ze swoimi pierwszymi odkryciami w stosunku do osiągnięć nowoczesnej nauki, jaką jest psychodelizm stosowany.

Aby pójść drogą jej późniejszych badań i zrozumieć je, musimy się zapoznać z poszczególnymi elementami zawartymi w dysertacji. Najpierw napotkałam w tej pracy bardzo trudne słowa, no, ale jakie mądre, a mianowicie: transfer i regresja. Boże! — ile to razy czytałam i powtarzałam definicje. I nic. Tylko mi się w głowie mąciło. W końcu coś mi zaświtało. Podczas tej kuracji Alina kazała mi się położyć na kanapie i znów byłam małą dziewczynką miałam pięć lat, i znów kotka wylała mi mleko z garnuszka. No to ja krzyczę wniebogłosy i wierzgami nogami. Jestem grubiućka i brudna i wierzgami, a ta kotka pije moje mleko z ziemi. Alina też siedzi na tej kanapie naprzeciwko mnie, jak to robiła moja babka, a ja drę się na tę moją lekarkę, że jest okrutna, złośliwa i kpi sobie ze mnie. A przecież Alina miała spokojny wyraz twarzy.

W części pracy o klasycznej psychoanalizie było jeszcze jedno bardzo mądre słowo. Słowo — klucz: kontrtransfer. A według uczonej definicji Aliny oznaczało ono: „proces emotywny i regresywny, który powstaje u przeprowadzającego analizę poprzez przeniesienie wrażeń osoby poddawanej analizie na osobę analizującą, i uzupełniający się wzajemnie u analizującego i analizowanego”. Nigdy bym chyba tak tego nie pojęła, gdyby nie dzienniczek Aliny. Bo pisze w nim, a owszem, o tym, co się nam przydarzyło. I jakie zdumiewające rzeczy odkryłam, no i zrozumiałam!

Ale wróć do tej pracy. Ponieważ analiza pochłaniała dużo czasu i była przykra i bolesna dla pacjenta, zaczęto poszukiwać, zresztą bez większego powodzenia, nowych jej wariantów. Wreszcie została zarzucona, ponieważ nauka zainteresowała się nową metodą, która dawała ogromne nadzieje, polegającą na połączeniu procesu odmładzania z imprintingiem. Obecnie wiemy wszyscy, co to jest proces odmładzania i w jaki sposób należy stosować kurację. Wiemy też, że należy podjąć wszelkie środki ostrożności: nie wolno przedawkować ani też nie można się poddawać leczeniu zbyt wcześnie. Ale w epoce, kiedy łączono ów proces z imprintingiem, nauka jeszcze tego wszystkiego nie wiedziała. Termin imprinting pochodzi z zoopsychologii. A ponieważ ja wychowałam się jeszcze na dziko i do tego w moim otoczeniu, to znaczy w domu, na farmie zawsze były jakieś zwierzęta, to pojęcie mogło mnie dotyczyć, więc nic dziwnego, że się nim żywo zainteresowałam. Odkryto mianowicie, że dla pisklęcia, które wykluło się z jajka, pierwsza żywa istota (ale nie tylko, bo może być to odpowiednio skonstruowany robot) jest lub staje się matką. Mówię „jest”, bo to chyba jasne, gdyż od milionów lat kaczątko najpierw widzi, a potem naśladuje swoją matkę — kaczkę. Natomiast, gdy zamiast kaczkę podstawia się innego ptaka albo człowieka, względnie jakiś element „x”, wówczas ten inny ptak, człowiek lub element „x” wytworzy w pisklęciu imprinting i wówczas kaczątko odtwarza wszystkie jego zachowania (A teraz przypomnijcie sobie słowa ulubionej piosenki babci Aliny, no i co?). Żadna inna istota nie będzie w stanie dokonać zmian w drugiej, dotyczy to nawet cech dziedzicznych, tylko ta, która znalazła się przy niej w tym pierwszym decydującym momencie. Kiedy to przeczytałam, z głowy mi nie chciało wyjść, jak by to było dobrze i jak inaczej by się to wszystko potoczyło, gdyby w tym decydującym dla mnie momencie była obecna Alina, natomiast dla Aliny byłoby lepiej, gdyby wtedy znalazła się przy niej jej babka. Nie mówię już o tym, z jaką odpowiedzialnością ja sama wykonywałabym moje przyszłe obowiązki...

Imprinting, a raczej reimprinting — ponieważ chodziło w tym wypadku o ponowne zaadaptowanie jednostek niezaadaptowanych i o usunięcie ubocznych skutków wynikłych z zastosowania tej metody — jest wykonalny jedynie w połączeniu z radykalnie przeprowadzonym procesem odmładzania. Zaczęto więc eksperymentować, nie podejrzewając istniejącego niebezpieczeństwa. Do czego to doprowadziło, wiemy wszyscy. Najpierw wielkie zdumienie badaczy, potem konsternacja w świecie nauki, wreszcie oburzenie społeczeństwa i — co jest — zrozumiałe samych ofiar. W końcu ucichł skandal, gdyż wmieszały się w tę sprawę czynniki oficjalne i państwowe. Więc, żeby w przyszłości uniknąć podobnych błędów, wydano wytyczne. Za najlepszą teorię uznano psychodelizm pragmatyczny, a obowiązkową terapią miało być powszechne wzorowanie psychiczne.

Oczywiście powyższe wytyczne w pełni zrealizowano dopiero po sprawdzeniu użyteczności środka o przedłużonym działaniu zwanego polisomniomentem. I to był strzał w dziesiątkę! Podając ów rewelacyjny środek istocie ludzkiej zaraz po jej urodzeniu i dozując nieprzerwanie przez cały okres życia, osiągało się ów wspañały cel, jakiemu miał służyć: powstanie społeczeństwa obywateli zaadaptowanych. Mamy już takie społeczeństwo, oczywiście, ale jeszcze zostało trochę

niezaadaptowanych jednostek jak ja, które poddaje się zabiegom readaptacji przy pomocy skomplikowanych sposobów leczenia. Kurację przeprowadza się jednak z ogromną ostrożnością. Właśnie tym zagadnieniom Alina poświęciła swoją pracę. Ostatnie zdania na końcu jej dysertacji jakoś nie pasują do tego, co tak uczenie napisała. Są, powiedziałabym, jakieś sentymentalne. Na pewno to wpływ tych babcinych książek albo i samej babci: „Obywatele nowego społeczeństwa będą zadowoleni, samowystarczalni, inteligentni. Osiągną poziom intelektualny i równowagę psychiczną odpowiadające wymaganiom nowoczesnej cywilizacji. Będą zdolni zasiedlać galaktyki. Ale pozbawieni radości, jaką daje przebudzenie o poranku i widok pierwszych różowych promyków lub melancholijnego smutku, kiedy nikną ostatnie zorze zachodzącego słońca, wreszcie nie zaznawszy uniesień pierwszej miłości, czy naprawdę będą szczęśliwi?”

Teraz przytoczę fragmenty z dziennika Aliny, w których pisze o swoich doświadczeniach, wątpliwościach, wahaniach, o lęku i bohaterskich decyzjach, nadziejach i ostatnim eksperymencie.

Wrażliwość Aliny, oczywiście nieco stępiona uwarunkowaniami jej psychiki, łączyła ciekawość psychologiczną odziedziczoną po babce, z odwagą badacza z prawdziwego zdarzenia. Ale brakowało jej regulatora cierpliwości madę in Japan. Nic więc dziwnego, że szybko znudziła ją rutyna w metodologii wzorowania. Choć ćwiczenia metodologiczne przygotowywano ściśle według zaleceń, osiągnano, mimo ogromnego wysiłku, rezultaty dość mierne. W tym okresie Alina Apfelbroot zali się swojemu dziennikowi:

*8 lipca, 56*

Straszliwe jest to wyznanie, ale nudzi mnie praca, nudzą mnie niezaadaptowani, no, ci może w mniejszym stopniu, gdyż zaadaptowani nudzą mnie jeszcze bardziej; co znaczy, że jest już bardzo źle. Nie mogę pracować bez przekonania o słuszności tego co robię. Tej nocy miałam dziwny sen. Rozmawiałam z moją babką. Wydała mi się jakaś młodsza, kipiała temperamentem i była rozzłoszczona. Powtarzała mi uparcie, że moja nuda wypływa z tego, że ani ja, ani moi pacjenci nie czujemy. Że oni i ja jesteśmy martwi. No, może i żywi, ale otoczeni murem z poli. Kiedy ona mówiła, widziałam siebie budującą miękkie, duszące ściany, które zamykały mnie w swym wnętrzu. Kiedy wydawało mi się, że już jestem otoczona taką ścianą obudziłam się z uczuciem lęku.

*12 lipca, 56*

W dalszym ciągu rozmawiam z babką, ale na szczęście już nie w snach. Kiedy mam wolny czas, siadam i wyobrażam sobie długie z nią rozmowy. I na dodatek przyjmuję jej odważne rady. Ona namawia mnie do buntu. Czy to skończy się moją chorobą umysłową?

*15 lipca, 56*

Nie mogę już tak siedzieć i prowadzić z nią tych wyimaginowanych rozmów. Wolalam poszukać jej w starych lekturach. Czytam teraz historie sprzed wieku. Szokuje mnie w nich bogactwo uczuć: miłość, czułość, tęsknota, wina, nienawiść, chciwość.

Jakiż kontrast z jałowością dzisiejszej mentalności. Czy te wszystkie uczucia jeszcze w nas przetrwały, choćby w formie szczątkowej? Zrobię wszystko, żeby wydobyć je z moich pacjentów wbrew wszelkim nakazom i narażając się na każde ryzyko.

No i Alina zaczęła eksperymentować. Musiała. Najpierw bardzo ostrożnie zaczęła obniżać dzienną dawkę poli (czyli polisomniomentu) sobie i swoim pacjentom. Przestała poddawać

sugestiom, nakazywać, itd. czyli wzorować. Kiedy to uczyniła, odkryła tym samym swoją zdolność słuchania i swój talent empatyczny. Ale pacjenci zawiedli ją. Zamiast czuć, reagowali na aplikowane im bodźce.

*20 sierpnia, 56*

Czyżby mama miała rację podczas tej słynnej rozmowy z babcią, kiedy stwierdziła, że bez psycholeków będę wariatką i nie nauczę się panować nad sobą? W efekcie nic zażywania leków pacjent 973 C dostał ataku. Zaczął się głośno śmiać, a potem głośno płakać. Ale ja go doskonale wyczułam. To jego rozładowanie było sztuczne.

*3 września, 56*

W końcu czego ja właściwie szukam? Chcę resymentalizacji moich pacjentów, społeczeństwa? Żebyśmy znów potrafili czuć? Co było przed transferem i kontratrans — ferem? Czyżbyśmy musieli odrzekać stary kompleks Edypa, opisany przez Freuda i Sofoklesa, który ci dwaj wzięli z bajki o młodzieńcu, który zabił swojego ojca, żeby ożenić się z matką? Albo idąc dalej — czuć się dziecięciem rozkochanym w mamusi? Albo jeszcze dalej — pragnąć znaleźć się w jej brzuchu? Nie wiem. Natomiast wiem jedno w całej jasności: uczyniłabym wszystko, aby odkryć prapoczątki miłości i nienawiści.

Alina zmieniła technikę leczenia. Zaczęła eksperymentować z tym przeklętym lekiem — juvenalem. Wymyśliła sobie, że jeśli się nie odmłodzi, nie dojdzie do sedna swoich poszukiwań. Ale była ostrożna z dozowaniem z obawy o widoczny efekt fizyczny zażywania leku. I tu nastąpiło nowe, straszliwe odkrycie. Nie mogła w swoich pacjentach odtworzyć uczucia, ponieważ je utracili. Wszyscy urodzili się w idealnych warunkach, w pomieszczeniach przesyconych polisprayem, odbierały ich naukowo przygotowane pielęgniarki. Sprawa pierwszego krzyku nie stanowiła problemu — potrafiły zastąpić go odruchem ssania. I tak urodzone generacje naszych czasów nie przechodziły procesu rozwoju uczuciowego, nie istniała więc potrzeba późniejszego hamowania uczuć.

Nie mogła ich odtworzyć, ponieważ ich nic było. I choćby nie wiadomo jak daleko cofała się, żeby dotrzeć do ich początku, i tak by nic nie mogła znaleźć.

*3 listopada*

Nie ma sensu ciągnąć tego dalej. Muszę moich pacjentów poddać selekcji. Zrobię jeszcze jedną próbę. Och, gdybym mogła spotkać taką osobę, której początek życia był inny, choć trochę zbliżony do warunków istniejących w starożytności.

Wstrząsnęło mną, kiedy doszłam do tego fragmentu dziennika Aliny. Bo właśnie wtedy, w złej godzinie, spotkałyśmy się. Była zima, pochmurny ranek. Siedziałam w kącie i czekałam. Czułam się jak zawsze nieszczęśliwa, inna od wszystkich. Właściwie to tak naprawdę nigdy nie rozumiałam Aliny. Czucie i czucie — zawsze, robiła z tego problemy. Ja od zawsze czułam się nieszczęśliwa. Natomiast ona nauczyła mnie również czuć się szczęśliwą. Ot co. Więc weszła. Była wysoka, trochę niezdarna, fartuch miała nałożony dość niedbale. Jej twarz kontrastowała z oczami o spojrzeniu pełnym bólu, choć starała się nadać im spokojny wyraz. Roztargnionym ruchem wzięła fiszki wypadające z taśmy na biurko. Były to odpowiedzi na testy i badania komputerowe.

— O, pani z Vagory? — zapytała niskim głosem. — To już chyba jedyne miejsce na ziemi pozostające w tyle za naszą cywilizacją.

W jednej chwili jakoś pojaśniało. Rzeczywiście, ukośny słoneczny promień przeniknął przez szklaną ścianę i oświetlił jej twarz. Kręciło mi się w głowie i czułam tętnienie krwi w skroniach. Chciałam powiedzieć jej tak strasznie dużo, prosić, żeby się mną zajęła, żeby mnie nie c puszczała. Albo przynajmniej odpowiedzieć na jej proste pytania. Nie mogłam. Czułam coś dziwnego w gardle. Tak, jakbym chciała płakać. Na szczęście ona się w tym wszystkim połapała. Chociaż wtedy nie wydusiłam z siebie ani słóweczka powiedziała, że weźmie mnie na leczenie. I tak to opisała w swoim dzienniku:

### *10 listopada*

Jestem zafascynowana Selmą. W końcu nie pomyliłam się, jeśli chodzi o ten pomysł z selekcją. Już zaczęły ujawniać się jej uwarunkowania i to prawie natychmiast po obniżeniu dziennej dozy polisomniomentu. Ja nie używam go od dawna.

Inne notatki przeskakuję, bo właśnie...

### *20 grudnia*

To co wyczytałam w starych tekstach jest absolutną prawdą. Selma powraca. Teraz razem ze mną przeżywa epizody z dzieciństwa, powiem więcej: czuje to, co przeżywała mając pięć lat.

### *5 stycznia, 57*

No, a co z kontratransferem? Od chwili, kiedy przyjmuję juvenal — wciąż jeszcze w bardzo małych dawkach, żeby uniknąć widocznej przemiany fizycznej, czuję ją. Ale jest to dość dziwne uczucie, które wyprowadza mnie z równowagi. Niekiedy Selma przypomina mi moją matkę, o wiele częściej babkę — obiektywnie rzecz biorąc jest w tym coś z kontratransferu — ale nigdy ojca. Oczywiście — przecież go nie znałam. Zginął przed moim urodzeniem podczas tej nieudanej ekspedycji na Marsa.

### *12 stycznia*

Selma robi szybkie postępy. Już niedługo będziemy mogły odczuwać wzajemnie. Jaka szkoda, że poznałyśmy się w tym przeklętym laboratorium, a nie w innych warunkach. Mogłybyśmy zostać nierozłącznymi przyjaciółkami... i jak byśmy się wtedy rozumiały!

### *30 stycznia, 57*

Nie wiem, co się dzieje. Obawiam się, że kuracja Selmy doszła do punktu, z którego trudno będzie ruszyć. Chociaż, żeby skoncentrować się tylko na niej, odmówiłam leczenia wszystkim moim pacjentom. Nie jestem już w stanie myśleć o żadnej innej sprawie, która nie ma związku z Selmą.

### *20 lutego*

Na „froncie” bez zmian. Utknęłyśmy w martwym punkcie.

### *28 lutego*

Idem. Boję się. Panicznie boję się myśli, że mogłoby nie udać się z Selmą, którą przecież

zdołałam obudzić. Doprowadza mnie do rozpaczy jej obojętność. Trwa tak długo. Zrobiłabym wszystko, żeby Selmę zmienić.

*15 marca*

Idem. Wpadłam na genialny pomysł. Jeśli go zrealizuję, nie wiem, czy powinnam czuć się bohaterką, szaloną czy zbrodniarką. Jakkolwiek to nazwać, ważne, że będę się czuła, i zrobię to. Spróbuję jeszcze dzisiaj, muszę popchnąć tę sprawę. Wezmę największą dawkę juvenalu, a za chwilę następną. Potem zobaczymy.

Właśnie tego dnia miałam ostatnią sesję z Aliną Apfelbroot i na tym kończy się jej dziennik. I również tego dnia widziałam ją po raz ostatni. Jak mi żal. Nawet nie popatrzyłam jej w oczy. Właśnie tego dnia, kiedy weszłam i wypowiedziałam słowa powitania, odwróciłam wzrok. Widziałam tylko jej szczupłe nogi, jak u dziewczynki. Dlaczego ona ma dzisiaj taką długą sukienkę, pomyślałam sobie w duchu. Ale w końcu Alina nigdy nie zważała na modę, teraz też nie miała na to czasu. Położyłam się jak zawsze, a ona usiadła naprzeciw mnie w fotelu. Już nawet nie pamiętam, o czym mówiłam, a ona milczała i tak jakoś dziwnie oddychała, jakby jej to sprawiało trudność. W atmosferze było coś niepokojącego. Potem chyba zasnęłam. Jakieś dziwne słowa chodziły mi po głowie: Zwiastowanie, Niepokalane Poczęcie. Czułam zapach siana i stajni. Słyszałam śpiew ptaków. A przecież od czasu jak wyjechałam z Vagory, nigdy nie słyszałam żadnego ptaka. Później zapłakało jakieś dziecko — pewnie na ulicy, pod oknem.

Nagle zerwałam się ze snu. Coś mnie dotknęło! Coś we mnie weszło! Podniosłam się jednym skokiem. Na ziemi leżała sukienka Aliny. W fotelu nie było nikogo. Obok aparatu polisprayowego leżał jej dziennik — był otwarty. Instynktownie, jak tonący, który i brzytwy się chwyci, złapałam go i w popłochu uciekłam z pustego laboratorium.

Dużo czasu potrzebowałam, żeby przyjść do siebie. A jeszcze więcej, żeby zrozumieć, co się właściwie stało. Gdzie ona poszła? Zaczęłam czytać jej dziennik, czytałam też jej pracę, ale mi nie szło. Parę razy rzucałam ją i znów zabierałam się do czytania. Przewracałam papiery i bez przerwy czytałam te jej ostatnie notatki. Ale dopiero, jak mi brzuch spuchł, zrozumiałam wszystko. I wtedy sobie przysięgam, że tym razem Alina, gdy ponownie przyjdzie na świat, będzie miała matkę, która uczyni ją naprawdę szczęśliwą.



*Mario Levrero*  
*Capitulo XXX*

## Rozdział XXX

Przybył z wyspy, wplaw, zupełnie sam, przeszedł po piasku parę kroków i padł na twarz. Nic zobaczyłem w nim nic przerażającego, wprost przeciwnie — ten jego nieprawdopodobny według mnie wyczyn i sposób, w jaki przybył zaprzeczał legendom o inwazjach straszliwych istot ze statków. W cudzoziemcu o jasnych włosach było coś bohaterskiego, a zarazem tragicznego. Coś, co budziło spontaniczne uczucie sympatii.

Siedziałem na skałach i czekałem na zachód słońca. Wiedziałem, co będzie później. Dlatego skwapliwie podbiegłem do leżącego. Miał otwarte oczy, prawym policzkiem dotykał piasku plaży. Dyszał ostatkiem sił. Był nagi, jego ciało ścisnął skórzany pas, przy którym zobaczyłem małą torebeczkę. Patrzył na mnie, jakby z daleka, niebieskim okiem: w jego spojrzeniu nie dostrzegłem lęku.

Chciałem go podnieść, ale nigdy nie należałem do silnych, a on jakby nic chciał mi w tym pomóc. Jakby był martwy. Jeszcze chwyciłem go pod pachy i spróbowałem pociągnąć. Może nikt go nie zauważył, wtedy mogłoby się udać. Ale właśnie usłyszałem krzyki dochodzące z lasu, wiadomo, wszystko nadaremne.

Nagle coś mnie podkusiło: wyjąłem z kieszeni scyzoryk i pociągnąłem ostrzem po nitkach, które łączyły torebeczkę z czarnym pasem. Ukryłem ją w kieszeni, gdzie również włożyłem scyzoryk, i w myślach pożegnałem się z cudzoziemcem.

Ponownie wszedłem na skały. Nie, nic dlatego żeby się ukryć, mogli mnie tu zobaczyć jak na dłoni, gdyby patrzyli. Wiedziałem, że mimo wszystko nie uczynią mi krzywdy. Nie chciałem się uważać za jednego z nich, chociaż i tak czułem wyrzuty sumienia z powodu mojego uczestnictwa w tym, co miało się wydarzyć.

W dziwnym świetle, jakie pojawia się tylko o zachodzie słońca widziałem ciało pocięte na siedem części i krew o barwie fioletowoczarnej szybko wsiąkającą w piasek. Dorośli wykopali siedem dołów, każdy inny, i zagrzebali ciało cudzoziemca: ręce tu, nogi tam, gdzie indziej części torsu, i jeszcze w innym miejscu głowę. Nie mogłem na to patrzeć, ale trudno mi było odwrócić wzrok. Jedzenie z żołądka podchodziło mi wciąż do gardła, w końcu zwymiotowałem na skałę. Potem dorośli odeszli, znikając w lesie, a ja zostałem sam na bezludnej plaży pełen wstrętu i nienawiści. Plaża już nie była taka jak poprzednio, teraz wiało od niej chłodem i wrogością, nawet kiedy wzeszły gwiazdy, wydały mi się zimne i groźne.

Przyszedłem do szałasów późno w nocy; w świetle latarki z trudem wykopałem w uklepanej ziemi dołek w kącie i ukryłem torebeczkę. Myślałem, że Luisa już śpi, ale z ogromnego łoża doszedł do mnie zachrypły od snu jej głos:

— Co ty tam zakopałeś? — zapytała.

— Jajka — odpowiedziałem szybko. — Trzy czerwone jajka.

Taka odpowiedź, a szczególnie jej ton, wykluczała dalsze pytania. Zaraz pożałowałem mojej

szczeroci, ale potem doszedłem do wniosku, że nie ma to większego znaczenia: wcześniej czy później — będzie wiedziała. Nie mogłem sobie tylko darować, że nie powziąłem pewniejszych środków ostrożności. Położyłem się. Luisa odsunęła na bok swoją ulubioną lalkę i, zwinąwszy się w kłębek, przytuliła do mnie.

# I

W ciągu paru tygodni nic szczególnego na pozór się nie działo. Wiedziałem tylko, że nic już nie jest tak jak przedtem, ale nie umiałem sobie wyobrazić, co się wydarzy i kiedy. Niezmiennie zaprzeczałem istnieniu oczywistych faktów oraz odrzucałem własne rodzące się myśli. Chciałem zapomnieć o tym, co widziałem na plaży, ale tamta scena uparcie tkwiła w mojej pamięci. Czułem, jak wzrasta we mnie nienawiść do dorosłych; nawet umyślnie przestałem rozmawiać z jednym z nich, ze starym F., jak go nazwaliśmy, którego potrafiliśmy jeszcze akceptować. Również robiłem wszystko, żeby odsunąć od siebie moich towarzyszy, ale nie zawsze mi się to udawało, ponieważ ja też ich potrzebowałem.

Po jakimś czasie nie mogłem już nie dopuszczać istnienia pewnych faktów i nie łączyć ich z sobą. Mimo to wolałem jeszcze nie wyciągać wniosków. No więc pojawiły się trzy sprawy. Dwie pierwsze to bezsprzecznie istniejące fakty, trzecią natomiast nazwałbym własnym subiektywnym przeświadczeniem, chociaż bardzo prawdopodobnym. Pierwsza sprawa, to zniknięcie Inés; chłopcy skomentowali je w paru słowach; nie dlatego, abyśmy jej nie lubili, w pewien sposób jej nieobecność musiała zainteresować wszystkich jednakowo, jednak tamci nie mieli w zwyczaju zajmowania się czymkolwiek zbyt długo, szczególnie gdy nie znajdowali natychmiastowego rozwiązania danej kwestii. Po kilku dniach zachowywali się tak, jakby Inés nigdy nie istniała. Luisa — przeciwnie, widać było, że bardzo się martwi i może nawet czegoś lęka. Zauważyłem, że gdzieś wychodziła, a kiedy wracała, nie udzielała żadnych wyjaśnień.

Druga sprawa to pojawienie się w szalasię roślinki. Odkryłem nieśmiały kiełek dokładnie w tym miejscu, gdzie zakopałem torebeczkę. Już mogłem odgadnąć dwa ciemnozielone listeczki. Serce mi biło mocno i nie wiadomo dlaczego poczułem dziwną, dotąd nie znaną mi radość.

Trzecia sprawa, którą nazwałem subiektywną, dawała o sobie znać powoli, ale kiedy już ją uznałem za istniejącą, stała się ważnym i niepodważalnym faktem; odkryłem mianowicie, że przypominałem sobie albo wiedziałem, lub wydawało mi się, że sobie przypominam albo wiem pewne rzeczy, o których dawniej nie wiedziałem i których nikt nigdy mnie nie uczył. Był to określony sposób pojmowania, jaki — trudno mi wytłumaczyć: może swoista łączność ze światem mrówek oraz drzew, obejmowało ono również — nie niweczając, skądże znowu, nienawiści — świat dorosłych. W moim umyśle tkwiły pewne niesformułowane pytania — jedne znajdowały ujście w sposób naturalny, jak również odpowiedzi na nie, pozostałych nie chciałem podsycać, wolałem zostawić je bez wyrazu, bez kształtu, lecz mimo wszystko wiedziałem, że w pewnej chwili one też wytrysną, ponieważ nabrzmiewało we mnie coś, co istniało poza moją wolą i czułem, że nie będę mógł tego zatrzymać. Mogłem jedynie oddalić nieco świadomość owego wzrastania, oczywiście do pewnego stopnia. Dlatego potrzebowałem alkoholu lub powrotów do wielkiego domu albo gier w karty z chłopcami.

Koniec tego etapu wyznaczyła moja wizyta u starego F. Odbyłem ją w czasie, kiedy dwa listeczki

rośliny złączyły się z sobą na czubku łodygi, tworząc coś podobnego do tarczy, nieco przypłaszczonej, na której można było dostrzec kółko złożone z maleńkich kiełkujących punkcików przypominających brodawki. Chciałem widzieć się ze starcem, aby zadać mu parę pytań, nie tylko dotyczących spraw, o których wspomniałem wcześniej, ale i mnie samego. Stary żył już dość długo, aby pewne fakty nie umknęły jego obserwacji (przynajmniej obserwacjom) poza tym wydawało mi się, że umiał także myśleć. A może dla tego chciałem się z nim zobaczyć, żeby upewnić się w słuszności tego, co robię. Ale nic mu nie mogłem powiedzieć.

Okazał zdziwienie, kiedy mnie zobaczył, jakby skarżył się na moją zbyt długą nieobecność. W ustach miał zgaszonego papierosa, dokładnie w ich kąciku. Po tylu naszych spotkaniach — zawsze patrzyłem mu w twarz — teraz dopiero zauważyłem, jak bardzo był do mnie podobny: pozbawiona włosów czaszka, zmarszczki, oczy... z samych rysów twarzy może nie tak bardzo, ale z owego sposobu bycia starym. On nie przypominał innych dorosłych i starców, jakich znałem, również ja różniłem się od chłopców w moim wieku (wówczas, w tamtej epoce, miałem jakieś piętnaście lat).

Była to rozmowa w milczeniu przyzwalającym na siedzenie obok siebie, picie matę, palenie papierosów, a nawet rzucanie ukradkowych spojrzeń, niekiedy podejrzliwych. W końcu, kiedy naczynko z matę przestało krążyć z rąk do rąk, a na dworze zaczęło się ściemniać, powiedział: „no, dobrze”, jakby część wstępna, zbytnio przedłużona, już się skończyła i należało przystąpić do właściwego tematu.

— No, dobrze — powtórzył — co się stało?

Ujrzałem w jego spojrzeniu ogromną czułość i łzy mi napłynęły do oczu.

— Nic wiem — odrzekłem. — Nie wiem.

Czułem wewnętrzny opór. Intymny zakaz mówienia o cudzoziemcu, o torebeczce, o Inés, o roślinie, o Luisic i o zmianie, jaka się we mnie dokonywała. W głowie kotłowało się pytanie na temat mojego niepewnego pochodzenia, wyspy i mieszkających na niej kobiet, zła, jakie trapiło nas wszystkich... Wreszcie uderzyłem w płacz jak dziecko, które najpierw się złości, a potem tego wstydzi. Zacisnąłem pięści, ale nie przestawałem płakać.

Stary milczał i pozwalał działać się tej scenie. Podniósł się z ławy jakby niechętnie, i zaczął zapalać naftowy piecyk, raczej bez potrzeby, odwrócony plecami, potem przemówił do mnie, jakby poruszył jakiś ogólny temat, niezbyt ważny:

— Teraz, chłopcze, wszystko się zmieni, nic już nie będzie tak jak dawniej — a po chwili milczenia, jakże znaczącego, dodał: — Przynajmniej dla ciebie.

To wystarczyło. Bez słowa uściśnąłem mu dłoń. Drogę do szałas, oświetloną gwiazdami, przebyłem w zamyśleniu powolnym krokiem.

## II

Punkciki podobne do brodawek wciąż rosły, wreszcie zmieniły się w czułki przypominające długie włosy. Roślina osiągnęła już trzydzieści centymetrów wysokości, łodyga nabrała fioletowawej barwy, a tarczka z czułkami zrobiła się fioletoworóżowa. Wyrostki uginały się pod własnym ciężarem, i, rysując leciutką krzywą linię, opadały w połowie wysokości łodygi. Potem stwierdziłem, że pomiędzy nimi a muszkami zachodzi jakiś dziwny związek.

Zawsze z sympatią obserwowałem pewien rodzaj muszek, bardzo różniących się od innych przedstawicieli swojego gatunku: te mianowicie nie latały, nie nękały ludzi i nie siadały na jedzeniu. Zwykle nieruchome, oblepiały ściany i wiszące szmaty, szczególnie w miejscach wilgotnych. Miały zaokrąglone skrzydełka, nieco szersze niż u innych muszek, i wyraźnie oddzielone przy końcach oraz bardziej zwarte i proste przy główce. Przypominały malutkie smutne motylki o szarych skrzydełkach, zawsze rozłożonych.

Te właśnie muszki zaczęły rozmnażać i zbierać w rogu, gdzie rozwijała się roślina. Potem zauważyłem, jak wchodziły i wychodziły z malutkich otworków znajdujących się w wyrostkach. Gdybym nie zakopał w ziemi czerwonych jajek, których nie śmiałem ruszyć, gdyż było jasne, że mają one z muszkami jakiś związek, może nawet wyciąłbym roślinę, żeby sprawdzić, dokąd prowadziły ich dróżki i czego te owady tam szukały.

Do wszystkich obserwacji doszła jeszcze jedna: otóż Luisa zniknęła z szałasów na dość długo. Wiem, że bywała w wielkim domu, ale nic obchodziło mnie, co tam robiła. Kiedy wracała, nie pytałem jej o nic ani nie czyniłem wymówek. Wszystko przyjmowałem ze spokojem. Natomiast rozgniewałem się bardzo, kiedy któregoś dnia zobaczyłem, jak wygniatała szmatę muszki i zabijała je. Luisa obraziła się i znów poszła do wielkiego domu, jednak po paru dniach nieobecności przyszła do szałasów.

Kiedy wciąż powiększające się wyrostki dotknęły ziemi, pojawiły się mrówki. Były większe od tych, które często obserwowałem, mimo to wydawało mi się, że jednak należą do tego samego gatunku: miały małe główki z dwoma czułkami i dość okazałymi, rzucającymi się w oczy żuchwami. Ich ciała złożone z dwu części połączone były cieniutkim paseczkiem. Zachwyciły mnie ich eleganckie sprężyste ruchy. Zrobiły sobie drogę z mrowiska do kąta w szałasie i dołączyły się do muszek we wspólnej dziwnej wędrówce wewnątrz kanalików w wyrostkach. Szły z mrowiska w równym rzędzie, następnie wchodziły w kanalik wyrostka, wychodziły stamtąd kanalikiem innego wyrostka i powracały w tak samo uporządkowanym szyku.

Z początku lękałem się, że uszkodzą roślinę i wciąż je obserwowałem z niepokojem. Wreszcie stwierdziłem, że powracają niczego nie wynosząc — różniły się tym od innych mrówek, mających w zwyczaju cięcie liści oraz kwiatów i transportowanie kawałków do mrowiska. Później zauważyłem z ulgą, że roślina nie cierpi z powodu zachowania muszek i mrówek, wprost przeciwnie, wspaniale się rozwija. Jedne i drugie nie przeszkadzały sobie wzajemnie. Mrówki zadowalały się wyrostkiem

stanowiącym wejście i drugim, przez który wychodziły. Nie umiem sobie wyobrazić co by się działo, gdyby mrówki spotkały się z muszkami wewnątrz kanalika używanego tylko przez te ostatnie. Ale nigdy nie zaobserwowałem podobnych pomyłek.

Któregoś dnia przyszło parę osób spośród naszej młodzieży: Alberto, Eduardo, Mabel, Esther, i chyba ktoś jeszcze. Przynieśli kilka butelek alkoholu, które otrzymali od dorosłych. Mieli też kawałki pieczonego mięsa. Jedliśmy i piliśmy, a potem ogarnęła nas senność, położyłem się na ziemi blisko rośliny, opierając głowę o poziomo ułożoną belkę umacniającą ściankę szałas. Obawiałem się, że mogę, świadomie lub nie, uszkodzić roślinę. Luisa, której ostatnio nie bardzo dobrze się ze mną wiodło, położyła się z jednym z nich — nic pamiętam... z Albertem czy Eduardem. Esther też tuliła się do któregoś na ziemi przy łóżku. Mabel, oparta o przeciwną ścianę, zaczęła mi się przypatrywać, ale ja byłem zajęty dociekaniem na temat rośliny, mrówek, muszek, cudzoziemca i właśnie w tym momencie udało mi się znaleźć rozwiązanie i wysnuć pewien wniosek. Dlatego chciałem natychmiast porozmawiać z Luisą, ale ona wciąż była zajęta.

Pozwoliłem pracować myślom, które poszukiwały nowych możliwości i równocześnie wpadłem w stan odrętwienia ale, co dziwne, nie przeszkadzało mi to w kontynuowaniu moich dociekań. Odseparowałem się od zebranych, powiedziałbym nawet, że stanowili dla mnie obiekt obserwacji, niemniej tylko poza sformułowaniami słownymi czy myśleniem obrazowym. Byli teraz piękną chwilą, rysunkiem złożonym z różnobarwnych płynnych linii, które łączyły się z sobą i rozłączały. Mabel, drażnięta moją apatią, zaczęła, możliwe, że także powodowana własnym pragnieniem, przesuwać się ku ścianie, przy której leżałem. Za chwilę już pieściła moje ciało, w końcu rozpięła mi spodnie zaczynając się bawić moim członkiem. Zauważyłem, podniecony, że w mózgu utworzył mi się jakiś nowy kanał. To jeszcze mi się nie zdarzyło. Czułem pieszczoty dziewczyny, a nawet uczestniczyłem w jej poczynaniach i proces myślowy, niczym nie przerwany, trwał nadal. Mogłem równocześnie obserwować dwie różne rzeczy z trzeciego, myślowego, punktu widzenia. Mabel prawdopodobnie doprowadzała do furii moja pasywność, złość podniecała ją jeszcze bardziej i doprowadzała do tego, że ze zdwojoną energią oddawała się czynnościom erotycznym. Jeśli o mnie chodzi, to przy każdym orgazmie doznawałem nie znanego mi dotąd szczęścia, które musiało mieć związek bardziej z procesami zachodzącymi w moim mózgu, niż ze zjawiskami natury erotycznej. Było to bowiem wyzwolenie i perfekcja, i absolutna czystość owych nie wyrażalnych idei.

Potem wpadłem w panikę. Przestraszyłem się samego siebie, wydawało mi się, że oszalałem lub oszaleję za moment. Doszedłem do stanu, w którym zanikają naturalne hamulce. Musiałem coś zrobić, aby zniszczyć uczucie radości, które rodziło strach. Zrezygnowałem z wygodnej pozycji, podniosłem się, chwyciłem Mabel za ramiona, potrząsałem nią z nienawiścią, zmusiłem, aby uklęknęła i wprowadziłem członek w jej usta. Luisa siedziała na łożu, tamci spali, później opowiedziała mi, jeszcze pełna przerażenia, że widziała, jak targałem Mabel za włosy, która płakała z bólu i wściekłości, i że w momencie orgazmu moja twarz i całe ciało na kilka chwil nabrały barwy popiołu. Podobny byłem do starca, już bez wieku, do starczego zabalsamowanego trupa, a moje oblicze przypominało starą skorupę, porysowaną i popekaną. Nie przypominam sobie nic z tego, co mi opowiedziała, wiem tylko, że zaraz ich opuściłem i poszedłem spać do lasu.

### III

Straciłem plażę i zachody słońca. Pocięte na części ciało cudzoziemca było nieodłącznym jej obrazem, który na zawsze zatarł we mnie najpełniejsze chwile szczęścia: tamte milczące i takie czerwone zachody słońca. Ilekroć tu powracałem i wspinałem się na skały, czułem niepokój i zakłócony porządek rzeczy w sobie i otaczającym mnie krajobrazie. Wchodziłem weń ze smutkiem i roztargnieniem, jakbym sam siebie naśladował: oto teraz mały człowieczek siada na skały i rozkoszuje się zachodem słońca. Dlatego przestałem tam chodzić; coś, co znajdowało się na plaży, przyzywało mnie — ale nie wiedziałem, co to było. Równocześnie z wzrastającą niechęcią opuszczałem szalas. Z obsesyjną obawą myślałem, że ktoś może przyjść i uszkodzić roślinę lub zniszczyć owady. Narzuciłem sobie rolę strażnika. Niejednokrotnie przezywałem siebie smutnym dorosłym, co to gromadzi zapasy na zimę, która przecież zdarza się niezmiernie rzadko. Z jakichś powodów Luisa została ze mną. Kontynuowała swoje wycieczki, zamykała się w sobie i doprowadzała do wściekłości zabawami z lalkami, długimi i nudnymi, które rozbierała i ubierała, czesała i burzyła im włosy. Dochodziło nawet do tego, że rozmawiała z nimi i zapraszała na herbatę.

Tymczasem powiększał się ów mały świat wokół rośliny, widocznie wznoszącej się ku górze. Była teraz jeszcze mocniejsza i twardsza i sięgała już mojego pępka. Czułki coraz grubsze, podobne teraz do trąby słonia, rozrastały się równo i wciąż opierały swoje wargi o ziemię. Główną, fioletową barwę pokryły teraz głębokie tony zieleni i czerwieni. Mrówki pracowały w gorączkowym pośpiechu. Było już osiem uporządkowanych kolumn robotnic, które niezmiennie przychodziły i odchodziły. Powstały nowe ścieżki prowadzące z mrowiska ku roślinie. Muszki grupowały się w małe kolonie, z wyglądu przypominające baldachy wydawać by się mogło, iż porzuciły swój obyczaj przebywania w samotności, który czynił je tak sympatycznymi i odróżniał je od innych krewnych, żeby łączyć się w ciemne plamy zdobiące ściany i dach, zawsze jednak w pobliżu rośliny. Teraz wchodziły w kanaliki czułek już nie pojedynczo, lecz gromadami.

Wydawało mi się, że sprawy na tyle dojrzały — była to wyłącznie kwestia mojej intuicji, ponadto czułem się tak, jakbym otrzymał nakaz od samego siebie, aby ów fakt zaakceptować bez dyskusji — żeby powziąć wreszcie decyzję wyjaśnienia paru rzeczy, zaczynając od wykretów Luisy.

— Gdzie jest Inés? — zapytałem poważnym tonem.

Udawała, że nie rozumie, o co mi chodzi, ale ponieważ spuściła wzrok, wiedziałem już, że się nie pomyliłem. Próbowałem rozmówić się z nią po dobremu, ale szybko straciłem cierpliwość i wykręciłem jej rękę. Szarpała się ze mną, wreszcie, zwrócona do mnie plecami, upadła na kolana i poczęła krzyczeć i skarżyć się, że ją boli i że złamałem jej rękę. Nie zwalniałem uścisku. Kiedy już mi się udało wyrwać jej obietnicę, że powie mi wszystko, jak ją puszczę, nadeszli tamci i na widok tej sceny stanęli jak wryci.

Luisa wykorzystała moje zmieszanie, wyrwała mi się i odsunęła na bezpieczną odległość. Jej oczy błyszczały od łez i złości. Wyciągnęła ku mnie palec wskazujący i krzyknęła do nich:



— Jorg oszalał! — i przesuając palec ze mnie na róg szafasu dodała: — Z powodu tej rośliny!

Tamci nigdy by jej nie zauważyli, a nawet jeśliby i tak się stało, pewnie nie zwróciliby na nią szczególnej uwagi. Ale teraz z ciekawością wpatrywali się w róg szafasu. Pamiętam jeszcze twarze Estebana i Lucii, Alberta i Sihii wyrażające zdziwienie i wstręt. Fakt, że nigdy dotąd nie widzieliśmy podobnej rośliny. Zgadzam się i z tym, że jej wygląd nie sprawiał patrzącemu przyjemności, podobnie jak żyjątko, które uwijały się wokół niej.

— Ani słowa więcej — ostrzegłem Luisę patrząc na nią surowym wzrokiem. Jednak szybko zrozumiałem, że nakazując jej milczenie niewiele wskóram, więc ledwo otworzyła usta, uderzyłem w nie pięścią, zagłuszając pierwsze słowa, lecz zarazem rozcinając jej wargę, z której trysnęła krew. Tamci podzielili się na dwie grupy: pierwsza złożona przede wszystkim z dziewcząt podbiegła ratować Luisę, która płakała i krzyczała, druga z przeważającą liczbą chłopców, zbliżyła się do mnie i do rośliny. Zasłoniłem ją sobą.

— Jorg — powiedział Alberto. — Jorg...

— Do diabła! — powiedziałem. — Wynoście się stąd! — Jorg, nie mów, jak dorosły. Co się tu dzieje?

— Nic, co by mogło was obchodzić. Idźcie sobie. Szafas jest mój. Luisa jest moja. Roślina jest moja. Nic tu po was. Wynocha!

Wahali się przez chwilę, ale wydało mi się, że się porozumieli w milczącej zмовie, żeby rozprawić ze mną. A na taką ewentualność byłem przygotowany. Kiedy Eduardo podszedł do rośliny, już trzymałem lewą ręką poręcz krzesła, które wcześniej sobie przygotowałem, natomiast prawą pochwyciłem jedną z pozostawionych tu butelek. Uderzyłem nią o belkę ściany i uniosłem wygrażając szyjką o ostrych, nierównych brzegach. Eduardo cofnął się.

— Wyjdźcie stąd — powiedziałem i zacząłem podsuwać raz jednemu, raz drugiemu szkło do oczu. Wszyscy cofnęli się ku drzwiom. Dziewczęta też. Nie ruszyła się tylko Mabel, która nie uczestniczyła w zajściu. Przez cały czas siedziała na ziemi, w rogu szafasu, prawie skryta za łóżem.

— Luisa tu zostanie — dodałem chwytając jej rękę, bo Esther i Alberto próbowali zabrać wciąż jeszcze płaczącą i pokrwawioną dziewczynę. Ale butelka, którą wymachiwałem, była dobrym argumentem, więc puścili ją. Wreszcie wyszli wszyscy i zamknąłem drzwi na zardzewiałą zasuwę, której nigdy nie używaliśmy. Sporo się naszarpałem, żeby ruszyła z miejsca.

## IV

Moja fizyczna przemiana zbiegła się w czasie z ustaleniem się nowych układów między mną i obu dziewczętami. Mabel została w szałasie, żeby pocieszyć Luisę i pomóc jej zatrzeć niemiłe wrażenie po moich ciosach i przywrócić ją temu dziwnemu światu stworzonemu przez mnie, nią samą, roślinę i owady. Mabel stała się nieodzownym członkiem naszej społeczności. Pełniła rolę szpiega znoszącego uspokajające wiadomości. Wyjeżdżała nawet parę razy tam, gdzie mieszkali dorośli, skąd przywoziła różne przedmioty, które skrzętnie gromadziłem: oskard, łopatę, taczki, wózek, puszki z jedzeniem, parę zapalniczek i wiele innych rzeczy. Luisa nie zaprzestała swoich wycieczek; pierwszego dnia, kiedy opuściła szałas, bardzo się niepokoiłem, sądziłem, że już nie wróci, ale przyszła. Dałem jej spokój i w dalszym ciągu przygotowywałem strategię obrony i gromadziłem potrzebne mi rzeczy. Jednak najwięcej czasu spędzaliśmy na zabawach erotycznych, osiągając we trójkę warianty, jakich wcześniej nie mógłbym sobie wyobrazić. Ale czułem się coraz bardziej obcy i rozdarty. Dziwne, że właśnie Mabel inicjowała te zabawy.

Roślina traciła czułki, ustała też aktywność muszek i mrówek — zapewne rozpoczynał się jej okres życia utajonego. Muszki zbijały się w wielkie baldachimy, coraz bardziej podobne do kul, z których odrywała się nieskończona ilość gałązek, oczywiście złożonych z muszek, łączyły się one w inne kule i praktycznie zajmowały cały sufit i wszystkie ściany szałas. Mrówki wycofały się do mrowiska, choć od czasu do czasu można było zauważyć, jak pojedynczo przemierzały dawne szlaki lub zajmowały się badaniem nowych.

Po paru tygodniach takiego życia moja skóra przybrała, już na stałe, ów wygląd starej porysowanej i popękanej skorupy szarej barwy, który tak przeraził Luisę, kiedy spojrzała na mnie w ulotnej chwili mojego orgazmu. Mogłem grzebać palcami w głębokich szczelinach twarzy o konsystencji kartonu, która jakby stawała się coraz twardsza i podobna do kamienia. Ciało miałem szare, jakby posypane popiołem, natomiast owłosienie na nogach, rękach i piersi stało się białe. Zauważyłem, że zaczęły mi rosnać nowe włosy, białawe, wszędzie tam, gdzie dotąd ich nie było, to znaczy: na głowie, plecach, po wewnętrznej stronie rąk i na udach. Odkryłem, że wyglądają jak puch dmuchawców rosnących w polach i na skraju dróg.

Moja umysłowość też uległa zmianie; w pewnym sensie powróciła owa prymitywna nieświadomość z czasów, zanim pojawił się cudzoziemiec. Bowiem teraz nie czułem się już częścią otaczającego mnie świata, nie rozkoszowałem się smakiem owoców, ani nie radował mnie zachód słońca, na który zresztą nawet nie próbowałem spoglądać. I choć nie oddawałem się zbyt często rozmyśleniom, miałem, dzięki ulotnym wizjom, wyobrażenie tego, co powinienem czynić i czyniłem to bez zbędnego zadawania sobie pytań.

Pewnego dnia poszedłem pospacerować do lasu, bowiem nabrałem przeświadczenia, że mogę z całym spokojem zostawić dziewczyny same i przykazać im, aby pilnowały naszego domostwa. Po powrocie, już późną nocą, zastałem przerażającą scenę. Mabel leżała bez przytomności na ziemi, a Luisa poruszała się gwałtownie, nie wiem, czy powodowana doznawaną rozkoszą, czy desperacko

próbowała się obronić, w ramionach monstrum, które przyciskało ją do łoża. Ogromne czarne dłonie zamykały w kleszczowym uścisku piąstki Luisy i drugie, takie same, gniotły kostki jej nóg, utrzymując je w rozchyleniu. Ramiona i uda owego monstrum nie łączyły się z czarnymi dłońmi i były od nich nieco cieńsze, te ramiona plątały się w miejscu, gdzie powinny znajdować się barki albo głowa, bowiem szyja też nie miała wyraźnego kształtu. Dalej barki zwężały się, a zamiast palców widać było jeszcze jedno ramię, grubsze od pozostałych, z którego wyrastały dwie nogi. Na wysokości brzucha Luisy i w miejscu gdzie ramię rozdzielało się na dwie nogi, znajdowała się ogromna kulista wypukłość. Na białym prześcieradle trudno było nie spostrzec mnóstwa martwych muszek. Luisa zwróciła ku mnie głowę i popatrzyła takimi oczami, że nie byłem pewien, czy zauważyła moją obecność — były przerażone i niemal wychodziły z orbit. Ale równocześnie jej usta układały się w tak dobrze mi znany wyraz rozkoszy. Zwróciłem się więc ku Mabel i stwierdziłem, że oddycha. Starałem się doprowadzić ją do przytomności zimną wodą i lekkim poklepywaniem policzków.

Istota, myślę, że to było najbardziej zadziwiające, nie posiadała stałej postaci, stałego wyglądu. Wydawało mi się, zewrze, pęcznieje w jednym miejscu i nagle tęchnie w drugim. Na chwilę zanikała jakaś część jej ramienia lub nogi, niemniej z tego powodu ręka nic przestawała ścisnąć, gdyż zaraz nabierała poprzedniej formy.

Wreszcie po paru wstrząsach ciała Luisa zamknęła oczy i odetchnęła. Potem monstrum rozsypało się. Jego przednie i tylne ręce rozsypały się w tysiące maleńkich muszek, które w beładzie powróciły na sufit i ściany, potem to samo stało się z ramionami i nogami i z tym co mogło być korpusem. Wreszcie środkowa ogromna wypukłość, nie rozpadając się, oderwała od Luisy i wzniosła w powietrze. Mogłem zobaczyć coś, co przypominało ogromny męski członek wiszący przy tej wypukłości, ale o bardziej złożonej budowie niż ludzki. Przy jego zakończeniu znajdowały się jakby czułki, podobne do tych, które obleciały z rośliny w słabym świetle lampy dostrzegłem przy każdym z nich maleńką, doskonałą w swym kształcie rączkę i wiele innych, bardzo dziwnych form. Wszystko to razem tworzyło niemal idealną kulę, która powoli popłynęła w górę i zaczęła się rozpadać, zachowując pewien porządek. Muszki zebrały się w niewzruszone baldachimy i ponownie oblepiły ściany.

Mabel wróciła do siebie, ale długo musiałem czekać, żeby obydwie odzyskały mowę. Choć płonąłem z niecierpliwości, chcąc usłyszeć ich opowieść o tym wydarzeniu, musiałem czekać aż całą godzinę, ale i tak niewiele mi wyjaśniły. Żadna z nich nie spostrzegła, jak zaczęła się formować ta ogromna wypukłość z członkiem. Mabel nagle poczuła, że coś ją łaskocze po brzuchu, spojrzała, zobaczyła to, krzyknęła potem odepchnęła od siebie owe maleńkie poruszające się kształty, które przejęły ją wstrętem. Zdjęła więc pas i zaczęła bić nim tę rzecz. Luisa nie zdążyła ostrzec Mabel, że coś podobnego zbliża się do niej również od tyłu. I wtedy zbita masa muszek uderzyła ją w głowę i dziewczyna straciła przytomność. Wówczas ta istota scaliła się przybierając formę, w jakiej ją zobaczyłem, skierowała się do Luisy i zgwałciła ją w sposób, w jaki zrobiłby to mężczyzna. Luisa wyznała, nie bez zażenowania, że nigdy przedtem nie czuła takiej rozkoszy, jak w chwili orgazmu owego monstrum.

## V

Proces przemiany przebiegał w szybkim tempie. Głowa ciążyła mi coraz bardziej, ciało słabło. Owłosienie rosło równo wszędzie nadając mi dziwny wygląd. Paręnaście włosków podobnych do cieniutkiego, zupełnie białego pierza, łączyło się z sobą w jednym miejscu tworząc kępki — miałem ich bardzo dużo na całym ciele. Było mi coraz trudniej poruszać się oraz mówić, ponieważ sztywniała mi szczęka.

W moich snach coraz częściej pojawiały się obrazy erotyczne, bardzo wyraźne, i wszystko działo się na wyspie. Budzące postrach kobiety z wyspy (na samo ich wspomnienie każdemu mieszkańcowi wybrzeży cierpła skóra, z ich to powodu wciąż trzymano w pogotowiu małe liczebnie kontyngenty mężczyzn — właśnie jedna taka grupa zabiła cudzoziemca; im też przypisywano, jak głosiła legenda, choroby czyniące nasze kobiety bezpłodnymi, oraz małą ilość mężczyzn, bowiem zdarzało się, że podczas okrutnych inwazji porywały noworodki płci męskiej) więc te właśnie kobiety z wyspy jawiły się w moich snach i były dobre i piękne, nagie, dojrzałe i podniecające.

Kiedy zerwałem się o świcie, prawdopodobnie obudzony hałasem, który dotarł do mnie podświadomie, bowiem wciąż znajdowałem się w mocy podniecenia erotycznego, będącego wynikiem majaczeń sennych, i miałem jeszcze w oczach barwne obrazy, rozwiewające się jak mgła, wtedy ujrzałem groteskową scenę: Mabel, w zabawnej, nieprawdopodobnej pozycji oddawała się miłosnym igraszkom z rośliną żeby określić to dokładniej — onanizowała się nią. Roślina, po rzuceniu czułek, faktycznie nasuwała jednoznaczne skojarzenia: jej łodyga zdecydowanie miała falliczny kształt. W efekcie to raczej komiczne wydarzenie, choć w pewnym sensie dla mnie niemiłe, okazało się strasznym. Z twarzy i oczu Mabel wyczytałem, iż doświadcza doznań wybiegających poza naturalne odczuwanie rozkoszy lub bólu — jej twarz bowiem i wzrok odbijały tajemne mistyczne przeżycia. Woląłem nie patrzeć, więc odwróciłem się próbując ponownie zasnąć.

Mabel, zdyszana, wpadła do szałasu i zarzuciła nas niepokojącymi nowinami: muszki zaatakowały dziewczęta z wielkiego domu, a teraz wszyscy zbierają się, aby napaść na nasz szałas, zniszczyć roślinę, pozabijać muszki, a być może i nas także, gdybyśmy chcieli sprzeciwić się ich zamiarom. Mówiono nawet o nafcie i pochodniach.

Luisa miała wypukły brzuch i skarżyła się na nudności. Byłem już tak słaby, że nie mogłem nic robić. Wskazałem Luisie, gdzie jest łopata i nakazałem kopać wokół rośliny. Również poleciłem jej, aby zabrała rzeczy i ułożyła je w wózku. Na taczkach umieściliśmy roślinę, którą uprzednio włożyliśmy do dużej puszki. Uzbrojony w oskard ruszyłem przodem. Za mną szły Luisa i Mabel. Jedna pchała taczkę, druga ciągnęła wózek.

— Idziemy do Inés — powiedziałem do Luisy.

Spojrzała na mnie zaskoczona. Przez ten czas nie wspominałem jej o Inés, więc Luisa sądziła, że dawno zapomniałem o całej sprawie. Czekałem na ten właśnie moment i Luisa też zrozumiała, że nic

było innego wyjścia, gdyż sytuacja nie rozwijała się dla nas pomyślnie. Powiedziała nam, że trzeba przebyć las, przedostać się na drugą stronę przez ogrodzenie z drutu, potem iść polem i w miejscu, gdzie się ono kończy, niedaleko od morza, zobaczymy pieczary. W jednej z tych grot była Inés.

W czasie drogi roślina, zapewne pod wpływem słońca, wypuściła dwa małe listki, dotąd stulone. Potem wyrósł ogromny kwiat o grubych mięsistych płatkach. Wewnętrzna strona płatków lśniła nieopisywalnymi barwami. Z kwiatu wybuchała niepokojąca, mocna woń. Ta chmura zapachu mąciła mój umysł, starałem się więc trzymać z daleka od taczek, które pchała Luisa. Jednak nie potrafiłem się powstrzymać, żeby nie podziwiać piękna barw kielicha kwiatu i choć na chwilę nie odetchnąć jego wonią. Dziwne, że ten sam zapach budził w Luisie głęboki wstręt. Wiele razy przystawała i wymiotowała. Nawet musiała zrobić sobie tampon i włożyć do nosa. Ale nic przestawała wymiotować. Powiedziała nam, że ten zapach wchodzi jej do gardła i powoduje nudności. Wkrótce Mabel też poczuła się źle i zauważyliśmy wtedy, że brzuch stał się wypukły.

Wokół mnie unosiły się wdzięczne piórka, na które patrzyłem z miłym uczuciem, przypominały mi bowiem nasionka mleczu, które nazywaliśmy dmuchawcami. Odlatywały przy lekkim podmuchu wiatru, ale zaraz pojawiały się nowe. Dziewczęta odkryły, że te piórka odrywają się od mojego ciała. Pochwyciłem kępkę rosnącą na piersiach i pociągnąłem: oderwała się lekko, nie sprawiając mi przy tym bólu. Włoski splatały się z sobą tworząc załączki, które nic były niczym innym jak kawałeczkami mnie samego. Kiedy oderwaną kępkę podrzuciłem do góry, włoski utworzyły okrągły wachlarzyk, który podtrzymywał nasionko — w ten sposób mogło ono swobodnie unosić się w powietrzu. W miejscu wyrwanej kępki powstał mały otwór i wtedy zobaczyłem, że było ich więcej, a nawet te, które znajdowały się blisko siebie, utworzyły szramy podobne do blizn po wrzodach. Miały barwę popiołu. Dotknąłem takiej blizny na nodze i upewniłem się, że powstała ona po oderwaniu się włosków od skóry. Moje ciało ulegało procesowi rozpadania.

Inés uwiła sobie gniazdo z piór, słomy, skrawków materiału i innych miękkich przedmiotów. Siedziała z uśmiechem na ustach, zgięta w pół, i z niecierpliwością czekała, aż skończy się jej czas odosobnienia. Na chwilę wyciągnęła czerwone jajko, które ukrywała w swoim ciele, i z dumą pokazała je nam, ale nikomu nie pozwoliła się przybliżyć.

— Żyje — powiedziała promieniejąc szczęściem i śmiejąc się z zaraźliwą wesołością. — Porusza się i stuka w skorupkę.

Zaczęliśmy wyładowywać rzeczy. Najwięcej uwagi oczywiście poświęciłem roślinie. W tym miejscu grunt był skalisty, nieco dalej znajdowały się grotty, a za nimi piach i nigdzie nic widziałem ziemi. Bałem się, że piasek nie będzie służył roślinie, równocześnie rozumiałem, że świeżo rozwinięty kwiat potrzebuje słońca. Powiedziałem Luisie, żeby chwyciła taczki, i długo krążyliśmy, zanim się zdecydowałem na wybór miejsca. W końcu, jak mi się zdawało, wybrałem najodpowiedniejsze: osłonięte skałami, słoneczne, z odrobiną ziemi. Luisa znów musiała kopać, ale teraz było jej lżej, gdyż grunt okazał się miękki.

Kiedy wreszcie posadziłem roślinę w oznaczonym miejscu, mogłem zacząć cieszyć się jej widokiem. Wnętrze kwiatu lśniło odcieniami czerwieni i fioletu, a na te barwy nakładały się czarne i białe żyłki, zielony zygzak oraz pomarańczowe i niebieskie niteczki. A wszystko to pachniało, aż skronie tętniły gorącą krwią. Nie mogłem dłużej trzymać się na uwięzi. Kazałem Luisie, żeby sobie poszła, a kiedy widziałem, że jest już daleko z taczkami, podszedłem bliżej do kwiatu. Nachyliłem się napełniając płuca odurzającą wonią i poddałem jego wezwaniu. Nie musiałem zrzucać ubrania,

bo od dawna go nie używałem. Moje ciało nie było wrażliwe na zmiany temperatury, a nasz sposób bycia stwarzał swobodę, więc nie potrzebowałem odzieży. Wydawało mi się, że kwiat zwrócił się ku mnie, żeby ułatwić wejście mojego członka w swą głęboką gardziel. Płatki zacisnęły się słodko i sto maleńkich języczków jęło pieścić mnie aż do utraty zmysłów. Położyłem się na piasku, a kwiat uprzejmie pochylił niziutko. Zamknąłem oczy i trwałem w swoistym odrętwieniu, a owe języczki pozbawiały mnie myśli, wnętrzości, życia.

## VI

Do groty powróciła, nie wiem po jakim czasie nieobecności, dziwna istota ledwo podobna do mnie. Przestraszyłem sobą dziewczęta. Podtrzymałem głowę w rękach, bowiem ów kamień nabrał ciężkości, a z ciała pozostało już bardzo niewiele. Miałem ściśnięte szczęki i mówiłem z ogromną trudnością. Luisa i Mabel leżały na plecach.

Brzuchy i piersi miały niezwykle nabrzmiałe. Tylko Inés nic się nie zmieniła. Ja zaś nie mogłem się opędnąć przed jedną natrętą, obsesyjną myślą. Zwróciłem się do Luisy:

— Trze-cie-czer-wo-ne-jaj-ko — wydałem z głębi wnętrza ledwo dosłyszalny głos.

— Zostało tam, w wielkim domu — powiedziała, a ja poczułem, że zalewa mnie fala wściekłości.

— G-dzie — zapytałem, a ona szybko odrzekła, że schowała je w puszcze, na najwyższej półce w kuchni, i że tam na pewno nikt nie będzie grzebał. Chwiejnym krokiem podszedłem do wyjścia groty.

— Jorg! — krzyknęła Mabel. — Nie waż się tam iść! To szaleństwo!

Wszystkie trzy podniosły lament, ja jednak nie zatrzymałem się, żeby im wytłumaczyć — byłoby to próżną próbą — że nawet nie mogę umrzeć, że nie jest możliwe, abym doznał jakiegokolwiek krzywdy, i że nigdy nie zaznałbym spokoju, gdybym nie spełnił swojego zdania.

Z szałasów pozostała tylko sterta desek i dymiące jeszcze zgliszcza. Poszedłem do wielkiego domu. Zastałem tam tylko Virginie, najmłodszą z nas. Miała dziesięć lat. Ujrzawszy mnie, wydała okrzyk przerażenia — nie poznała. Trudno mi było zachować się elegancko, ale wreszcie jakimś sposobem przekonałem ją, że to ja, a nawet, że powinna mi pomóc. Wdrapała się na krzesło i pochwyciła puszkę. Otworzyła wieczko i faktycznie — czerwone jajko tam było. Nie mogłem posługiwać się rękami, bo musiałem podtrzymywać nimi głowę. Z wielkim trudem wytłumaczyłem jej, jak ma dojść do groty, i poprosiłem, żeby schowała jajko pod sukienkę, żeby dobrze go pilnowała i nikomu nic nie mówiła.

— Idą — szepnęła Virginia.

— Szyb-ko — powiedziałem — drzwi-ami-od-kuch-ni-do-gro-ty-już.

— A ty?

— Nie-ma-cza-su-idź-już.

Spojrzała na mnie ze łzami w oczach i przewyciężając wstręt zbliżyła swoje małe usteczka do wyschłego kamienia i złożyła na nim wilgotny pocałunek. Potem wybiegła, aby spełnić swoją misję: to była jeszcze mała dziewczynka, więc wszystko rozumiała. Pokuśtykałem do drzwi wejściowych i czekałem na moich towarzyszy.

Nie rozpoznali mnie, ale i ja nie starałem się im w tym pomóc. Przerazili się na mój widok i rozbiegli na wszystkie strony. Niezadługo wrócili uzbrojeni w kije. Alberto uderzył mnie w ramię i

chmura nasion wzniosła się w górę, rozwiewając radośnie w pierwszym podmuchu wiatru. Uderzyło mnie w głowę i kij się złamał. Nic mogłem się śmiać, więc tylko krótki, nieartykułowany dźwięk przecisnął się przez moje wargi. Potem rzucili się na mnie wszyscy bijąc zapamiętałe. Wkrótce pozostał ze mnie szkielet i parę bardziej odpornych skamieniałych organów. W górze tańczyła chmura dmuchawców i rozwiewała się powoli na wszystkie strony świata. Głowa potoczyła się parę metrów dalej.

Chłopcy odeszli, aby żyć wśród dorosłych i nie wrócili już do burdelu. Dopiero po paru dniach ktoś znalazł moją głowę. Miałem wciąż otwarte oczy, nie myślałem o niczym. Niekiedy mózg rozjaśniła mi jakaś myśl, ale szybko gasła — jak iskierka. Nie, nie nudziłem się.

Podeszła do mnie jakaś dziwna postać z wyglądu przypominająca ogromną kobietę, która jakby dopiero się narodziła. Szła z trudem i była wysoka jak wyobrażone przeze mnie kobiety z wyspy. Ale jej skóra miała czarną barwę o metalicznym połysku i jakby była zbudowana z milionów maleńkich kuleczek. Zatrzymała się parę kroków przed moją głową i zaczęła się jej pilnie przypatrywać.

— Jorg — rzekła.

Nie mogłem mówić. Podeszła bliżej do mojej głowy i spróbowała się pochylić. Zdołałem ujrzeć jej dłoń, w której doliczyłem się sześciu palców. Padła na ziemię i z ogromną trudnością koordynowała swoje ruchy. Na klęczkach utrzymywała się z większą swobodą. Przyjęła więc tę pozycję, aby pogłaskać moją czaszkę. Zauważyłem, że poprawiła wygląd swojej dłoni: miała już tylko pięć palców.

— Jorg, Jorg — powtórzyła, a jej ciepły głos nie był wynikiem pracy krtani. Gdybym wtedy miał jeszcze serce, zabiłoby mi ono mocno, lecz w efekcie i tak doznałem tego uczucia, mimo braków w mojej budowie. Rozpoznałem wreszcie kobietę. Były to mrówki, jakimś sposobem ocalałe z pożogi szałasów, które zjednoczyły się i zebrały w ludzką postać o doskonałych kształtach. Ta kobieta też miała wypukły brzuch. Z moich jeszcze nie skamieniałych oczu z trudnością wydarły się łzy.

Upłynęło dużo czasu od dnia, kiedy przybył stary F. Na wózku, który ze sobą przyciągnął, złożył moje kości oraz głowę i skierował się ku plaży. Wykopał dół niedaleko grobów kryjących szczątki cudzoziemca, włożył weń mój szkielet i zakopał. Potem siadł w kucki i dłuższą chwilę patrzył mi w oczy, jakby chciał o coś zapytać.

— Stary, ja przecież żyję — chciałem mu powiedzieć. — Nie zakopuj mi głowy, ja żyję. Ale nie mogłem poruszać oczami ani porozumieć się przy pomocy łez, ani w żaden inny sposób. Stary, owszem, wylewał całe ich strumienie i kręcił głową ze smutkiem.

— Stary, no, zrozumie, skurwysynu, nie rób mi pogrzebu, ja żyję — chciałem krzyknąć, ale on kończył już kopanie drugiego dołu. Z ogromną ostrożnością włożył doń moją kamienną głowę i przysypał ją piaskiem.

Opuściłem powieki i już nie mogłem ich podnieść. Nie było to potrzebne. Płynął czas i rodziła się we mnie świadomość słońca, powietrza, barw i tego wszystkiego, co zawsze kochałem.

Ziarna, wiele ziaren, padło na żyzną ziemię i zakiełkowało, tworząc nowe formy mojego istnienia. Wszędzie. W lesie, w polu, na wyspie w piasku, w ziemi, za rzeką dalej i jeszcze dalej, głębiej i jeszcze głębiej, wyżej i jeszcze wyżej. I w innym wymiarze. Zapomnę o tej kamiennej głowie zakopanej na plaży, bowiem oto rodzę się słodko i radośnie, aby rozpocząć prawdziwe życie.



*Luis Britto Garda*  
*Futuro*

# Przyszłość

*Teza:*

Stworzono społeczeństwo doskonałe: rasę ludzką na zawsze zabezpieczono przed właściwym jej gatunkowi popełnianiem szaleństw. Ludzie gotowi byli poświęcić wszystkie swoje siły zrealizowaniu wielkiego celu.

*Antyteza:*

Ale wówczas ludzkość spostrzegła, że nie istniał żaden cel, dla którego mogłaby się poświęcić.

*Synteza:*

Ustanowiono więc jako cel brak wszelkiego celu i ogłoszono nastanie epoki wegetacji.

*Teza:*

Po pierwsze, ludzkość postanowiła wyzwolić się od pracy, więc wszyscy zgodnie podjęli pracę, której celem było wyeliminowanie pracy.

*Antyteza:*

Każdą pracę ludzką zastąpiono pracą maszyn: maszyny budowały inne maszyny, którymi kierowały jeszcze inne maszyny. I tak ludzkość wyzwoliła się od pracy.

*Synteza:*

Ponieważ kończyny oraz mięśnie, które służyły człowiekowi do poruszania się oraz do wykonywania czynności mechanicznych przestały być użyteczne, w związku z tym uległy atrofii, a następnie zanikły całkowicie.

*Teza:*

Po drugie, ludzkość postanowiła zrzucić z siebie jarzmo konieczności jedzenia.

*Antyteza:*

Cały potencjał chemiczny przeznaczono do syntetyzowania protein i węglowodanów, używając w tym celu materii nieożywionej i ciepła, następnie posługując się energią atomową przetworzono w laboratoriach materię i energię otrzymując najczystsza kwintesencję pokarmu, który można było wprowadzać bezpośrednio do krwi. I tak ludzkość wyzwoliła się od jedzenia.

*Synteza:*

A ponieważ jama ustna, żołądek, jelita, wątroba i wszystkie trzewia zaprzestały ciężkiej pracy trawienia, w związku z tym uległy atrofii, a następnie zanikły całkowicie.

*Teza:*

Po trzecie, ludzkość postanowiła wyzwolić się od śmierci.

*Antyteza:*

Najpierw opracowano w laboratoriach metodę usuwania toksyn powodujących degenerację niegdyś zwaną starością, potem skorygowano geny produkujące samozagładę jednostki zwaną śmiercią. Następnie ożywiono materię nieożywioną i zsyntetyzowano protoplazmę i dzięki zsyntetyzowaniu protoplazmy zsyntetyzowano nieśmiertelność. I tak ludzkość wyzwoliła się od

śmierci.

*Synteza:*

Ponieważ ustała potrzeba reprodukcji, organy rozrodcze przestały być użyteczne, w związku z tym uległy atrofii, a następnie zanikły całkowicie.

*Teza:*

Nastała epoka wielkiej światłości — oto mózg, pan wszechświata, osiągnął swą największą moc. Teraz gotów był na najodważniejszą przygodę intelektualną: przyjąć najczystsza formę abstrakcji.

*Antyteza:*

Oto ludzki mózg wyzwolony od pracy, od głodu, od seksu i od śmierci, nic spłodzony w ciele i nie zrodzony z trzewi, jał czynić przygotowania, aby rzucić wszelkiemu stworzeniu owoc swej potęgi. Wielki dzień wielkiego wydarzenia miał niebawem nadejść.

*Synteza:*

Mózg ludzki też przestał być użyteczny, w związku z tym uległ atrofii, a następnie zanikł. Całkowicie.

*Emilio Rodríguez*  
*Plenipotencia*

# Plenipotencja

Ściemniało się, kiedy Estrella Sanchez zeszła do podziemnego przejścia na Santa Fe od strony ulicy Charcas, żeby zjeść lody. Miała jeszcze trochę czasu do wizyty u psychiatry. Pospacerowała po przejściu i wyszła na Santa Fe. Zadzwoiła do zegarynki w budce telefonicznej i sprawdziła godzinę. Ruszyła lekko wskazówki zegarka. Spóźniał się o parę sekund.

Prócz dokładności, z jaką dokonywała tej małej operacji, nie było w osobie, która właśnie skręcała z Santa Fe na ulicę Montevideo i szła w kierunku Vicente Lopez z wyraźnym zamiarem przemierzenia placu nic, co by ją wyróżniało od innych kobiet. Była dwudziesta dwanaście i kilka sekund.

Tego dnia, a był to początek listopada, plac pachniał wiosną i jaśniał fioletowawym zmierzchem. Nie czuło się benzyny ani nic docierał tu zaduch miasta. Ów plac był zieloną wyspą, pachnącą i ciepłą — ludzie bardzo go lubili. Panna Sanchez spojrzała w niebo, czyniąc to z taką powagą, jakby sprawdzała działanie mechanizmu kierującego obrotem ciał niebieskich. Na firmamencie widoczne były tylko gwiazdy pierwszej wielkości. Być może Alfa Centauri błyszczała dziś nieco jaśniej wśród wspaniałego listowia starego drzewa rosnącego na rogu ulicy Las Heras.

O godzinie dwudziestej czternaście panna Sanchez wchodziła do konsultorium lekarza psychiatry.

Zdecydowanie pierwszą wizytę wolę wyznaczyć w konsultorium pod koniec pracy.

Pierwsze spotkanie z psychiatrą zwykle przygnębia pacjenta. Rumieni się, łzy mu napływają do oczu i milczy. Albo odwrotnie: dużo mówi, co w rzeczywistości nic nie wyjaśnia. Tym właśnie charakteryzuje się uczucie lęku, który łatwo poznać po głosie, ponieważ ten stan, podobnie jak u schwytych zwierząt, powoduje ściskanie krtani. Ale po długim dniu wypełnionym pracą psychiatra też ma prawo zadać sobie pytanie: kto teraz czuje ściskanie krtani?

Nowa pacjentka przybyła punktualnie. Nacisnęła guzik — zaśpiewał świerszcz, więc pchnęła drzwi. Właśnie w tym momencie elektrownia wyłączyła prąd i dom ogarnęła ciemność'. To absurd, śmieszne, żeby w konsultorium psychiatrycznym nic było światła! Czy to nie może wydać się podejrzane? W ciemnościach krtani ścisną się jeszcze bardziej. Przeklęta elektrownia.

— Pani Sanchez?

— Tak, panie doktorze, to ja.

— Przykro mi, proszę pani, ale właśnie zgasło światło. Proszę chwileczkę zaczekać, pójdę po świecę.

Uniósłszy do góry zapalniczkę, szedłem do kuchni w kierunku kredensu, po drodze rozluźniając krawat. Panna Sanchez była po mojej prawej stronie — zapaliła papierosa.

Na biurku już stały dwie świece e. Psychiatra patrzył na mnie z uwagą, jakby chciał coś wyczytać z gry cieni na mojej twarzy. Oczywiście było to do przewidzenia.

— Ale ja panią skądś znam, panno Sanchez — odezwał się psychiatra. — Pani twarz nic jest mi obca.

— Tak, panie doktorze — powiedziałam. — Znamy się z wykładów. I wtedy przypomniał mnie sobie.

— Ależ tak, oczywiście, pamiętam. To pani oprócz socjologii studiowała fizykę. — Astrofizykę — poprawiłam, patrząc na zegarek (dwudziesta dwadzieścia jeden).

— Tak, tak. Dobrze panią pamiętam.

Nastąpiła cisza, ale bardzo krótka, po czym psychiatra podnosząc rękę do krawata, zapytał z miłym zawodowym uśmiechem:

— W czym mogę pani pomóc?

— Panie profesorze, muszę z panem porozmawiać.

— Oczywiście. Słucham panią. Poczęstował mnie papierosem i zapaliliśmy.

Patrzyłam na niego i myślałam o wątpliwościach, jakie nękały mnie przez cały ostatni tydzień, o niezdecydowaniu trapiącym mnie w tamtym miesiącu, wreszcie o samotności, która była jedynym moim towarzyszem przez całe cztery lata. Uczyniłam ruch, jakbym chciała wstać, ale w końcu zaczęłam mówić.

— Panie doktorze, wydaje mi się, że posiadam moc tworzenia nowych. — Słucham panią?

— Posiadam moc, umiejętność, zdolność prowokowania wybuchu gwiazdy, który w konsekwencji powoduje efekt powstania nowej.

Psychiatra nic nie powiedział.

— Pan mi oczywiście nic wierzy?

— Właśnie, proszę pani, nic wierzę.

— Tak też myślałam i dlatego nie przyszłam do pana przed czterema laty, kiedy to się zaczęło. Zapewniam pana, że czekałam z tym bardzo długo.

— Przepraszam panią, ale chyba niezbyt dobrze panią zrozumiałem. To znaczy, że wierzy pani w to już cztery lata?

Panna Sanchez sprawdziła czas (dwudziesta dwadzieścia cztery) i wyjaśniła:

— Przed czterema laty spowodowałam wybuch Alfy Centauri. To znaczy już wtedy byłam o tym głęboko przekonana. Ta gwiazda znajduje się blisko Słońca — odległość wynosi zaledwie cztery lata świetlne. A dokładnie cztery lata, cztery miesiące z ułamkami. Rezultat tamtej eksplozji da się odczuć (znów spojrzę na zegarek) za pięć minut i dwadzieścia sekund.

— Rezultat?

— Tak. Z powodu nowej noc stanie się jasna jak dzień. Będzie dwa razy jaśniej niż w samo południe. Albo więcej.

Psychiatra patrzył na nią dobrą chwilę, po czym odsunął kotarę i otworzył okno. Lekki wiosenny wietrzyk poruszył płomykami świec. Stolica była pogrążona w ciemnościach.

— Zaczekamy w milczeniu, czy woli pani tymczasem rozmawiać?

Panna Sanchez spojrzała na niego bez słowa, bez wyrazu, jakby właśnie teraz najważniejszą czynnością powinno być oczekiwanie. Po minucie psychiatra zapytał:

— Czy pani również spowodowała wyłączenie prądu?

Panna Sanchez spojrzała na niego brązowymi oczami i rzekła:

— W tym momencie niepokoi mnie tylko jedna rzecz...

— Tak? A co to takiego?

— Losy naszego Słońca.

Pozostałe minuty upłynęły w milczeniu. Obydwoje myśleli o rozmaitych fenomenach, o majakach i halucynacjach, o metafizyce, strategii Jozuego, który zatrzymał słońce, kradzieży dokonanej przez Prometeusza, granicy ludzkich możliwości, fioletowym blasku późnego wieczoru, który spływał na wygaszone miasto.

Tryliony cząsteczek świetlnych płynęły po grzebieniu fali, która rozświetliła część Wszechświata. Biała plama pędząc z największą prędkością kosmiczną oświetlała swoją drogę jasnym blaskiem. Sercem tego niezwykłego ognia była Alfa Centauri, buchający żarem kocioł, który w przeciągu paru godzin wchłonął energię Słońca. Stało się to cztery lata temu. Nikt w kosmosie, jeśli pozostał żywy, nie wie o tym wydarzeniu. Bieg światła skierowany jest teraz ku najbliższym sferom niebieskim: Słońcu i jego planetom.

Efekt nowej nastąpił punktualnie o dwudziestej trzydzięci. W jednej chwili noc stała się dniem. Białe światło poraziło wzrok, przyzwyczajony do nocy, do pory, która powinna być nocą. Po zachodzie słońca człowiek posługuje się światłem niewspółmiernie słabszym od blasku dnia: świecą, żarówką... i dostosowuje się do nocy. Ale teraz wydarzyło się coś zupełnie innego. Była dokładnie dwudziesta trzydzięci.

Noc była biała, białe niebo. Wszystko było białe: ręce psychiatry, biurko, płomień świecy, uśmiech panny Sanchez.

Uśmiechała się przez chwilę. I w tej maleńkiej chwili psychiatra uwierzył, że ona naprawdę spowodowała wybuch gwiazdy, jednym gorącym tchnieniem zdmuchując historię z firmamentu nieba. Ten jej niewiarygodnie biały uśmiech.

Pacjentka i psychiatra spojrzeli po sobie. Właściwie nic widzieli się, ukryci w fantasmagorycznym świetle. W końcu panna Sanchez zdmuchnęła świecę. Uśmiech nova jakby się nieco oddalił.

— Dlaczego pani to zrobiła? — Nie wiem.

Psychiatra poczuł gwałtowną potrzebę zdobycia roli dla siebie, i to nie najgorzej, w procesie powstania świetlnej katastrofy.

— Jak pani to zrobiła?

Panna Sanchez spojrzała na niego i jej oczy zamieniły się w dwa punkciki. Po chwili krzyknęła:

— Nic! Nic! Tylko nic to!

— Ale dlaczego nic? Nic rozumie pani, że musimy sobie wszystko wyjaśnić? Panna Sanchez zadrżała.

— A czy pan, doktorze, nic zdaje sobie sprawy, że jeśli będę teraz myśleć, jak to zrobiłam, wówczas mogę spowodować wybuch następnej gwiazdy?

Czy powiedziała to z wyższością i Tryumfem? Psychiatrę ogarnął strach. Strach racjonalny. System słoneczny to przecież jego skarb, jego najczulszy punkt. Musiał zyskać na czasie, żeby zebrać myśli, więc rzucił pytanie:

— Dlaczego spowodowała pani wybuch właśnie tej gwiazdy? — Wiedział, że zadał pytanie absurdałne. W rzeczywistości żadne pytanie nie miało sensu: „Czy zamierza pani zrobić to jeszcze raz?”, „Czy pani rozumie, co pani zrobiła?”, „Obieca mi pani, że się to nic powtórzy?”, „Będzie pani grzeczna?”.

Ten jej niezwykły uśmiech. Udając, że osłania oczy przed światłem, pochylił głowę i włożył rękę do prawej szuflady biurka. Dotknięcie chłodnej stali przywróciło mu pewność siebie. Zadał znów pytanie ważkie i istotne, choć wiedział, że odpowiedź w niczym nie zmieni jego decyzji:

— A czy Słońce znajduje się w niebezpieczeństwie?

Panna Sanchez uderzyła w płacz, wydając odgłosy podobne do trzasku płonącej woskowej zapalniczki. Po chwili uniosła głowę: psychiatra ujrzał teraz zza jarzącej się siatki łez dwie małe jak punkciki źrenice i uśmiech lub prawie uśmiech na ustach.

— Wciąż podlega mojej kontroli. Robię, co mogę.

Psychiatra wystrzelił ostrożnie i szybko. Kula przeszła czoło panny Sanchez, pozostawiając maty otwór barwy chromu. Wybuchła w jej mózgu. Teraz należało odczekać przy zwłokach osiem minut. Tyle właśnie brakowało, żeby światło słoneczne dotarło tu niosąc z sobą, bardzo możliwe, że tak, apokaliptyczną grozę. Pełen nieufności czekał.

Efekt nowej nastąpił punktualnie o dwudziestej trzydzieści.

W jednej chwili noc stała się dniem. Białe światło poraziło wzrok przyzwyczajony do nocy, pory, która powinna być nocą. Po zachodzie słońca człowiek posługuje się światłem niewspółmiernie słabszym od blasku dnia: świecą, żarówką... i dostosowuje się do nocy. Ale teraz wydarzyło się coś zupełnie innego. Była dokładnie dwudziesta trzydzieści.

Widziałem białe ręce pacjentki nowej, głowa płonęła mi, jakby wybuchł w niej magnez, i nic mogłem się skupić. Zawsze chciałem przeżyć coś tak niezwykłego, znaleźć się w kręgu magii, wbrew wszelkim oczywistościom i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Właśnie to było moim pragnieniem. Dotknąć czystej halucynacji, podać jej rękę i pozwolić poprowadzić się w delirium i razem w czarnym rytuale rzucić w ogień męczącą księgę logiki. Tak, ale co się dzieje w tym momencie? Oto tutaj znajduje się kobieta, która pali gwiazdy i czyni z nocy dzień. Co mam jej powiedzieć? „Zagrajmy w pchełki, moje będą żółte jak słoneczka”? Albo jeszcze inaczej: „Nie znęcaj się panienko nad swoją macicą”? Absurd. Ale czyżbym i ja miał wkrótce oszaleć?

Ale musiałem coś wreszcie powiedzieć.

Musiałem coś powiedzieć i zdecydowałem się zadać jej pytanie, dlaczego to zrobiła, a ona stwierdziła, że nic jest to właściwe pytanie, ponieważ takie pytania nie mają sensu. Ma rację, nic mam więcej pytań. Ale też przestałem się bać. Jednak coś trzeba było powiedzieć tej kobiecie, patrzącej na mnie z uśmiechem, jakiego nigdy u nikogo nie widziałem. Z uśmiechem, niewiasty niesprzedajnej, jakby rzekł Jozue. W jaki sposób Jozue zatrzymał Słońce?

„Ja nie jestem Jozuem”, odpowiedziała i wtedy zrozumiałem, że ona czyta w moich myślach. Potwierdziły się moje wcześniejsze przypuszczenia. Nic mogłem jej zabić, nie było to możliwe ucieszyłem się, że wtedy nie potrafiłem się skupić, że myślałem tak chaotycznie. Przecież czytała we mnie jak w otwartej księdze. Tym razem nie przestraszyłem się jej tak bardzo, ona sama szepnęła mi, że nie ma powodów, żeby się jej bać. Poczulem się nawet bezpieczniej w jej obecności i zapaliłem świecę. Zapytałem, czego sobie życzy, a ona odrzekła mi z uśmiechem niewiasty niesprzedajnej.

— Nic będziesz miał bogów cudzych przede mną.

Efekt nowej nastąpił punktualnie o dwudziestej trzydzieści.

W jednej chwili noc stała się dniem. Białe światło poraziło wzrok przyzwyczajony do nocy, pory, która powinna być nocą. Po zachodzie słońca człowiek posługuje się światłem niewspółmiernie słabszym od blasku dnia: świecą, żarówką... i dostosowuje się do nocy. Ale teraz wydarzyło się coś zupełnie innego. Była dokładnie dwudziesta trzydzieści.

Nie widać innych barw, dominuje tylko białe światło. Naprzeciwko mnie białe ręce psychiatry, jego zasepiona biała twarz z wyczekującą miną:



— Dlaczego pani to zrobiła — zapytał mnie.

— Bo... — zaczęłam i nie mogłam powstrzymać płaczu.

Chciałam mu powiedzieć, że zrobiłam to powodowana miłością i nienawiścią, że pewnej nocy omal nie oszalałam, kiedy czułam się kosmosem, w którym, w którym gwiazda była tylko maleńkim atomem, i jaka się czułam samotna będąc tylko sobą — nikim, nikim wpatrującym się w niebo. Ale nie mogłam mu tego powiedzieć i dalej płakałam.

Psychiatra nic nie odpowiedział. Wydawało mi się, że jest zamyślony, ale jego twarz nic nie wyrażała. Przez pięć minut siedzieliśmy w milczeniu. Potem zapytał mnie:

— Jak pani to zrobiła?

— Nie wiem, panie doktorze, nie pamiętam — bąknęłam.

Uniosłam głowę i wtedy wszystko wyczytałam z jego twarzy. Krzyknęłam: — Niech pan tak na mnie nie patrzy! Panie doktorze!

— Nie rozumiem, o co pani chodzi.

— Niech się pan tak nic uśmiecha. Jaki straszny jest ten pana uśmiech! Boże, jak ja się boję!

— Ależ, panno Sanchez — zaczął mówić, ale mu przerwałam:

— Nie, proszę tak na mnie nie patrzeć!

Przysięgam było coś demonicznego w wyrazie jego twarzy. Nigdy jeszcze tak bardzo się nie bałam.

A potem, polem jego głos złagodniał i stał się miłszy, jakby ojcowski. Ale zamknęłam oczy, żeby nie patrzeć na jego twarz.

— Panno Sanchez, niech pani oddycha powoli, niech się pani uspokoi. Rozumiem, jakie to było dla pani nieprzyjemne, kiedy przekonała się pani, że faktycznie posiada moc tworzenia nowych. To panią zdenerwowało i przestała mi pani ufać. A ja tylko wtedy będę w stanie panią wyleczyć, jeśli uzyskam jej zaufanie.

— Ja chcę panu ufać — zawahałam się.

— Bardzo dobrze — odpowiedział. — Więc niech mi to pani udowodni. Proszę wyjawić tajemnicę swojej mocy.

— Nic wiem, nic pamiętam, jestem zdenerwowana...

Chyba go okłamałam. Ale może mu w końcu powiem, tak bardzo potrzebuję czyjejś opieki. Tylko że...

— Nie szkodzi, zaraz pani sobie przypomni — powiedział psychiatra ciepłym przekonywującym głosem, wyciągnął rękę w kierunku sofy i kazał mi się położyć i odprężyć.

— Proszę się nic martwić — powiedział mi. — Wyleczę panią, ale najpierw proszę mi odkryć tajemnicę pani mocy. Rozumiemy się?

— Tak, panie doktorze — odrzekłam i poczułam się pewniej.

— Dobrze — doszedł do mnie uprzejmy głos psychoanalityka — pani zapomniała, jaka to tajemnica pani mocy. Ale ta tajemnica pani ciąży, męczy panią. Proszę się nie martwić, wydobędziemy ją. Proszę teraz wypowiedzieć pierwszą myśl, jaka przyjdzie pani do głowy. Zrozumieliśmy się?

— Tak, panie doktorze — odrzekłam i nagle pojawił mi się przed oczami pewien obraz z dzieciństwa i pomyślałam, że muszę o tym powiedzieć doktorowi.

— Dziwne, coś sobie przypominam. Kiedy Alberto i ja byliśmy jeszcze dziećmi... Alberto to mój kuzyn, któregoś wieczora wymyśliliśmy sobie zabawę w świetliki. Najpierw do tego celu

chwytaliśmy muchy, a potem pszczoły i latające mrówki. Jeszcze lepsze były takie rogate chrząszcze, bo dawały więcej światła. Ale najjaśniej płonęły szarańcze — prawie tak jak neonówki w biurach. Nasze świetliki były bardzo ładne, ale spadały i zdychały. Kiedy Alberto oślepl, mama nie pozwoliła nam się już razem bawić... Ach!... Tak...

Efekt nowej nastąpił punktualnie o dwudziestej trzydzięci.

(Gabinet psychiatrii, typowy, z dużym biurkiem, zwyczajnym, na którym leżą rozrzucone papiery; jest trochę ciemno. W dwie butelki po napojach gazowanych włożono zapalone świece. Wyłączono prąd elektryczny. Lekarz i pacjentka siedzą przy biurku, naprzeciwko siebie. Trwa badanie. Okna są szeroko otwarte. Następuje efekt nowej. Pokój zalewa oślepiające światło, dwa razy silniejsze od słonecznego).

**PSYCHIATRA:** Boże! To nieludzkie! Jakiż brak odpowiedzialności! Niech pani popatrzy na moje ręce! (Psychiatra pokazuje swoje żylaste ręce).

**PACJENTKA:** Tak, wiem o tym.

**PSYCHIATRA:** Muszę przez chwilę pomyśleć (zamyka oczy). Jak pani się nazywa?

**PACJENTKA:** Esrella Sanchez.

**PSYCHIATRA:** Muszę chwilę pomyśleć, Estrella. Ja mam na imię David. I to moje imię bardzo pasuje do okoliczności\*. Niech mi pani da parę minut.

**ESTRELLA:** Dobrze, Davidzie. Zawarliśmy pakt. (Zapada długie milczenie. Konsultorium jest w dalszym ciągu mocno oświetlone. Estrella i David nie poruszają się. Z upływem czasu nieruchomość postaci staje się nienaturalna. Estrella przerywa ten stan zdmuchując świece).

**DAVID:** Muszę panią o coś zapytać.

**ESTRELLA:** Proszę pytać.

**DAVID:** Przed paroma minutami doznałem niezwykłej jasności umysłu. Czy miała pani coś z tym wspólnego?

**ESTRELLA:** Tak, Davidzie. To część aktu.

**CZŁOWIEK, KTÓRY MOŻE STAĆ SIĘ ZBRODNIARZEM:** Drugie pytanie: gdybym zechciał panią zabić, czy byłoby to możliwe?

**TWÓRCZYNI NOVYCH:** Przy pomocy tego rewolweru z szuflady?

**DAVID:** Tak.

**TWÓRCZYNI NOVYCH:** Nie, Davidzie. Nie mógłby pan.

**CZŁOWIEK, KTÓRY MOŻE STAĆ SIĘ OFIARĄ:** Czy pani mogłaby zabić mnie w jednej sekundzie?

**ESTRELLA:** Tak.

**PSYCHIATRA:** Następne pytanie: czy pani czyta w moich myślach?

**KOBIETA, KTÓRA POSIADA MOC:** Czytam intencje.

**DAVID:** I jeszcze jedno pytanie: czy może pani spowodować wybuch Słońca?

**ESTRELLA:** Sądzę, że tak.

**DAVID:** Niech mi pani powie, czy mogłaby pani zniszczyć nową Słońca?

(Panna Sanchez zwleka z odpowiedzią. Po raz pierwszy spuszcza wzrok i patrzy na swoje białe ręce).

**KOBIETA, KTÓRA POSIADA MOC:** Obecnie tak.

**DAVID WOBEC TAJEMNICZY TWÓRCZYNI NOWYCH:** Niech mi pani jeszcze powie,

Estrello, czy zamierza pani być Bogiem?

(Panna Sanchez znów zwleka z odpowiedzią. Bezwiednym ruchem dłoni zapala świecę).

**PACJENTKA:** Nie wiem, nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

**DAVID:** Niech mnie pani dobrze posłucha, Estrello, zadam teraz ostatnie pytanie, najważniejsze: czy pani się boi?

**KOBIETA WSTRZYMUJĄCA SZŁOCH:** Ja tego nie nazywam strachem, Davidzie, nazywam to nadzieją, nieznanym, winą, samotnością. Potrzebuję pomocy.

*Alberto Vansco*  
*La muerte del poeta*

# Śmierć poety

Urzędnik Działu Poezji wcisnął klawisz środkowej tablicy i prawie natychmiast w przegrodzie informacyjnej pojawiła się fiszka.

— Proszę, jest — powiedział urzędnik i chwyciwszy kartonik, wyciągnął lewą rękę w kierunku Dorvsa. W prawej trzymał filiżankę z kawą.

Dorvs wziął karteczkę i spojrzał.

— Nic nie rozumiem — powiedział.

— To oczywiste. Ale sprawa jest prosta. Proszę spojrzeć: każdy punkt oznacza literę, dwa punkty cyfrę.

— I ja muszę to odczytać?

— Nie, ależ skąd. Myślałem, że może chciałby pan się czegoś nauczyć, dlatego panu tłumaczę.

— Wolałbym dowiedzieć się czegoś w mojej sprawie. Czy mógłby pan mnie poinformować?

— Tak — odpowiedział urzędnik i przybierając uroczysty wyraz twarzy odstawił pustą filiżankę.

— Oczywiście.

Poświęcił trzy sekundy na przestudiowanie perforacji.

— No! Miał pan szczęście! — wykrzyknął z entuzjazmem. — Pana książka została przyjęta. Odpowiada jej numer A 125.432 bis z dzisiejszą datą.

— Co to znaczy? Czy znajdują się tam wszystkie książki, jakie przedstawiono w ciągu roku?

— Nie. Tylko te, które zostały sprawdzone dzisiaj. Ale pana książka należy do nielicznych, które przeszły próbę. Tylko dwadzieścia trzy spełniły warunki. A pana zajmuje pierwsze miejsce.

— Dziękuję. To pomyślna wiadomość dla mnie, czy tak?

— Spodziewam się. I dla nas także. Jest to bowiem w naszej oficynie wydawniczej pierwsza od ponad dziesięciu lat zaakceptowana książka.

— Dokąd teraz powinienem się udać?

— Do biblioteki. Tam panu udzielą informacji.

— Czy... zostanie opublikowana?

— Tak. Już zajmą się tym inni.

— Dziękuję.

— Z pewnością otrzyma pan stypendium. Rok na podróże, dokąd pan tylko zechce.

— Bardzo dobrze by mi to zrobiło. Do widzenia.

— Muszę odnotować czas pana pobytu tutaj. Przypominam, że powinien się pan pośpieszyć. Proszę nie wychodzić pieszo.

— Jednak się przespaceruję. Nie zależy mi.

Urzędnik zaznaczył czas i Dorvs wyszedł na esplanadę. Miał nie więcej jak dwie godziny na załatwienie tej sprawy, jednak był zdecydowany pójść do biblioteki na własnych nogach. Chciał sobie wszystko przemyśleć. Dlatego z własnej woli wybrał stacjonarny chodnik omijając ruchomy.

Czuł się dumny. Wreszcie jego książka została zaakceptowana. To dzieło było już jego trzecią próbą. Dwadzieścia lat temu nie udało mu się z pierwszą pracą literacką. A potem należało czekać, zgodnie z przepisami, dziesięć lat na następną próbę. Z trzecią powiodło mu się. Był już pisarzem. Komputery zarejestrowały wszystkie jego słowa, poddały badaniom treść i spośród tysięcy innych wybrały jego dzieło. Przez te lata musiał intensywnie pracować, aby je napisać. Poświęcił nocne godziny i wszystkie weekendy. Ponadto była to jego ostatnia szansa. Gdyby ta próba mu się nie powiodła, nie mógłby już nigdy poświęcić się literaturze — nic byłoby sposobu znaleźć usprawiedliwienie dla tych godzin, jakie przeznaczyłby na pisanie. Ale teraz był już pisarzem. Doszedł do Mallu, skręcił na Aleję Olivar, a potem na ulicę Neccico.

Kiedy znalazł się w bibliotece, strażka zawiozła go do Działu Publikacji. Siedziała tam tylko jedna urzędniczka, zajmowała miejsce pomiędzy maszynami ZZT i reperowała zegarek. Wcześniej rozebrała go na części, a teraz ostrożnie i dokładnie składała z powrotem.

— To pani też skończyła jeden z tych kursów? — zapytał Dorvs.

— Tak, musiałam. To wielka sprawa. Pozwala mi spędzić dzień.

Dorvs wyciągnął swoją karteczkę.

— Moja książka została zaakceptowana — powiedział. — Czy pani może mi udzielić informacji?

Urzędniczka wzięła fiszkę i spojrzała zawodowym wzrokiem na perforację.

— A 125.432 bis — powiedziała.

— Tak jest — potwierdził Dorvs nie bez uczucia dumy.

— Niesłychane! — zawołała. — Każdego dnia pisze się mniej. Jeszcze przed rokiem nie schodziliśmy poniżej miliona. Ludzie stracili ochotę.

— Z każdym dniem jest coraz trudniej.

— Pewnie dlatego. Pana nazwisko brzmi Dorvs.

— Tak.

— Bardzo dobrze. Zapiszę. Może pan już zabrać fiszkę. Jutro będzie zarejestrowane, przed końcem tygodnia otrzyma pan pokwitowanie.

Włożyła karteczkę w otwór automatu i włączyła pamięć.

— Czy to już wszystko?

— Jasne. Być może otrzyma pan bilet na podróż i stypendium. Jest pan numerem pierwszym. Należy się panu.

— A moje oryginały?

— Pana oryginały mamy tutaj. Jest to zdanie wybrane do archiwum: „Sepia to kiść rozwściczzonego w kopalni metanu”.

— Przecież to tylko jeden wers...

— Tak. Jeden wers.

— A reszta? Zaprezentowałem pięćdziesiąt poematów o łącznej liczbie trzech tysięcy linijek.

— Cały materiał został sprawdzony przez komputer. Inne zdania też były zarejestrowane. Maszyna informuje, kiedy i przez kogo został napisany dany utwór, a następnie oddaje to, co jest oryginalne. Pana książka została zaakceptowana, ponieważ zawierała to jedno dotąd nic wydanie zdanie. Teraz włączamy je do głównego archiwum wraz z pana nazwiskiem i pana danymi.

— I nic opublikujecie go?

— Ależ tak. Oczywiście. Każdego roku wydaje się listy utworów, jakieś dwadzieścia tysięcy w jednej. Pana utwór wraz z nazwiskiem i tak dalej ukaże się mniej więcej w ciągu trzech lat.

Zawiadomimy pana. Proszę nie zapomnieć przeczytać go. Gratuluję panu.

— Dziękuję. Czy mógłbym przepisać ten wers?

— Proszę bardzo. Już dyktuję, bo widzę, że zostaje panu bardzo niewiele czasu: „Sepia to kiść rozwścieczonego w kopalni metanu”.

Dorvs zapisał siedem wyrazów w swoim notatniku i wrócił do pracy. Minęły właśnie dokładnie dwie godziny, jakimi dysponował, aby załatwić tę sprawę.

Jako pisarz wykonał swoje zadanie. Jego wers został winkrustowany w ogromną pamięć mózgu elektronicznego, który zawierał wszystko, co dotychczas wymyślił i stworzył człowiek. W jakimś miejscu pozostały na zawsze słowa Dorvsa będące częścią zdobyczy kultury, która w odwiecznej walce z naturą zdołała wydrzeć jej owo misterium.

Dorvs przyjął stypendium, udał się w podróż, poznał rozliczne obce nieba, po czym wrócił i poszedł do pracy. Trzy lata później otrzymał arkusz z wykazami publikacji i tekstami, gdzie widniała jego linijka oraz numer. Nie dodano nic więcej. Zaprezentował jeszcze kilka książek. Zaprezentował jeszcze wiele wierszy, ale żadnego nie zaakceptowała nieubłagana pamięć uniwersalnego komputera. Nic więcej się nie wydarzyło. Oprócz tego, co przytrafiło mu się w ostatnim dniu jego życia.

Kiedy był śmiertelnie chory, w wiele lat później, jakiś młody człowiek zapragnął rozmawiać z poetą Dorvsem. Znał jego wers, przeczytał go w rejestrze upowszechniającym poezję i jedynym celem jego życia było poznać wielkiego twórcę. Poproszono go do pokoju, w którym konał Dorvs i młodzieniec wyjaśnił mu cel swojej wizyty. Otóż chciał złożyć hołd staremu mistrzowi, który pozostawił tak nadzwyczajny wers. Dorvs uśmiechnął się i pomyślał, że oto okazało się, że jego życie było coś warte. Wyciągnął starą komputerową fiszkę, na której znajdowało się jego dzieło, i podał ją młodemu wielbicielowi literatury jako swój poetycki testament. Jego gość spojrział na kartonik.

— Przepraszam. To jest A 125.432 bis — powiedział.

— Oczywiście. Dlaczego pan pyta? — odezwał się Dorvs dobywając ostatnich sił.

— Ja szukam autora A 125.433 bis — wyjaśnił wielbiciel. — Pewnie urzędniczka z Departamentu Informacji popełniła błąd.

Ale Dorvs już go nie słyszał. Młodzieniec przywołał rodzinę zmarłego i po chwili wyszedł z fiszką w ręce. Złożył ją na pół. Przechodząc przez plac, wrzucił ją do pierwszego napotkanego pochłaniacza.

*Magdalena Moujan Otaño*



# Gu ta gutarrak\*

*Aldiaren zentzunak euskotaira naiz*  
(*Baskiem jestem i mam poczucie humoru*)

My, Baskowie, nie jesteśmy rasistami. Nie stanowimy też rasy jako takiej, gdyż my tworzymy specjalny gatunek. A ten gatunek jest taki, że jakby któregoś z naszych skrzyżować z kimś, kto nie jest nasz, to z tej mieszanki wyjdzie całkiem czysty Bask. Nawet w Ewangelii piszą o nas, pewnie, że o nas, bo o kim by jeszcze... Jak to idzie... że „oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wypływa...” nie pamiętam dobrze. Mnie tam wystarczy mój własny przypadek: z pochodzenia Baskiem jestem tylko w połowie, ale za każdym razem, jak mnie ktoś przedstawi jakiemuś żabojadowi, to on nigdy nie omieszka przyczepić się do mnie o Roncesvalles. (Krążą plotki, że pomogli nam Maurowie, ale to nieprawda. Myśmy sami dokonali dzieła. I też nieprawda, żeśmy ich napadali zdradziecko, od tyłu i że spychaliśmy na nich głowy powodując lawiny. Walka odbyła się po rycersku, twarzą w twarz. Głazyśmy mieli, owszem, ale nieśliśmy je w rękach, nad głowami, a potem toczyliśmy je, żeby padały Frankom pod nogi. A jak nam skał brakło, samiśmy się toczyli. Oczywiście nie my, tylko tama, już dawno, ale trzeba wiedzieć, że jak Bask mówi, to jakby wszyscy Baskowie mówili — żywi i martwi).

Znaną jest sprawą, że jak się nam rząd nie podoba, to emigrujemy. Z zasady nie lubimy przemocy, jesteśmy narodem łagodnym, nie cierpimy zabijania, a już szczególnie, kiedy nie zabija się uczciwie, czystą ręką. I również my, którzy emigrujemy, wzbogacamy Amerykę, obie Ameryki. Tak było w moim przypadku i Jainkoa (Pan, który jest tam w górze) pokarał mnie za to moje bogactwo. No, ale przecież zawsze byłem sam, to i mogłem mieć więcej grosza. Trzeba wiedzieć, że Baskowie urodzeni tutaj, są zupełnie inni. Może to wina rozległych równinnych przestrzeni o bardzo żyznych polach. Bask jest górą, dlatego ci stąd się zdegenerowali. No bo jak zostali właścicielami ogromnych majątków ziemskich, to się porobili panami, a ich dzieci paniczkami i duch w narodzie zginął. Dochodzi już do tego, że grają w rugby, zamiast kultywować szlachetne tradycyjne sporty: bo czy to nie lepiej wrywać z korzeniami jakie drzewo, jednym ciosem siekiery powalić rosnącego dąbczaka, wywiercić dziurę w co twardszym kamieniu... ch! No, ci bardziej wyrafinowani niech już grają w frontona\*, ale piłkę trzeba gołą ręką brać, a nie nastawiać drewnianej szufli albo rakiety.

Ponieważ byłem sam, dużo rozmyślałem o ludzkim gatunku zwanym Baskami. No i dowiedziałem się, że nic mamy nic wspólnego z pozostałymi mieszkańcami Europy. Prawdopodobnie znikąd nie przybyliśmy, tylko zawsze żyliśmy w Górach Kantabryjskich, w Pirenejach i nad morzem. Niektórzy mówią, że pochodzimy od Atlantydów, ale ja w to nigdy nie wierzę, bo Jainkoa nie zatopiłby przecież kontynentu zamieszkałego przez Basków. Wyczytałem jeszcze, że zawsze mieliśmy mocne żołądki, że nasze obyczaje zawsze były takie same i język też nie uległ zmianie. I że nasza grupa krwi dała do myślenia naukowcom! A w końcu, że nikt nic nie wie o naszym pochodzeniu. Są tylko wzmianki o legendzie o Aitorze i Amagoi, którzy w bardzo dawnych czasach przybyli na naszą

ziemię wraz ze swoimi siedmioma synami i założyli siedem miast — prowincji: Zaspiaak–bat.

Wiele razy odwiedzałem naszą Euskalerrię (Kraj Basków) ale jakoś nigdy nie mogłem zdecydować się na pozostanie — wyrwanym z korzeniami drzewem jestem.

Byłem, i to nie raz, w Pieczarze Orio, później, kiedy uczeni odkryli tam ślady naszej bytności jeszcze w czasach prehistorycznych. Oglądałem obrazki na ścianach i myślałem sobie, że nasi ludzie nic się nic zmienili: jak tamci mają w sobie coś z radosnych dzieci.

Mam ja nawet krewniaków w Euskalerrri, ale jakoś bałem się do nich zejść, bo w czasie pierwszej wojny karlistowskiej ich pradziadek i mój dziadek pokłócili się ze sobą. A że byłem sam, bez rodziny, więc zapisałem im wszystko w testamencie. Może wśród nich znajdzie się taki z mocną głową i odkryje źródła pochodzenia naszego gatunku.

Wszystko zaczęło się od tego, że z Ameryki przyszła wiadomość o śmierci wuja Isidra. I jeszcze od tego, że wcale się nic zasmuciłem, niech mi Jainkoa przebaczy, ale ja wuja Isidra na oczy nie widziałem. Ale też przyszła wiadomość, że zrobił mnie swoim jedynym spadkobiercą. No to ja wtedy pomyślałem, że kupię sobie nową łódź, i w te pędy do Gregorii, żeby za mnie wyszła. Potem dowiedziałem się, że pieniędzy jest tyle, że nic wiem. I oszalałem! Powiedziałem Gregorii, że wobec tego pojedziemy w podróż poślubną za granicę. A ona, zamiast odmówić jak Jainkoa przykazał, zgodziła się. Ślub wzięliśmy w Guetarii i co było robić, pojechaliśmy za granicę. Do Malagi i Palomarc. Właśnie byliśmy za granicą, kiedy zderzyły się dwa samoloty z bombami wodorowymi i jedna wpadła do morza. Ileż trzeba było zachodu, żeby ją stamtąd wyłowić. (W końcu wyciągnęli, bo przecież nie gdzie indziej wpadła, tylko do Morza Śródziemnego, ale niechby im się to przydarzyło w naszym. Kantabryjskim, co to je obcy Zatoką Biskajską nazywają, inaczej by śpiewali). No i parę miesięcy później mówi do mnie doktor Ugarteche:

— Posłuchaj no, Inaki, lepiej, żebyś zawczasu wszystko wiedział. Chodzi o dziecko, które ma się urodzić. Gregoria i ty byliście pod wpływem dość silnego promieniowania radioaktywnego... — i gadał tyle, gadał i wciąż powtarzał „genetyka”, „genetyczny”, mówił tyle, że nie mogłem pomiarkować, o co też mu chodzi. Do tego pytał o takie rzeczy, że wstyd powtarzać. Gregoria głowę by mi za to rozbiła.

Xaviertxo przyszedł na świat zdrowy, normalny, tylko coś zwlekał, bo urodził się dopiero po jedenastu miesiącach. Był silnym chłopcem; jak miał trzy miesiące, to łamał pręty grubości kciuka. Ale u Basków to nic znowu takiego. Ale jak miał cztery miesiące, mówił euskerą (po baskijski) lepiej niż my wszyscy, nie wyłączając ojca Lartauna. Kiedy go zobaczył doktor Ugarteche, znów zaczął gadać po swojemu, nie za bardzo zrozumiale. Pamiętam, że wiele razy powtórzył słowa „mutacja pozytywna”. Kiedyś wziął mnie na stronę i rzekł:

— Posłuchaj no, Inaki, teraz mogę ci to powiedzieć. Z powodu napromieniowania twoja żona i ty zostaliście na stałe obciążeni dziedzicznie. Warn akurat jakoś to na dobre wyszło, Jainkoarieskerrak (Dzięki Bogu). Dużo jeszcze mówił, a to miało znaczyć, że naszym obowiązkiem jest dać światu więcej takich dzieci.

Z pomocą Jainkowi wydaliśmy jeszcze sześcioro: Aranzazu, Joscbco, Placido, Begona, Izaskun, Malcntxo. Jedno w drugie, Jainkoarieskerrak, zdrowe i krzepkie. Wszystkie doskonale mówiły cuskerą w czwartym miesiącu życia, a kiedy skończyły dziewięć, umiały już czytać, pisać i rachować.

Kiedy Xaviertxowi szło na dziewiąty rok, przyszła Gregoria i powiedziała:

— Słuchaj no, Inaki, Xaviertxo chce być fizyk.

— Żeby robić bomby? To nic po chrześcijańsku.

— Nie, Iñaki, on chce się uczyć, jak to on mówi? Aha! On chce studiować strukturę continuum czasoprzestrzeni.

— Najpierw musi skończyć szkołę, zdać maturę...

— O, nie, Iñaki, on już rozpocznie studia uniwersyteckie. Czas też nam pomyśleć o Aranzazu i Josetxu, niedługo trzeba będzie ich wysłać do Bilbao, żeby się nauczyli elektroniki. A Xaviertxo mówi, że smutno mu wyjeżdżać za granicę, ale musi studiować fizykę teoretyczną. A gdzie lepiej się tej fizyki teoretycznej nauczy, jak nie w Saragossie?

— Ale, kobieto, on ma dopiero osiem lat!

— No i co z tego? On geniusz!

I został przyjęty na uniwersytet w Saragossie, bo był geniuszem, a kiedy mu szło na trzynasty, otrzymał tytuł doktora fizyki. Aranzazu i Josetxowi też dobrze poszło w Bilbao. A i ci mniejsi też się interesowali fizyką i techniką. Ale ja nie przestawałem myśleć o testamencie wuja Isirda. Napisał przecież, że bardzo by się cieszył, gdyby ktoś z rodziny poświęcił się studiom nad pochodzeniem Basków. Martwiłem się, że żadne z moich geniuszy nie ujawnia zainteresowania problemem. I jak tu spełnić życzenia nieboszczyka?

Xaviertxo nieoczekiwanie powiedział, że będzie musiał pojechać do Francji albo do Stanów Zjednoczonych, a może do Związku Radzieckiego, żeby pogłębić swoje studia. Ksiądz Lartaun zdecydowanie sprzeciwił się Francji. Powiedział, że Paryż absolutnie nie jest odpowiednim miastem dla chłopca w jego wieku.

— A Stany Zjednoczone i Związek Radziecki to heretyckie kraje, synu. Nie wiem, co ci doradzić, bo, z drugiej strony, szkoda by było niszczyć karierę małemu. Najlepiej, Iñaki, niech zdecyduje żona.

Gregoria najpierw nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, ale w końcu wpadła na szczęśliwą myśl. Poprosiła ojca Lartauna o absolutorium i pojechała do San Sebastian na Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Żadnego filmu nie opuściła, oglądnęła wszystkie, co do jednego. Wróciła zgorziona ale, i zdecydowana.

— Pojedzie do Związku Radzieckiego. Tam przynajmniej kobiety w samych koszulach po ulicach się nie gżą!

Xaviertxo pojechał na cztery lata. Zaraz po przyjeździe dał mata samemu mistrzowi. Rosjanie po tym fakcie natychmiast nadali mu tytuł profesora w Akademgorodoku. Uczniowie Xaviertxa wielkich rzeczy dokonali. I żeby go zatrzymać, Rosjanie obiecali mu złote góry: byli gotowi mianować go akademikiem, Bohaterem Związku Radzieckiego, proponowali Nagrodę Lenina i dożywotnią lożę w Teatrze „Bolszoj”, ale Xaviertxo odmówił.

— Widzicie, Ama eta Aita (Matko i ojciec) nie mogą żyć z dala od was i od Morza Kantabryjskiego. Poza tym oni dają mi do dyspozycji swoje wielkie laboratoria, wielu pomocników, abym kontynuował prace badawcze, ale nie pozwalają mi zająć się problemem, który mnie najbardziej interesuje. Twierdzą, że moja teoria pozostaje w sprzeczności z dialektyką, natomiast machina jest sprzecznością samą w sobie.

— A cóż to za maszynka, synu?

— Machina czasu. Oczywiście to dopiero projekt.

— Jak ci mówią, żebyś nie robił, to zrób! Oni jeszcze poznają prawdziwych Basków! Xaviertxo, Aranzazu i Josetxo pojedą do Stanów Zjednoczonych. I to zaraz!

Cała trójka spędziła tam trzy lata. Jankesi, żeby ich zatrzymać, proponowali wspaniałe kontrakty, najnowsze samochody, jachty, ile dusza zapragnie, honorowe obywatelstwo i ranczo w Teksasie. A

w tym ogromnym domu w Teksasie we wszystkieściany na całą długość i szerokość wmontowane były ekrany telewizyjne, ale moje dzieci też tego nie przyjęły.

— Nie możemy mieszkać tak daleko, Ama eta Aita. A poza tym Jankesi słyszeć nawet nie chcą o machinie czasu. Mówią, że jest ona sprzecznością samą w sobie i że zagraża American Way of Life.

— Jak ci mówią, żebyś nie robił, to zrób! — powiedziała Gregoria uroczyście. — A najlepiej będzie, jak taką maszynę zrobisz u nas.

— Tak, ale do tego potrzeba ludzi, urządzeń, przydałby się jakiś komputer, a może i parę książek.

— To się da zrobić — powiedziałem. — Nigdy wam tego nie mówiliśmy, ale my jesteśmy bogaci, bardzo bogaci. Wuj Isidro zostawił nam ogromny majątek. Mamy pieniądze we wszystkich bankach Europy.

Wymieniłem sumę, a oni się przeżegnali. Wreszcie Ardnzazu powiedziała:

— No to wuj Isidro nie był uczciwy jak Bask.

— Nie mów tak o nim. On nieboszczyk. Muszę wam jeszcze wyjawić, że w testamencie wuja Isidro stoi, że dusza jego by się radowała wielce, gdyby ktoś z rodziny rozwiązał zagadkę naszego pochodzenia, to znaczy skąd my, euskaldunas (Baskowie) wzięliśmy się na tym bożym świecie. Bo nikt tego nie wie. A nie przydała by się nam ta twoja maszynka, Xaviertxo? Może byśmy się czegoś dowiedzieli?

— Przydałaby się. — To zrób.

— A kwestia ludzi? Trzeba by sprowadzić cudzoziemców. Obcych. Przydałby się i jakiś instytut naukowy.

— Instytut my pobudujemy. Stanie tutaj. Blisko naszego Morza Kantabryjskiego. Nic trzeba, żeby był za daleko. A ty będziesz kierownikiem i weźmiesz sobie ludzi, jakich będziesz chciał. A twoi młodszy bracia nie będą musieli z obcymi dziwadłami się zadawać i cudze kąty wycierać.

Stworzyliśmy INSTYTUT BADAŃ NAD POCHODZENIEM BASKÓW. W dolinie, w pobliżu Orio. Ukryliśmy się w górach, daleko od szosy, żeby nikt nam nosa nie wściubiał i nie cudował. Zburzyliśmy stary zabytkowy zamek — był już bardzo stary — i na jego fundamentach postawiliśmy piękny budynek: wysadzany kamykami i ozdobiony tłuczonymi lusterkami, ogromny, z kaplicą, nie zapomnieliśmy o frontonie, żeby można było sobie pograć, znalazły się w nim też i mieszkania dla wszystkich, którzy przyłożyliby ręki do projektu Xaviertxa. A potem Xaviertxo, Aranzazu i Josetxo pojechali do Bilbao, żeby zamówić materiały do pracy naukowej i poszukać ludzi do badań.

— Potrzebni są nam ludzie bardzo, bardzo zdolni, bo i problem trudny. I uczciwi, żeby nie ukradli urządzenia i nie sprzedali komu. A jakby na nieuka jakiego popadli, to i by szkody światu narobił.

— No to szukaj naszych ludzi, Basków uczonych, oni ci się nie sprzeciwią. A cudzoziemcom każ się nauczyć euskery. Bo jak się obcy euskery nauczy, znaczy zdolny. I dobry, gdyż Jainkoa nie dozwoli, żeby zły człowiek po naszymu mówił. Wiecie o tym, że raz diabeł siedem lat się tu kręcił i nikogo nie skusił. Z nikim się nie mógł dogadać, naszego języka nie pojął.

Po dwóch latach Instytut rozpoczął swoją działalność. Oprócz moich dzieci było w nim trzydzieści osób: kobiety, mężczyźni — sami inżynierowie i technicy. I spośród tych trzydziestu uczonych piętnastu było naszych, a reszta to zwykli cudzoziemcy: z Barcelony, Ovierdo, Madrytu, a nawet jeden z Argentyny, ale on nasz, Bask z pochodzenia, nazywał się też po naszymu: Alberdi, Martin Alberdi. Poznać go można było choćby po tym, że zawsze żartował. Moją Gregorię Doñą Goją\* nazywał.

— Pracuję tu, bo jesteście sercu memu bliscy, a specjalnie Aranzazu — mawiał. — Ale z tą machiną czasu to nie wierzę, żeby się udało. Bo niech pani pomyśli, Doña Goya, że ktoś może sobie w niej podróżować. Wyrusza więc w przeszłość i zabija swojego dziadka. A wtedy co? Bum! I ani jego nic ma, ani maszyny. Na tym przykładzie jasno widać, że machina czasu to przeszłość sama w sobie.

— Jaka znowu sprzeczność! — zawołała moja żona. — A widział to kto, żeby Bask własnego dziadka zabijał? I zapamiętaj pan sobie: Bask potrafi!

Natomiast nasze dzieci nie miały tyle pewności, co Gregoria. Mówiły, że to trudny orzech do zgryzienia i ciągle im się plątały rachunki, chociaż uczeni używali komputera i to nie byle jakiego, bo całkowicie wykonanego w naszym kraju. Nawet nazwę miał naszą: JAKIN AISUCARRA (Węszący Pyszczek).

— Problem polega na tym, że nie możemy operować zwykłą logiką. Zbyt wiele w niej paradoksów. Potrzebna nam inna, ale jeszcze nie została sformułowana, ot co.

Pewnego dnia Xaviertxo oznajmił, że sprawy źle się mają, bardzo źle. Że szkoda, żeby uczeni próżnowali, a majątek wuja Isidra szedł na marne. Byłoby lepiej, żeby Instytut zajął się pracą bardziej produktywną. Wtedy żona zbesztła go jak nigdy jeszcze w swoim życiu nikogo:

— A ty co? Mówisz, jakbyś za przeproszeniem Baskiem nic był! Postęp chcesz zatrzymywać, wsteczniku jeden? Już zapomniłeś, że twoja matka urodziła cię w Guelarii? Tam gdzie sam Sebastian Elcano na świat przyszedł?

— Barkatu, Ama (Przepraszam, matko) — wymamrotał Xaviertxo i zabrał się do pisania formułek.

Rozwiązanie nadeszło niebawem. Moja najmłodsza, Malcntxo, stworzyła nową logikę. Taką właśnie, jakiej potrzebowali uczeni.

I zaczęło się. Jak oni to nazwali... no, tak: WSTĘPNY ETAP EKSPERYMENTALNY. Najpierw zabrali mi czapkę i poddali eksperymentowi, to znaczy wkładali ją do różnych maszynek. A ja myślałem, że z czapką, to można tylko w bajkach eksperymentować. Wiadomo, że jak się taką zaczarowaną czapkę przesunie na tył głowy, to spełniają się wszystkie życzenia. Opowiedziałem im tę bajkę, ale oni popatrzyli na mnie bardzo poważnie i stwierdzili, że obecnie muszą być czujni, zwarci, gotowi, no i bardziej elastyczni i działać. Argentyńczyk Martin Alberdi wyjaśnił mi, że właśnie dokonali WIELKIEJ REWOLUCJI W FIZYCE, o wiele większej, niż niegdyś była teoria względności, kwanty czy bomba atomowa. A po chwili wziął mnie na stronę i z zastrachaną twarzą powiedział:

— Don Iñaki, grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Wielkie mocarstwa czekają na dogodną chwilę, żeby nam wyrwać TAJEMNICĘ. Nie podjęliśmy żadnych środków ostrożności. Jak to możliwe, że nikt nic pomyślał, żeby postawić straż? Kto wic, czy już ktoś tu nie węszy. Zapomnieliście, co tu się działo w przeszłości?

Ta jego mina każdego by wystraszyła, ale nie mnie.

— Posłuchaj no, Martin, tylko tobie mogło przyjść do głowy, żeby zażartować z uczciwości naszych towarzyszy. Nie mamy strażników? A tam, to jak myślisz, kto? — i wyciągnąłem palec pokazując mu Nere, Txuri i Beltę drzemiących akurat w ciepłych promieniach słońca. Musisz wiedzieć, że jest ich tu więcej. Pomagają nam w górach i na morzu. Najlepsi baskijscy strażnicy. Innych ani tobie, ani nam nic trzeba. To są psy najlepszej rasy!

Choć miał dziwny charakter, pracował jednak bardzo ciężko. Xaviertxo mówił o nim, że jest

bardzo, ale to bardzo inteligentny. I Aranzazu patrzyła na niego z zainteresowaniem. Właściwie to wszyscy go lubiliśmy. Często mi mówił:

— Wiesz, Inaki, wprawdzie twoje dzieci są geniuszami, ale ja jestem Argentyńczykiem.

I zaraz zaczął mówić Ama do mojej żony i Aita do mnie, a potem z typowym dla niego brakiem poszanowania zwracał się do Gregorii przez Ama Goya.

Po licznych eksperymentach z moją czapką, dzieci i ich koledzy wiele godzin przesiedzieli przy jakimś żelaznym dziwadle z różnokolorowymi światełkami. Powiedzieli, że to jest machina czasu i nazwali ją PIMPILIMPAUSA. (Motylek).

— Teraz trzeba zrobić próbę — powiedział Xaviertxo trochę niespokojny. Ktoś musiał wyruszyć w podróż.

— Oczywiście ty pojedziesz — rzekła Gregoria. — A z tobą cała rodzina, jak Jainkoa przykazał.

Nikt już nic nie mógł zmienić wobec tej postanowionej sprawy. Zresztą żona ma zawsze rację.

Na świętego Sebastiana w kaplicy przy Instytucie ojciec Lartaun odprawił mszę, poświęcił PIMPILIMPAUSE, Gregoria przykleiła do maszynki obrazek z Najświętszym Sercem Panajezusowym. Wyciągnęliśmy PIMPILIMPAUSE z Instytutu i popchaliśmy na sam środek doliny. Zebraliśmy się z całą rodziną i ustawiliśmy się wszyscy przy maszynie. Jeszcze przybiegły nasze psy: Txuri, Beltxa i Nere, a przyjaciele z Instytutu zaśpiewali nam na pożegnanie „Agur”.

Agur Jaunak, (Żegnajcie przyjaciele,

Jaunak agur, przyjaciele żegnajcie,

Agur ta erdi... żegnajcie i wracajcie)

Xaviertxo przeżegnał się i nacisnął czerwony guzik. Maszyna zabrzęczała. Xaviertxo rzekł:

— Zdaje się, że coś się zacięło. Z Instytutu znów usłyszeliśmy pożegnalną pieśń:

Agur Jaunak,

Jaunak agur,

Agur ta erdi...

Xaviertxo znowu, ale tym razem mocniej, nacisnął czerwony guzik. Maszyna zabrzęczała tak samo. Moje dzieci posmutniały. Po trzeciej próbie Xaviertxo westchnął:

— Nie działa.

Milczeliśmy dłuższą chwilę, potem Xaviertxo zsunął do tyłu moją czapkę, którą miał na głowie, pogłaskał psy i ze smutną miną ruszył w góry. Gregoria powiedziała, że najlepiej dać mu teraz spokój, a na drugi dzień trzeba się naradzić, czy warto naprawiać PIMPILIMPAUSE, czy lepiej od razu zabrać się do budowania nowej maszyny czasu. Trzy psy tym razem nie usłuchały Gregorii i pobiegły w ślad za Xaviertxem.

Kiedy wróciliśmy do Instytutu, nikt nie odezwał się słowem. Xaviertxo nie wracał, choć noc już zapadła, i psów też nie było widać. W Instytucie nikt nie spał. Świtało. W dwie godziny po wschodzie słońca od strony gór dobiegł nas Irrintzi (okrzyk wojenny na znak zwycięstwa) i wesołe naszczekiwanie Nere, Txuri i Beltxy, które pędziły, ile sił w łapach, a za nimi wielkimi krokami podążał Xaviertxo z jakimś człowiekiem — z wyglądu Baskiem. Kiedy już byli blisko, mój syn powiedział:

— Stało się to z powodu radia. Było nastawione na większy odbiór, niż trzeba. Wędrowałem po górach, po lasach, aż doszedłem do morza. I tam spotkałem tego oto rybaka. Kiedy zobaczył, że mam na głowie czapkę, i to przesuniętą do tyłu, zapytał, czgo potrzebuję, gotów spełnić każde moje życzenie. No to zaczęliśmy rozmawiać i jak zawsze w takich przypadkach zesłaliśmy na tematy

polityczne. Zacząłem narzekać na rząd centralny i na inflację, a on mi powiedział, że od tego wszystkiego gorsi są Flamandowie, których sprowadził Don Carlos. Wtedy zakręciło mi się w głowie i zapytałem go, jaki mamy dzisiaj dzień. On mi na to, że czwartek. A jak spytałem o datę, to powiedział, że siódmy czerwca. Wreszcie wyksztusiłem: „Ale jaki rok?” Wzruszył ramionami i mruknął, że rok pański 1524. Wiecie, co się stało? Cofnęliśmy się w przeszłość wszyscy! Razem z Instytutem i całą doliną!

— Rzekłbym, iż to jakaś diabelska sprawa — wtrącił rybak — gdybyście euskerą jak Pan przykazał nie mówili. Ale w naszych czasach wszystko jest możliwe, skoro nie tak dawno Sebastian Elcano opłynął świat i jak był po drugiej stronie, to nie spadł.

Martin z zaszępią twarzą odwołał na bok Xaviertxa i szepnął mu do ucha:

— Bracie, ty uważaj, temu typkowi coś źle z oczu patrzy. On tu coś nawija, mówię ci. Trudno było przekonać Argentyńczyka, nawet pokazując mu czarno na białym wyniki laboratoryjne. Zaczął węszyć. Najpierw wdrapał się na szczyt najwyższej góry, potarł o spodnie okulary, włożył je na nos i spojrzał na morze. Faktycznie, zobaczył dwie karawele płynące w stronę portu San Sebastian. Ale i tego było mu mało: pospieszył w kierunku autostrady prowadzącej z San Sebastian do Guetarii. Chcąc nie chcąc musiał przyznać, że jej tam nie było. Nie dał jednak za wygraną i pojechał do Guetarii. Teraz był już pewien, bo zamiast pomnika Sebastiana Elcano stojącego na placu, zobaczył żywego Sebastiana Elcano, który też wtedy stał na placu.

— Jedno mnie tylko dziwi, Dofta Goya — powiedział zajadając pieczone sardynki i popijając je jabłecznikiem podczas wielkiego bankietu, jaki wydaliśmy w Instytucie — jak to się dzieje, że choć mamy na sobie ubiory baskijskie z dwudziestego wieku i mówimy dwudziestowieczną euskerą, nikt, żaden mieszkaniec z tego tu szesnastego wieku, nie zwraca na nas uwagi?

— Ten naród się nie rozwija, straszne, straszne — mówili cudzoziemcy smakując suszonego dorsza i węgorza w sosie pil pil.

— A nie mówiłem? — ciągnął Martin. — W prowincjach baskijskich nawet narzędzia z epoki neolitu nazywa się nowościami i nikt nie chce ich tknąć.

Część zebranych wybuchnęła gromkim śmiechem, część zasnurowała usta. Ale dalej jedliśmy, piliśmy, stroiliśmy żarty i tańczyliśmy nasze ezpatadantze, aureski i zortziki. Co rusz to musieliśmy upominać Martina, żeby dał spokój muzykom grającym na gwizdkach. Świszczał razem z nimi i ciągle zmieniał im rytm — a to co wychodziło, nie miało nic wspólnego z muzyką baskijską. Wreszcie Gregoria przerwała zabawę:

— No dość już tych skoków. Bo jak już skakać, to do tyłu. I pospieszyć się trzeba, bo do początku droga daleka.

Minęła noc z siódmego na ósmy lipca tysiąc pięćset dwudziestego czwartego roku. Rankiem wszyscy, nie wyłączając rybaka, który przyniósł Xavieitxowi dobrą wieść, przygotowaliśmy się do następnego skoku w przeszłość. I wtedy ksiądz Laraun zwierzył się nam ze swojego zmartwienia:

— Wiecie, nasi przodkowie długo zwlekali z przyjęciem nowej wiary. Nic w tym zdołnego, jesteśmy narodem nieugiętym. Teraz na pewno znajdziemy się wśród pogan. Kiedy Xaiwertxo włączył PIMPILIMPAUSE, zerwał się wiatr, więc przytrzymał ręką czapkę na tyle głowy. Maszyna ruszyła. Tym razem dobrze obliczył i znaleźliśmy się w ósmym wieku. Dolina nic się nie zmieniła, ale jak poszliśmy dalej, stwierdziliśmy, że po Guetarii i San Sebastian śladu nie zostało. Nie dojrzeliliśmy też zamku na Urgullskiej Górze. Ale za to po Morzu Kantabryjskim pływały łodzie rybackie, których pilnowały białe, czarne i rude psy o szorstkiej sierści — zupełnie jak za naszych

czasów. A te psy to wykapany Txuri, Beltxa i Nere. Spotykaliśmy innych Basków po drodze, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi. Tylko kiedyś jacyś zapytali nas w euskerze, podobnej do naszej, czy nie widzieliśmy gdzieś Gotów. Ze wszystkich napotkanych Basków tylko połowa była chrześcijanami.

— Tamci mówią — wyjaśnił ksiądz Lartaun — że nowa religia jest dobra, ale nie godzi się zmieniać wiary ojców swoich. Zgrzeszyłem zwąc ich poganami, ich wierzenia wypływają z potrzeb naturalnych.

— A czy ojciec nie próbował ich nawracać?

— Co?! Nawracać?! Ach, tak... próbowałem, ale czyżbyście nie wiedzieli, jak trudno jest coś nowego wbić Baskom do głowy?

Następna grupa wędrowców zaprosiła nas do swojej chaty, abyśmy się pokrzepili jadłem. Jak bardzo się wstydziliśmy, że nie mogliśmy im powiedzieć, skąd przybywamy. Nawet ksiądz Lartaun uznał, że powiedzenie prawdy byłoby wielce niestosowne. Mogliby nas podejrzewać o sprawki z diabłem albo z samym Basajaunem (Władcą Lasu). Trzeba nam było kłamać. Odpowiedzieliśmy więc, że mieszkamy w górach po tamtej stronie. A że żaden Bask kłamstwem się nie plami, pograżyliśmy się w smutku. Szybko nam przeszło, bo oto znów jedliśmy węgorki, boczek z czerwoną fasolą, ser i piliśmy jabłecznik. Tańczyliśmy aureski, śpiewaliśmy i pożegnaliśmy się, jak zwykle w takich wypadkach, naszą pieśnią „Agur”. Szybko zrobiliśmy skok, bo wstyd nam było, że ich okłamaliśmy. Ojciec Lartaun martwił się teraz jeszcze bardziej.

— Czy wy naprawdę nic nie rozumiecie? Jedziemy teraz do ery przed Chrystusem!

Tam właśnie stanęliśmy, ale zmiany też były niewielkie. Wioski takie same. Tańczyło się, jadło, śpiewało i piło to samo. I mówiło czystą euskerą bez żadnych naleciałości, bez śladu zmian. Ale krzyża nic było! Ojciec Lartaun wciąż się jednak martwił:

— Powiniennem w obowiązku duszpasterskim nawracać pogan. Ale jak mam to zrobić, skoro Chrystus się jeszcze nie narodził?

— Ojcze, jeśli nic możesz nawracać, prorokuj! — krzyknęliśmy wszyscy zgodnym chórem.

— Nic ma to jak prorok we własnym kraju — zaśmiewał się Argentyńczyk. — Twoje przepowiednie spełnią się co do joty! W końcu — towar z pierwszej ręki!

Martin, mimo swojego dobrego humoru, złościł się, że wciąż spotyka takich samych Basków i, że podróż jest taka monotonna. I znów przyjęliśmy zaproszenie na wieczerzę i wstydziliśmy się, że musimy kłamać. Jedliśmy pieczone sardynki, węgorki, boczek z czerwoną fasolą. Wszyscy nas pytali, czy nie widzieliśmy ludzi z Południa na bestiach o długich pyskach i czy nie doszli już do gór. Martin zaczął im powtarzać plotki, jakie wyczytał w tej okropnej książce pod tytułem Salańbo, której uczciwy człowiek nic powinien brać do ręki. Xaviertxo natychmiast szepnął mu do ucha:

— Z historii wiadomo, że Baskowie byli przyjaciółmi Kartagińczyków, więc mówiąc im, że Kartagińczycy to łobuzy, fałszujesz historię.

A ponieważ nic każdy może sobie pozwolić na fałszowanie historii, więc Martin zamilkł natychmiast.

Znów zrobiliśmy skok w przeszłość, tym razem bardzo długi, ponieważ, choć wszystko było jak poprzednio, to jednak mniej się widziało chat, ale za to więcej pieczar, do których ludzie wchodzili i wychodzili, a niektórzy może i nawet w nich mieszkali. Natomiast już się nie dziwiliśmy, że wyglądają tak jak my i mówią niegdyś nam współczesną euskerą. Wspięliśmy się pod grotę Orio i weszliśmy do środka.

— Widzę i tutaj modę na speleologów. Ale zanim ta piękna moda powróci, będzie trzeba



poczekać dobre parę tysięcy lat — powiedział Alberdi. A potem przyglądając się obrazkom dodał:

— Kto wie, może przy następnym skoku poznamy samego artystę... Zaprzyjaźniliśmy się z rybakami i pływaliśmy na ich łodziach po Morzu Kantabryjskim, które roiło się od ryb. Oczywiście nie zapomnieliśmy zabrać naszych psów, które zrećnie je łowiły. W pobliżu wyspy Santa Clara widziałem nawet ogromne kaszaloty.

Zrobiliśmy zebranie i Xaviertxo oznajmił nam:

— Teraz musimy się zdecydować, czy mamy cofać się w przeszłość, do samych praźródeł naszej historii, czy wrócić do czasów współczesnych.

— Trzeba to przegłosować — oznajmiła Gregoria.

Przyniosła bobu czarnego i białego, wzięła moją czapkę, to znaczy teraz czapkę Xaviertxa, który nosił ją wciąż zsuniętą zawadiacko na tył głowy, i powiedziała:

— Kto chce wrócić, rzuca czarny bób, kto chce się cofnąć w przeszłość, rzuca biały bób.

Kiedy wysypała, wypadły same białe ziarna. Xaviertxo podniósł czapkę, wsunął ją na tył głowy i przycisnął czerwony guzik. Ruszyliśmy. Po drodze wyrzucił czapkę, bo go uwierała — pewnie zostało w niej jakieś ziarno bobu. Stanęliśmy. Tym razem nie znaleźliśmy nawet śladu ludzkiej bytności. Wdrapaliśmy się po lodzie i śniegu do groty Orio i ukryliśmy się w niej zziębnięci. Na skałach nie było ani jednego obrazka. Xaviertxo nacisnął czerwony guzik, ale nasza maszyna, nasza PIMPILIMPASA ani drgnęła. Przestała funkcjonować — stara już była.

Od tamtego wydarzenia minęło parę lat. Żyjemy bardzo szczęśliwie. Jest zimno, fakt, ale mamy ciepłe ubrania, poza tym ciężko pracujemy, a to rozgrzewa. Mamy co jeść, bo Morze Kantabryjskie nie jest przecież obludzone i obfituje w ryby. Dużo łowimy, nawet kaszaloty. Moje dzieci i ich przyjaciele biorą łodzie i psy: Nerc, Txuri, Beltxę. No, nic tylko, bo one też mają dzieci, wnuki i prawnuki, no więc biorą mnóstwo psów i na morze z nimi. Łodzie oczywiście zbudowaliśmy z drewna, wzorując się na tych, którymi pływaliśmy przed ostatnim skokiem. Są mocne i daleko można nimi popłynąć.

Bardzo nam tu dobrze. Martwimy się tylko, że długo jeszcze trzeba będzie czekać na założenie Kościoła, przede wszystkim dlatego, że ojciec Lartaun nie jest biskupem i nic może nam rozkazywać. Jainkoa nic poskąpił dobru księdzu sił ducha, bo póki co, wyznajemy wiarę przodków naszych. A przyszłość w rękach Opatrzności.

Potworzyły się rodziny. Aranzazu i Martin pobrali się i mają córeczkę. Dziewczynka bardzo lubi rysować i wciąż maluje na ścianach groty Orio, gdzie mieszka ze swoimi rodzicami.

Jesteśmy bardzo zadowoleni, gdyż żyjemy, co jest najważniejsze, tak jak żyliśmy zawsze. I w zgodzie z sumieniem, bowiem PIMPILIMPAUSA spełniła swoją rolę. W końcu znamy odpowiedź na pytanie, kim byli — są — będą, ci, którzy dali — dają — dadzą (to bardzo trudne, myślę, że i dla samego Jainkoi) początek Baskom: my i nasi — gu ta gutarrak.

**PSYCHIATRA:** Tak, wiem, że pani potrzebuje pomocy. Estrello, uczynię wszystko, aby nam pomóc.

*Andre Carneiro*  
*A escuridão*

# W ciemnościach

Władas później niż wszyscy zauważył niezwykle zjawisko. Był mężczyzną samotnym, zwykle roztargnionym, ale nie pozbawionym zdrowego rozsądku. Dopiero na drugi dzień, kiedy już wszyscy mówili, że światło dzienne stało się mniej intensywne, a także sztuczne oświetlenie straciło poprzednią jasność, stwierdził, iż istotnie tak jest. Jakaś starucha krzyczała wniebogłosy, że to koniec świata. Ludzie zbierali się w grupy i rozprawiali o fenomenie: tłumaczono go uciekając się do metafizyki, podpierając ją niekiedy wywodami naukowymi, zresztą żywcem wyrwanymi z gazet. On jak zwykle poszedł do pracy. Jego szef, z reguły nieosiągalny, siedział przy okienku i rozmawiał z jakimś nieznanym. W biurze brakowało większości urzędników. Ogromna sala świeciła pustkami, co jeszcze bardziej wskazywało na niezwykłość wydarzenia. Przypomniawszy sobie okres rewolucji, jaka miała miejsce w jego młodości. Coś się załamuje, pociąga nas do działania, a potem spycha nie na tę drogę, którą wybraliśmy. Lecz rewolucja to przecież coś zupełnie innego. Strzały, bomby, śmierć... A to zjawisko było niezwykle, faktycznie, ale nie mieściło się w kategoriach zagrożenia dla społeczeństwa. Naukowcy, badający problem czasu, pierwsi rozpoczęli obserwację fenomenu. Światło stawało się coraz słabsze, budynki i wszystkie przedmioty pogrążyły się w rozprzestrzeniającym się stopniowo mroku. Na początku postawiono hipotezę, iż jest to niewytłumaczalne złudzenie optyczne, ale odrzucono ją, ponieważ światło elektryczne również traciło swą jasność. Kobiety twierdziły, że nie mogą nawet ugotować zupy, gdyż woda nie wrze i jarzyny i mięso wciąż są twarde. Władas poszedł do szefa. Właśnie cytował miarodajne opinie pochodzące z wiadomości radiowych. Były niekonkretne i przeczące sobie wzajemnie. Ludzie, coraz bardziej zdenerwowani, powodowali wybuchy paniki: stacje autobusowe i kolejowe wypełniały tłumy — każdy uciekał, choć nie mógł wyjaśnić, dokąd. Władas wątpił, żeby ów fenomen ogarnął cały świat, jak to podawały środki masowego przekazu.

W „Wiadomościach z ostatniej chwili” poinformowano, że cienie rozprzestrzeniają się i pogłębiają coraz szybciej. Najpierw ktoś zapalił zapalniczkę. Wkrótce wszędzie zaczęto robić doświadczenia: włączano latarnie elektryczne, zapalano pochodnie i umieszczano je na rogach ulic: płomyki ognia stawały się coraz bardziej anemiczne i żarówki też nie świeciły jak poprzednio. Nie mogła więc to być zbiorowa halucynacja ani epidemiczna choroba oczu. Przysuwano dłonie do płomyków ognia i nie obserwowano śladu oparzeń. Ludzie zaczęli odczuwać strach — nie stał się on jednak udziałem Władasa. Nastąpiło ogólne ożywienie, dyskutowano tylko o tej sprawie — to wydarzenie, ważne dla całego społeczeństwa, spowodowało, że ludzie zbliżyli się do siebie i oderwali od zwykłych problemów jutra. Wrócił do domu po szesnastu godzinach. Włączono już oświetlenie elektryczne. Ale nie było jaśniej — wokół żarzyły się tylko czerwone kule podobne do sygnałów świetlnych semaforów, przestrzegających przed niebezpieczeństwem. W barze, w którym zwykle jadał, podano mu, co zauważył, wystudzone grzanki. Właściciel lokalu i jedyny kelner wyszli, zanim on skończył jeść, i niebawem pogrążyli się w mroku. Władas bez trudu dotarł do swojego

mieszkania: wracał zwykle dość późno i nie miał zwyczaju zapalania światła na klatce schodowej. Winda nie działała, więc poszedł schodami na trzecie piętro. Włączył na cały głos małe radio na baterie i przystawił ucho: usłyszał lekki szmer, ale nie był pewien, czy to głos spikera, czy zakłócenia. Siadł na krawędzi łóżka z przygnębiającym uczuciem osamotnienia. Otworzył okno i pocieszył się widokiem milionowych czerwonych kulek, zaznaczających okna wieżowców, których sylwetki wzbijały się wysoko ku bezgwiezdnyemu niebu. Po omacku poszukał w szufladzie świecy i zapalił ją. Nie czuł ciepła maleńkiego płomyka, w którego bledziutkiem migotaniu zaledwie dojrzał wskazówki zegara. Poczul się źle i ogarnął go jeszcze większy smutek — być może z powodu braku ruchu na ulicy. Nie słychać było żadnego samochodu, natomiast wznagały się dobiegające z oddali wołania — może krzyczeli ludzie zabłąkani w mieście, ojcowie powracający pieszo do swoich domów. Gdyby nie ów bledziutki płomyk świecy chętnie uwierzyłby, że na chwilę elektrownia wyłączyła prąd. Otworzył lodówkę i wypił trochę mleka. Lód odrywał się z suchymi trzaskami, motor nie działał. Nie mógł też spuścić wody w ubikacji — jeszcze trochę i zbiornik w całym budynku będzie pusty. Zatkał korkiem wannę i napełnił ją wodą po brzegi. Znalazł latarkę kieszonkową i w jej anemicznym świetle zaczął gorączkowo przeszukiwać swoje niewielkie mieszkanie. Na stole w kuchni położył paczki mleka w proszku, cukier i jedzenie. Miał jeszcze ciasteczka i pudełko cukierków. Inaczej jest kiedy się ma rodzinę. Zawsze łatwiej o pomoc. A człowiek samotny musi przygotować się na najgorsze. Zaniknął okno, z przyzwyczajenia pogasił światła i położył się. Poczul zimny dreszcz przeszywający ciało: teraz dopiero zrozumiał grozę sytuacji. Nigdy jeszcze nad Ziemią nic zapadły takie ciemności w przeciągu całej jej historii. Nie tylko gasło słońce, ale przestawało funkcjonować wszystko, co wytwarzało światło i ciepło: stanęły elektrownie i maszyny; nie było ognia: łatwopalne substancje chemiczne zatraciły swoje właściwości, kamień uderzany o kamień nie dawał iskry, pogasły nawet nikłe światełka robaczków świętojańskich. Władas wiedział o tym wszystkim z ostatnich dzienników. Też przestały się ukazywać, kiedy równocześnie stanęły drukarnie, samochody osobowe, pociągi i samoloty. Wciąż rozlegały się krzyki i nawoływania. Władas próbował rozprężyć mięśnie i zasnąć. Jutro wszystko wróci do normy. Wzajdzie słońce, zacznie funkcjonować radio. I będą jeździć samochody... Spał bardzo niespokojnie, budząc się z koszmarów i ponownie zasypiając. Z mieszkania obok dobiegł go głos dziecka proszącego matkę, aby zapaliła światło. Zerwał się ze snu. W światełku latarki elektrycznej, którą trzymał przy sobie zobaczył, że jest ósma rano. Wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Ciemności były prawie absolutnie. Na wschodniej części nieba połyskiwało okrągłe, czerwone słońce — jakby zza grubego przydymionego szkła. Po ulicach przemykały ludzkie niezdarne cienie. Władasz trudnością zdołał się umyć, poszedł do kuchni, zjadł kilka ciasteczek i popił skondensowanym mlekiem. Siłą przyzwyczajenia pomyślał o pójściu do pracy. W tym momencie doszedł do wniosku, że nic wiedziałby nawet, jak się tam dostać. Przypomnił sobie, jak bardzo się bał, kiedy go, małego chłopca, zamknięto w szafie. Brakowało mu wtedy powietrza, a ciemność paraliżowała. Podeszedł do okna i odetchnął głęboko. Na czarnym tle nieba odbijał się czerwony dysk słońca. Zaczął chłodno analizować sytuację. Na początku uczeni postawili kilka hipotez. Wtedy jeszcze działało i radio, i drukarnie, i głośniki na ulicach, więc wiadomości i rewelacje naukowców dochodziły do społeczeństwa. Czy rząd przedsięwziął środki ochrony kraju? Czym należało tłumaczyć zjawisko zanikania promieni słonecznych przy równoczesnym zachowaniu temperatury powietrza? Zapewne przyczyną było rozchodzenie się jakiegoś niewidzialnego gazu o nieznanym składzie, nieznanego pochodzenia. Władas nic mógł jednak zebrać myśli. Ciemność powodowała w

nim pragnienia znalezienia sobie bezpiecznego miejsca. Zaciśnął pięści i zaczął powtarzać: „Muszę zachować spokój, muszę bronić się tak długo, dopóki wszystko nie powróci do normy”.

Miał zameżną siostrę, która mieszkała trzy ulice dalej. Potrzeba porozmawiania z kimś zmusiła go do wyjścia: musi jakoś dostać się aż tam i udzielić im pomocy. Włożył do kieszeni latarkę elektryczną, choć już nie mogła być przydatna. Zamknął drzwi i zaczął iść korytarzem w kierunku schodów, opierając się ramieniem o ścianę. Tuż koło niego otworzyły się drzwi i usłyszał jakiś męski głos, w którym wyczuł ton nadziei.

— Kto tam?

— To ja, Władas, spod numeru 312 — rzekł.

Wiedział, że to ten niesympatyczny sąsiad, który ma żonę i dwoje dzieci.

— Bardzo pana proszę — odezwał się — niech pan będzie tak uprzejmy i powie mojej żonie, że niedługo zrobi się jasno. Ona płacze od wczoraj i dzieci się boją.

Władas zbliżył się do nich po omacku. Zdawało mu się, że kobieta stoi obok swojego męża. Spróbował się uśmiechnąć, chód i tak nikt by tego nie zobaczył.

— Niech się pani nie martwi. Jest wprawdzie ciemno, ale wciąż widać słońce. Nie ma powodu do obaw, niedługo się to skończy.

— Słyszałaś — zawtórował mężczyzna — to tylko ciemności, nikomu nic się nie stanie, musisz się uspokoić choćby ze względu na dzieci.

Sądząc po odgłosach, dzieci siedziały obok siebie obejmując się wzajemnie. Stał chwilę, po czym rzekł pośpiesznie.

— Muszę teraz wyjść, ale jeśli byście państwo czegoś potrzebowali... Mężczyzna pożegnał się z nim dodając otuchy żonie:

— Nic dziękujemy, niczego nam nie trzeba. Do zobaczenia.

Na schodach nic nie było widać. Władas zszedł trzymając się poręczy. Zza drzwi różnych mieszkań dochodziły do niego strzępki rozmów. Może brak światła zmuszał ludzi do głośniejszego wypowiedzania słów, a może wydały się one głośniejsze w tak niezwyklej ogólnej ciszy?

Wyszedł na ulicę. Słońce stało wysoko, ale praktycznie nie dawało światła, podobnie jak księżyc w czwartej fazie. Od czasu do czasu spotykał jakichś ludzi — szli sami albo w grupie. Wszyscy rozmawiali bardzo głośno. Niektórzy potykali się na nierównej jezdni. Władas poruszał się w kierunku domu siostry, odtwarzając w pamięci drogę. Czerwonawa jasność zanikała w cieniu budynków. W odległości wyciągniętych rąk ledwie widział własne palce. Posuwał się ostrożnie i powoli, dziwiąc się tym, którzy stawiali szybkie kroki. Na paru balkonach czekały psy i ich głosy niosły się daleko w ciemność. Wciąż słyszało się nawoływania ludzi. Ktoś idąc modlił się głośno.

Władas posuwał się wzdłuż ściany, aby uniknąć zderzenia z nadchodzącymi z przeciwnej strony. Powinien już znajdować się w połowie drogi. Zatrzymał się, aby złapać oddech. Ciężko dyszał chwytając powietrze, mięśnie miał napięte i czuł się bardzo zmęczony. Jedynek punktem odniesienia była już tylko plama słońca .wiąz bledsza i bledsza. Przez chwilę wydawało mu się, że inni widzą lepiej niż on. Ale nagle zewsząd wzmożyły się krzyki. Władas odwrócił się: czerwony dysk słońca zamigotał i zniknął. Zrobiło się zupełnie czarno. Obok przeszedł jakiś człowiek krzycząc w obcym języku. Wzmógł się hałas: słyszało się jęki i urywane słowa. Władas wyciągnął zapalniczki i ostrożnie potarł jedną o brzeg pudełka. Usłyszał charakterystyczny trzask, ale płomienia nie było. Przystawił latarkę do oczu — też nic. Zaciśnął kilkakrotnie powieki i zobaczył tańczące jasne plamy. Co robić? Jeśli tak będzie stał, wsłuchując się w chór płaczu przerażonych dzieci i krzyki zdesperowanych

ludzi, którzy przestali nad sobą panować, sam gotów popełnić jakiś nieprzemyślany czyn. Ciemności były absolutne. Pozbawiony widoku ledwo rysujących się kształtów budynków, stracił orientację. Zaczął przypominać sobie drogę. Nie było możliwe, żeby tam trafił. Może należałoby znaleźć drogę do domu. Która mogłaby teraz być godzina? Przystawił zegarek do ucha. Nie udało mu się podważyć paznokciem szkiełka — chciał wyczuć palcem położenie wskazówek. Dotknąwszy prawą ręką ściany i łuku sklepienia jakiejś bramy, odwrócił się i zaczął iść sunąc stopami po chodniku. Ten odcinek znał; jego ręce rozpoznawały niektóre wejścia do budynków oraz witryny sklepowe. Pocił się i drżał, koncentrując wszystkie swoje zmysły w odnalezieniu drogi powrotnej do domu. Kiedy kręcił się w kółko, na jakimś rogu, usłyszał bełkotliwe słowa mężczyzny nadchodzącego z naprzeciwnika. Tamten, być może pijany, pochwycił go, krzycząc z całej siły. Władysław szamotał się w próbie uwolnienia z jego objęć, w końcu stracił cierpliwość i zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniejsze niż tamten. Wreszcie chwycił go desperackim ruchem za gardło i popchnął do tyłu. Człowiek upadł, po chwili zaczął jęczeć. Wyciągając do przodu ręce w obronnym geście, Władysław posunął się o parę kroków próbując rozpoznać najbliższe otoczenie. Pijak płakał i jęczał, jakby go coś bolało. Władysław chciał się do niego odezwać i ruszyć mu z pomocą, ale tamta szarpanina pozbawiła go sił. W końcu dał za wygraną i oddalił się pośpiesznie, zostawiając za swoimi plecami płaczącego człowieka. Gdzieś raz i drugi rozległ się łomot rozbijanych drzwi, z domów i mieszkań wydobywały się krzyki i hałasy pozbawione swej naturalnej osłony, na jaką składały się warkot samochodów, ryki odbiorników radiowych i inne odgłosy miasta. W ciemnościach Władysław dotarł do swojego budynku. Jego ręce macały po drodze rozpoznając wejścia do sklepów, ściany osobnych domów i ich bramy. Rozradowany, że wreszcie skończyła się jego wędrówka, zwolnił czujność i potknąwszy się o pierwszy napotkany stopień, upadł. Usłyszał czyjś głos:

— Kto tam?

— To ja, Władysław, z trzeciego piętra.

Odróżnił jeszcze inny głos:

— Wychodził pan na zewnątrz? Czy wszędzie jest tak ciemno?

— Wszędzie. Wszędzie jest tak samo.

Zapadła cisza, więc zaczął wspinać się po omacku. Wracał wreszcie do swojego mieszkania. Znał jego rozkład. Rozmieszczenie mebli i różnych przedmiotów, które były mu bliskie mógł ich dotykać i nad nimi czuwać, dopóki nie skończy się ten koszmar. Poruszając się ostrożnie, otworzył drzwi, po czym padł na łóżko. Odpoczynek był przyjemny, ale trwał krótko. Nie mógł opanować drżenia ciała ani uspokoić myśli. Posunął się do kuchni i wreszcie przy pomocy noża zdołał podważyć szkiełko zegarka. Pomacał wskazówki. Była jedenasta albo dwunasta — mniej więcej. Nie czuł głodu, ale otworzył lodówkę i zjadł kanapkę, jaka została mu z kolacji. Z zamrażalnika ciekła woda. Lód rozpuścił się całkowicie. Powoli rozmieszał z wodą mleko w proszku i wypił je. Wróciwszy do pokoju, znów się położył, ale nie potrafił tak leżeć i rozmyślać bez możliwości podjęcia jakiegoś działania. Usłyszał stukanie. Serce zabiło mu mocno. Krzyknął, żeby poczekano, i zanim doszedł do drzwi, zapytał, kto puka. Z odpowiedzi wynikało, że był to ten sam sąsiad. Nie mógł trafić do jego drzwi. Prosi o wodę dla dzieci. Władysław powiedział mu, że ma pełną wannę i poszedł z nim, żeby pomóc mu przyprowadzić żonę i dzieci. Więc czemuś posłużyła jego zapobiegliwość. Wszyscy chwycili się za ręce i posuwając rzędem przeszli przez korytarz. Dzieci uspokoiły się, nawet kobieta przestała płakać i powtarzać „Dziękuję, bardzo dziękuję”. Władysław zaprowadził ich do kuchni i posadził. Malcy objęli matkę za szyję. Dotykami odnalazł kredens, ale

rozbił szklankę, wymacał blaszany dzbanek, napełnił go wodą z wanny i postawił na stole. Wkładał po kolei szklankę z wodą w ręce, które napotkał, woda wylewała mu się, kiedy nie dość dobrze wyczuł położenie palców. Pomyślał, że powinien poczęstować ich jakimś jedzeniem, chłopczyk przecież powiedział, że jest głodny. Poszedł poszukać większej paczki z mlekiem w proszku i zaczął ostrożnie przygotowywać napój. Mówił głośno, że właśnie otwiera paczkę, liczył łyżeczki proszku i wołał, że miesza go z wodą. Wszyscy odpowiadali mu z ożywieniem przestrzegając, żeby mu coś nie spadło i chwalili jego zręczność. Ponad godzinę trwało rozdzielanie mleka. Cieszył się, że się nie pomylił, a wreszcie radowała go pewność, że stał się komuś potrzebny.

Kiedy zażartował, któreś dziecko roześmiało się. Usłyszał śmiech po raz pierwszy, od kiedy zaczęły zapadać ciemności. Władysław poczuł napływającą falę optymizmu, zaczął wierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Próbował argumentować, że ten dziwny cień utrzyma się tylko przez jakiś czas, ale kiedy gubił się w swoich wywodach i twierdził coś przeciwnego, co sprzeciwiało się jego poprzednim sądom, szedł mu w sukurs sąsiad i jego rodzina, podtrzymując te właśnie dedukcje, które on sam uważał za błędne. Wyglądało, jakby to on miał jakąś tajemną moc i od niego zależało, czy wszystko powróci do normy. Całe popołudnie spędzili w jego mieszkaniu, próbując podtrzymać rozmowę, choć właściwie nic bardzo mieli o czym mówić: starali się, tuląc do okna, dostrzec jakiś jaśniejszy punkt, czasem coś widzieli i krzyczeli o tym rozradowani, ale szybko przekonywali się o swoim błędzie, był to bowiem tylko krótkotrwały błysk, który natychmiast zniknął. Władysław stał się najważniejszą osobą w tej rodzinie. Dawał im jeść oprowadzał po swojej maleńkiej włości, której przedmioty rozpoznawał „z zamkniętymi oczami”... Byli zajęci całe popołudnie nic nie robiąc, przeznaczając wiele czasu na wykonywanie najprostszych czynności: podniesienie przedmiotu, który właśnie spadł, a którego oczywiście nie można było zobaczyć, przesunięcie krzesła w inne miejsce... Była dziewiąta, a może dziesiąta wieczorem, kiedy Władysław pomógł sąsiadom położyć dzieci spać. Zachowywały się tak, jakby w mieszkaniu przepaliły się bezpieczniki: śmiały się i skakały w ciemnościach, natomiast inne gdzieś tam w czerni nocy cierpiały chore, pozbawione opieki lekarzy, głodne i spragnione. Na ulicach zrozpaczeni ojcowie krzykiem błagali o pożywienie. Władysław zamknął okno, aby nie słyszeć tych lamentów. Zapasy, jakie miał w domu, mogły wystarczyć dla nich pięciorga na dzień lub dwa. Jego sąsiad, rozemocjonowany poprosił go, aby spędził noc w ich mieszkaniu — dzieci będą czuły się pewniej. Przystał na propozycję. Wrócił do siebie, umył się i włożył nową piżamę, choć wiedział, że i tak nikt go nie zobaczy. Zamknął drzwi na klucz na wypadek, gdyby ktoś chciał tu wtargnąć. Bardzo mu było miło, kiedy wszedł i dzieci zaczęły krzyczeć z radości:

— Mamo! Wujek Władysław przyszedł!

Był wzruszony. W ciemnościach nie musiał tego ukrywać. Pamięć wzrokowa nic jest dobra. Władysław ledwie sobie przypominał, jak wyglądają jego nowi przyjaciele, których prawie nie dostrzegał przy codziennych spotkaniach. Zaprowadzono go do ogromnej sofy po przeciwnej stronie salonu. Rozmawiali leżąc w łózkach i raczej tylko po to, żeby czuć jego obecność. Wreszcie zasnęli uczeplieni poduszek jak rozbitkowie, którzy pochwyciwszy pływającą deskę, słyszą jeszcze wokół wołania o ratunek, ale nikomu nie są w stanie udzielić pomocy. Zasnęli lub umilkli, aby nie przeszkadzać pozostałym. Jak ów pogrążony w ciemnościach świat uchroni się przed zagładą? Przez okno dobiegały głosy z ulicy. Czasem słyszeć było okrzyki: „Ludzie pomóżcie, nie mamy co jeść!” Władysław starał się nic myśleć o tym, co słyszał. Nakrywał głowę poduszką powtarzając sobie, że nie jest w stanie nic zrobić. W końcu zasnęli naprawdę, powaleni zmęczeniem. Śnili o jutrze: błękitne



niebo poranka, a promienie słońca zalewające pokój, wszystkie barwy świata w oczach. Ale nic się nie zmieniło. „Rano” Władysław usiadł na sofie, a jego sąsiad szepnęła:

— Panie Władysław, nie śpi pan?

Nóż zostawił na krześle, aby móc otworzyć zegarek. Nabrał wprawy. Potrafił w ciągu paru sekund podważyć szkiełko. Była mu więcej ósma. Pozostali też zaczęli się ruszać. Władysław przyniósł kociołek z wodą i rozpoczęło się poranne mycie — czynność wystarczająco skomplikowana. On tymczasem przygotowywał mleko, nalewał do szklanek, dzielił na równe części suche ciasteczka. I wszyscy znów podali sobie ręce i gęsiego poszli za nim do kuchni, aby zjeść zimne śniadanie. Dzieci obijały się o meble, gubiły w maleńkim salonie, a matka upominała je, niespokojna. Kiedy siedziały na krzesłach, nie wiedziały, co robić. Nic umyło szklanek, aby zaoszczędzić wody.

Znów zaczęła się rozmowa o przyczynach tego zjawiska. Wymyślali teorie i hipotezy, którym próbowali nadać podstawy naukowe. Przez jakiś czas godzili się z obecnymi trudnościami, jako że wciąż mieli nadzieję, że wszystko wróci do normy. Władysław twierdził bez ogródek, że ów stan rzeczy może się przeciągnąć. Wówczas kobieta uderzyła w płacz i trudno ją było uspokoić. Dzieci zadawały pytania, na które nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi. Władysław dotykał raz po raz wskazówek zegarka, nie wiedząc, co ma począć. Bardzo chciał coś zrobić, wstał więc i powiedział, że wyjdzie, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy. Ale oni żywo zaprotestowali: to niebezpieczne i próżne przedsięwzięcie. Był dla nich oparciem i bali się go stracić, bali się zostać sami. Musiał im przyrzec, że nie oddali się od budynku więcej niż o dwadzieścia metrów, że dojdzie tylko do rogu i nie będzie przechodził na drugą stronę ulicy. Zanim wyszedł, wszyscy mocno uścisnęli mu rękę.

Dosunawszy się do schodów, przyspieszył kroku. Stopami wyczuwał jakieś przedmioty, których nie potrafił rozpoznać. Przytulił się do ściany i minął główne wejście. Zaczął nasłuchiwać. Dmuchał zimny wiatr roznosząc sterty papierów, które miękko ocierały się o bruk. Bardzo daleko czekały psy, niekiedy ich ujadania jakby się potęgowały. Wokół rozbrzmiewały głosy, padało wiele słów, bezkształtnych jednak i niezrozumiałych. Władysław przypominał sobie swoje wędrówki po hacjendzie dziadka. Przystawał pod drzewami i słuchał szelestu liści kołyszących się drzew, wiatr również przynosił strzępy rozmów z domów położonych po drugiej stronie kotliny. Znieruchomiał w oczekiwaniu. Po chwili sunąc stopami przeszedł parę metrów. Słuchem poszukiwał oznak życia umęczonego miasta. Oczy, czy to otwarte, czy to zamknięte, niezmiennie widziały czarną studnię bez dna. Jakie to było straszne: stać i na nic nie czekać. I oto z zapomnianego kraju dzieciństwa zbiegły się najokropniejsze straszdyła i osaczyły go. Władysław zwrócił się twarzą w kierunku domu i rzucił do ucieczki. Prawie biegł ścierając skórę dłoni o mury, z pośpiechu potykając na schodach, słysząc za sobą przerażone głosy: „Kto tam chodzi? Kim jesteś?” Odpowiadał, sunąc w górę, przekraczając po dwa stopnie na raz, aż wreszcie znalazł się pośród przyjaciół, którzy wpadając na siebie, pędzili mu na spotkanie i pytali z przestachem, czy się nie zranił i co się wydarzyło. Usiadł i odetchnął z ulgą. Roześmiał się, po czym wyznał im, że się przestraszył i zawrócił biegiem na górę. Na zewnątrz było tak samo jak tutaj. Zamknawszy się, spędzili tak resztę dnia, jeśli można użyć słowa „dzień”. W ciemnościach każdą czynność należało wykonywać powoli i z uwagą, byli więc zajęci, co odrywało ich od myślenia. Rozmawiali przez cały czas, mówili o tym, co kto robił w danym momencie, opisywali drobiazgowo każdy swój ruch. Od czasu do czasu słowa, jakie ich łączyły, urywały się. Choć nie mogli być tego świadomi, wszyscy równocześnie podnosili głowy i wstrzymywali oddechy w oczekiwaniu na cud, który jednak się nie zdarzył. Skończyły się wydzielane skrzętnie cukierki z

pudełka. Jeszcze było mleko w proszku i trochę ciasteczek, ale jeśli szybko nie będzie światła, nietrudno przewidzieć, co się może stać. Godziny upływały. Znow się położyli i zamknęli oczy, walcząc o sen i oczekując świetlistego poranka wślizgującego się przez szyby do pokoju. Ale znow obudzili się jak poprzednim razem z oczami utkwionymi w czerni. Pocierali zapalkami o pudełko, ale jeśli nawet wykrzesali ogień, był on zimny, a płomień niewidoczny. W dodatku kończyło się jedzenie. Władysław podzielił między wszystkich resztę ciasteczek i mleka. Przyłgnęli do okna czekając na światło. Czarna ściana zdawała się wciskać w ich twarze. Mieli jeszcze dość dużo wody, ale jedzenia brakowało. Budynek liczył dziesięć pięter. Władysław powiedział cicho, że może trzeba by wejść na samą górę i zobaczyć, czy nic widać czegoś z daleka. Opuścił ich i zaczął się wdrapywać po schodach. Z mieszkań dochodziły do niego zaniepokojone głosy: „Kto tam? Kto idzie?” Władysław podawał swoje nazwisko, choć wiedział, że niewielu sąsiadów go zna. Pytali, czego chce, a na szóstym piętrze usłyszał zapewniający głos: „Może pan iść, jak pan ma ochotę, ale to tylko strata czasu. Byłem tam przed chwilą z dwoma kolegami. Nigdzie nic nie widać”. Władysław zdobył się na odwagę:

— Skończyło mi się jedzenie, a jestem z parą małżeńską i z dwojgiem dzieci, czy nie moglibyście państwo coś dla nas znaleźć?

Głos odezwał się w odpowiedzi:

— Mamy zapasy dokładnie jeszcze na dzisiaj. Niestety nie możemy pomóc.

Pozostał parę sekund i zdecydował, że wróci. Czy powiedzieć prawdę przyjaciółom?

Kiedy zarzucili go pytaniami, skłamał:

— Nic doszedłem do samej góry, ale spotkałem kogoś, kto tam był przed chwileczką. Powiedział, że coś widać bardzo daleko, ale nic potrafił mi tego wytłumaczyć.

Rodzina nabrała otuchy. Tymczasem on zaczął przekonywać wszystkich, że najlepiej zrobi, jeśli weźmie lewar i spróbuje dostać się do sklepu spożywczego, który znajduje się o mniej więcej sto metrów od ich budynku. Drogę zna dobrze, więc się na pewno nie zgubi. W pudle z narzędziami, które miał na szafie, wymacał lewar, młotek i obcęgi. Sąsiad nalegał, że będzie mu towarzyszył. Nic na to nie odpowiedział. Ale ponieważ kobieta i dzieci uderzyły w lament, że boją się zostać same, Władysław zrezygnował z pomocy sąsiada. Narzędzia włożył do kieszeni, owinąwszy je pustą torbą, a lewar wcisnął za pas, aby mieć wolne ręce. Prosił ich, żeby się nie martwili, jeśli długo nie wracał.

Oto opuszczał swoje schronienie i szedł kraść. Nie wiedział, co go czekało, tam, na zewnątrz. Ciemności zatarły między ludźmi wszelkie różnice. Pieniądze nie służyły do niczego, podobnie jak dokumenty tożsamości. Nie było policji, rządu, prawa. Głos był wszystkim — za nim bowiem znajdował się człowiek z niezmiennie wyciągniętymi rękami, które mogły dać... albo zabrać. Władysław posuwał się wzdłuż muru, mózg pomagał mu widzieć wchłonięte niegdyś szczegóły. Ręce badały każdą szczelinę. Ale nieoczekiwanie wszystkie obrazy zebrane w pamięci zmieszały się i zawirowały mu grunt pod stopami. Zatrzymał się opierając o ścianę, jego prawa ręka, wciąż nieruchoma, wskazywała kierunek drogi. Powoli zbliżał się do sklepu. Choć uważał swój czyn za usprawiedliwiony, jednak zadrżał na myśl o kradzieży, jakby w obawie, że ktoś mógłby go zobaczyć. Dłonie, centymetr po centymetrze, wędrowały po murze, aż natrafiły na faliste wypukłości żelaznych drzwi.

Był to jedyny sklep spożywczy w tej dzielnicy. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Odgłosy, jakie go dobiegły, skojarzyły mu się ze szmerami dochodzącymi, mimo zamkniętych drzwi, ze

szpitalnej sali. Pochylił się, szukając zamka, ale jego ręce nie natrafiły na nic, co by stawiało opór. Drzwi były lekko uchylone, więc nie musiał się z nimi mocować. Pochylił się jeszcze raz i wślizgnął bezszelestnie. Po prawej stronie były półki z puszkami i słodyczami. Zahaczył o ladę. Wydał z siebie okrzyk i natychmiast znieruchomiał w oczekiwaniu. Nikt się nie odezwał, ale też nie usłyszał żadnego innego hałasu. Wdrapał się na ladę, zsunął na drugą stronę i obmacując rzeczy dookoła siebie, dotarł w głąb sklepu. Dotknął jednej półki, obszukał pudło. Nic. Niczego tam nie było. Pewnie wysprzedano wszystko, zanim zrobiło się całkiem ciemno. Uniósł do góry rękę, szukając teraz z większą niecierpliwością. Zupełnie nic, ani jednej rzeczy. Ponowił poszukiwania, nie troszcząc się już o to, czy narobi hałasu. Ręce miał suche od kurzu. Pochylał się teraz i wstawiał zaniechawszy ostrożności, wymachiwał rękami na wszystkie strony, szukając jeszcze raz po kątach, objijając się o ściany. Jakby kłócił się z kimś o to, czego tutaj nie było. Kilkakrotnie powracał w miejsce, skąd rozpoczął poszukiwania. Nic było nic. Nigdzie, w żadnym zakątku sklepu. Zatrzymał się i wkrótce zapragnął jeszcze raz przeszukać wszystko, choć już wiedział, że niczego nie znajdzie. Był naiwny, sądząc, że przyniesie jedzenie. Ci, którzy nie mieli zapasów, wcześniej od niego zorientowali się, że sklep będzie jedynym możliwym ratunkiem.

Władas siadł na pustej skrzynce i pozwolił płynąć łzom. Był głupcem wierząc, że znajdzie coś w sklepie. Kradzież zaczęła się pewnie już wczoraj, kiedy wszyscy tak krzyczeli i hałasowali. Skąd teraz weźmie jedzenie dla tamtych? Poczul się bezradny i śmieszny, kiedy sobie przypominał, jaki to był pewny i spokojny na początku, bawiąc się roznoszeniem wody i przygotowywaniem mleka w proszku. I jak w krótkim czasie stał się nikim, nie miał planów, nie wiedział, co będzie robił w najbliższej chwili. A co w ogóle można było robić? Ma wrócić pokonany, czy powinien iść poszukać jakiegoś innego sklepu? Nawet nie potrafiłby powiedzieć, gdzie są te inne sklepy. A jeśliby mu się udało do nich dotrzeć, to skąd może wiedzieć, czy coś w nich jeszcze będzie? Wyszedł na ulicę, bolały go ręce, czuł wzbierającą w sobie rozpacz, ale też wiedział, jak niebezpiecznie byłoby się jej teraz poddać. Znajdował się sam, w świecie ograniczonym zasięgiem wyciągniętych rąk. Uląkł się iść dalej, obawiał się spotkania z kimś, kto rzuciłby się na niego oszalały z powodu ciemności.

Postanowił jednak wrócić do domu, do swoich niewidocznych przyjaciół — stawiał teraz długie kroki i szedł szybciej. Zatrzymał się gwałtownie, szukając dłońmi jakiegoś znajomego miejsca. Zrobił krok, drugi, następny, posunął się parę metrów dalej, odkrywając drzwi i mury, aż znalazł się na jakimś obcym jego rękoma rogu. Musiał zawrócić do sklepu, aby odnaleźć drogę, którą znał. Odwrócił się i wyciągając w ciemności poranione ręce, posuwał się szukając falistej blachy. Ale nic mógł jej wymacać. Poruszał się już teraz we wszystkich kierunkach. Zabłądził. Nic wiedział, gdzie się teraz znajduje, nic wiedział, w jaki sposób mógłby odnaleźć drogę do domu. Siadł na krawężniku czuł w skroniach pulsowanie krwi. Wstał podrywając się gwałtownie, jakby się topił, i krzyknął:

— Przepraszam, zgubiłem drogę, proszę mi powiedzieć, jak się nazywa ta ulica?! Krzyknął jeszcze raz, potem drugi, wciąż głośniejszy, ale nie usłyszał odpowiedzi. Cisza zdawała się pogłębiać. Przerażony zaklinał i błagał, aby ktoś mu pomógł, aby powiedział, na jakiej jest ulicy. Ale dlaczego mieliby się nad nim litować? On sam ze swojego okna nieraz słyszał rozpaczliwe krzyki ludzi, którzy zgubili drogę — wtedy strach podpowiadał mu, że ci błagający o ratunek mogą napaść na jego mieszkanie. Zaczął biec, nie troszcząc się już, dokąd pędzi, i wołał o zmiłowanie, tłumacząc, że życie czterech osób zależy od jego powrotu do domu. Nic czepiał się już murów, szedł pośpiesznie raz jedną stroną, raz drugą, krokiem pijanego, zebrząc o informację i trochę pożywienia. Nie wiedział, jak daleko pozostawił ulicę, przy której mieszkał — żywił nadzieję, że zaraz ją odnajdzie.

— Nazywam się Wladas, mieszkam pod numerem 215, bardzo proszę, pomóżcie mi!

Z ciemności dobiegały go różne głosy, to niemożliwe, żeby go nikt nie słyszał. Prosił i płakał, nie czując wstydu, jakby w ciemnościach znów był bezbronnym małym dzieckiem. Ile to już czasu minęło? Nie wiedział. Zegarek wciąż tykał, ale nie mógł znaleźć nic, czym dałoby się podważyć szkiełko. W końcu i czas przestał go obchodzić. Ciemność dusiła go, wdzierając się do wnętrza ciała wszystkimi porami skóry, przemieniała psychikę. Wladas przestał błagać o ratunek. Teraz przeklinał ludzi, zarzucał im podłość, krzyczał gniewnie, dlaczego mu nie odpowiadają. Jego dotychczasowa słabość zmieniła się w nienawiść, chwycił w garść ciężki lewar zdecydowany posłużyć się nim, aby zdobyć żywność. Zderzył się parę razy z nadchodzącymi z naprzeciwka, którzy, jak przed chwilą on, też błagali o pożywienie. Posuwał się dalej, ściskając w garści lewar. Wpadł wreszcie na kogoś i pochwycił go mocno. Człowiek krzyknął, ale Wladas nie wypuszczając z rąk swej zdobyczy, zaczął pytać, gdzie się teraz znajdują i jak można zdobyć pożywienie. Był to chyba jakiś starzec, gdyż padł na niego bezwładnie wstrząsany łkaniem i przerażeniem. Wladas puścił go i pozwolił odejść. Na co mu ten lewar, skoro wszyscy byli jednakowo nieszczęśliwi. Ponownie włożył swoją broń za pas. Poczł się jednak mniej pewnie. Usiadł, aby nie zemdleć, i ukrył głowę w ramionach. W ciemnościach, w idealnej czerni, równowaga, niezależnie od pozycji ciała, staje się entelechią. Poczł się trochę lepiej, ale był już głodny i wyczerpany chodzeniem. Wstał z trudem i znów poszedł przed siebie, tym razem w milczeniu. Ciemności nie wyzwały go z właściwego jego naturze zmysłu praktycyzmu: wędrował uparcie, przedzierając się przez niezmienną czerń, w poszukiwaniu ratunku.

Nie można było sobie pozwolić, to niegodne człowieka, na utratę życia w taki sposób. Ponownie zaczął krzyczeć głośno, wyrzaskując swoją sytuację, błagając o ratunek, przekonując tych, którzy musieli słyszeć go ukryci za swoimi murami, drzwiami, oknami — ale oni pewnie nie mieli sił lub odwagi, aby mu odpowiedzieć. Kiedy dochodził do jakiegoś rogu, zawsze skręcał w lewo, żeby nic oddalać się za bardzo od bloku, w którym mieszkał. Możliwe, że nie zdając sobie z tego sprawy, krążył wciąż po tych samych ulicach, kto wie, może nawet przeszedł obok swojej bramy. Wyczerpany, głodny i spragniony mówił do siebie, od czasu do czasu głośno wołając o ratunek. Jeszcze raz usiadł na krawężniku i słuchał najbliższych odgłosów. Wiatr poruszał okiennicami opuszczonych domów, z różnych kierunków dobiegały rozmaite hałasy, dźwięki niskie i wysokie, szuranie, chrobot, zgrzyt, głosy pochodzące od zwierząt lub ludzi — głodnych więźniów mroku. Podniósł do ucha rękę zwiniętą w trąbkę. Słyszał wyraźne i coraz bliższe, równe kroki. Krzyknął prosząc o ratunek i zamilkł, zamieniając się w słuch. Z oddali usłyszał męski głos:

— Proszę zaczekać, zaraz panu pomogę.

Wladas podziękował mówiąc, że nie trzeba się bać, potrzeba mu tylko trochę jedzenia i chciałby się dowiedzieć, jak mógłby odnaleźć swój dom. Mówił jeszcze, kiedy poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia. Podniósł się i zaczął błagać przechodnia, aby go nie zostawiał samego. Ów człowiek niósł ciężki worek i dyszał ze zmęczenia. Poprosił Wladasa, aby pomógł mu nieść ciężar: trzeba podtrzymywać z tyłu, a on będzie szedł przodem. Wladas hamował łkanie — poranione ręce bolały go jeszcze bardziej pod wpływem ciężaru. Mówił bez przerwy opowiadając, co mu się przytrafiło, wszystko od samego początku. Człowiek odpowiadał monosylabami i szedł nadal nawet dość szybko. Wladas zamilkł, gdyż poczuł coś dziwnego, czego nie umiał sobie wytłumaczyć. Z trudem dotrzymywał kroku swojemu towarzyszowi, który z niebywałą pewnością okręzał rogi ulic. Zrodziło się w nim podejrzenie. Kto wie, może tamten widział, może dla innych powróciło światło? Zapytał:

— Pan bardzo pewnie stawia kroki, czy... może już coś widać? Mężczyzna przez chwilę nic

odpowiadał:

— Nie, nic nie widzę, jestem ślepy. Władas wyjąkał następne pytanie: — Przedtem... też?

— Też — odpowiedział — jestem ślepy od urodzenia. Idziemy właśnie do Instytutu Niewidomych. Tam mieszkam.

Ogarnęło go paradoksalne uczucie podziwu. Ten człowiek znał ulice, mówił zwyczajnym głosem, w którym nic było rozpachy, do jakiej on, Władas, zdołał już przywyknąć. Teraz jeden i drugi znajdowali się w takich samych ciemnościach, ale dla tego ślepego, który nazywał się Vasco — świat ciemności był zwykłym światem, składającym się z dźwięków, zapachu i dotyku. Wyszedł po żywność i potrzebował pomocy Władasa, żeby przy dźwigać worek.

Ślepiec powiedział mu, że ratowali ludzi, którzy zgubili się w mieście, że przyprowadzili już parę osób, ale nic mają tam u siebie wystarczającej ilości jedzenia. I nic mogą już pomóc innym. Ciemności wciąż trwają i nic nie zapowiada, że się skończą. Wkrótce tysiące ludzi zacznie umierać z głodu i wycieńczenia i nic na to nic można poradzić.

W końcu przybyli do Instytutu Niewidomych. Władas pozwolił się prowadzić przez różne pokoje, doszedł do jakiegoś miejsca, gdzie posadzono go na krześle. Czuł się jak dziecko, któremu zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, ale dorośli uratowali je i teraz siedzi sobie pewne i spokojne. Wypił szklankę mleka i zjadł chleb, który wetknął mu ktoś do rąk. Jednak nic przestawał myśleć o swoich przyjaciółkach, którzy, na pewno głodni, zrywają się na każdy dźwięk, czekając na jego powrót. Poprosił, aby mu pozwolili porozmawiać z Vaskiem, jego zbawcą, że nie może zostawić swoich sąsiadów, zamkniętych w mieszkaniu, bez pomocy. Ponawiał swoje prośby, ale wciąż słyszał tę samą odpowiedź. Przekonywali go, że inni też potrzebują pomocy, że budynek jest ogromny, a oni nic są w stanie zająć się wszystkimi. Władas nic potrafił przestać myśleć o dzieciach. Prosił, aby mu wskazali drogę, że pójdzie sam. Wstał, żeby już iść, potknął się o coś i upadł. Vasco powiedział im, że tam w mieszkaniu jest wanna pełna wody. Tamci jednak nic uwierzyli mu. Mimo to przynieśli dwa duże plastikowe naczynia i Vasco wyprowadził Władasa na ulicę. Związali się sznurem, aby iść jeden za drugim, żeby łatwiej wymijać przeszkody. Vasco powiedział mu, że Instytut znajduje się o pięć przecznic od jego budynku. Urodził się w tej dzielnicy, więc znał ją bardzo dobrze. Władas, przywiązany do swojego przewodnika, czuł teraz obawę przed tymi, którzy potrafili nieść ratunek — czy rzeczywiście pewny? Vasco wybierał najlepsze przejścia, nazywał ulice, którymi szli, zmieniał kierunek, kiedy usłyszał podejrzane hałasy i okrzyki wściekłości.

— To powinno być tutaj.

Władas postąpił parę kroków i, macając dookoła, rozpoznał gałkę na bramie swojego budynku. Vasco szepnął mu, aby on też zszedł buty lepiej będzie, jak unikną czynienia hałasu. Weszli. Władas poszedł przodem, przeskakując po dwa stopnie. Odsuwali różne przedmioty znajdujące się po drodze i wsłuchiwali się w głosy za drzwiami. Słów nic można było zrozumieć. Wszedłszy na trzecie piętro, skierowali się ku drzwiom sąsiada. Zapukali cichutko, potem nieco głośniejsze, ale nikt nie odpowiedział. Musieli znajdować się w mieszkaniu Władasa, ponieważ zostawił im klucz, żeby mogli mieć wodę. Rodzina posłyszała szmer i ktoś odezwał się:

— Kto tam?

— To ja, Władas, wpuśćcie mnie.

Usłyszał okrzyki radości i niedowierzania, po czym otworzyły się drzwi i tamci rzucili mu się w objęcia.

— Jestem. Jak się macie? Spotkałem przyjaciela, uratował mnie, zna drogę.

Nic powiedział im, że ten przyjaciel to ślepiec. Samo brzmienie tego słowa przywodziło na myśl nieszczęście. Kobieta i dzieci, teraz słabsze i smutniejsze, otoczyły go ramionami, a sąsiad opowiedział, ile przecierpieli, że pili tylko wodę, że nie wierzyli już w powrót przyjaciela Władasa. Ten opowiedział im o Instytucie Niewidomych i dodał, że wszyscy powinni się tam udać. Napełnili wodą dwa naczynia. Vasco obwiązał je sznurem z każdego boku. Pomógł odnaleźć potrzebne rzeczy, aby je zabrać. Zdjęli buty i rzędem, trzymając się za ręce, poszli w kierunku schodów. Zbyt szybko stawiali kroki, żeby nic czynić hałasu. Na parterze, tuż przy wyjściu, ktoś zawołał:

— Kim jesteście? Macie coś?

Nikt nie odpowiedział. Vasco zaczął popychać wszystkich w kierunku drzwi. Ów głos ruszył w ich kierunku, ale już znajdowali się na ulicy i szli rzędem. Człowiek pytał, czy mają wodę albo jedzenie. Ale rząd postępował naprzód. Trudno byłoby ich dogonić. Szli nadal bez butów, aby nie tracić czasu na ich wkładanie. Wkrótce poczuli ból w stopach, które wciąż napotykały nierówności bruku. Powrót zajął im więcej czasu z powodu dzieci, a również dlatego, że często przystawali, kiedy usłyszeli bliższy hałas. Do Instytutu przybyli zmęczeni jak żołnierze po ciężkiej przeprawie z wrogiem. Teraz tym żołnierzom pozwolono odpocząć.

Vasco dał im mleka z płatkami owsianymi i poszedł naradzić się ze swoimi towarzyszami, co będą robić, kiedy sytuacja przedłuży się. Inny ślepiec wskazał im miejsce do spania. Tym razem nietrudno im było zasnąć, ponieważ od bardzo wielu godzin nie zmrużyli oka. Ale spali niewiele — Vasco obudził ich mówiąc, że jest trzecia rano, że zdecydował się na opuszczenie Instytutu — wszyscy mają schronić się na farmie, należącej do Niewidomych, która znajduje się parę kilometrów za miastem. Jest to konieczne, ponieważ kończą się zapasy żywności i nie ma sposobu na bezpieczne ich zdobycie. Jest daleko, ale wykorzystają tory kolejowe, które biegną parę przecznic za Instytutem. W związku z nieprzewidywanymi trudnościami należy powziąć wszelkie środki ostrożności. Muszą iść z nimi do głównej sali i tam czekać na instrukcje dotyczące przeprowadzki.

Sala była chyba duża, ponieważ głosy mówiących odbijały się od ścian lekkim echem. Vasco, pewnie starszy od innych ślepców, a może jakiś ich szef, zabrał głos. Powiedział zebranym, że jeśli chcą przeżyć, przede wszystkim muszą zachowywać się rozsądnie. Następnie zwrócił się do swoich ślepych towarzyszy przypominając im, że ciemności, które stały się nieszczęściem dla innych ludzi, w ich życiu nie są niczym nowym, trudność polega tylko na tym, że nie można uzyskać ciepła, aby gotować posiłki, więc większość produktów nie nadaje się do spożycia. Mają u siebie jedenaście osób przyprawionych z ulicy i razem z mieszkańcami Instytutu wszystkich jest dwadzieścia troje. Żywności, skrupulatnie rozdzielanej w minimalnych racjach, wystarczy na sześć lub siedem dni. Byłoby rzeczą ryzykowną oczekiwać, że w ciągu tego czasu życie wróci do normy, ponadto w każdej chwili należy liczyć się z napaścią i kradzieżą ze strony wygłodniałych ludzi z miasta. Na ich wspólnej farmie powinno się znajdować teraz dziesięć osób. Ponieważ uprawiano tam jarzyny, również na sprzedaż, były więc zapasy i nie brakowało wody pitnej. Pozwalałoby to im wyżywić ludzi, oczywiście racjonując żywność, przez dłuższy czas. Vasco dodał, że możliwości przeżycia, przy dość skąpym odżywianiu, przez okres trzydziestu do czterdziestu dni, owszem istnieją, ale nie bez uszczerbku dla organizmu. Konieczne jest współdziałanie i poddanie się obowiązującemu od tej pory posłuchowi. Należy pamiętać, że z chwilą opuszczenia Instytutu trzeba zachować milczenie i nie odpowiadać na głosy z zewnątrz, niezależnie od tego, co one będą oznaczały. Dorośli muszą pomóc nieść puszki z płatkami owsianymi, syropem oraz inne suche produkty, które znajdowały się w budynku. Zaraz potem ślepcy zaczęli pakować i rozdzielać żywność. Niektórzy z zebranych prosili o

więcej informacji, inni wysunęli kilka propozycji. Nikt się nie sprzeciwił nakazom Vasca. Ślepcy rozdzielali worki, walizki i paczki, gdy tymczasem Władas i pozostali siedzieli każdy na swoim miejscu i czekali. Nie mogli nic innego zrobić, gdyby się ruszyli, przeszkadzaliby tamtym. Pracy ślepców towarzyszyły polecenia wydawane bardzo głośno. Siedzący, choć bardzo się wysilali, nie potrafili zrozumieć ani uwierzyć, że ci, którzy teraz pracowali, znajdowali się w tych samych co oni ciemnościach. Jak można się przyzwyczaić do pustki, jak nauczyć orientacji w przestrzeni? W takich warunkach trudno się nawet ubrać, nie można przejść dwóch kroków, żeby na coś nic wpaść, chyba, że się miało szczęście i nic nie było na drodze. Teraz wszyscy żyli w tym samym czarnym, niebezpiecznym świecie. Władas przypominał sobie swoje przypadkowe zetknięcia z ludźmi w czarnych okularach z białą laską. Zawsze szli wyprostowali i „patrzyli” prosto przed siebie. To prawda, przez całe życie poświęcił im parę krótkich chwil, kiedy pomyślał o którymś z nich ze współczuciem. Ach, gdyby wtedy mógł wiedzieć, że te odmierne istoty, też stworzone z kości, ciała i myśli, staną się cudotwórcami, zbawcami tych, których oczy są równie bezużyteczne teraz, jak ich własne — zawsze.

Podzielili się na cztery grupy i powiązali sznurami jak alpiniści. Ślepcy znali drogę. Najtrudniej będzie jednak przejść przez kilka ulic i dostać się do torów kolejowych. Zarządzono, aby iść w bezwzględnej ciszy, można było się odezwać tylko w przypadku wyjątkowej konieczności. Władas znalazł się w ostatniej grupie. Niósł niewielki tobolek. Kiedy wyszli, poczuli na twarzach chłód, jaki panował na zewnątrz. Zaczęli poruszać stopami, rozpoczynając swą ślepą wędrówkę. Przechodzili przez ulice, skręcali za rogami — teraz, kiedy mieli przewodników, ciemności były ich ochroną. Wówczas, gdy czujemy, że naszemu życiu zagraża niebezpieczeństwo, przyoblekamy się w twarde pancerz egoizmu. Anonimowe krzyki i błagania, dobiegające z ciemności, były tylko informacją, że tam, skąd one pochodzą, znajduje się przeszkoda, którą należy ominąć z daleka. Ludzie niosący jedzenie cofali się przed ludźmi żebrzącymi o kawałek chleba, który może pozwoliłby im przeżyć. Wiatr niezmiennie niósł rozpaczliwe wołania, a dziwni rozbitkowie wiedzeni przez ślepych sterników nie przerywali swojej okrutnej ucieczki. Kiedy poczuli pod stopami prowadzące w nieskończoną ciemność twarde stalowe szyny, jakby odetchnęli z ulgą. Jeszcze tylko trzeba przejść przez szosę, na której mogły się znajdować ludzkie „przeszkody”, a dalej należało tylko unosić wyżej nogi. Jednak dalsza wędrówka okazała się męcząca: musieli dobrze liczyć kroki, żeby nic potykać się o podkłady. Władasowi wydawało się, że upłynęło wiele godzin, ale zdawał sobie sprawę, że jest to złudzenie. Nagle zatrzymali się. Vasco podchodził do każdej grupy i oznajmiał, że na torach stoi lokomotywa, a może i cały pociąg. Poszedł sam, żeby to sprawdzić. Usiedli, żądni odpoczynku, ale przeszkodził im odgłos jakiegoś drapania, czy szarpania. Vaska długo nic było słychać. Wreszcie szeptem podali sobie z ust do ust wiadomość, że już można ruszać. Musieli obejść wagony. Hałas dobiegał z jednego z nich. Przeszli obok z bijącymi sercami, ich uszy niemal ocierały się o drewniany bok wagonu. Tam był człowiek lub zwierzę — jakaś umierająca istota. Zostawili ów głos za sobą, poruszając strudzonymi stopami w niekończącej się wędrówce wciąż naprzód. Władasowi przypominał się długi marsz z czasów, kiedy odbywał służbę wojskową. Słońce paliło, oddział z trudem powłóczył obolałymi nogami wydawało się, że nigdy nie skończy się ta udręka. Jakże teraz zazdrościł tamtemu zmordowanemu Władasowi ten Władas idący w czarnym kapturze skazańca. Ciemności zdawały się odzierać z życia całe jego ciało od głowy do stóp w butach, jakby tylko buty niosły, wydeptując ostre kamienie spomiędzy niezmiennie powtarzających się belek podkładów, to co jeszcze z niego pozostało.

Zdziwił się, kiedy idąc w ślad za sznurem, nagle usłyszał chrzęst piasku. Sam nie wiedząc dlaczego, stwierdził z całym przekonaniem, że znajduje się na wsi. W jaki sposób ślepcy znaleźli to miejsce? Może kierowali się węchem, może drzewa pachną im tak, jak nam świeża, dojrzała cytryna? Wciągnął powietrze w płuca. Znał skądś ten zapach, tak, to eukaliptus. Wyobraził sobie drzewa eukaliptusowe rosnące w rzędach po obu stronach drogi, którą właśnie przemierzali. Szli poboczem szosy, a może była to zwykła droga, jak by się tego dowiedzieć? Rząd zatrzymał się. Doszli do celu. Bardzo trudno jest przyzwyczać się do zmian w otoczeniu niczego nie widząc. Nie wiedzieli, czy gospodarstwo było duże, czy miejsce bezpieczne. Pozwolono im mówić, więc wszyscy naraz zaczęli zadawać pytania, ale nie na wszystkie otrzymywali odpowiedzi. W domu było ośmiu ślepców i paru pracowników. Vasco rzekł im, że mogą odpocząć, ale oni wcześniej posiadali lub pokładli się na ziemi. Władas ulokował się obok swoich sąsiadów. Niektórzy z przybyłych spali już na gołej ziemi, dzieci w ramionach ojców. Z głębi ciemności dobiegały zduszone łkania, można rzec, że pochodziły z pokoju obok, zaś inny głos dochodził jakby z niższego piętra. Wydawało się, że walka o to, aby nie umrzeć z głodu, skończyła się. Ślepcy przynieśli zimną zupę, w której wyczuli smak miodu i owsianki. Vasco z trudem kierował ich ruchami, żeby nie wpadli na siebie. A co z tymi, którzy pozostali w mieście? Co z chorymi w szpitalach? A z dziećmi? Tymi najmniejszymi, niemowlętami? Nikt nie wiedział ani nie chciał wiedzieć. Wielkie klęski zwykle mniej przerażają od drobnych nieszczęść, które dotyczą nas bezpośrednio. Uciekinierzy nie musieli „zamykać oczu na widok” przerażających scen, na śmierć i zniszczenie, jakie pozostawili za swoimi plecami. Byli zamknięci w sobie, a ich wyobrażenia mogły być tylko następstwem własnych, niewiele mających wspólnego z rzeczywistością, przypuszczeń. Władas krążył najpierw po swoim mieszkaniu. Dobrze znał meble i sprzęty, których dotykał. Potem szedł po znanej sobie ulicy i wówczas wymacywał zapamiętane krawędzie murów i wypukłości... ale w nocnym otoczeniu jego palce wchodziły w kontakt z nowymi przedmiotami i nie mogły dać mu informacji o całości. Vasco i inni ślepcy zebrali się w kółko w celu ustalenia obowiązujących norm życia. Było jasne, że uratowani powinni w najkrótszym czasie nabyć umiejętności, jakimi dysponowali niewidomi. W warzywnikach rosła marchew i pomidory. W sadzie dojrzewały owoce nadające się już do jedzenia. Należało wyznaczyć racje żywnościowe — oczywiście dla dzieci trochę większe. Ktoś wyraził wątpliwość, czy warzywa mogą rosnąć w ciemnościach. Człowiek zajmujący się hodowlą powiedział, że cały czas karmił drób, ale od pierwszego dnia ciemności kury nie zniosły ani jednego jajka. Kozy nie były uwiązane i nikt nie wiedział, czy żyją. Każdy ocalony miał za zadanie uczestniczyć w pracach ogólnych, nawet gdyby przysparzał więcej kłopotu prowadzącym go ślepcom, niż niósł pożytku.

Kiedy Władas pozbył się uczucia zagrożenia, zaczął zastanawiać się nad swoimi reakcjami w ciemnościach. Podczas gdy mówił, nic szukał oczu rozmówcy, nic też nie mogło pomóc mu w argumentowaniu: ani lekkie zmarszczenie brwi, ani skiniecie głową. Ponadto nigdy nie miał pewności, czy jest słyszany. A gdy on sam, wypowiadając słowa, zaprzestał posługiwania się mimiką twarzy, rozumiał, dlaczego niegdyś widziane twarze ślepców przerażały go swoją bezwyrazistością, brakiem ekspresji. Rozmowy „widzących” stawały się dziwnie nienaturalne — jeśli któryś nie otrzymywał natychmiastowej odpowiedzi, zdawało mu się, że jego słowa nie dotarły do adresata, że ich nie słyszał.

Zatroszczono się również o spanie: wszyscy mieli przebywać we wspólnym baraku — każdy otrzymał posłanie ze słomy, pokryte grubym płótnem. Uregulowano też sprawę korzystania z niewielu ubikacji. Wreszcie Vasco powiedział, że jest dziesiąta wieczorem i trzeba pójść spać. Każdy ślepiec



miał opiekować się małą grupą ludzi, do których zwracał się po imieniu i prowadził rzędem. Ale i tak ktoś na coś wpadał. Kiedy zebrani usłyszeli żart na ten temat, nieoczekiwanie rozległ się ogólny śmiech powróciła nagle dawno zapomniana radość, aby przez parę sekund rozświetlić pogrążone w ciemnościach myśli.

Władas znów spał ciężkim snem pełnym koszmarów, w których wszystko co najstraszniejsze było ogniem i światłem. Obudził się gwałtownie i przez chwilę czekał, aż ktoś włączy światło. Nie chciał uwierzyć w tę ślełą rzeczywistość, w jakiej się znajdował, zaczął uważać ją za chwilową fantazję, bajkę, która się zaraz skończy. Wyobrażał sobie nawet, że w innych krajach sytuacja była zupełnie inna. Naukowcy na pewno wynaleźli sposób na uratowanie wszystkich ludzi. Wiedział, że musi pozostawać na swoim miejscu, dopóki nie przyjdzie po niego ślepiec, który miał pod opieką jego grupę. Nie chciał nikogo obudzić, więc tylko wyszeptał imię Vasca i poczekał. Nie rozumiał, w jaki sposób potrafił go jednak nauczyć tego świata pustki, w którym materializowały się przedmioty pod jego stopami lub palcami. Ponadto pozostawały w pamięci — na przykład rozpoznał otwór, który wymacał wczoraj i wypukłość, której wcześniej dotykał. Ale kiedy ręce i stopy uczyły się nowej przestrzeni, musiał pomagać sobie słuchem i niekiedy wzywał pomocy i czekał, aby skorzystać z umiejętności prawdziwych synów nocy. Zaczął się szósty dzień bez światła. Temperatura spadła, ale nie było w tym nic dziwnego o tej porze roku. Promienie słońca musiały w jakiś sposób przedzierać się przez atmosferę. Zjawisko nie powinno być pochodzenia kosmicznego. Ktoś zacytował fragment z Biblii o końcu świata. Następny wymyślił inwazję istot z innej planety. Władas starał się wszystkie te sady i przypuszczenia niwelować i nadać zjawisku bardziej naukowe wyjaśnienia. Nie był to, choć tak by się mogło wydawać, ani koniec świata, ani inwazja z innej planety. Ziemia podczas swojego obiegu wokół słońca musiała zanurzyć się w jakiejś substancji, która ma wpływ zarówno na centralny system nerwowy, jak i na materiały, za pomocą których powstaje płomień i światło. Wyjaśnienia naukowe były tak samo bezsensowne jak metafizyczne i transcendentalne. Władas natomiast stwierdził, że bez sprawdzania czasu na zegarku zaczyna odróżniać godziny nocne od dziennych. Vasco uważał, że jest to przyzwyczajenie organizmu do dobowego cyklu pracy i odpoczynku. Niekiedy ktoś wchodził na wysoki ganek i rozglądał się na wszystkie strony. Czasem też rozlegał się czyjś entuzjastyczny krzyk, że widać jaśniejsze smugi, wówczas ludzie pędzili z rozłożonymi rękami ku schodom, inni w przeciwnym kierunku, i odbijając się o ściany pytali:

— Gdzie są? Co się dzieje? Widzieliście coś?

Ponieważ zdarzało się to często, radość stawała się coraz mniejsza. Ciemność jednak wciąż była taka sama. Niekiedy na farmie wybuchały jakieś sprzeczki i nieporozumienia, ale ślepcy zawsze znaleźli sposoby, aby złagodzić konflikt. Władas zauważył, że odróżniał po tonie głosu słowa wypowiedane przez ślepców. Dziwiło go to tym bardziej, że przecież nikt nic widział, wszyscy byli w podobnej sytuacji.

Ocaleni, kiedy o czymś informowali, względnie wyrażali jakieś życzenie, zawsze czynili to tonem przepojonym goryczą. Albo kiedy próbowali powiedzieć coś wesołego, nigdy im się nie udawało dokończyć zdania w taki sam sposób — ciemność ukrywała ich uśmiechy i wyraz oczu. Te na pozór nieważne szczegóły nadawały ich słowom właściwego znaczenia, które teraz, w ciemnościach, ginęło. Ślepcy mieli inną barwę głosu. Może to właśnie ciemność, wśród której zawsze żyli, była powodem jej powstania. W głosie Vaska wyczuwał szczególną pewność siebie, przekonanie, że to co robi jest słuszne, że robi to lepiej od innych i jest z tego zadowolony. Ci sami ludzie z białymi laskami, w ciemnych okularach, którzy kiedyś z pokorą pytali, jaki numer ma nadchodzący autobus,

albo prosili o przeprowadzenie przez jezdnię lub badali skrupulatnie drogę, budząc litościwe spojrzenia przechodniów, teraz byli szybcy, akuradni i precyzyjni. Jak czarodzieje, których ręce wykonują niemożliwe dla innych czynności. Teraz oni, ostrożnie prowadząc pod rękę swoich niewidomych, odpowiadając na ich pytania, spłacali dług za niegdyś oddaną sobie przysługę. I też czuli radość ze spełnienia aktu miłosierdzia. Byli cierpliwi, kiedy ich protegowani popełniali błędy albo nie potrafili czegoś zrozumieć. Ich, ślepców, nieszczęście stało się teraz udziałem wszystkich, wszystkich ludzi na całym świecie. Niektórzy nawet zapominali, że ci ocaleńcy, opowiadający im o swoim życiu wśród barw i światła sprzed miesiąca, teraz są jak bezradne małe dzieci. Brakowało rąk do pracy, aby sprostać potrzebom ślepej grupy. Przewodnicy niewiele mieli czasu na odpoczynek. Mimo to, kiedy podali już ostatni posiłek, grali na skrzypcach i śpiewali. Władas zauważył, że czynili to z radością i entuzjazmem, choć sytuacja nie sprzyjała zabawie. Przez chwilę wyobrażał sobie, że oni wszyscy widzą i tylko on jest ślepy. Ileż ci ludzie w czarnych okularach i z białymi laskami musieli znieść upokorzeń przyjmując jałmużnę litości i powierzchownego, nieszczerego współczucia. Dzisiaj się rewanzowali: karmili, prowadzili za rękę tych, którzy mieli doskonałe, widzące oczy.

Kiedy człowiek nie może przezwyciężyć trudnej dla siebie sytuacji, wówczas musi się do niej dostosować i trwać — inaczej ginie. Władas zauważył, że dzieci szybciej przyzwyczajają się do nowych warunków niż dorośli. Na przykład dzieci jego sąsiada na początku bały się, ale obecność innych dzieci zachęcała je do wycieczek, których dorośli nie byli w stanie kontrolować. Matka chciała, aby siedziały wciąż obok niej, uważała, że nie powinny się oddalać. Zdarzało się, że je biła, kiedy jej nie słuchały i wtedy zewsząd rozlegały się głosy próbujące łagodzić jej gniew lub pocieszać malców.

Wreszcie Władas dziwił się, jak ludzie zdołali przywyknąć do rutyny dnia w ciemnościach: do wędrówek do pomieszczeń sanitarnych, pochodów nad rzekę, żeby się umyć, godzin posiłków, do jedzenia, które stawało się coraz mniej smaczne — jedli bowiem zwiędłe lub nadpsute pomidory i ogórki, mleko, płatki owsiane, syrop, wielokrotnie nawet nic czując smaku potraw. Żadna katastrofa na świecie, żadne największe ludzkie nieszczęście zdawało się nie mieć porównania z tym, jakie im się wydarzyło. Co było powodem trwania ciemności i kiedy się one skończą? Jak żyć, jeść, prowadzić rozmowy, nie znając najbliższej przyszłości? Nie wiedząc, czy jest to koniec świata, tylekroć przepowiadany, od kiedy istnieje ludzkość? Może teraz właśnie spełniają się przepowiednie? Należało jednak bronić się przed ponurymi myślami i skierować je ku codziennym banalnym sprawom: zająć się myciem, jedzeniem, ubieraniem się, gdyż są to nasze podstawowe zabiegi, dzięki którym żyjemy, odkąd się narodziliśmy. Niektórzy modlili się głośno błagając o cud. Ale czy cud mógł się zdarzyć na prośbę paru głosów? Władas nie sprzeciwiał się tym ludziom. Modlitwy dawały nieco nadziei, zapewniały spokój ducha, tym samym były jednym ze sposobów przetrwania. Ciemności nic tylko przysparzały problemów w życiu, do jakiego ludzie przywykli — najgłębiej wciskały się w myśli, w ich mózgi.

Nie widząc nic przed sobą trudno jest rozproszyć myśli błądzące w beczynności. Więc ludzie garnęli się do pracy: wtedy myśli kierowały ruchami palców, które poszukiwały trudu dnia, aby utrzymać to absurdałne życie, nie mogące przecież trwać wiecznie. I znów, bardziej niż ciemności, nękała ludzi niepewność, jeśli nawet wszystko wróci do normy, to czy ludzie nic pomrą z wycieńczenia? Vasco nic miał zbyt wicie czasu na rozmowy z Władasem. Kiedy jednak zdarzyło się, że rozmawiali, ślepiec zawsze z troską mówił o przyszłości, nic czynił tego jednak w sposób tak

rozpaczliwy, jak Władas. Obaj znajdowali się w tej samej sytuacji, a jednak każdy z nich zachowywał się inaczej. Vasco urodził się ślepy i nic rozumiał, co znaczy stracić wzrok. Władas natomiast nie umiał zrozumieć psychiki kogoś, kto nigdy nie widział. Tych kilka podstawowych umiejętności, jakie nabył od ślepców, nic zbliżyło go do nich, oni posługiwali się różnymi przedmiotami i kiedy było potrzeba potrafili zrobić nowe. On natomiast podporządkowywał się rozkładowi dnia narzuconemu przez ślepców, ale nie żył lękiem w oczekiwaniu chwili, kiedy zabraknie żywności. W szesnastym dniu Vasco odprowadził Władasa na bok. Powiedział mu, że kończą się rezerwy produktów, które można spożywać na zimno. Ludzie stają się coraz bardziej rozdrażnieni i nie byłoby dobrze zawiadamiać ich o tym. Poprzedniego dnia, jeden z ocalonych, młody chłopak, wyszedł z budynku bez określonego celu — po niedługim czasie znaleziono go leżącego w jamie. Ludzie zaczęli się ze sobą sprzeczać z nieważnych powodów, a potem trudno było ich uspokoić. Większość znajdowała się na granicy załamania psychicznego i niewiele brakuje, aby wybuchła zbiorowa histeria.

W pierwszych godzinach osiemnastego dnia na głównej sali, gdzie była wspólna sypialnia, rozległy się okrzyki radości. Któryś z podopiecznych ślepców nic mógł spać, gdyż czuł jakąś dziwną zmianę. Wyszedł na zewnątrz i stanął na ganku. Na linii horyzontu ujrzał czerwoną kulę. To było słońce. Wszyscy wybiegli pośpiesznie, potykając się i wpadając na siebie wzajemnie, i patrzyli ogarnięci wielką, wspólnie przeżywaną radością. Znieruchomieli. Czekali na więcej światła. Vasco chodził od jednego ocalonego do drugiego i pytał, czy rzeczywiście coś widzi, czy znów nie ulegli złudzeniu. Ktoś sobie przypomniał, że przecież można zaświecić zapalkę. Po kilku próbach pojawił się blady płomyk, który wprawdzie nie dawał ciepła, ale był widoczny. Ludzkie oczy wpatrywały się weń, jakby uczestniczyły w nadzwyczajnym, niewytłumaczalnym cudzie. Światło stawało się coraz jaśniejsze i pojawiało się z taką samą powolnością, z jaką przedtem zanikało. Był to wspaniały dzień powszechnej radości, którą wszyscy spijali jak wino. Serca rosły pełne miłości i dobrej woli. Na nowo rodziły się oczy, niewinne, nie znające zła jak dzieci. Zebrani poszli jeść do ogrodu. Vasco nawet zwiększył racje żywnościowe — przecież wszystko wracało do normy. Słońce wznosiło się w swej zwykłej, codziennej wędrówce. O czwartej po południu można już było z odległości czterech metrów dojrzeć człowieka lub przedmiot. Ale kiedy słońce zaszło, znów zapadły takie same niezgłębione ciemności. Uciekinierzy rozpalili ognisko: ogień ledwo chłonał suche drewno, płomyki były nikłe i jakby przezroczyste. Często gasło, a wtedy podsycali je kawałkami papieru i własnym oddechem, aby utrzymać to blade źródło ciepła i światła — obietnicę przyszłego życia. Jeszcze o północy trudno ich było zmusić, żeby poszli spać, ale usłuchali, kiedy Vasco kategorycznie tego zażądał. Jednak tej nocy spały tylko dzieci. Ci, którzy mieli zapalki, palili je od czasu do czasu i śmiali się do siebie, jakby odnaleźli kamień filozoficzny życia i szczęścia. O wpół do piątej rano już wszyscy stali na podwórzu i patrzyli w czarne niebo. Czekali, aby zobaczyć wszystkie barwy świata? Pragnęli wejrzeć w rozwierający się horyzont, zobaczyć, jak wypływają zeń góry i obłoki, jak wyrastają drzewa, wyfruwają motyle? Pierwszy człowiek czcił swój ogień i kłaniał się Dawcy Życia. A oni, uciekinierzy z miasta ciemności, skazańcy pod murem śmierci, oczekiwali swojego ułaskawienia.

Słońce świeciło mocniej. Przyzwyczajone do ciemności oczy teraz się zamykały. Ślepcy wyciągali dłonie ku ciepłodajnym promieniom i kręcili się w kółko, żeby poczuć je na swoich ciałach. Władas nigdy nie potrafił opowiedzieć tego momentu. Czymże są słowa, jak można opisać życie, które wraca do życia? Odkryły się nieznajome twarze należące do znajomych głosów. Ludzie

śmiali się i obejmowali poznając na nowo. W bladym świetle poranka zniknęły z ludzi wszystkie zasłony i maski, za którymi kryli oni swoją ludzką miłość i solidarność — dopiero potem, w mocniejszym i pewniejszym świetle, przywdzieją je na nowo. Ale jeszcze nie teraz. Ślepców obejmowano i płakano. Uciekinierzy płakali — ich oczy, nic nawykłe do światła, jeszcze bardziej poczerwieniały. W południe płomienie ognia parzyły. Po raz pierwszy uciekinierzy zjedli gorącą, gotowaną potrawę. Przez resztę dnia nikt nic pracował. Ocalańcy napawali się światłem rozglądali się na wszystkie strony, rozpoznawali miejsca, po których poruszali się w ciemnościach — jakie wszystko wydawało im się inne i dziwne.

A miasto? Co stało się z ludźmi w mieście? Uciekinierzy mający tam rodziny przestali się uśmiechać. Ilu umarło? Kto znajdował się w potrzebie? Władas powiedział, że następnego dnia wyjdzie do miasta i zbada sytuację. Inni zaproponowali mu swoje towarzystwo. Zdecydowano, że pójdą trzej mężczyźni.

Władas bardzo źle spał tej nocy. Teraz nastąpiła reakcja na zmianę trybu życia. Ręce mu drżały i bał się — nic umiałby jednak wytłumaczyć swojego lęku. Wróci do miasta, rozpocznie nowe życie... Praca, przyjaciele, kobiety... Nie... wszystkie wartości, wszystko, co niegdyś cenił, utonęło w mroku. Nie był już takim samym człowiekiem, jak przedtem. Przez półotwarte drzwi wpadało migocące światło lampy — pozostawiono je, aby ludzie spali spokojnie na znak, że nie ma niebezpieczeństwa. Władas prowadził zwykle, spokojne życie. Po tym, jak stracił wzrok, jak otarł się o śmierć, stał się mniej odporny. Kim jesteśmy? Co jesteśmy wari? Dokąd zmierzamy? Pamięć przywracała przeżyte chwile: szczekanie psów, człowiek na ziemi, jęczący, jakby go coś bolało, jego własna dłoń ściskająca lewar, Vasco prowadzący go po ulicy, szef, który pojawił się w okienku, wspomnienia z dzieciństwa. Wreszcie zmorzył go sen, ciężki pełen koszmarów.

Wyruszyli o wschodzie słońca drogą wzdłuż torów kolejowych. Jednym z towarzyszących był mężczyzna średniego wzrostu, żonaty, nie miał dzieci. Żona została na farmie. Drugi był w wieku Władasa. Miał braci i siostry — mieszkali na drugim końcu miasta. Uratował go ślepiec, kiedy szukał drogi do domu. Na początku szli rozmawiając, ale przynaglani niecierpliwością wyteżali wszystkie i tak nadwątlone siły w szybkim marszu. Pierwsze domy przy torach wyglądały zwyczajnie. Za zakrętem rozpoczynało się miasto. Przeszli przez pierwsze mosty i wydostali się na główną ulicę, po czym skręcili w jedną z mniejszych przecznic. Ulica też wydawała się spokojna, jakby nic się nie zdarzyło: w jedną i drugą stronę szli ludzie — może tylko wolniej niż zazwyczaj. Na rogu parę osób niosło do ciężarówki umarłego, przykrytego zwykłym płótnem. Towarzyszący im płakali. Przejechał zielony wojskowy samochód. Właśnie przez głośniki nadawano komunikat rządowy. Dekret o stanie wyjątkowym. Ci, którzy sięgną po cudzą własność będą rozstrzelani. Rząd rekwiruje wszystkie magazyny z żywnością, która będzie rozdzielana według potrzeb ludności. Każdy pojazd mechaniczny pozostaje do dyspozycji władz. Każdy mieszkaniec w przypadku stwierdzenia w jakimś domu, budynku, lub innym miejscu niedobrego zapachu ma obowiązek zawiadomienia o tym policji, w celu ustalenia, czy na danym terenie znajdują się martwi ludzie. Umarli będą grzebani we wspólnym grobie.

Władas nie chciał wracać do swojego domu. Przypomnił sobie wołające głosy zza półotwartych drzwi, kiedy on, zdjawszy buty, uciekał pozostawiając ludzi na łasce losu. Musiałby dzwonić, gdyby wyczuł gdzieś... niedobry zapach. Widział już tyle rzeczy i nie chciał pozostawać dłużej na ulicy. Jego młody towarzysz rozmawiał właśnie z oficerem i po chwili powiedział, że chce pójść do rodziny. Pożegnali się wylewnie, nic myśląc nawet o tym, żeby wymienić adresy. Drugi uciekinier

chciał wracać na farmę, ale Władas musiał upewnić się, czy nic złego nie wydarzyło się u siostry i szwagra. Zapytał, czy telefony działają, na co otrzymał odpowiedź, że tylko niektóre automaty. Wykręcił numer. Po dłuższym czasie usłyszał głos w słuchawce. Byli wychudzeni, ale żyli. W ich budynku umarły tylko cztery osoby. Władas szybko im opowiedział, jak się uratował, i zapytał, czy go potrzebują. Odpowiedzieli, że go nie potrzebują — mieli jedzenie i było im lepiej niż innym.

Wszyscy rozmawiali — różni nieznajomi opowiadali sobie przeżycia z tych dni. Najwięcej ucierpiały dzieci i chorzy. Okoliczności ich śmierci były przerażające. Z pomocą wojska zorganizowano komitety społeczne, które zajmowały się pomocą dla chorych, grzebaniem zmarłych i przywracaniem porządku. Władas i jego towarzysz nic chcieli już nic więcej widzieć. Jeszcze przeszli przez parę ulic i zjedli skromny prowiant, jaki mieli z sobą. Czuli się zmęczeni, chorzy i przybici psychicznie, po tym, co zobaczyli i usłyszeli. Ileż rzeczy działo się wbrew logice i prawom natury. Wracali torami kolejowymi — ciągle jeszcze były puste. Władas patrzył w niebo, po którym płynęły lekkie obłoki, na zielone gałęzie drzew, lekko poruszane wiatrem, na ptaki fruujące pośród młodych pędów. Jak przeżyły w tych ciemnościach? Myślał i szedł poruszając nogami jak automat. Nauka i wiedza nic już dla niego nie znaczyły. Teraz wychudzeni naukowcy znów włączają swoje komputery, nastawiają teleobiektywy, patrzą w mikroskopy, duchowni w świątyniach odwołują się do woli Boga, politycy redagują dekryty, matki oplakują dzieci, które pozostały w ciemnościach.

Dwaj zmęczeni ludzie idą torami kolejowymi. Może niosą lepsze wieści, niż należałoby się spodziewać. Człowiek przetrwał. I oni przetrwali w świecie ślepców. Władas i jego towarzysz wracają przygnębieni i wynędzniali, ale skrycie w każdym z nich płonie radość, że żyje. Na co wszelkie rozumowanie — oto tajemna siła natury odradza ich ciała: krew krąży w żyłach, poruszają się mięśnie, rośnie pragnienie miłości, śmiechu, działania. Z daleka są maleńcy, prawie niewidoczni pośród zamykających ich stalowych linii. Popychani siłą i bezwładem prapoczątku powracają do zwykłej codzienności.

Gdzieś krążą planety, układy słoneczne, galaktyki. A oni są tylko ludźmi, idą obok siebie drogą ograniczoną dwiema stalowymi liniami. Wracają do domu i każdy z nich ma swoje kłopoty.

*Elvio G. Gandolfo*  
*El manuscrito de Juan Abal*

# Manuskrypt Juana Abala

W drugiej szufladzie biurka znaleziono tylko jeden przedmiot: było to prostokątne, płaskie pudełko. Jeśli je chwycić z obydwu stron i pociągnąć, wówczas rozsunie się z lekkim szumem i rozdzieli na dwie części, podobnie jak etui na butelki, jakim posługujemy się podczas podróży. Otworzyłszy je, zobaczymy w środku zeszyt o twardych okładkach, zabezpieczonych nylonową powłoką. Wewnątrz znajdują się notatki, zapisane ręcznie, z widocznym podziałem na poszczególne części, każda z nich została opatrzona tytułem. Na pierwszej stronie widnieje następujący napis:

*KROWIE MIASTO*

*relacja prawdziwa Juana Abala*

a na drugiej czytamy:

## Prolog

W tym zeszycie zamieszczam wszystkie notatki, jakie porobiłem podczas mojego pobytu w krowim mieście; teraz, kiedy wreszcie mogę spokojnie odpocząć w tym domu. Aby wytłumaczyć pewne braki i niedociągnięcia w poniższej relacji, podam w skrócie kilka szczegółów dotyczących moich zainteresowań, wydarzeń z ostatnich dni tuż przed podróżą do krowiego miasta oraz wyjaśnię powody, dla których powziąłem decyzję odwiedzenia tamtego miejsca.

Zanim pojawiły się pierwsze stada krów w naszym mieście, pracowałem w szkole wieczorowej, zastępując innego nauczyciela. Miałem tylko dziesięć godzin tygodniowo, więc nie zarabiałem dużo, wystarczało mi zaledwie na życie i kupno książek z dziedzin, które mnie bardzo interesowały, mianowicie antropologii i archeologii. Kiedy pojawiły się krowy i życie w mieście stało się jednym pasmem udręka z powodu panującego w nim chaosu, wyprowadziłem się na peryferie, zajmując opuszczony dom. W ciągu dwóch lat tylko dwa razy musiałem bronić mojej siedziby. Zaatakowało ją stado krów, ale natarcie nie było groźne — wystarczyło oddać parę strzałów w powietrze. Nie miałem również kłopotów ze strony ludzi; zajęcie domu w tej okolicy ni to miasta, ni to wsi — nikomu nie wydawało się warte zachodu. Moją bytność tutaj wykorzystałem na studiowanie opasłych książek, które z dużym trudem przywiozłem na ręcznym wózku pewnej słonecznej niedzieli. W poprzednich latach nie mogłem skoncentrować się na lekturze, jako że musiałem przygotowywać lekcje, bywałem również u przyjaciół, a nawet niekiedy utrzymywałem dłuższe lub krótsze znajomości z kobietami. Teraz czytałem bez pośpiechu nie martwiąc się, czy zajmie mi to tydzień czy miesiąc. Kiedy zrozumiałem, że owe przeróżne napisy i teksty prymitywnych cywilizacji, ruiny zamierzchłych kultur były również pretekstem do ucieczki od pustki i bezsensu świata, od ludzi i samotności w tłumie, dotarły do mnie pierwsze pogłoski o mieście zamieszkanym przez krowy.

Ludzie, którzy coraz częściej przejeżdżali przez podmiejską dzielnicę, często zatrzymywali się na pobliskim placu. Postawiono więc parę kiosków i zaopatrzono je w żywność; wieczorami płonęły ogniska, wokół których zbierali się podróżujący. Tam właśnie opowiadano sobie o dziwnym mieście, zamieszkanym przez krowy. Opowieści te uważałem za jedną jeszcze formę ucieczki przed tą samą pustką, którą ja uzupełniałem wiedzą czerpaną z książek. Niemniej, coraz częściej kiedy o tym mieście mówiono, twarze rozpowszechniających te wieści zwracały się ku górom, a ich ręce wyciągały się niezmiennie w tym samym kierunku. Znalazł się nawet jakiś podróżny, który pokazał zebrany dziwny przedmiot: nie były one dostosowane do ludzkich rąk, gdyby ktoś chciał wykorzystać je do wykonania jakiejś pracy, ani też nie można było ich użyć w tym samym celu w żaden znany ludzki sposób. Obudziło to moje zainteresowanie, tym większe, że, jak już wspomniałem, mój świat zamykał się wśród wspaniałych starych tekstów, w teoriach i hipotezach dotyczących funkcjonowania zamierzchłych społeczeństw rozrzuconych w czasie i przestrzeni.

Byłem zaintrygowany: zacząłem wyobrażać sobie, jak może wyglądać codzienne życie tamtego miasta, jego budowle, przedmioty użytkowe, jakimi posługiwały się te ogromne istoty. Teraz



stwierdzam, że uprawiałem skrajny antropomorfizm. Interesowały mnie sprawy najmniej ważne, bowiem zastanawiałem się nad obyczajami tych stworzeń, ich zabawami, organizacją miasta, podziałem na warstwy społeczne; następnie zadawałem sobie pytanie, jakie znaczenie mają nocne loty w świetle rozwoju kulturalnego oraz jakie przyczyny ich ataków na osiedla ludzkie oraz czy powstał bezpośredni kontakt z samymi ludźmi (krążyły pogłoski, że w istocie tak było).

Wreszcie zdecydowałem się wyruszyć na poszukiwanie tego miasta i udałem się w góry. Wcześniej zakupiłem żywność i potrzebny sprzęt i dołączyłem do tego, który już był w moim posiadaniu; nie zapomniałem też zabrać dobrze zabezpieczonego notatnika. Ten oto zeszyt jest owocem mojej przygody. Podstawą wszystkiego, co tu napisałem, są notatki, które zrobiłem podczas podróży do krowiego miasta i w czasie kiedy w nim przebywałem. Początkowo chciałem zebrać dane i podporządkować je postawionej hipotezie. Ale później, z różnych powodów, niektóre z nich wyjaśni sam tekst, postanowiłem zostawić czysty opis tego, co widziałem, starając się unikać niepotrzebnych szczegółów (takich jak na przykład opis czyli tak zwane „poetyckie impresje” z długiej podróży przez góry) oraz tworzenia różnych teorii, które z powodu mojej niedostatecznej wiedzy można by, co najwyżej, uważać za pseudonaukowe. Tekst okazał się dość krótki i niczym nie różnił się od zapisów przypadkowego podróżnika, który zwiedził stare zabytki albo udało mu się odkryć coś nowego. Z powodu trudnych warunków, jakie panują w chwili obecnej, być może na długo odłożę moje plany ogłoszenia tego tekstu drukiem. W czasie kiedy kreślę te słowa w formie krótkiego wstępu, czynię przygotowania do opuszczenia mojej obecnej siedziby. Z całą uwagą przepisuję notatki z brulionu. Jeśli nie zdążę zrobić tego teraz, dokończę przepisywanie w miejscach, gdzie będę się znajdował, w miarę możliwości dysponowania czasem. Chciałbym, aby moja książka rzuciła światło na parę spraw związanych z miastem zamieszkałym przez krowy i pozwoliła zrozumieć je tym, którzy znaleźli się w sytuacji podobnej do mojej, zanim tam wyruszyłem, to znaczy ludziom, którzy o owym mieście dowiedzieli się z różnych, mniej lub bardziej miarodajnych źródeł.

*JA.*

## Przybycie

Krowie miasto leży na kordylierze zachodniej. Dostać się tam nic jest trudno, choć oczywiście można tu mówić tylko o wspinaczce wysokogórskiej. Wejście dość dobrze ukrywają dwa ogromne głazy o wąskich ostrych wierzchołkach; te wielkie skały zdają się wisieć w powietrzu, gdyż spojrzawszy na nie odnosi się wrażenie, że ledwie dotykają stałego podłoża. Po przedostaniu się na drugą stronę niespodziewanie wchodzi się w szeroki wąwóz: tak rozległy, że z powodzeniem mogłyby się w nim zmieścić dwie krowy z rozpostartymi skrzydłami i nie dotknęłyby nimi żadnej jego ściany. Przejście tym korytarzem zabrało mi całą godzinę. Wkrótce ujrzałem migocące światelko. Ogarnął mnie strach. Byłem już gotów wrócić, przejść ponownie wzdłuż wąwozu, przedostać się na drugą stronę gór i pójść do miasta, gdzie znajdował się mój dom. Drżąc na całym ciele, bardziej jeszcze przylgnąłem plecami do ściany i tak zbliżyłem się do źródła światła. Podeszedłem jeszcze bliżej i ujrzałem rozległą dolinę: w migotaniu pochodni i ognisk o niezwykle niebieskawym świetle rozróżniłem jakieś dziwne kształty. Zaciekawiony wyczyściłem okulary i znów je założyłem: były to krowy różnej wielkości i ubarwienia — leżały albo fruwały nad doliną. Wykonywały powolne ruchy, jakby zaplanowane, i niczym nie przypominały zorganizowanych jak oddziały wojskowe stad, które nawiedzały miasto i poszczególne domy. To stado wydawało się pokojowo usposobione. Krowy, które leżały, poruszały się niekiedy, jakby szukały dogodniejszej pozycji, natomiast krowy znajdujące się w powietrzu, w miarę jak oddalały się od blasku ognia, przyjmowały fantasmagoryczne kształty. Jeśliby się chciało krowie miasto porównać z antycznymi miastami, należałoby zaznaczyć, że różniło się ono od tamtych panującą w nim ciszą. Niekiedy tylko rozlegało się w powietrzu przeciągłe muczenie o niskich tonach. Bardzo daleko, po drugiej stronie doliny, dostrzegłem coś, co mogłoby być rzeką, gdyż w tle nocy połyskiwało migotliwym drżącym światłem, a jeszcze dalej zobaczyłem zielone pole i drzewa. Zwyciężony spokojem krajobrazu zrobiłem kilka kroków do przodu. Nagle zatrzymałem się na niewielkim zboczu, po którym trudno było się spodziewać tego, co ujrzałem, gdy popatrzyłem w dół: przepaść głębokości jakichś pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu metrów. A ja nie miałem przecież skrzydeł. Znów przetarłem okulary i zacząłem badać zbocze, szukając w nim występów skalnych i otworów. Przeraził mnie i niemal ogłuszył potężny ryk, który rozległ się w odległości zaledwie paru metrów od miejsca, gdzie stałem. Nade mną, na jeszcze większym zboczu, znajdowała się krowa, która w płomieniach pochodni zdawała się mieć sierść barwy fioletowej. Patrzyła na mnie uważnie swoimi wielkimi oczami i nie ruszała się. Staliśmy tak naprzeciw siebie obserwując wzajemnie. Dziwne, ale nie czułem lęku. Nieoczekiwanie zwierzę wzniosło się do lotu. Po raz pierwszy zobaczyłem krowę, która nie znajdowała się w locie, ale czyniła przygotowania, żeby unieść się w powietrze. Oderwała się od skały prawic niewidocznym ruchem nóg i popłynęła nad uśpionym miastem; wkrótce straciłem ją z oczu. Zrobiłem parę kroków do tyłu i usiadłem, opierając plecy o skałę, zwrócony twarzą ku otwierającej się dolinie nie wiedząc, co mam począć. Niedługo potem znów pojawiła się krowa.

Płynęła leniwie w powietrzu i zamiast, jak poprzednio, wylądować na wyższym zboczu, zatrzymała się na moim. W jej ogromnym oku odbijała się moja zdeformowana postać. Uczyniła lekki ruch głową, jakby chciała spojrzeć do tyłu. Po chwili znów powtórzyła gest z tym samym spokojem. W końcu zrozumiałem, że pokazuje mi skórzane siodło, które miała umieszczone na grzbiecie, pomiędzy dwoma skrzydłami. Zbliżyłem się do zwierzęcia i po chwili znalazłem się w siodle. Gwałtownie powstrzymałem chęć ściśnięcia piętami mojego wierzchowca. Siodło podskoczyło i poczułem, że lecę.

## Miasto widziane z lotu krowy

Miasto znajdowało się pod skrzydłami krowy w odległości około dwudziestu metrów w dół. Była to niebieskawa platanina ogni i krowich kształtów. Zdziwił mnie kolor ognia — nigdy dotąd takiego nie widziałem. Chciałem zobaczyć, z czego są zrobione pochodnie, ale nie było to łatwe. Krowa poruszyła skrzydłem i zwiększyła szybkość — dał się słyszeć odgłos podobny do spadania czegoś miękkiego i ciężkiego zarazem. Teraz już tylko widziałem wyraźne linie pomiędzy nieregularnymi plamami. Przemierzaliśmy dolinę w linii prostej. Odważyłem się wreszcie spojrzeć wprost przed siebie i mogłem stwierdzić, że wzrok mnie nie mylił: zbliżaliśmy się właśnie do skupiska drzew i górskiego potoku, który w głębi doliny formował małe jeziorko. Zanim wylądowałem, ujrzałem nieregularne ogrodzenie, za którym znajdowały się chyba blaszane szopy z leżącymi tam, sądząc po wielkości postaci, cieleciami. Kiedy krowa oparła swoje cztery nogi o ziemię i mogłem wreszcie zsunąć się po jej szorstkiej skórze, spostrzegłem ze zdziwieniem, że znajduję się pośród ludzkich istot. Była to chyba ludzka osada utworzona w mieście krów.

## Ludzka osada

Choć może się to wydawać dziwne, ale nie czułem się rozczarowany, kiedy zobaczyłem, że wszyscy, a nie tylko większość, jak mi się na początku wydawało, zgromadzonych tu ludzi pogrążona jest we śnie. Krowa znów podniosła się do lotu mucząc przeciągle. Jej głos umilkł dopiero, gdy już zniknęła w przestworzach.

Przyszło mi do głowy, że powinienem poszukać sobie jakiegoś miejsca do spania. Zobaczyłem szopę, w której znajdowały się tylko dwie osoby. Poszedłem tam, wyciągnąłem z plecaka śpiwór i rozłożyłem go. Wydawało mi się, że byłem zbyt podniecony, żeby móc spać, ale zasnąłem natychmiast.

Zbudziłem się z uczuciem, jakby ktoś przybliżył do mojej twarzy zaświeconą latarkę. Było to jednak światło księżyca, który wypłynął zza skał doliny. Ukołysany porykiwaniem krów i panującą ciszą znów zasnąłem.

Po raz drugi otworzyłem oczy, kiedy poczułem czyjś łokieć w moim boku. Słońce stało wysoko; był już dzień. Wyszedłem ze śpiwora i stanąłem trochę zaskoczony. Dookoła zobaczyłem pełno mężczyzn, kobiet i dzieci — wszyscy budzili się ze snu. Jakiś gruby człowiek o powolnych i ciężkich ruchach przeprosił mnie za szturchnięcie. Spojrzałem, że większość odznaczała się pokaźną tuszą i powolnymi ruchami. Zdziwiło mnie jeszcze coś: wszyscy, bez wyjątku, pozostali w szopach, nikt nie wyszedł, żeby rozprostować członki na słońcu, jak to zrobiłem ja. Mało tego: moje zachowanie było im z jakiegoś powodu niemiłe i jakby czuli do mnie jakąś urazę. Postanowiłem wejść z powrotem do szopy i oczekiwać dalszych wydarzeń.

Z nieba spadła krowa. Nie mogłem się zorientować, czy była to ta sama, która mnie przywiozła. Zamiast siodła miała na grzbiecie pomiędzy skrzydłami wielki gar. Przechylając go raz na jedną, raz na drugą stronę wylewała jego zawartość do małych korytek, które znajdowały się przy każdej szopie. Grubaski i grubasy, którzy mnie otaczali, pochylali się nad tą masą nieokreślonego koloru, która jednak nie była niemiła dla oka ani też dla nosa. Uczyniłem to samo i spróbowałem potrawy. Był to rodzaj jakiejś pasty, bardzo odżywczej i smacznej. Przyznam się, że byłem zaskoczony, kiedy wyczułem w niej smak mięsa. Nasyciwszy głód, odszedłem od koryta.

Moi towarzysze z szopy nic przestawali jeść. Zbliżyłem się do jednego z nich. Chciałem, żeby mi powiedział choć parę rzeczy dotyczących funkcjonowania miasta, no i pragnąłem się upewnić, czy nie byliśmy więźniami. Ale grubas odsunął się od koryta i poruszył plecami w poszukiwaniu oparcia, a kiedy poczuł za sobą słup, oparł się dobrze i prawie natychmiast zaczął chrapać. Podążyłem do następnego, nieco zaniepokojony, ponieważ widać było po jego oczach, że też za chwilę zaśnie. Zamiast mi odpowiedzieć, zaczął majstrować przy dachu szopy. Okazało się, że ściągał stamtąd jakiś materiał, który w miarę jak się obniżał, wskazywał mi swoje przeznaczenie. Stwierdziwszy, że zasłona jest w porządku, uczynił to samo jeszcze trzy razy. Zauważyłem, że w materii nie było żadnych otworów. Zanim opadła ostatnia ściana, pochyliłem się i wyszedłem. Jeszcze tylko zauważyłem, że półprzymknięte oczy grubasa otworzyły się ze zdziwienia.



# Dysydenci

Na zewnątrz słońce przypiekało skórę. Szopy były ułożone według jakiegoś planu i prawie we wszystkich znajdowały się parawany. W głębi „ulicy”, którą właśnie szedłem, zauważyłem ogrodzenie — widziałem je poprzedniej nocy. Pomyślałem, że tam kończy się nasza zagroda (właśnie w tym momencie przyszło mi do głowy to słowo). Postanowiłem dojść do tego miejsca i iść tak długo, dopóki nie znajdę wyjścia lub wejścia, czegoś, co mnie naprowadzi na jakiś ślad, albo kogoś, kto mnie zorientuje wreszcie w naszym położeniu. Zatrzymałem się pośrodku drogi. Jeden z baraków był otwarty i nie zauważyłem w nim ani parawanu, ani człowieka. Trzej mieszkańcy baraku, chudzi i opaleni, leżeli pośrodku ulicy z rozłożonymi ramionami i zamkniętymi oczami. Podeszedłem bliżej i pozdrowiłem ich głośno. Jeden z nich podniósł się zwinnym ruchem i podał mi rękę. Pozostali dwaj siedzieli krzyżując nogi.

Odpowiedzieli na moje pytania.

Przybyli parę miesięcy temu. Pozostali mieszkańcy szop byli tu dłużej od nich. Zagroda miała miejsca, przez które można swobodnie wejść i wyjść, dość dogodnie rozmieszczone. Oni, owszem, poznali już miasto, ale nie mieli ochoty o nim opowiadać. Ani też mi towarzyszyć. Kiedy ich zapytałem, dlaczego tamci są tacy grubi i ociążali, poinformowali mnie, że to z powodu braku ruchu, słońca i świeżego powietrza. Tamci podnosili zasłony tylko w nocy i kiedy nadchodziła pora jedzenia. Ponadto zjadali za dużo mieszanki przynoszonej przez krowy, i to powodowało ich otyłość i deformację ciała. Ci trzej, spostrzegłszy owe zależności, postanowili jadać tyle, ile trzeba do zaspokojenia głodu oraz przebywać na słońcu i świeżym powietrzu. Zaproсили mnie do paru sportowych gier na małe boisko znajdujące się pomiędzy szopami. Ażeby mnie zorientować w mieście, narysowali na kawałku papieru plan zagrody i wręczyli. Natomiast nie potrafili narysować planu miasta. Powiedzieli mi jeszcze, że będę wiedział dlaczego, kiedy tam się znajdę. Zapytałem, co było powodem ich przybycia do miasta. Wszyscy trzej zgodnie odpowiedzieli: ciekawość. Zapytałem, czy są jeszcze jacyś ludzie, którzy zachowują się tak jak oni, na co odpowiedzieli, że owszem, ale niewielu. Parę szop — powiedzieli i zaznaczyli mi je krzyżykami — razem siedemdziesiąt pięć osób. A potem zaprosili mnie do swojego baraku i podarowali dziwny przedmiot ze skóry. Dali mi do zrozumienia, że jeśli bym zgubił się w mieście i chciał wrócić do zagrody wystarczy, abym to coś na siebie włożył i wyciągnął prawą rękę. Podziękowałem im, pożegnałem się i poszedłem w kierunku ogrodzenia. Miało mniej więcej dwa metry wysokości i było zrobione z grubych, nierównych kołków. Szedłem wzdłuż tego corralu „jakiś mi się wydawał nie bardzo regularny. Przeszedłem około stu metrów i zobaczyłem wyjście — nie miało ani drzwi, ani zydła, była to zwyczajna dziura o wysokości półtora metra. Pochyliłem się i wyszedłem.

# Miasto

Miasto wydawało się zaczynać dwieście metrów od zagrody. Do tamtego bowiem miejsca ziemia była gładka i czysta. Natomiast dalej widniały stogi traw, kupy gnoju, krowy leżące na ziemi, pewnie odpoczywały, i machające ogonami, drewniane słupy, o które czochrały się inne krowy, oraz rozsiane w znacznej od siebie odległości dziwne budowle. Były nierówne pod względem wysokości i różniły się pomiędzy sobą wyglądem. Na początku wziąłem je za jakieś formacje pochodzenia naturalnego. Poszedłem dalej.

Po godzinie byłem wyraźnie rozczarowany. To co ujrzałem na początku, powtarzało się niezmiennie przez cały czas mojej wędrówki. Ponadto zwierzęta załatwiały swoje potrzeby wszędzie tak, że często, stąpawszy nieuważnie, wpadłem w kupę krowieńca nawet do połowy łydki. Najpierw szedłem po linii prostej w nadziei, że spotkam jakiś budynek, konstrukcję lub coś większego, innego od tego co widziałem przedtem; szukałem też otwartej przestrzeni, która mogłaby być placem przeznaczonym do gier i zabaw lub zebrań. Ale nic takiego nie znalazłem. Wszystko, co się tu znajdowało, wydawało się istnieć bez ładu ni składu, powtarzało się do znudzenia i przeciągało w nieskończoność. Zniechęcony, zacząłem szukać względnie czystego miejsca, żeby móc usiąść. I tak oto odkryłem coś zupełnie odmiennego: była to platforma w swym kształcie zbliżona do koła, o średnicy trzech metrów, bardzo czysta i sądząc po dotyku, zrobiona z cementu. Usiadłem na jej krawędzi i otarłem pot z czoła. Czułem się zmęczony upałem i niemiłymi zapachami. Walczyłem z ogarniającą mnie sennością.

Nagle usłyszałem nad sobą przeraźliwy głośny ryk — nigdy jeszcze w tym mieście nie ryczała w podobny sposób żadna krowa. Sądziłem, że zostałem zaatakowany i przeraziłem się. Skoczyłem na równe nogi i popędziłem jak szalony. Bez tchu w piersiach zatrzymałem się sto metrów dalej. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem ogromną krowę, która ciężko jak głaz spadała nie na mnie, ale właśnie na płytę tam, gdzie przedtem siedziałem. Zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób wytraci prędkość, bo przecież odległość była bardzo mała, a ponadto cementowa powierzchnia śliska i twarda, kiedy ziemia, nawet tam, gdzie obecnie się znajdowałem, zadrżała pod wpływem silnego uderzenia. Wówczas krowy stojące obok mnie, poszły w tamtym kierunku i wraz z innymi otoczyły płytę tak, że nie mogłem dojrzeć, co tam się stało. Zdobyłem się na odwagę i wspiąłem się na najwyższy słup. Na samej górze był trochę przypalony — pewnie tu w nocy paliła się pochodnia. Spojrzałem na okrągłą płytę. Krowy z całym spokojem dzieliły na części martwe ciało. W pierwszym momencie wydało mi się, że uczestniczę w akcie kanibalizmu. Opuściły mnie wszystkie siły i omal nie spadłem ze słupa. Ale znów popatrzyłem. W zachowaniu krów wciąż nie dostrzegałem śladu ekscytacji. Wprawdzie zdzierały skórę i oddzielały ciało od kości przy pomocy zębów, ale nie widziałem, żeby coś żuły lub połykały. Natomiast na brzegach płyty kładły w różnych odstępach poszczególne kawały mięsa. Zobaczyłem jeszcze dwa, a może trzy byki, dzisiaj już nie pamiętam, jak pracowały przy pomocy wielkich kawałów metalu w kształcie noży rzeźnickich, które miały umieszczone na końcach skrzydeł. Nawet nic zostawiły całego szkieletu: dokładnie go rozebrały i



podzieliły na równe części. Podczas tej operacji zgromadzone przy płycie krowy zaczęły odchodzić i zajmować swoje poprzednie miejsca, a po skończonej pracy oddaliły się i te, które brały w niej udział. Na platformie leżały poukładane w stosy kawały mięsa, kości, nogi, kopyta oraz skóra. Kiedy schodziłem ze słupa, musiałem uważać, żeby nie wejść na zwierzę, które tu właśnie spokojnie przeżuwało trawę.

Przez następną godzinę na próżno szukałem drogi powrotnej do zagrody. Słońce prażyło teraz mocno wydobywając z ziemi nieprzyjemne zapachy. Było spokojnie i cicho; krowy przeżuwały, spały lub machając ogonami albo skrzydłami, opędzały się od much i bąków. Kiedy unosiłem wzrok ku górze, ledwie mogłem dojrzeć fruujące postacie krów — tam, wysoko, na pewno powietrze było chłodne i czyste, a ja czułem się tutaj, na dole, jakbym się znajdował w cuchnącej mazi. Nie mogłem zbyt długo trzymać głowy uniesionej do góry: gęste łąy przesłaniały mi widok nieba. Oczy mnie piekły zalewane strugami wilgoci — na przemian zimnymi i gorącymi. Przypomniałem sobie rady jednego z dysydentów. Włożyłem na siebie ten przedmiot, który wciąż trzymałem za pazuchą. Był to rodzaj uprząży: jedna część przechodziła pod pachami i dwie pozostałe krzyżowały się na plecach i piersiach. Z tyłu przymocowane było coś w rodzaju pałaka zrobionego ze skóry, bardzo dużego. Wyciągnąłem prawą rękę i coś porwało mnie do góry, wynosząc z tego piekła.

## Powrót

Upłynęło dużo czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że leciałem nad miastem wisząc u pyska krowy. Wreszcie świeże powietrze doprowadziło mnie do przytomności. Staralem się zorientować, gdzie jestem, i odnaleźć położenie zagrody; kiedy już ją ujrzałem, stwierdziłem, że krowa frunie w przeciwnym kierunku. Znajdowałem się wciąż nad miastem. Widok z góry potwierdzał moje poprzednie sądy o braku jakiegokolwiek porządku w jego „budowie”. Słupy, niezgrabne i nierówne konstrukcje, cementowe płyty rzucone były, gdzie popadło. Pomyślałem sobie, że może z wysokogórskiej doliny, znajdującej się nad nami w odległości pięciuset metrów, całość wygląda inaczej, jednak ogarnęły mnie wątpliwości.

Po chwili lecieliśmy ponad szopami. Było już zapewne południe, ponieważ nie widziałem rozłożonych parawanów, i zanim znalazłem się na ziemi, zauważyłem, że w korytkach znajdowały się resztki świeżego jedzenia. Krowa wypuściła mnie z pyska nic zatrzymując się na ziemi i zostawiła na jednej z „uliczek”. Kiedy złapałem dech, poczułem, że jestem głodny.

Poszedłem do najbliższego naczynia i zebrałem ręką trochę pasty. Jadłem żarłocznie, aż wyczyściłem korytko do połysku. Przysunąłem się do następnego, kiedy przypomniałem sobie ostrzeżenia tamtych trzech. Uczucie głodu minęło natychmiast.

Mniej więcej pamiętałem, gdzie zostawiła mnie krowa. Ustanawiając punkt orientacyjny w tym miejscu, wyciągnąłem plan i ruszyłem w drogę. Podczas wędrówki mijalem niezgrabnych grubasów o ziemistych twarzach, którzy patrzyli na mnie czasem ze zdziwieniem, ale najczęściej ze złością. Złość wyzierająca z ich spojrzeń była tak samo leniwa jak ich ciała, gdyż oczy kleiły im się do snu.

W szopie szczupłych nie zastałem nikogo. Przypomniałem sobie, że mówili mi coś o boisku, więc pomimo zmęczenia poszedłem w tamtą stronę.

Grali w piłkę nożną, a może tak im się tylko zdawało, ponieważ do tego celu używali suszonej pasty, którą karmiły nas krowy, uprzednio ugniecionej w kulę i wysuszonej na słońcu. Toczyła się nawet dobrze po ubitej ziemi, choć rzadko odbijała się od podłoża i unosiła w powietrze. Pozdrowili mnie gestami wyrażającymi radość i jeszcze na trochę powrócili do gry. Usiadłem na płótnie wyciągniętym z którejś szopy, jakie otaczały „stadion”. Po skończonej grze otoczyli mnie pytając o wrażenia z wycieczki. Kiedy im opowiadałem, kiwali głowami bez zainteresowania. Było jasne, że każdy z nich wiedział to samo. Potem też zacząłem z nimi grać aż do zapadnięcia zmroku. Wracaliśmy w nocnej ciszy przerywanej szelestem podnoszących się zasłon. Spałem jak pień.

## Teorie i dyskusje

Dni mijały. Niczego się nie dowiedziałem o grach krów, ich rytuałach i życiu codziennym. Nie potrafiłem znaleźć sposobu na poznanie funkcjonowania miasta jako całości. Moi towarzysze również nie.

Byliśmy już ze sobą zżyci i szanowaliśmy się wzajemnie. A co do sprawy miasta, to ugrzęźliśmy w tym samym punkcie. Oni też zbadali wszystkie labirynty z bydłęcego gnoju, obejrzeliby wszystkie słupy, płyty i te chaotycznie poustawiane konstrukcje — jednak nikomu nie udało się dostrzec jakiegoś schematu w ułożeniu i budowie krowiego miasta.

Próbowaliśmy odkryć zależności pomiędzy wydawaniem ryków przez krowy, a ich uwarunkowaniami zewnętrznymi, ale udało nam się tylko odróżnić owo głośnie muczenie wydawane podczas ataku i kiedy popełniały samobójstwa (nie znaleźliśmy innego określenia dla tego zjawiska, jakim było spadanie krów na cementową płytę i również żadnego na czynność ćwiartowania ich ciał) oraz inne, cichsze, kiedy układały się do snu lub fruwały w powietrzu.

Oczywiście wciąż stawialiśmy hipotezy, chodziliśmy na rekonesans, wymienialiśmy informacje. I zawsze tak się działo, że jakiś szczegół burzył z takim trudem opracowaną wcześniej teorię. Ja odkryłem, że pochodnie, jakie paliły się nocą, były zrobione z materiału, na który składały się sproszkowane krowie kości, łodygi i liście różnych roślin wymieszane z pastą stanowiącą nasze pożywienie. Ta masa pozostawiana była na słońcu, a po wysuszeniu stawała się twarda jak blacha. Krowy owijały nią słupy, które potem płonęły powoli niebieskawym ogniem. Wówczas wymyśliłem, że samobójstwa popełniały starsze osobniki i to z własnej woli dla dobra grupy i właściwego jej funkcjonowania. Ale jeden z nas odkrył, że również cielęta ginęły taką samą śmiercią, a jeszcze inny poinformował, że dosyć daleko, bo w pobliżu wejścia do doliny, widział na płycie padlinę psującą się w słońcu, której krowy w ogóle nie ruszyły. Po jakimś czasie został z niej tylko szkielet. Kiedyś jeden z osobników spadając, starł go na pył, ale krowy dokonały na nim owego obrzędu ćwiartowania z taką samą dokładnością i spokojem jak zawsze.

Nie mogliśmy też znaleźć miejsca, w którym przygotowywały pożywienie dla ludzi. I nigdy nie widzieliśmy, aby budowały nową płytę, albo wbijały nowy słup. Jakby ten nieład i chaos był dany z góry, istniał od zawsze — był wieczny. I jakby krowy były wieczne. Nikt z nas nie zaobserwował nigdy żadnych narodzin, nigdy nie widziało się młodziutkich cieląt o drżących nogach lub skrzydłach.

Dezorientowało nas wszystko, czemu nie mogliśmy nadać określonego kształtu, co nie było „ludzkie”. Nie mogliśmy znaleźć ani ustalić punktu odniesienia, aby móc obserwować powstanie nowych konstrukcji, nowych szczegółów. Nie udawały się próby zrobienia map czy planów. Owszem, narysowaliśmy je, ale przedstawiały one tylko naszą zagrodę, poza nią nie można było wykonać żadnego sensownego planu. Trwały nieskończone dyskusje, niekiedy bardzo gwałtowne, każdy z nas widział krowie miasto inaczej. Zgadzałyśmy się ze sobą tylko, kiedy chodziło o położenie i wygląd doliny, kształt strumienia i zarysy gór, które nas otaczały.

## Powody przybywania ludzi do krowiego miasta

Nowych szczupłych nie przybyło. Od czasu do czasu jakaś krowa zostawiała w zagrodzie następnego przybysza, ale zawsze wybierał on grubych. Nikt nie budował nowych szop, umarłych grzebaliśmy (nie było ich wielu, najwyżej jeden na parę tygodni) nad strumieniem — nie stawialiśmy krzyży ani żadnych innych specjalnych znaków. Większość mieszkańców zapomniała, jak się nazywa i skąd przybyła. Nie pamiętam, od kiedy tu jestem, żeby umarł ktoś spośród chudych.

Znudzeni rozmowami o mieście przeszliśmy na tematy bliższe — o naszej zagrodzie. Pytaliśmy nowo przybyłych o powody, jakie ich tu przywiodły. Okazało się, że prawie wszyscy przed kimś albo przed czymś uciekali. Znaleźli się wśród nich także wegeterianie, którzy spodziewali się w owej krowiej dolinie odnaleźć raj dla siebie. Szybko jednak z zachwytem i bez skrpułów przyłączyli się do systemu grubych i w ciągu jednego, a najwyżej dwóch tygodni tracili swoje indywidualne cechy. Oddawaliśmy się uprawianiu sportów z coraz to większym zapałem. Również częściej zdarzały się nieczyste zagrania, złamanie kończyn i inne kontuzje — nie były od nich wolne nawet kobiety. Myślę teraz, że w oczach grubych nasze życie i my sami byliśmy czymś równie absurdalnym jak oni oraz ich zwyczaje dla nas.

## Książdz

Z dotychczas przybyłych spotkaliśmy tylko jednego człowieka, wysokiego i chudego ojca franciszkanina, który przywędrował tu w ściśle wyznaczonym celu, a mianowicie zamierzał chrystianizować krowy. Na początku, my dysydenci, uważaliśmy to za świetny żart, więc śmialiśmy się jak szaleni, chwając go za niezwykle poczucie humoru. Śmiał się razem z nami przez chwilę, ale wkrótce broda mu się wydłużyła, a w jego jasnyniebieskich prawie białych oczach pojawił się fanatyczny błysk — wyglądał teraz jak nauczyciel dzieci niedorozwiniętych umysłowo. Grupa rozeszła się wreszcie, niektórzy nawet mamrotali po cichu: „To jakiś szaleniec”. Zostało tylko paru z nas — zaczęliśmy mu tłumaczyć, że są ogromne trudności z porozumiewaniem się, że krowy nie posiadają żadnego języka. Powiedzieliśmy również o widocznym chaosie, jaki panuje w mieście.

— Cała nadzieja w Bogu — odpowiedział nam z uśmiechem, widząc, że wykazujemy dobre chęci, aby mu pomóc. Po czym opowiedział nam historię o świętym Franciszku, który mówił do ptaków i ryb i one rozumiały go, a były wówczas dla człowieka istotami równie dziwnymi, jak obecnie dla nas skrzydlate krowy. Stwierdziliśmy, że rozmowa z nim nie przynosi żadnego skutku i zostawiliśmy go samego. W jakiś sposób było mi go żal, ponieważ rozumiałem, że w jego przypadku rozczarowanie będzie mocniejsze i bardziej przykre, kiedy dostrzeże różnice między swoimi nadziejami i wyobrażeniami a rzeczywistością.

Przez pierwsze dni zakonnik ograniczał się tylko do przejścia paru kroków w kierunku ogrodzenia. Kiedy tylko ujrzał jakąś krowę stojącą przy ogrodzeniu lub inną, która właśnie zatrzymała się pochłonięta czynnością przeżuwania, unosił w górę ramiona i rozpoczynał katechizację. Następnie nauczył się używać upręży i głosił słowo boże krowom–nosicielkom. Latał z jedną ręką wzniesioną do góry i wkładając sobie głowę pod pachę, krzyczał krowie do ucha. Ponieważ w tej pozycji szybko odczuwał bóle szyi, musiał często odpoczywać. Potem nie odstępował przez całe ranki krowy—żywicielki. W każdym z tych przypadków spotykał się z tą samą obojętnością. A już szczytem było, kiedy pewnego dnia usłyszeliśmy, jak naśladuje wszystkie głosy krów jakie usłyszał w mieście. Zmieniał głos i jego natężenie, nadając mu nawet rytm i melodię. Tym razem krowa spojrzała na niego uważniej, jej mięśnie się rozluźniły i usiadła. Nic wznosiła się do lotu tak długo, dopóki książdz, którego głos stawał się coraz cichszy i bardziej ochrypnięty, nie zamilkł zupełnie. Zarówno grubi, jak i chudzi patrzyli nań, i, obserwując jego poczynania, sami czuli się tak, jakby uczestniczyli w jakimś magicznym rytuale. Od tamtej chwili muczał krowie przez całe ranki, to samo robił w obecności krów–nosicielek, gdy wyleczył się z kręczu szyi. Nie wydaje mi się aby osiągnął swój cel i nawrócił krowy. Niemniej muszę stwierdzić, że niekiedy w godzinach największej ciszy słyszeliśmy krowie porykiwania zupełnie odmienne od tych, do których przywykliśmy. Mnich, który nie sypiał w szopie, lecz pod gołym niebem, kiwał głową uśmiechając się z zadowoleniem.

Jadał jeszcze mniej niż wszyscy chudzi. Nakładał sobie pasty na drewnianą miseczkę, którą nosił w kieszeni habitu, gdzie również znajdowała się Biblia oprawna w skórę i bardzo zniszczony

egzemplarz Kwiateczków świętego Franciszka.

Jestem pewien, że wielu z nas, dysydentów, nie wiedziało co naprawdę o nim myśleć. Wielokrotnie ogarniało mnie współczucie i żal, uważałem bowiem, że wszystko to jest śmieszne, że założenia księdza wypływają z jego głupoty. Jedyna rzecz, jaką osiągnął, to, jak się wydaje, zmiana tonu w ryczeniu krów. Były jednak momenty, kiedy nie potrafiłem oprzeć się podziwowi dla jego sukcesów; wierzyłem nawet, że udało mu się zgłębić tajniki krowiego życia w stopniu większym niż nam wszystkim. W każdym razie jego nastrój był daleki od uczucia rozczarowania, jakie dla niego przewidywałem. Kiedyś oderwał z dachu szopy kawałek blachy i zrobił coś w kształcie lejka. Wyposażony w tę niezdarną tubę kazał się wozić ponad miastem i bezustannie wydawał melodyjne muczenia. Robił to bez przerwy wiedziony jakąś obsesją, którą nazwałbym, pomimo ewidentnej sprzeczności samej w sobie „diabelskim opętaniem”.

Czynił tak niezmordowany do momentu, dopóki którejś ciepłej nocy, kiedy na niebie pojawił się księżyc w pełni, nie usłyszał z najodleglejszego punktu miasta chóru krowich porykiwań ryk w ryk podobnych do tych, które z taką cierpliwością wydobywał z własnego gardła. Wsłuchując się weń, lekko poruszał głową zaznaczając rytm melodii.

— To pieśń kościelna — wyszeptał. — Hymn do Pana Wszzechstworzenia. Następnego dnia zjadł taką samą porcję pasty, po czym pożegnał się z nami mocnymi uściskami rąk i uśmiechnął pokazując poźółkłe zęby, mrużąc przy tym swoje wodniste oczy. Ruszył w kierunku miasta pewnym krokiem człowieka znajdującego się na własnym gruncie. Jeszcze tylko uniósł do góry rękę w geście pożegnania.

Nic dawał za wygraną, kiedy spotykały go niepowodzenia. Nawet te domniemane samobójstwa nic zdołały powstrzymać go od działania.

— Czynią to z jakiegoś powodu — mówił. — Zauważyłem, że w wielu przypadkach spadając na cementową tafłę, nie wydają żadnego głosu, jakby poddawały się swojemu losowi. Nic zbadane są wyroki boskie.

Nic pozwolił też na herezję, kiedy któryś z naszych próbował przekonać go, że krowy mają swoją własną religię i własny obrządek.

— Początek każdej rzeczy bierze się z tej samej Istoty — odrzekł z uśmiechem. — A jeśli lak nie uważacie, pokażcie mi świątynię, w której oddają cześć swojemu Bogu, wskażcie mi posąg uczyniony na jego podobieństwo. A czy widzieliście, aby dokonywały jakowychś obrządków?

W takich przypadkach dysydent milkł, pobity argumentacją mnicha. Kiedy odszedł, brakowało go nam. Z biegiem czasu poddaliśmy się rutynie regularnego przyjmowania posiłków, coraz bezwzględniejszej grze na boisku oraz zniechęceniu, które spowodowało niepowodzenie na polu badań, tak że zamazał nam się jego obraz. Wydawały nam się w końcu zupełnie naturalne te krowie śpiewy, których teraz słuchaliśmy z taką samą obojętnością, jak poprzednio ich zwykle porykiwań.

## Przemoc

W końcu ogarnęła mnie nuda. Zacząłem tęsknić za zwykłym ludzkim miastem, za snem w normalnym łóżku, za tym żeby wreszcie usiąść na zwyczajnym krześle i załatwić się w ubikacji. Oczywiście inaczej przedstawiałaby się sytuacja, gdybym spotkał tu coś naprawdę interesującego. Nasze ciągle próby i niepowodzenia stały się tak nudne jak praca w biurze. Każdy nowy pomysł zdawał się abstrakcją i nikt nic przejawiał zainteresowania nim. Był dla nas jeszcze jedną chimera. Wszystkie nasze rozczarowania zaczynały, jak już sygnalizowałem, zmieniać się w coraz bardziej rosnącą agresję i przemoc. Walka i akty brutalności nie ograniczały się już tylko do boiska podczas gier. Wielokrotnie coś, co miało uchodzić za niewinną zaczepkę, w istocie przemieniało się w groźną bójkę, po której zapaśnicy coraz częściej wychodzili z poważnymi uszkodzeniami ciała — były złamania rąk i nóg, żeber, głębokie rany. Należy wziąć tu pod uwagę brak środków opatrunkowych i innych, służących do udzielania pierwszej pomocy. Sprawa stawała się coraz poważniejsza. Od jakiegoś czasu gorączkowo poszukiwałem miejsca, przez które można by wyjść na zewnątrz. Cały dzień poświęciłem na wędrówkę po obwodzie, żeby dojść do owego zbocza, z którego zabrała mnie krowa. Znalazłem. Znajdowało się ono na samym szczycie gładkiej ściany, na wysokości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu metrów. Zupełnie nie rozumiałem, jak dostał się tam ksiądz. Może ufny w łaskę boską zdecydował się na lewitację i takim sposobem dopłynął do skały. Wróciłem do szopy w bardzo złym nastroju.

W nocy, kiedy ledwie zmrużyłem powieki, poczułem, że coś na mnie spada. Była to kobieta, z którą żył współmieszkaniec z szopy. Unieruchomiła go przyciskając jego ramiona kolanami i wywijając nad jego głową kawałkiem metalowej blachy ostrej jak nóż.

Chłopak zareagował gwałtownie: uderzył ją kolanami w plecy. Kobieta, padając na mnie, rozcięła mi ramię nożem. Odsunąłem się w chwili, gdy podjęła atak. Pięść mojego towarzysza zatrzymała ją z taką siłą, że usłyszałem chrzęst kości.

Zemdląła. Obaj dyszeliśmy jak bestie. Reszta dysydentów otoczyła nas. Grubi, podobni do ryb w akwarium, patrzyli ze swoich szop, jak to mieli w zwyczaju; jeden z chudych zaczął lekko poklepywać policzki leżącej.

— Żeby w taki sposób uderzyć kobietę — powiedział patrząc na mnie.

Na nic by się nie zdały żadne wyjaśnienia. Wiedzieliśmy obaj, że jutro my będziemy ze sobą walczyć.

Nic mogłem zasnąć. Wyszedłem z szopy i powędrowałem aż nad rzekę. Zanurzyłem ręce w jasnej chłodnej wodzie. Przemyłem ranę i usiadłem na pniu.

Musiałoby być jakieś inne wyjście, niż to na górze. Po trzech miesiącach moich badań antropologicznych przeszedłem niepostrzeżenie w nudne bytowanie, które w końcu stało się niebezpieczne. Nie znalazłem ani jednego jasnego punktu dotyczącego życia i obyczajów krów. Na dodatek groziło mi niebezpieczeństwo: mogłem umrzeć na co nie miałem najmniejszej ochoty, zabity przez jednego dysydentów.





# Wyjazd

Obudziłem się przed świtem. Musiałem odejść stąd jeszcze tego dnia. Jediną nadzieją było, że może jakaś krowa mnie zabierze. Ale przecież nic zdołaliśmy znaleźć choć jednego gestu, którym można by porozumieć się z krowami. I wtedy przyszło mi do głowy, że owszem, taki gest istnieje i to od dawna: wystarczyło włożyć na siebie uprząż i wyciągnąć prawą rękę. Przecież zawsze tak postępowaliśmy w mieście. A co by było, gdybym zrobił to w zagrodzie?

Nic mogłem już dłużej czekać. Podszedłem do szopy i zabrałem uprząż. Chudzi wciąż spali. Ledwie wstawało słońce. Jeszcze nie przyfrunęła krowa-karmicielka; grubi chrapali zgodnym głośnym chórem. Podszedłem do ogrodzenia i wyciągnąłem prawą rękę.

Minęło parę minut. Widziała mnie niejedna krowa. Nie wiedziałem, czy wszystkie mogą być nosicielkami, czy tylko niektóre.

Znów minęło parę minut. Za plecami słyszałem już ziewanie grubych, którzy budzili się ze snu. Zacząłem się niecierpliwić — obawiałem się, że znów wpadnę w macki zwykłej rutyny codziennego życia w zagrodzie, tym razem już po raz ostatni. Jedna z krów zbliżyła się do mnie poruszając skrzydłami. Być może wyruszała w tym samym co ja kierunku. Podniecony taką możliwością uniosłem także lewą rękę. Z dwiema uniesionymi do góry rękami wyglądałem jak czciciel słońca wykonujący swój zwykły obrzęd. Z tym, że przedmiot czci jeszcze nie zdążył pojawić się na niebie w całym swym splendorze. Krowa zawróciła, eleganckim ruchem pochyliła pysk i chwytając za „pałak” uprzęży podążyła dalej. Poczułem się tak, jakbym został wyrwany z ziemi z korzeniami. Zagroda malała coraz bardziej, że wreszcie zniknęła mi z oczu. Dziwne, ale nie płynęliśmy w kierunku zbocza, lecz unosiliśmy się coraz wyżej ku nieregularnym krawędziom doliny. Spuściłem głowę i zacząłem patrzeć w dół.

Po raz pierwszy zobaczyłem miasto w całości. Była to brązowa plama w kształcie koła. Na jednym jego odcinku wił się malowniczy strumyk, jasny i błyszczący, poprzecinany zielonymi wysepkami roślinności. Najbardziej uporządkowane zdawały się uliczki i szopy zagrody. Przeklinałem się w duchu, że nie pytałem nikogo, w jaki sposób ona powstała i że cały mój wysiłek włożyłem w penetrowanie właściwego krowiego miasta. Opuszczałem to miejsce nie wiedząc, czy szopy zbudowały krowy posługując się w tym celu jakimiś nieznanymi narzędziami, czy były one dziełem pierwszych osadników, którzy przewidzieli przybycie nowych ludzi. Było za późno na stawianie takich pytań: możliwości uzyskania odpowiedzi oddalały się razem ze zwiększaniem się odległości pomiędzy mną a zagrodą. W miarę jak zbliżaliśmy się do zębiastych krawędzi doliny, czułem coraz większe zimno i ból w uszach. Wciągnąłem głęboko powietrze, jak to czynili pasażerowie samolotów minionej epoki, ale niewiele mi to pomogło. W końcu, kiedy krowa frunęła już ponad górskimi szczytami a obraz miasta zniknął zupełnie, zemdlałem. Obudziłem się czując przyjemne ciepło pochodzące z pyska krowy. W nosie miałem trochę krwi. Ledwo się pochyliłem, aby spojrzeć w dół, poczułem silny ból w plecach. Pasy plecaka ściskające moje ramiona i uniemożliwiające swobodne krążenie krwi spowodowały zdrętwienie mięśni. Poruszyłem się jeszcze

raz, ale już ostrożniej. Lecieliśmy właśnie nad pierwszymi odnogami kordyliery. Można już było w dole ujrzeć barwną dolinę: przeważały odcienie fioletu, brązu i barwa pomarańczowa. Sądziłem, że tam właśnie wylądujemy, ale okazało się, że nie miałem racji. Krowa wciąż fruwała. W południe czułem na plecach strumień potu, a rzemienie plecaka paliły mnie żywym ogniem; czułem taki ból w ramionach, jakbym je miał poodrywane. W godzinę później postanowiłem go wyrzucić — nie mogłem już wytrzymać tego bólu. Odpiąłem sprzączki i pozwoliłem tobołowi polecieć w dół. Spadał jak kamień parę metrów, potem otworzył się, jakby się o coś rozbił, wyrzucając z siebie ubranie, śpiwór i przybory kuchenne — po chwili wszystko znikło.

Klimat stawał się coraz chłodniejszy. Pod moimi stopami wirowały najróżniejsze odcienie zieleni. W promieniach zachodzącego słońca ujrzałem wstęgę rzeki błyszczącą w oddali. Była to ta sama rzeka, przez którą przechodziłem, wyruszając z mojego miasta. Przez chwilę myślałem, że krowa zostawi mnie w miejscu, skąd wyruszyłem, to znaczy niedaleko placu, gdzie ludzie palili ogniska. Kiedy zbliżyliśmy się do obrzeży miasta, stwierdziłem jednak, że znajdujemy się bardziej na północ i w tym kierunku teraz się poruszaliśmy. Wreszcie ujrzałem peryferie wielkiego miasta. Krowa zaczęła zniżać lot, ale nic zrobiła tego nad jakimś domem czy ulicą, tylko nad samą rzeką. Dotknąłem powierzchni wody stopami wznosząc podwójną falę, która zalała mi boki i przez chwilę obmywała policzki. Pysk krowy uprzejmie się pochylił i nagle zanurzyłem się z impetem w brązowej wodzie. Bardzo mi było trudno wydobyć się na powierzchnię. Czułem ogromne zmęczenie. Pozwoliłem nieść się falom. Na szczęście wypychały mnie do brzegu, który porastały krzewy camalote. Dopłynąłem do najbliższego i uczepiłem się go. Znalazłszy suchy grunt pod nogami, przeszedłem parę metrów, otrząsnąłem się z wody i położyłem na plecach. Delikatna bryza chłodziła moją twarz. Zasnąłem.

## Stare miasto. Zeszyt z notatkami

Obudziłem się o świcie następnego dnia. Otrzepałem piasek z ubrania i poszedłem obejrzeć dzielnicę, w której „zakotwiczyłem”. Znalazłem opuszczony dom w dość dobrym stanie. Przez parę następnych dni odpoczywałem żywiąc się owocami i tym, co złowiłem w rzece. Wymazałem z pamięci wydarzenia z okresu pobytu w krowim mieście. Dopiero po jakimś czasie znów zaczęły się one pojawiać w moim umyśle, jedno po drugim, i przypomniałem sobie o notatniku. Myślałem, że wyrzuciłem go razem z plecakiem, ale kiedy zabrałem się do prania spodni, które miałem na sobie podczas lotu, znalazłem go w tylnej kieszeni. Otworzyłem go i zacząłem czytać z rosnącym zainteresowaniem, jak ktoś kto czyta swój stary pamiętnik, choć w moim przypadku minęło zaledwie piętnaście dni.

Stwierdziłem wówczas, że do tych skąpych zapisków trzeba dołączyć jakieś uzupełnienia. Zacząłem przepisywać notatki, dzieląc je na rozdziały i opatrując tytułami. Pomyślałem, że jak już to zrobię, zabiorę się zaraz do napisania książki, prawdziwej książki, w której sklasyfikowałbym zebrane fakty, postawił kilka hipotez i porównał życie krów z życiem ludzi, podkreślając wszelkie różnice i analogie. W końcu jednak postanowiłem pozostawić tekst w stanie nie naruszonym, nie dodając do niego zupełnie nic. Jak już wspomniałem w Prologu, zamierzam opuścić ten dom. Mieszkańcy miasta, a przynajmniej tej jego części, którą poznałem, to ludzie ponurzy i agresywni, którzy często witają przybysza kulami. Jeden z nich, mieszkający w dzielnicy willowej na południu, zebrał wszelkiego rodzaju broń i obwarował się w swoim domu — jak wyglądała jego posiadłość, mógłby opisać ktoś, zajmujący się wymyślaniem opowiadań fantastycznych; były tam najdziwniejsze lustra, katapulty i ogromne łuki. Z uporem maniaka malował plakaty, na których wypisywał hasła przeciwko krowom.

Powoli ogarniało mnie coraz większe pragnienie spotkania się z ludźmi, którzy odwiedzili — jak ja — krowie miasto. Chciałem wymienić poglądy. Takiego człowieka poznałem parę dni przed opuszczeniem domu, kiedy już spakowałem się, przygotowałem pojazd i zacząłem przepisywać powyższy tekst. Ponieważ to spotkanie może wydać się interesujące, więc opiszę je w Suplemencie.

## Suplement

Była to postać o niezwyklej aparycji: mężczyzna mógł mieć około czterdziestu pięciu lat, ubrany cały na czarno, oprócz białej koszuli z czerwonym, bardzo cienkim krawatem. Szedł w kierunku domu, w którym mieszkałem, podpierając się laską niemal tak wysoką jak on. Miał na głowie kapelusz z szerokim, zagiętym rondem. Z okna zapytałem go, czego sobie życzy. Zdziwił się, usłyszawszy mój głos, po czym poprosił o gościnę i pożywienie. Skrzydło jego kapelusza rzucało cień na szczupłą twarz z długą brodą i błyszczące oczy.

Podczas kolacji rzuciłem od niechcienia jakąś uwagę na temat krowiego miasta. „Ja też tam byłem”, powiedział wtedy, starannie wymawiając każdą sylabę, co świadczyło, że był człowiekiem wykształconym, i uśmiechając się. W przeciwieństwie do mnie miał parę hipotez, które uważał za sprawdzone, oraz popartą doświadczeniem teorię, ja zaś ze swojego punktu widzenia uważałem je za zbyt dziwne, zbyt wydumane, aby miały jakikolwiek związek z rzeczywistością. Mimo wszystko notuję jego opowieść.

Odwiedził miasto pięć lat temu, to znaczy dwa lata po tym, jak krowy zaczęły odwiedzać ludzkie aglomeracje. Według niego, krowie miasto istniało od dawna, było bazą i ośrodkiem władzy, skąd zwierzęta robiły coraz częstsze wypadki i całkowicie dezorganizowały życie w ludzkich osiedlach. On sam przywędrował tam z pierwszymi grupami kolonistów, zaciekawiony relacjami uczestników wypraw andyjskich, którzy zobaczyli krowie miasto podczas wspinaczki do wysokogórskiej doliny.

Szopy zostały pobudowane dzięki zaangażowaniu sił krowich i ludzkich. Ludzie budowli ściany, a krowy dostarczały blaszanych dachów. Z początku nie było społecznych podziałów na grubych i dysydentów. Widocznie ten proces dokonał się po jego wyjeździe. Ludzie oddawali się różnym pracom rolniczym. Nad brzegami rzeki i wokół szop uprawiali zboże i jarzyny, z zamiarem założenia prawdziwej kolonii. Powoli jednak w społeczności ludzkiej, która nic musiała troszczyć się o pożywienie, powstały wyraźne objawy zniechęcenia i znużenia. Wobec tego stanu rzeczy postanowił opuścić tamto miejsce.

Jeśli idzie o same krowy, wydaje się, że ma o nich więcej wiadomości niż ja. Zna na przykład ich życie seksualne. Twierdzi, uważam to za nieprawdę, że kopulują w powietrzu. Byk i krowa najpierw krążą nad miastem. Po chwili rozlega się ich muczenie. Następnie krowa przyspiesza lot, co jest wstępną fazą gry miłosnej, poprzedzającej sam kontakt seksualny. W tym czasie byk ryczy, stopniowo podwyższając ton głosu. W końcu dwa ogromne ciała spotykają się w powietrzu z niesłychanie głośnym, rozlegającym się po całej dolinie hałasem, przypominającym ssanie jakiejś gigantycznej pompy. Podczas gwałtownych ruchów, wykonywanych w czasie aktu, spadają powoli w dół. Prawie zawsze stosunek płciowy kończy się, zanim dotkną kopytami ziemi. Wówczas oddzielają się, unoszą ku górze i znów krążą zupełnie wyczerpane. Kiedyś podobno widział, jak para w nieprawdopodobnie namiętnym akcie spadła na ziemię, rozbijając się ze straszliwym rumorem.

Owe wypadki śmierci niczego nieświadomych osobników stały się bezpośrednią przyczyną zbudowania cementowych płyt, które początkowo poustawiano w wydzielonym miejscu w mieście

przeznaczonym wyłącznie do powietrznej kopulacji. Z biegiem czasu wraz z postępującą organizacją życia w mieście (jaką znowu organizacją? myślałem nic przerywając jego wywodów) seks stał się sprawą bardziej intymną oraz indywidualną, a także rzadziej uprawiano go w powietrzu, w związku z tym owe cementowe tafle przestały spełniać swoją rolę. Nadeszły nowe rozporządzenia. I być może z powodu represji stosowanych wobec uprawiających seks, zabroniono publicznych aktów seksualnych, nawet w miejscach do tego celu wyznaczonych: winnym podcinano skrzydła. Nastąpiła fala samobójstw; poszczególne osobniki obu płci wyizolowane w ten sposób ze społeczności, zaczęły spadać jak bomby na cementowe tafle. Ich ciała znalazły zastosowanie użytkowe. Wynaleziono nowe sposoby oświetlania miasta — przedtem w tym celu zapalano słupy, które zbyt szybko pochłaniał ogień — mianowicie pochodnie.

Karl van Doren był malarzem. Skończywszy swoją opowieść, otworzył drewnianą walizkę, z której wyciągnął trochę swoich prac. Były wśród nich obrazy przedstawiające widoki ogólne krowiego miasta; przypominały w stylu raczej oniryczne majaczenia, niż rzetelne odbicie rzeczywistości, którą w końcu znałem. Bardzo dużo miał takich, które przedstawiały powietrzne kopulacje. Wtedy miasto ukazywał trochę zamazane i wyglądało tak, jakby je zbudowano na jakiejś kulistej powierzchni, a nie na twardej ziemi. Intensywny ton barw, żywe kolory, jakich użył, przedstawiając miasto i jego mieszkańców, każyły mi wątpić w prawdziwość jego relacji. Doszedłem do wniosku, że Van Doren nigdy nic widział krowiego miasta, że sam je sobie stworzył według strzępów zasłyszanych opowieści i dopełnił malarską wyobraźnią — stąd przepiękne wizje.

Nie dyskutowałem z nim. Jedliśmy kolację jak dwaj przyjaciele. Wreszcie zdecydowałem się pokazać mu swój brulion. Zainteresowanie, z jakim go czytał, jeszcze bardziej utwierdziło mnie w moich podejrzeniach, że on w ogóle nic zna krowiego miasta. Mój brulion czytał jak materiał informacyjny, dotychczas nigdzie nie wydany. Kiedy skończył, gorąco mi pogratulował ilości zebranych danych i faktów. Natomiast nic uważał za konieczne stworzenie ogólnej teorii, która łączyłaby poszczególne ogniwa („Jest to zadanie dla kogoś innego i nic widzę powodów, dla których miałby pan sobie tym zaprzętać głowę”) po czym poprosił mnie, abym mu pozwolił przepisać niektóre fragmenty z moich notatek. Nie miałem zastrzeżeń. zaproponowałem mu nawet, żeby zaglądnął do pracy, którą napisałem, posługując się brulionem. Po przeczytaniu zdecydował się jednak przepisać w całości moją pracę, aby ją, jak powiedział, rozpowszechnić. Byłem uszczęśliwiony, jako że sam nosiłem się z tym zamiarem. Zaczynało świtać i postanowiliśmy udać się na spoczynek.

Cały następny ranek Van Doren poświęcił na przepisywanie historii, którą tu właśnie zamieściłem. Różni się ona tylko tym, że nie zawiera Prologu ani tego oto Suplementu. W południe, mimo upału, poszedł ten dziwny człowiek w czarnym ubraniu i kapeluszu, z teczką i długą, sięgającą mu prawie do głowy, laską.

Ażeby odróżnić moją opowieść od takich, jaką na przykład napisał Van Doren (moim zdaniem, wywodzącą się raczej z wyobraźni, niż opartą na rzetelnych obserwacjach) umieściłem w podtytule „Relacja prawdziwa”. Jeszcze raz wyrażam nadzieję, że okaże się ona pożyteczna dla tych, którzy ją przeczytają.

*Eduardo Goligorsky*  
*La cicatriz de Venus*

# Wenusjańska miłość

W sypialni było piekielnie gorąco. Strzępki papieru pozostawione przy kratce klimatyzatora wciąż zachowały ponurą nieruchomość. Ścienny termometr pokazywał już czterdzieści dwa stopnie. Szyby okna pokryły się mgłą i ledwo puszczały słabe światło zmierzchu, nic mogące konkurować z morderczym blaskiem tej cholernej lampki zawieszanej na gołym niebie.

Otworzyły się drzwi i wszedł Guzmán. Był wysoki, krępy, miał siwe kręcone włosy przy skroniach i nieco rzadsze na czubku głowy. Jego ogorzała, jędrna twarz zdradzała weterana Służby Astronautycznej. Nosił niebieskie spodnie od munduru i, co dziwne, jego koszula była zapięta pod samą szyję, choć pot przykleił mu ją do ciała. Dwaj mężczyźni, siedzący na brzegach łóżek, patrzyli na niego z wyczekiwaniem i szacunkiem, jaki budzi dojrzałość i doświadczenie. W istocie byli bardzo spokojni.

Chłopcy mieli na sobie tylko slipy. Słońce spiekło na raka twarz Luppiego — z czoła i policzków schodziła mu skóra. Chaves cieszył się jeszcze jasną zdrową cerą nowo przybyłego. Jego nos ozdabiały okulary w grubych szylkretowych oprawkach. W stacji kosmicznej uchodził za intelektualistę, choć, jak jego współmieszkańcy, pełnił tylko funkcję zwykłego magazyniera.

— Co panu powiedziały te typki z zaopatrzenia, Guzmán? — zapytał Luppi.

— Twierdzą, że sprzęt klimatyzacyjny będzie naprawiony za jakieś dwie, trzy godziny. Wysłali komisję do bazy angielskiej po brakujący element. Trzeba tylko cierpliwie poczekać.

— Poczekać — mruknął Luppi i twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej. — Zanim skończą naprawiać tego grata, my się tu usmażymy.

— Mówił pan, że można wytrzymać dwa dni. To prawda panie Guzmán? — włączył się Chaves.

— Właśnie tyle. Dwa dni — przytaknął weteran. To się już nieraz zdarzało.

— Więc mają jeszcze jeden dowód, że trzeba zainstalować zapasowy sprzęt — stwierdził Luppi.

— Takie rzeczy przytrafiają się tylko naszej bazie. Wszyscy inni, nawet te gnojki Hiszpanie, mają sprzęt zapasowy. Tam w Buenos Aires, siedzi pewnie jakiś przygłup i wydaje mu się, że Mars to nasza kochana La Płata. Jak komu trochę za ciepło, proszę bardzo na spacer po bulwarze. Wie tylko jak grzać stołek i pilnować szmalu.

— Daj spokój — przerwał Chaves. — Jak się będziesz wściekał, prędzej się ugotujesz. Naucz się od pana Guzmána trzymać nerwy na postronku. Nieraz nam mówił, że skoro ktoś się już zdecydował opuścić Ziemię, musi być przygotowany i na to, że czasami trzeba się pomęczyć. Dlatego nam tyle płacą.

Zdjął okulary — jego małe szare oczka zmniejszyły się teraz jeszcze bardziej — i uniósł je do światła. Szkła były mokre od potu, który zalewał czoło. Położył je na nocnym stoliku.

— Panie Guzmán, nic jest panu trochę ciepło? Niechże pan zrzuci tę koszulę. Guzmán wzruszył ramionami, usiadł przy stole i sięgnął po gazetę. Luppi wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem; za każdym razem, kiedy zmieniał kierunek, przystawał przy termometrze. Temperatura

wzrosła o cztery dziesiąte stopnia.

— Akurat to musiało się przytrafić naszej zmianie — Luppi zaczął gderać na nowo. — W takiej spiekocie nawet spać się nie da. Jutro będziemy jak zdechłe ryby.

Guzmán nie odrywając wzroku od pisma, rozpiął guzik przy kołnierzyku.

— Dlaczego pan nie ściągnie tej koszuli — nalegał Chaves.

— Przywykłem nosić koszulę — odrzekł Guzmán sucho.

Chaves położył się na pryczy.

— Spróbuję zasnąć — powiedział.

Kręcił się i wiercił, wreszcie wstał i podszedł do okna. Wytarł ręką zamgloną szybę i spróbował dojrzeć coś z zewnątrz.

— Ciemno. Nic nie widać. Czy już wróciła komisja, która pojechała do Anglików?

— Akurat, wróciła! — burknął Luppi. — Myślisz, że ci, co tam pojechali, mają źle w głowie? Te skurwysyny chłodzą się wiatrakiem i popijają whisky.

Guzmán odłożył pismo na stół i spojrzał ze złością na Luppiego:

— Mógłby pan się uprzejmie zamknąć? Jest pan bardziej zmęczony od tego upału. Jak się panu nic podoba na Marsie, to proszę oddać kartę i do domu. Nikt tutaj pana siłą nie trzyma.

— Panie Guzmán, ja się do pańskich spraw nie mieszam!...

— Powiedziałem masz stulić pysk! — ryknął Guzmán i poderwał się przewracając krzesło. Pięści miał zaciśnięte i na skroniach nabrzmiały mu żyły.

Luppi patrzył na niego z otwartymi ustami, nie rozumiejąc, co się stało. Czyżby weteran zamierzał się z nim bić? Stanął w pozycji obronnej. Chaves wszedł pomiędzy obu mężczyzn.

— Niech się pan nie denerwuje, panie Guzmán — powiedział. — Nikt nie ma zamiaru pana obrażać....

Guzmán otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz zamknął je zrezygnowawszy z dalszej dyskusji. Pokręcił tylko głową i postawił przewrócone krzesło. W końcu mruknął nie patrząc na towarzysza:

— Przepraszam pana, Luppi, mnie też dokucza upał.

Termometr wskazywał już czterdzieści cztery stopnie. Było jasne, że to tak niepokoiło młodych ludzi. Żaden z nich nie ośmielił się zadać Guzmánowi pytania na ten temat. Jego wybuch zupełnie ich zdeorientował.

Weteran siadł przy stole, położył gazetę na kolanach i wpatrzył się w przestrzeń. Koszula i spodnie, przyklejone do ciała, przypominały teraz mokre szmaty. Wreszcie Luppi mruknął:

— Czy nie uważa pan, że powinniśmy pójść i zapytać...

Guzmán spojrzał nań i w kącikach jego warg pojawił się dobroduszny, niemal łobuzerski uśmiech:

— Nie martwcie się panowie, zatrzyma się na czterdziestu pięciu. To najwyższa dopuszczalna temperatura przy izolacji, jaką zwykle stosuje się w bazach na Marsie. Oczywiście nie jest to mało. Ale bądźcie spokojni. Gdyby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, już by nas ewakuowano — powoli zaczął odpinać bluzę. — Macie rację, chłopcy, ja też wybiorę się na plażę.

Ton, w jakim to powiedział, rozładował napiętą atmosferę i dwaj młodzi ludzie roześmieli się. Ale zaraz uśmiechy zastygły im na ustach, kiedy zrozumieli powody, dla których Guzmán zwlekał z rozebraniem się. Na jego brzuchu widniała straszliwa blizna w kształcie półksiężyca biegnąca do lewego biodra ku prawemu, wykrzywiając się nieco w kierunku podbrzusza. Sądząc po jej



głębokości i nierównych, poszarpanych brzegach, ten człowiek musiał przeżyć coś strasznego.

Guzmán, chcąc rozwiać zmieszanie swoich towarzyszy, którzy nie odważyli się na żadną uwagę, rzucił:

— Ładna pamiątka, co?

— Jakiś wypadek? — zapytał Chaves.

— Nie — odrzekł Guzmán nie tracąc humoru, w jakim znajdował się od paru chwil. — To przygoda miłosna.

— Ach tak, rozumiem — przytaknął Luppi. — Poznałem kiedyś jedną mężatkę z Banfield. A jej mąż...

— Nie — powiedział Guzmán. — Nie zrobił tego żaden mąż ani też kobieta. Chcę powiedzieć, że bohaterką mojej przygody nie była kobieta... przynajmniej w zwykłym znaczeniu tego słowa. Bliznę zawdzięczam pewnej Wenusjance.

— Ale przecież Dekret Centrum Kosmicznego zabrania...

— Kiedy ta historia się wydarzyła, nie istniały jeszcze żadne ustawy — wyjaśnił Guzmán. — W epoce pionierów wszystko było dozwolone. Mogę się nawet pochwalić, że mój przypadek spowodował powołanie Kongresu Centrum Kosmicznego, który w efekcie wydał ten słynny dekret.

— Ale te wenusjanki, przecież... — skrzywił się Luppi. — Widziałem zdjęcia i naprawdę...

— Co innego oglądać je na fotografii, a co innego być tam — powiedział w zamyśleniu Guzmán. — Kiedy wysłał pana na Wenus, wspomni pan moje słowa.

Chłopcy usadowili się na krzesłach nie odrywając wzroku od szramy na brzuchu weterana, jakby miała ona moc hipnotyczną.

— A czy można wiedzieć... jak to się stało? — nie wytrzymał Chaves.

— Nigdy tej historii nie opowiadałem, oczywiście poza sprawozdaniem dla Rady Kosmicznej — wyjaśnił Guzmán. — Ale skoro to było tak dawno, a czas podobno leczy wszystkie rany — uśmiechnął się — może i dobrze będzie sobie trochę powspominać. Zresztą, może się rozerwiemy: w tym upale tak trudno zasnąć.

Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat. W Służbie Astronautycznej pracowałem już prawie dwa lata i była to moja pierwsza wyprawa pozaziemska. Miałem objąć stanowisko kierownika zaopatrzenia w międzynarodowej bazie na Wenus. Komendantem był Francuz. D'Estaigne, a w skład personelu wchodził: trzech Anglicy, Rosjanin, Holender i japoński lekarz. Wszyscy zawodowi astronauty — nawet lekarz. Byłem jedynym członkiem cywilnej służby pomocniczej i pewnie dlatego traktowali mnie jak pracownika drugiej kategorii.

Tamci ustawicznie rozprawiali między sobą o programach badawczych, a do mnie zwracali się wyłącznie w sprawach żywienia. Poza poleceniem nic potrafili wydusić z siebie słowa więcej. I nie wiem, czy dlatego, że mieli wyrzuty sumienia, że mnie izolują, chociaż może i nie przesadzali z tym przeświadczeniem o doniosłości i znaczeniu swojej pracy i niby mojej ignorancji, w każdym razie zezwolili mi na zatrudnienie tubylki w charakterze pomocy w magazynie. Właśnie wtedy zaczęły się kłopoty. Ochrciłem ją Yuyu, bowiem jedynym dźwiękiem, jaki wydawała, kiedy odchodziła do bardziej oddalonej części magazynu, było: „yui, yui”. Pozostali członkowie załogi poświęcali jej tyle samo uwagi, co mnie. Należała do „istot” stamtąd, dziwnych stworów, które w końcu badali biolodzy. Co do tych ostatnich, to już inna historia. Wenusjanie nie pozwalali na auskultacje. Zgodnie z rozporządzeniami Rady Kosmicznej, nie zezwalającymi na praktykowanie metod przymusu wobec istot pozaziemskich, nasi badacze musieli zadowolić się fotografiami, które

robili zniechęca i wymyślaniem nazw dla widocznych organów i kończyn. Ale jak wspomniałem, jest to zupełnie inna historia.

Yuyu była posłuszna, a nawet, mogłoby się wydawać, że uprzedzała każde moje życzenie. Muszę przyznać, że na początku i ja patrzyłem na nią raczej tylko powodowany ciekawością niż innymi uczuciami, choć w krótkim czasie nabrałem do niej sympatii. Mieliśmy bardzo dużo okazji przebywania sam na sam, ponieważ reszta grupy często opuszczała obóz i udawała się na ekspedycje. Tak więc mogłem całymi godzinami siedzieć i patrzeć, jak ona pracuje. Od kiedy przybyła do nas, moja praca ograniczała się do kontrolowania zawartości magazynu. Ona zajmowała się resztą.

Bezwiednie moja sympatia przekształcała się w coś więcej. Przyjemnie było patrzeć na nią, jak delikatnie, z eteryczną lekkością falowała na swoich piliscynach. Z jej ciała płynęły promienie zapachowe, które można tylko porównać z tchnieniem wenusjańskiej puszczy pod koniec pory deszczowej. Był to wilgotny opar, wydawałoby się — zmaterializowany — startych kwiatów, mający właściwości przylegania do przedmiotów, w tym również do mojego ciała. Czasem zatrzymywała się, utkwivszy we mnie cudowne leruły, a ja czytałem w nich tajemne miłosne przesłanie. A kiedy jej tworzące koronę syfie przeżyły się i drgały, w atmosferze czuło się zaraźliwe podniecenie.

Sądzę, że wiele czynników złożyło się na ówczesny stan mojej duszy i ciała. Młodość, długie miesiące bez widoku kobiety, tropikalny klimat, oszałamiający zapach kwiatów — a flora była tam szczególnie bogata... Na dodatek wystarczyło wyjrzeć przez okno, żeby zobaczyć pary Wenusjan swawolących na trawie. Raz nawet podglądałem taką parę. Była to niezwykle podniecająca scena, która rozpoczęła się od uwodzących gestów Wenusjanina. Po chwili oboje legli pod najbliższym drzewem sąsiadującego z łąką, otaczającą naszą bazę, lasu. Tego obrazu za nic nie mógłbym opisać: piękno i estetyka połączone z najbardziej ekstrawaganckim wyrafinowaniem erotycznym.

Nic wiem, czy Yuyu domyślała się, co się ze mną dzieje. Ale też zadaję sobie pytanie, czy nic był to spektakl zaaranżowany specjalnie dla mnie i czy jej przybycie do naszej bazy nic miało z góry określonego celu?

Rano komendant D'Estaigne rozkazał mi, żebym przygotował zapasy na wyprawę mającą trwać tydzień. Zostałem w bazie tylko z Holendrem, porucznikiem Dubrockiem.

Miała to być wyprawa dłuższa od zwykle programowanych. Na początku sądziłem, że skoro już zostaliśmy z Holendrem sami, ten okaże mi więcej serdeczności. Potem jednak okazało się, że przyszedł do mnie — przemawiał w żargonie, w jakim porozumiewaliśmy się w bazie — tylko po to, żeby mieć kompana do kieliszka.

Dałem znak Yuyu, która zaraz przyniosła butelkę dzinu. Wzniosłem z nim parę toastów, ale szybko wysiadłem. Holender wychylał szklanekę za szklanką, jakby to była woda, a ja już czułem pieczenie w żołądku. W końcu dałem za wygraną i poszedłem do magazynu. Dubrock nawet nie zauważył mojej nieobecności, całą swoją uwagę poświęcając butelce.

Możliwe, że alkohol też zrobił swoje. Yuyu stała przy półce i układała w stosy puszek z konserwami z ostatniego transportu. Patrzyłem na nią urzeczony, nieprzytomny z podniecenia. Tego dnia wydzielala zapach bardziej jeszcze intensywny. I te syfie, takie nabrzmiące, drżały i kołysały się w spazmatycznym rytmie. Yuyu jakby mnie nie dostrzegała, ale wszystko mówiło, że jej ciało odbiera nawet najśłabsze pulsowanie mojej krwi.

Zbliżyłem się do niej wolnym krokiem i to jej nieprzerwane „yui, yui” stawało się dla mnie miłosną pieśnią uderzającą w najwyższe tony uniesień i płynącą ku niezmiernym gwiazdom

przestrzeniom.

I wtedy po raz pierwszy dotknąłem jej ciała. Przedtem unikaliśmy wszelkich zbliżeń, nawet kiedy podawaliśmy sobie różne przedmioty, a przynajmniej ja starałem się jej nie dotykać, jakby przeczuwając, że wystarczy jedna iskra, żeby wybuchł pożar.

A teraz moja dłoń pewnie pochwyciła tę cudowną lerułę, przesunęła się w niecierpliwej pieśzczocie po całej jej długości. Miała delikatność aksamitu, płątka kwiatu. I oto koniuszki asgurów musnęły moją skórę, obdarzając mnie niewysłowioną rozkoszą.

Ugięły się pod nią pliscyny i przestała pracować. Pomarańczowe żyłki na jej ciele pociemniały, nabierając niemal purpurowej barwy. Rygry powiększały się i rozciągnęły zamykający je pierścień, którego brzegi spuchły jeszcze bardziej, i wtedy z głębi jej istoty wypłynęło rozkoszne mruczenie, jakże inne od codziennego znanego mi „yui, yui”, które zawsze takie robiło na mnie wrażenie. Była to symfonia zmysłowych woni. „Sofa’n, sofa’n”, wydawała się szeptać rygra; tak, że oboje padliśmy na ziemię nieprzytomni.

Była to apoteoza wszelkich doznań. Przy niej byłem jak niedoświadczony szczeniak. Yuyu wprowadzała mnie powoli w przemyślnym upojeniu w tajniki galaktycznej namiętności. Jej dulimary usnuły sieć i zarzuciły ją na mnie, po czym jednym ruchem zerwały mi ubranie. Teraz byłem już najbliżej jej ciała. Pliscyny rozpełzły się po mojej skórze pieśzcząc mięsień po mięśniu i czyniąc ze mnie zieloną masę, zdolną tylko odbierać rozkosz, rozkosz, rozkosz!

Naprężone syfie wyprostowały się, jakby miały złamać się lada chwila, ale kiedy je pogłaskałem, poddały się ulegle mojej dłoni. Wokół jej leruły pokazała się barwna obrączka, której nigdy tam jeszcze nic widziałem, a teraz lśniła i migotała w pulsującym rytmie.

To co się stało potem, było cudowne i straszne zarazem. Z jej genofiów, och, ileż ich było, cudowne, cudowne, wytrysnęła chmura mestenu i pokryła nas oboje. Dulimary ścisnęły mnie z całej siły i ów szept „sofa’n, sofa’n” przemienił się w „yaspe, yaspe” jak w paroksyzmie i była to apoteoza pieśzczoty. Było mi jak w niebie, kiedy nagle zwinąłem się przeszyty bólem, jakby w moje ciało, przemienione teraz w żywą ranę, ktoś upuścił kroplę żrącego kwasu.

Straciłem przytomność.

Weteran przerwał opowiadanie i pograżył się w zadumie. Zarówno on jak i jego dwaj towarzysze złani byli potem, ale podczas gdy Guzmán mówił, zapomnieli o piekielnym upale panującym w pokoju. Tak jak im oznajmił, termometr nic wskazywał więcej niż czterdzieści pięć stopni.

Luppi, patrząc na stróżki wilgoci spływające po policzkach weterana, zadał sobie pytanie, czy to rzeczywiście pot, czy może łzy? Guzmán stał się w jego oczach innym człowiekiem. Widział w nim bohatera otoczonego nimbem romantyzmu i poezji. A ile jeszcze ukrywał wrażeń i doznań nie znanych innym ludziom? Jasne, że mimo tylu lat, jakie upłynęły od ekspedycji na Wenus, tamto przeżycie musiało zostawić w nim ślad, pewnie tak głęboki i trudny do wymazania, jak ta okropna blizna.

— Czy Yuyu pana zraniła? — nie wytrzymał Chaves. — Chciałem zapytać, czy to było powodem powstania rany? Od tego ta blizna?

Guzmán patrzył na niego zdziwiony, jakby zapomniał, że mówił w obecności towarzyszy. Potoczył wzrokiem po sypialni, ledwo oświetlonej słabą lampką, i pokręcił głową.

— Nic. Yuyii mnie nie zraniła. Przynajmniej nie bezpośrednio. Ale ból był straszny. Kiedy odzyskałem świadomość, leżałem na mojej pryczy, a porucznik Dubrock wlewał we mnie dzin. Znał tylko to jedno lekarstwo, nieborak. Wyczytywałem w jego oczach, że bardzo się o mnie niepokoi i

bynajmniej nie jest uszczęśliwiony, że to się zdarzyło, kiedy zostaliśmy sami. Byłem jeszcze oszołomiony. Ten rozdzierający ból trochę zelżał, ale ręce i nogi wciąż miałem odrętwiałe. Podczas oddychania czułem lekkie klucie w płucach i brzuchu. Wyglądałem jednak na zdrowego. Później się dowiedziałem, że przeleżałem bez przytomności dwadzieścia cztery godziny. Na szczęście ekspedycja zjawiała się następnego dnia. Komendant D'Estaigne złamał nogę i wszyscy musieli wrócić przed terminem. Wypadek D'Estaigne'a był między innymi powodem, że nie zwracano sobie mną głowy. Zresztą wyglądałem na zupełnie zdrowego. Japończyk zaraz po pierwszym badaniu uznał, że jestem zdolny do pełnienia służby.

— A co z Yuyu? — zapytał Chaves.

— Yuyu zniknęła, ale to również ich nie zaniepokoiło. Tubylcy nie mieli obowiązku oddawania nam usług. Na wszelki wypadek kryłem się z moimi uczuciami, choć prawdę mówiąc nic było mi najlepiej. Jak już mówiłem, należałem do służby cywilnej, więc nic mogłem opuszczać bazy, dlatego nawet nie miałem możliwości odszukania jej.

Guzmán przerwał i przesunął wierzchem dłoni po policzku, żeby go osuszyć. W tym momencie dało się słyszeć odległe mruczenie. Wszyscy nadstawili uszu.

— Sprzęt klimatyzacyjny! Działa! — zawołał Luppi. — Szybko się ochłodzi! — Popatrzył na zegarek. — Akurat mamy tyle czasu, żeby przespać się trochę przed następną zmianą.

— Ta blizna... — przerwał Chaves — skąd się wzięła rana, skoro pan mówi, że po oprzytomnieniu nie znalazł pan nic na skórze?

— A no tak. Muszę jeszcze i o tym — mruknął do siebie Guzmán.

— To się stało dwa miesiące później, kiedy wróciłem razem z ekspedycją na Ziemię. Internowali nas w Centrum Medycznym, żeby poddać badaniom. Zacząłem czuć bóle brzucha i zrobili mi prześwietlenie. Znaleźli jakiś cień i któryś z lekarzy stwierdził rozwój cysty. Długo jeszcze trwały dyskusje, czy to rzeczywiście cysta, gdy brzuch zaczął mi się powiększać niebezpiecznie szybko. Wreszcie musieli poddać mnie natychmiastowej operacji.

— I co to było w końcu?

— Kapsuła amniotyczna. Wewnątrz znajdował się malutki Wenusjanin. I właśnie dzięki temu biolodzy mogli odkryć, że mieszkańcy Wenus rozmnażają się inaczej niż my... To ojcowie stają się brzemienni i wydają na świat dzieci.

*Eduardo Goligorsky*  
*La cicatriz de Venus*

# Wenusjańska miłość

W sypialni było piekielnie gorąco. Strzępki papieru pozostawione przy kratce klimatyzatora wciąż zachowały ponurą nieruchomość. Ścienny termometr pokazywał już czterdzieści dwa stopnie. Szyby okna pokryły się mgłą i ledwo puszczały słabe światło zmierzchu, nic mogące konkurować z morderczym blaskiem tej cholernej lampki zawieszanej na gołym niebie.

Otworzyły się drzwi i wszedł Guzmán. Był wysoki, krępy, miał siwe kręcone włosy przy skroniach i nieco rzadsze na czubku głowy. Jego ogorzała, jędrna twarz zdradzała weterana Służby Astronautycznej. Nosił niebieskie spodnie od munduru i, co dziwne, jego koszula była zapięta pod samą szyję, choć pot przykleił mu ją do ciała. Dwaj mężczyźni, siedzący na brzegach łóżek, patrzyli na niego z wyczekiwaniem i szacunkiem, jaki budzi dojrzałość i doświadczenie. W istocie byli bardzo spokojni.

Chłopcy mieli na sobie tylko slipy. Słońce spiekło na raka twarz Luppiego — z czoła i policzków schodziła mu skóra. Chaves cieszył się jeszcze jasną zdrową cerą nowo przybyłego. Jego nos ozdabiały okulary w grubych szylkretowych oprawkach. W stacji kosmicznej uchodził za intelektualistę, choć, jak jego współmieszkańcy, pełnił tylko funkcję zwykłego magazyniera.

— Co panu powiedziały te typki z zaopatrzenia, Guzmán? — zapytał Luppi.

— Twierdzą, że sprzęt klimatyzacyjny będzie naprawiony za jakieś dwie, trzy godziny. Wysłali komisję do bazy angielskiej po brakujący element. Trzeba tylko cierpliwie poczekać.

— Poczekać — mruknął Luppi i twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej. — Zanim skończą naprawiać tego grata, my się tu usmażymy.

— Mówił pan, że można wytrzymać dwa dni. To prawda panie Guzmán? — włączył się Chaves.

— Właśnie tyle. Dwa dni — przytaknął weteran. To się już nieraz zdarzało.

— Więc mają jeszcze jeden dowód, że trzeba zainstalować zapasowy sprzęt — stwierdził Luppi.

— Takie rzeczy przytrafiają się tylko naszej bazie. Wszyscy inni, nawet te gnojki Hiszpanie, mają sprzęt zapasowy. Tam w Buenos Aires, siedzi pewnie jakiś przygłup i wydaje mu się, że Mars to nasza kochana La Płata. Jak komu trochę za ciepło, proszę bardzo na spacer po bulwarze. Wie tylko jak grzać stołek i pilnować szmalu.

— Daj spokój — przerwał Chaves. — Jak się będziesz wściekał, prędzej się ugotujesz. Naucz się od pana Guzmána trzymać nerwy na postronku. Nieraz nam mówił, że skoro ktoś się już zdecydował opuścić Ziemię, musi być przygotowany i na to, że czasami trzeba się pomęczyć. Dlatego nam tyle płacą.

Zdjął okulary — jego małe szare oczka zmniejszyły się teraz jeszcze bardziej — i uniósł je do światła. Szkła były mokre od potu, który zalewał czoło. Położył je na nocnym stoliku.

— Panie Guzmán, nic jest panu trochę ciepło? Niechże pan zrzuci tę koszulę. Guzmán wzruszył ramionami, usiadł przy stole i sięgnął po gazetę. Luppi wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem; za każdym razem, kiedy zmieniał kierunek, przystawał przy termometrze. Temperatura

wzrosła o cztery dziesiąte stopnia.

— Akurat to musiało się przytrafić naszej zmianie — Luppi zaczął gderać na nowo. — W takiej spiekocie nawet spać się nie da. Jutro będziemy jak zdechłe ryby.

Guzmán nie odrywając wzroku od pisma, rozpiął guzik przy kołnierzyku.

— Dlaczego pan nie ściągnie tej koszuli — nalegał Chaves.

— Przywykłem nosić koszulę — odrzekł Guzmán sucho.

Chaves położył się na pryczy.

— Spróbuję zasnąć — powiedział.

Kręcił się i wiercił, wreszcie wstał i podszedł do okna. Wytarł ręką zamgloną szybę i spróbował dojrzeć coś z zewnątrz.

— Ciemno. Nic nie widać. Czy już wróciła komisja, która pojechała do Anglików?

— Akurat, wróciła! — burknął Luppi. — Myślisz, że ci, co tam pojechali, mają źle w głowie? Te skurwysyny chłodzą się wiatrakiem i popijają whisky.

Guzmán odłożył pismo na stół i spojrzał ze złością na Luppiego:

— Mógłby pan się uprzejmie zamknąć? Jest pan bardziej zmęczony od tego upału. Jak się panu nic podoba na Marsie, to proszę oddać kartę i do domu. Nikt tutaj pana siłą nie trzyma.

— Panie Guzmán, ja się do pańskich spraw nie mieszam!...

— Powiedziałem masz stulić pysk! — ryknął Guzmán i poderwał się przewracając krzesło. Pięści miał zaciśnięte i na skroniach nabrzmiały mu żyły.

Luppi patrzył na niego z otwartymi ustami, nie rozumiejąc, co się stało. Czyżby weteran zamierzał się z nim bić? Stanął w pozycji obronnej. Chaves wszedł pomiędzy obu mężczyzn.

— Niech się pan nie denerwuje, panie Guzmán — powiedział. — Nikt nie ma zamiaru pana obrażać....

Guzmán otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz zamknął je zrezygnowawszy z dalszej dyskusji. Pokręcił tylko głową i postawił przewrócone krzesło. W końcu mruknął nie patrząc na towarzysza:

— Przepraszam pana, Luppi, mnie też dokucza upał.

Termometr wskazywał już czterdzieści cztery stopnie. Było jasne, że to tak niepokoiło młodych ludzi. Żaden z nich nie ośmielił się zadać Guzmánowi pytania na ten temat. Jego wybuch zupełnie ich zdeorientował.

Weteran siadł przy stole, położył gazetę na kolanach i wpatrzył się w przestrzeń. Koszula i spodnie, przyklejone do ciała, przypominały teraz mokre szmaty. Wreszcie Luppi mruknął:

— Czy nie uważa pan, że powinniśmy pójść i zapytać...

Guzmán spojrzał nań i w kącikach jego warg pojawił się dobroduszny, niemal łobuzerski uśmiech:

— Nie martwcie się panowie, zatrzyma się na czterdziestu pięciu. To najwyższa dopuszczalna temperatura przy izolacji, jaką zwykle stosuje się w bazach na Marsie. Oczywiście nie jest to mało. Ale bądźcie spokojni. Gdyby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, już by nas ewakuowano — powoli zaczął odpinać bluzę. — Macie rację, chłopcy, ja też wybiorę się na plażę.

Ton, w jakim to powiedział, rozładował napiętą atmosferę i dwaj młodzi ludzie roześmieli się. Ale zaraz uśmiechy zastygły im na ustach, kiedy zrozumieli powody, dla których Guzmán zwlekał z rozebraniem się. Na jego brzuchu widniała straszliwa blizna w kształcie półksiężyca biegnąca do lewego biodra ku prawemu, wykrzywiając się nieco w kierunku podbrzusza. Sądząc po jej

głębokości i nierównych, poszarpanych brzegach, ten człowiek musiał przeżyć coś strasznego.

Guzmán, chcąc rozwiać zmieszanie swoich towarzyszy, którzy nie odważyli się na żadną uwagę, rzucił:

— Ładna pamiątka, co?

— Jakiś wypadek? — zapytał Chaves.

— Nie — odrzekł Guzmán nie tracąc humoru, w jakim znajdował się od paru chwil. — To przygoda miłosna.

— Ach tak, rozumiem — przytaknął Luppi. — Poznałem kiedyś jedną mężatkę z Banfield. A jej mąż...

— Nie — powiedział Guzmán. — Nie zrobił tego żaden mąż ani też kobieta. Chcę powiedzieć, że bohaterką mojej przygody nie była kobieta... przynajmniej w zwykłym znaczeniu tego słowa. Bliznę zawdzięczam pewnej Wenusjance.

— Ale przecież Dekret Centrum Kosmicznego zabrania...

— Kiedy ta historia się wydarzyła, nie istniały jeszcze żadne ustawy — wyjaśnił Guzmán. — W epoce pionierów wszystko było dozwolone. Mogę się nawet pochwalić, że mój przypadek spowodował powołanie Kongresu Centrum Kosmicznego, który w efekcie wydał ten słynny dekret.

— Ale te wenusjanki, przecież... — skrzywił się Luppi. — Widziałem zdjęcia i naprawdę...

— Co innego oglądać je na fotografii, a co innego być tam — powiedział w zamyśleniu Guzmán. — Kiedy wysłał pana na Wenus, wspomni pan moje słowa.

Chłopcy usadowili się na krzesłach nie odrywając wzroku od szramy na brzuchu weterana, jakby miała ona moc hipnotyczną.

— A czy można wiedzieć... jak to się stało? — nie wytrzymał Chaves.

— Nigdy tej historii nie opowiadałem, oczywiście poza sprawozdaniem dla Rady Kosmicznej — wyjaśnił Guzmán. — Ale skoro to było tak dawno, a czas podobno leczy wszystkie rany — uśmiechnął się — może i dobrze będzie sobie trochę powspominać. Zresztą, może się rozerwiemy: w tym upale tak trudno zasnąć.

Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat. W Służbie Astronautycznej pracowałem już prawie dwa lata i była to moja pierwsza wyprawa pozaziemska. Miałem objąć stanowisko kierownika zaopatrzenia w międzynarodowej bazie na Wenus. Komendantem był Francuz. D'Estaigne, a w skład personelu wchodził: trzech Anglicy, Rosjanin, Holender i japoński lekarz. Wszyscy zawodowi astronauty — nawet lekarz. Byłem jedynym członkiem cywilnej służby pomocniczej i pewnie dlatego traktowali mnie jak pracownika drugiej kategorii.

Tamci ustawicznie rozprawiali między sobą o programach badawczych, a do mnie zwracali się wyłącznie w sprawach żywienia. Poza poleceniem nic potrafili wydusić z siebie słowa więcej. I nie wiem, czy dlatego, że mieli wyrzuty sumienia, że mnie izolują, chociaż może i nie przesadzali z tym przeświadczeniem o doniosłości i znaczeniu swojej pracy i niby mojej ignorancji, w każdym razie zezwolili mi na zatrudnienie tubylki w charakterze pomocy w magazynie. Właśnie wtedy zaczęły się kłopoty. Ochrzciliśmy ją Yuyu, bowiem jedynym dźwiękiem, jaki wydawała, kiedy odchodziła do bardziej oddalonej części magazynu, było: „yui, yui”. Pozostali członkowie załogi poświęcali jej tyle samo uwagi, co mnie. Należała do „istot” stamtąd, dziwnych stworów, które w końcu badali biolodzy. Co do tych ostatnich, to już inna historia. Wenusjanie nie pozwalali na auskultacje. Zgodnie z rozporządzeniami Rady Kosmicznej, nie zezwalającymi na praktykowanie metod przymusu wobec istot pozaziemskich, nasi badacze musieli zadowolić się fotografiami, które



robili zniechęca i wymyślaniem nazw dla widocznych organów i kończyn. Ale jak wspomniałem, jest to zupełnie inna historia.

Yuyu była posłuszna, a nawet, mogłoby się wydawać, że uprzedzała każde moje życzenie. Muszę przyznać, że na początku i ja patrzyłem na nią raczej tylko powodowany ciekawością niż innymi uczuciami, choć w krótkim czasie nabrałem do niej sympatii. Mieliśmy bardzo dużo okazji przebywania sam na sam, ponieważ reszta grupy często opuszczała obóz i udawała się na ekspedycje. Tak więc mogłem całymi godzinami siedzieć i patrzeć, jak ona pracuje. Od kiedy przybyła do nas, moja praca ograniczała się do kontrolowania zawartości magazynu. Ona zajmowała się resztą.

Bezwiednie moja sympatia przekształcała się w coś więcej. Przyjemnie było patrzeć na nią, jak delikatnie, z eteryczną lekkością falowała na swoich piliscynach. Z jej ciała płynęły promienie zapachowe, które można tylko porównać z tchnieniem wenusjańskiej puszczy pod koniec pory deszczowej. Był to wilgotny opar, wydawałoby się — zmaterializowany — startych kwiatów, mający właściwości przylegania do przedmiotów, w tym również do mojego ciała. Czasem zatrzymywała się, utkwivszy we mnie cudowne leruły, a ja czytałem w nich tajemne miłosne przesłanie. A kiedy jej tworzące koronę syfie przeżyły się i drgały, w atmosferze czuło się zaraźliwe podniecenie.

Sądzę, że wiele czynników złożyło się na ówczesny stan mojej duszy i ciała. Młodość, długie miesiące bez widoku kobiety, tropikalny klimat, oszałamiający zapach kwiatów — a flora była tam szczególnie bogata... Na dodatek wystarczyło wyjrzeć przez okno, żeby zobaczyć pary Wenusjan swawolących na trawie. Raz nawet podglądałem taką parę. Była to niezwykle podniecająca scena, która rozpoczęła się od uwodzących gestów Wenusjanina. Po chwili oboje legli pod najbliższym drzewem sąsiadującego z łąką, otaczającą naszą bazę, lasu. Tego obrazu za nic nie mógłbym opisać: piękno i estetyka połączone z najbardziej ekstrawaganckim wyrafinowaniem erotycznym.

Nic wiem, czy Yuyu domyślała się, co się ze mną dzieje. Ale też zadaję sobie pytanie, czy nic był to spektakl zaaranżowany specjalnie dla mnie i czy jej przybycie do naszej bazy nic miało z góry określonego celu?

Rano komendant D'Estaigne rozkazał mi, żebym przygotował zapasy na wyprawę mającą trwać tydzień. Zostałem w bazie tylko z Holendrem, porucznikiem Dubrockiem.

Miała to być wyprawa dłuższa od zwykle programowanych. Na początku sądziłem, że skoro już zostaliśmy z Holendrem sami, ten okaże mi więcej serdeczności. Potem jednak okazało się, że przyszedł do mnie — przemawiał w żargonie, w jakim porozumiewaliśmy się w bazie — tylko po to, żeby mieć kompana do kieliszka.

Dałem znak Yuyu, która zaraz przyniosła butelkę dzinu. Wzniosłem z nim parę toastów, ale szybko wysiadłem. Holender wychylał szklanekę za szklanką, jakby to była woda, a ja już czułem pieczenie w żołądku. W końcu dałem za wygraną i poszedłem do magazynu. Dubrock nawet nie zauważył mojej nieobecności, całą swoją uwagę poświęcając butelce.

Możliwe, że alkohol też zrobił swoje. Yuyu stała przy półce i układała w stosy puszek z konserwami z ostatniego transportu. Patrzyłem na nią urzeczony, nieprzytomny z podniecenia. Tego dnia wydzielala zapach bardziej jeszcze intensywny. I te syfie, takie nabrzmiące, drżały i kołysały się w spazmatycznym rytmie. Yuyu jakby mnie nie dostrzegała, ale wszystko mówiło, że jej ciało odbiera nawet najslabsze pulsowanie mojej krwi.

Zbliżyłem się do niej wolnym krokiem i to jej nieprzerwane „yui, yui” stawało się dla mnie miłosną pieśnią uderzającą w najwyższe tony uniesień i płynącą ku niezmiernym gwiazdny

przestrzeniom.

I wtedy po raz pierwszy dotknąłem jej ciała. Przedtem unikaliśmy wszelkich zbliżeń, nawet kiedy podawaliśmy sobie różne przedmioty, a przynajmniej ja starałem się jej nie dotykać, jakby przeczuwając, że wystarczy jedna iskra, żeby wybuchł pożar.

A teraz moja dłoń pewnie pochwyciła tę cudowną lerułę, przesunęła się w niecierpliwej pieśzczocie po całej jej długości. Miała delikatność aksamitu, płatek kwiatu. I oto koniuszki asgurów musnęły moją skórę, obdarzając mnie niewysłowioną rozkoszą.

Ugięły się pod nią pliscyny i przestała pracować. Pomarańczowe żyłki na jej ciele pociemniały, nabierając niemal purpurowej barwy. Rygry powiększały się i rozciągnęły zamykający je pierścień, którego brzegi spuchły jeszcze bardziej, i wtedy z głębi jej istoty wypłynęło rozkoszne mruczenie, jakże inne od codziennego znanego mi „yui, yui”, które zawsze takie robiło na mnie wrażenie. Była to symfonia zmysłowych woni. „Sofa’n, sofa’n”, wydawała się szeptać rygra; tak, że oboje padliśmy na ziemię nieprzytomni.

Była to apoteoza wszelkich doznań. Przy niej byłem jak niedoświadczony szczeniak. Yuyu wprowadzała mnie powoli w przemyślnym upojeniu w tajniki galaktycznej namiętności. Jej dulimary usnuły sieć i zarzuciły ją na mnie, po czym jednym ruchem zerwały mi ubranie. Teraz byłem już najbliżej jej ciała. Pliscyny rozpełzły się po mojej skórze pieszcząc mięsień po mięśniu i czyniąc ze mnie zieloną masę, zdolną tylko odbierać rozkosz, rozkosz, rozkosz!

Naprężone syfie wyprostowały się, jakby miały złamać się lada chwila, ale kiedy je pogłaskałem, poddały się ulegle mojej dłoni. Wokół jej leruły pokazała się barwna obrączka, której nigdy tam jeszcze nic widziałem, a teraz lśniła i migotała w pulsującym rytmie.

To co się stało potem, było cudowne i straszne zarazem. Z jej genofiów, och, ileż ich było, cudowne, cudowne, wytrysnęła chmura mestenu i pokryła nas oboje. Dulimary ścisnęły mnie z całej siły i ów szept „sofa’n, sofa’n” przemienił się w „yaspe, yaspe” jak w paroksyzmie i była to apoteoza pieśzczoty. Było mi jak w niebie, kiedy nagle zwinąłem się przeszyty bólem, jakby w moje ciało, przemienione teraz w żywą ranę, ktoś upuścił kroplę żrącego kwasu.

Straciłem przytomność.

Weteran przerwał opowiadanie i pograżył się w zadumie. Zarówno on jak i jego dwaj towarzysze złani byli potem, ale podczas gdy Guzmán mówił, zapomnieli o piekielnym upale panującym w pokoju. Tak jak im oznajmił, termometr nic wskazywał więcej niż czterdzieści pięć stopni.

Luppi, patrząc na stróżki wilgoci spływające po policzkach weterana, zadał sobie pytanie, czy to rzeczywiście pot, czy może łzy? Guzmán stał się w jego oczach innym człowiekiem. Widział w nim bohatera otoczonego nimbem romantyzmu i poezji. A ile jeszcze ukrywał wrażeń i doznań nie znanych innym ludziom? Jasne, że mimo tylu lat, jakie upłynęły od ekspedycji na Wenus, tamto przeżycie musiało zostawić w nim ślad, pewnie tak głęboki i trudny do wymazania, jak ta okropna blizna.

— Czy Yuyu pana zraniła? — nie wytrzymał Chaves. — Chciałem zapytać, czy to było powodem powstania rany? Od tego ta blizna?

Guzmán patrzył na niego zdziwiony, jakby zapomniał, że mówił w obecności towarzyszy. Potoczył wzrokiem po sypialni, ledwo oświetlonej słabą lampką, i pokręcił głową.

— Nic. Yuyii mnie nie zraniła. Przynajmniej nie bezpośrednio. Ale ból był straszny. Kiedy odzyskałem świadomość, leżałem na mojej pryczy, a porucznik Dubrock wlewał we mnie dżin. Znał tylko to jedno lekarstwo, nieborak. Wyczytywałem w jego oczach, że bardzo się o mnie niepokoi i

bynajmniej nie jest uszczęśliwiony, że to się zdarzyło, kiedy zostaliśmy sami. Byłem jeszcze oszołomiony. Ten rozdzierający ból trochę zelżał, ale ręce i nogi wciąż miałem odrętwiałe. Podczas oddychania czułem lekkie klucie w płucach i brzuchu. Wyglądałem jednak na zdrowego. Później się dowiedziałem, że przeleżałem bez przytomności dwadzieścia cztery godziny. Na szczęście ekspedycja zjawiała się następnego dnia. Komendant D'Estaigne złamał nogę i wszyscy musieli wrócić przed terminem. Wypadek D'Estaigne'a był między innymi powodem, że nie zawracano sobie mną głowy. Zresztą wyglądałem na zupełnie zdrowego. Japończyk zaraz po pierwszym badaniu uznał, że jestem zdolny do pełnienia służby.

— A co z Yuyu? — zapytał Chaves.

— Yuyu zniknęła, ale to również ich nie zaniepokoiło. Tubylcy nie mieli obowiązku oddawania nam usług. Na wszelki wypadek kryłem się z moimi uczuciami, choć prawdę mówiąc nic było mi najlepiej. Jak już mówiłem, należałem do służby cywilnej, więc nic mogłem opuszczać bazy, dlatego nawet nie miałem możliwości odszukania jej.

Guzmán przerwał i przesunął wierzchem dłoni po policzku, żeby go osuszyć. W tym momencie dało się słyszeć odległe mruczenie. Wszyscy nadstawili uszu.

— Sprzęt klimatyzacyjny! Działa! — zawołał Luppi. — Szybko się ochłodzi! — Popatrzył na zegarek. — Akurat mamy tyle czasu, żeby przespać się trochę przed następną zmianą.

— Ta blizna... — przerwał Chaves — skąd się wzięła rana, skoro pan mówi, że po oprzytomnieniu nie znalazł pan nic na skórze?

— A no tak. Muszę jeszcze i o tym — mruknął do siebie Guzmán.

— To się stało dwa miesiące później, kiedy wróciłem razem z ekspedycją na Ziemię. Internowali nas w Centrum Medycznym, żeby poddać badaniom. Zacząłem czuć bóle brzucha i zrobili mi prześwietlenie. Znaleźli jakiś cień i któryś z lekarzy stwierdził rozwój cysty. Długo jeszcze trwały dyskusje, czy to rzeczywiście cysta, gdy brzuch zaczął mi się powiększać niebezpiecznie szybko. Wreszcie musieli poddać mnie natychmiastowej operacji.

— I co to było w końcu?

— Kapsuła amniotyczna. Wewnątrz znajdował się malutki Wenusjanin. I właśnie dzięki temu biolodzy mogli odkryć, że mieszkańcy Wenus rozmnażają się inaczej niż my... To ojcowie stają się brzemienni i wydają na świat dzieci.

Bernard Goorden  
*Nouveau Monde, mondes nouveaux*

# Nowy świat, nowe światy

Literatura science fiction w Ameryce Łacińskiej nie jest zbyt obfita, ponadto najczęściej pojawia się w formie opowiadań, co zresztą jest cechą charakterystyczną wypowiedzi pisarzy latynoamerykańskich i w pełni zasługuje na zaprezentowanie i szersze omówienie.

Utwory, które pochodzą od pisarzy formujących obecnie „szkołę argentyńską SF”, gdyż taka niewątpliwie istnieje, miały w dość odległej przeszłości swoje wzory prekursorskie, choć należy zaznaczyć, że wcześniejsi autorzy posługiwali się konwencją fantastyczno–naukową w zasadzie nieświadomie. Powieść E.L. Holmberga *Viaje maiwillose del señor Nic Nac* (1875) z górami sprzed wieku, stawiająca pierwsze kroki na terenie latynoamerykańskiej fantastyki naukowej, już wtedy wprowadziła typowe wątki spirytualistyczne i stworzyła pozaziemskie zamieszkałe światy. Natomiast w r. 1879 ten sam autor odkrył dla swojej powieści *Horach Kalibang o los Autómatas...* roboty. Trzeba może przypomnieć, że Ciberniusz jeszcze się nie urodził. Do pojawienia się następnych utworów SF upłynęło parę lat: w roku 1906 Leopoldo Lugones wydał *Fuerzas extrañas*, która zresztą utonęła w rozbuchanej prozie fantastycznej, jaka niedługo zapłodniła rzeszę pisarzy argentyńskich, nie wyłączając samego J.L. Borgesa. Następnie Urugwajczyk (którego Argentyńczycy uważają za swojego najlepszego pisarza) Horacio Quiroga (który wielokrotnie podejmował w swojej twórczości tematykę polskich osadników w prowincji Misiones — dygr. tłum.) wybił się na polu SF jako autor długiej noweli *El hombre artificial* (1910) wykorzystując wątek Frankensteinia, którą ogłosił pod pseudonimem S. Frago Lima. Opowiadania fantastyczno–naukowe umieścił w wielu tomach swoich zbiorów opowiadań, wcześniejszych od wydanych w r. 1935 *El más allá*.

Okres między dwiema wojnami obfituje w twórczość Roberta Arlta, pisarza równie płodnego jak Horacio Quiroga, w której spotykają się SF, fantastyka i psychologia zarówno w formie powieściowej, jak i nowelistycznej oraz dramatycznej. *Viaje terrible*, dłuższe opowiadanie, wydane w roku 1941, należy do najwybitniejszych jego osiągnięć literackich — na nim też kończy się prehistoria latynoamerykańskiej *ciencia ficción*.

Jedną z nielicznych powieści SF latynoamerykańskiej, jaka obiegała świat, jest *Wynalazek Morela* (*La invención de Morel*, 1940) Adolfa Bioy Casaresa, który w przeciwieństwie do Jorge Luisa Borgesa — swojego wielkiego przyjaciela — nie ma w pogardzie gatunku SF i chętnie nawiązuje do jej konwencji, na przykład w *Planie ucieczki* (*Plan de evasión*). W *Wynalazku Morela*, bohater, uciekinier znajdujący schronienie na bezludnej wyspie, nieoczekiwanie czuje się otoczony przez istoty, które nie widzą go i, jak się wydaje, nie słyszą. Wśród nich znajduje się kobieta w której się zakochuje i wybiera „nieśmiertelność”. Jak się okazuje, uciekinier jest świadkiem li tylko eksperymentu profesora Morela, który przy pomocy maszyny działającej pod wpływem energii wytwarzanej przez ruchy wód morza, stwarza fantomatyczny nieistniejący świat. Ta niezwykła wizja Casaresa zapowiada nadejście złotego wieku w latynoamerykańskiej literaturze SF, który niewątpliwie rozpoczyna rok 1960.

Czasopismo argentyńskie „Más allá”, wychodzące w latach 1953–57, razem 48 numerów, stworzyło autorom fikcji naukowej możliwości także finansowe. Opublikowało powieść i wicie opowiadań. Między innymi wybiły się takie talenty jak: Héctor Oesterheld i Pablo Capanna — obaj zresztą umilkli w szczytowym okresie rozwoju swojej twórczości, co oznaczało — przede wszystkim — nadejście nowego.

Należy podkreślić działalność psychoanalityczki argentyńskiej, autorki studium *Fantasías eternas a la luz del psicoanálisis*, opublikowanego w 1957 roku. Po raz pierwszy literaturę SF bada się tu z punktu widzenia psychoanalizy, a szczególnie typ „homo gestantelsis” występujący głównie u Theodore Sturgeona. Dzięki Marie LangEr literatura fantastyczno–naukowa zdobywa sobie prawo obywatelstwa na uniwersytecie. Jej opowiadanie *Zamiana* jest żartem z psychoanalizy, a równocześnie autorka–naukowiec przejawia troskę o zdrowie psychiczne społeczeństwa cywilizacji przyszłości.

Bohaterką jest lekarka psychoanalityczka, wychowana w społeczeństwie zaadaptowanym, to znaczy pozbawionym zdolności odczuwania. Postanawia ona dotrzeć do źródeł wszelkich ludzkich uczuć — w wyniku odważnego eksperymentu z pacjentką jeszcze „dziką”, dostaje się do jej macicy. Końcowa wypowiedź Selmy:

„I wtedy sobie przysięgam, że tym razem Alina, gdy ponownie przyjdzie na świat, będzie miała matkę, która uczyni ją naprawdę szczęśliwą”.

Pozwala się nam domyślać, że lekarka będzie miała zapewnione wychowanie uczuciowe. W tak niezwykły sposób Marie Langer wykorzystwała eksploatowany często motyw „zamiany”, gdzie lekarz psychiatra ulega sugestii pacjenta.

Nic można pominąć z tego okresu również argentyńskiego autora, Juana Bajarlię, który literaturę SF wprowadził do teatru, osiągając przy tym ogromny sukces. Jego sztuka *Los robots* (1955) uzyskiwała szczególnie uprzywilejowane miejsce.

Pierwszym wielkim klasykiem złotej epoki w literaturze fantastyczno–naukowej, trwającej od r. 1959 do 1973, jest niewątpliwie chilijski pisarz Hugo Corra. Można uważać, że jego nowela *Ktoś żyje w tym wichrze* (*Alguien mora en el viento*) i powieść *Los altísimos* zainicjowały ową eksplozję talentów. Napisana w 1961 roku *El que merodea en la lluvia* zdobyła mu sławę światową dzięki ekranizacji w Stanach Zjednoczonych. Autorem scenariusza był Ray Bradbury, przyjaciel pisarza. Krótkie opowiadanie *Meccano* przestrzega burzycieli ładu i porządku oraz każe wierzyć, że żadna zbrodnia nie ujmie „karzącej ręki sprawiedliwości”, jaką symbolizuje w przedstawionej relacji tytułowy bohater.

Na początku lat sześćdziesiątych eksplodowały talenty literatury SF w Brazylii. Prekursorem złotej epoki był Jerónimo Monteiro, autor *3 meses no século 81* (1947), *A cidade pendula* (1950). W latach boomu wydał *Fuga para parte alguma*, *Os visitantes do espaço* (1965) i *Tangentes da realidade* (1966), które pomyślane były jako pastisze na anglosaską literaturę fantastyczno–naukową i odznaczały się doskonałą satyrą i dowcipem. Powstało wówczas wiele słynnych antologii, najważniejsze z nich to:

Antologia *brasileira de ficção científica*, *História do acontecera* (1961) oraz *Além do tempo e do espaço* (1965).

Najbardziej wybijającym się autorem był André Carneiro, którego utwory charakteryzują się subtelnym dowcipem i ironią, szczególnie w tomach opowiadań *Diam da nave penlada*, *O homem que adivinhava*. *Ciemności* znalazły się w światowej antologii najlepszych opowiadań roku 1962

oraz doczekały ekranizacji — autorem scenariusza był amerykański pisarz Leo Barrow. Autor przedstawia świat, który znalazł się w obliczu tajemniczej klęski, i zachowania człowieka w walce o przetrwanie. Jest w nich wzruszająca solidarność wyrażająca się w działaniach głównego bohatera oraz ślepców, którzy ratują zagubionych w mieście a właściwy ludzkiej naturze egoizm:

„Anonimowe krzyki i błagania, dobiegające z ciemności, były tylko informacją, że tam, skąd one pochodzą, znajduje się przeszkoda, którą należy ominąć z daleka. Ludzie niosący jedzenie, cofali się przed ludźmi zebrzącymi o kawałek chleba, który może pozwoliłby im przeżyć. Wiatr niezmiennie niósł rozpaczliwe wołania, a dziwni rozbitkowie, wiedzeni przez ślepych sterników, nic przerywali swojej okrutnej ucieczki”.

Zanim pałeczka wróci w ręce Argentyńczyków, znajdzie się przez jakiś czas w Chile: Antoine Montagne w r. 1963 napisał powieść *Los superhomos* — a następnie powędruje do Meksyku, gdzie Alejandro Jodorowski (znany filmowiec) opublikuje swoje słynne *Cuentos Pánicos*.

Wreszcie możemy mówić o szkole argentyńskiej: pojawiło się wielu utalentowanych pisarzy i dużo antologii. Najważniejsze z nich: *Eucación fantástica* (1966), w której do głosu dochodzą psychoanalitycy z jakże oryginalnym pomysłem realizowania swoich teorii w fantastyce naukowej, pomysłem dostarczającym (samym autorom także) przedniej rozrywki; dwie następne, *Memorias del futuro* i *Adiós al mariana* (1967) to owoc współpracy Eduarda Goligorsky’ego i Alberta Vanasco. *Wenusjańska miłość* Goligorskiego podejmuje wątek „kontaktowy” — spotkanie Ziemiańszczyzny z przedstawicielką „obcych”. Jak można opisać akt seksualny człowieka z nieziemską istotą? Goligorsky okazał się tu mistrzem. Użył mianowicie, aby opisać piękność Wenusjanki, wymyślonych przez siebie analogizmów, sugerując, iż są one owocem ciężkiej pracy naukowców.

Natomiast *Śmierć poety* Alberta Vanasco ukazuje świat, w którym życie ludzkie, nauka i literatura znajdują się pod kontrolą komputerów. Zabrania się w dziedzinie literatury wszelkiej wtórności, komputer uznaje jedynie oryginalność, nic się nie może powtarzać: obrazy, metafory, wizje, zdania. Po wielu latach prób i wyrzeczeń pewien poeta wreszcie zdobywa sobie prawo publikacji — jego dzieło dostąpiło zaszczytu „winkrustowania w pamięć głównego komputera”, dzięki jednemu jedynemu zdaniu, które dotąd nic zostało wydane: „Sepia to kiść rozwścieczonego w kopalni metanu”. Owa linijka jest dorobkiem całego życia poety, dzięki niej dostąpił zaszczytu bycia literatem, zresztą na skutek dalszych perturbacji ląduje owa twórczość poety w „pierwszym napotkanym pochłaniaczu”.

W roku 1967 Angélica Gorodischer wydaje *Opus dos*, powieść antyrasistowską w konwencji political fiction, w tym samym roku ukazuje się opowiadanie Alfreda Julia *Grassi Y las estrellas caerán*, a także psychoanalityk Emilio Rodrigue ogłasza drukiem zbiór opowiadań *Plenipotencia*. W tytułowym opowiadaniu *Plenipotencia* pewne wydarzenie podane jest w wielu wersjach. Podobnie jak w *Zamianie* Marie Langer, został wykorzystany wątek „Przejmowania osobowości”, który ma spełnić podświadome pragnienie psychiatry:

„Zawsze chciałem przeżyć coś tak niezwykłego, znaleźć się w kręgu magii, wbrew wszelkim oczywistościom i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Właśnie to było moim pragnieniem. Dotknąć czystej halucynacji, podać jej rękę i pozwolić prowadzić się w delirium i zawsze w czarnym rytuale rzucić w ogień męczącą księgę logiki”.

Do psychiatry przychodzi pacjentka po poradę — sprawa jest niebagatelna: Estrela Sanchez posiada moc tworzenia nowych. Właśnie za kilka minut uwidoczni się efekt wybuchu Alfya Centauri, który spowodowała cztery lata wcześniej. Psychiatra oczywiście nic wierzy, niemniej, w czasie

kiedy zapukała do drzwi jego gabinetu, w całym mieście zgasło światło, a podczas rozmowy konsultorium zalewa biały oślepiający blask ognia. Psychiatra nie potrafi wyjaśnić tego zjawiska i na dodatek, kiedy słyszy, że pacjentka może również spowodować wybuch Słońca, które jest jego słabością, „skarbem”, wyciąga rewolwer i zabijają. Ale ta wersja nie zadowala autora: w następnej psychiatra poddaje się woli twórczyni nowych, która na jego pytanie, czego żąda odpowiada: „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. W trzeciej wersji pacjentka płacze i mówi, że nic wie, jak spowodowała ową jasność. Lekarz każe jej położyć się na kanapie i leczy metodą psychoanalizy. W ostatniej oboje ogarnia strach i psychiatra obiecuje, że...

„Tak, wiem, że pani potrzebuje pomocy. Estrello, uczynię wszystko, aby nam pomóc”.

W roku 1967 pojawia się antologia *Cuentos argentions de ciencia ficción*, w 1968 *Los argentions en la luna* i *Ciencia ficción: nuevos cuentos argentions*. Juan Jacobo Bajarlia wydaje *Fórmula del Antinnindo* (1970), *El dia cero* (1972), *Histotias de monstruos* (1969), które łączą w sobie zarówno konwencję gatunku fantastyki naukowej, jak i fantasy. Pablo Capanna natomiast daje się poznać jako autor esejów *El sentido de la SF* (1966), a Eduardo Goligorsky i Marie Langer opracowują wspólnie *Ciencia ficción: Kalidad y psicoanalisis*, badając zjawisko literatury fantastyczno—naukowej z punktu widzenia psychologicznego i socjologicznego. Pojawiają się również utwory Magdaleny A. Moujan Otano pisane z zacięciem socjopolitycznym i pełne humoru. *Gu tagutatrak* jest satyrą na nacjonalizmy i szowinizmy w każdym wydaniu. Autorka wybrała Kraj Basków, zresztą nie tylko symbolicznie, ponieważ trafnie ukazała właściwości ducha i charakteru tego narodu. Ponadto *Gu ta gutarak* naśladuje język mówiących po hiszpańsku Basków (stąd w przekładzie konieczność wprowadzenia błędów gramatycznych np.: „On chce być fizyk”, Podkr.: Z.S.). Wykorzystała też dość już zużyty rekwizyt, jakim jest machina czasu, zresztą w opowiadaniu faktycznie pełniący funkcję rekwizytu, bowiem przenoszenie się w przeszłość bohaterowie zawdzięczają „zwyczajnej” bajkowej czapce (w tłumaczeniu ze względu na nastrój utworu bardziej została ona wyeksponowana — podkr.: Z.S.).

„Xaviertxo podniósł czapkę, wsunął ją na tył głowy i przycisnął czerwony guzik. Ruszyliśmy. Po drodze wyrzucił czapkę, bo go uwierała — pewnie zostało w niej ziarno bobu. Stanęliśmy. (...) Xaviertxo nacisnął guzik, ale nasza maszyna, nasza PIMPILIM-PAUSA ani drgnęła. Przestała funkcjonować — stara już była”.

Obok Buenos Aires, które w owym okresie było stolicą latynoamerykańskiej SF, w Rosario powstaje nowy, szybko rozwijający się ośrodek twórców fantastyki naukowej, który swoje istnienie zawdzięcza działalności przedsiębiorczej i prężnej rodziny Gandolfo (pisarze, edytorzy, autorzy antologii, krytycy). Ich to dziełem jest specjalistyczne pismo: „El lagrimal trifurca”. *Krowie miasto* Elvia Gandolfo jest ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem piekła, jakie sami mogą sobie stworzyć ludzie, pozbawieni dążeń do wyższych celów, ludzie, którzy przyjęli konsumpcyjny model życia.

W tym samym Rosario tworzy Angálica Gorodischer, autorka *Bajo las jubeas en Por* (1973) *Casta luna electrónica* (1978) i *Trafalgar* (1978). W *Jeszcze o żeglarzach* wspaniała pisarka z Rosario wysyła swojego bohatera do „świata symetrycznego”, w czasy Kolumba. Oczywiście Trafalgar Mcdrano, romantyczny kupiec—poeta, dysponujący wspaniałą machiną kosmiczną, nie daruje sobie, aby przy sposobności nie zmienić biegu historii w owym świecie, co daje autorce okazję do uczynienia paru aluzji pod adresem północnego sąsiada kontynentu Latynosów:

„Był to najważniejszy moment, żeby zniknąć: Kolumbowi nie groziła śmierć w nędzy i opuszczeniu, wprost przeciwnie, chodził okryty sławą i złotem. Nikt nic musiał zabijać, ani dawać



się zabijać, w poszukiwaniu Eldorado, na dodatek kiedyś cała Ameryka będzie mówiła po hiszpańsku. (...) Miałem jeszcze zamiar wypuścić się do Australii, żeby zobaczyć, co dałoby się zrobić dla tamtego kontynentu. (...) Powiedziałem ich światu: „Bye, bye, czekajcie na mnie o'clock of tea, ciao, ciao bambina i dałem nogę”. Jeszcze tylko miałem kłopot z Yáñezem: za wszelką cenę chciał ze mną do tej Australii, ale na szczęście miał właśnie objąć urząd gubernatora Nowego Świata, więc wytłumaczyłem mu, że jego stanowisko jest teraz ważniejsze od wszystkich ekspedycji. (...) — W drodze powrotnej miałem dość czasu na rozmyślanie. (...) Mam nadzieję, że (...) Yáñez został wicekrólem Ameryki Północnej i pewnego dnia... no, wiesz, co mam na myśli”.

Również Angélica Gorodischer zapłodniła swoją twórczością Normę Vitti i Gerarda D. Lopeza. Całą trójkę, i wielu innych pisarzy argentyńskich i latynoamerykańskich, dało poznać cztelnikom hiszpańskim specjalistyczne, działające od bardzo wielu lat, pismo „Nueva Dimensión”. Wydawcy hiszpańscy szybko dostrzegli pokrewieństwo obu literatur gatunku SF, a sukcesy szkoły argentyńskiej mogły wyleczyć twórców „podgatunku”, za jaki uważana jest fantastyka naukowa, z kompleksów i przekonać intelektualistów o niewątpliwych walorach literackich powstałych dzieł. Tak więc dwie książki Chilijczyka *Los títeres* (1969) i *Cuando Pilato se opuso* (1971) mogą konkurować z powieściami jego rodaka Antoine Montagne *Acá del tiempo* (1968) i z *No morir* (1911). Kolumbijczyk Jaime Loperra, autor *La perorata* (1967), wydaje się nie mieć braci po piórze. Dość prężna i płodna jest science-fiction kubańska. W r. 1964 Angel Arango wydaje *Adónde van los cefalomos?*; w 1966 *El planeta negro* i w 1968 *Robotomáquina*. Kosmonauta Ángela Arango jest lekko zabarwiony ironią i zarazem troską o losy istot myślących, należących do odmiennych ras i kultur, które nie potrafią się porozumieć i tolerować wzajemnie. Na Kubie została wydana antologia *Cuentos cubanos de lo fantástico y actmonlinario*, w której zamieszczono opowiadania dwudziestu pisarzy. Ponadto istnieje od paru lat konkurs „David”, który ma za zadanie wychwytywać młode talenty, co dzieje się z powodzeniem. W Meksyku wybijają się: Maria Elvira Bermudez, pisząca opowiadania, Agustín Cortés Gawiño, autor *Hacia el infinito* (1968), René Rebetce (*La nueva prehistoria y otros cuentos* 1968) Menen Desleal (*La ilustre familia androide*) i Tomas Mojarero (*Trasterra, una novela*). W Peru działa José B. Adolph, autor powieści *Manana las ratas* (1978) przedstawiającej Limę roku 2034; w 1968–1975 opublikował wiele książek. Jego opowiadanie *Wytrwałość* swoim zakończeniem zaskoczy każdego czytelnika. W Urugwaju działają tacy pisarze jak: Felix Obes Flcurquin, Carlos Casacuberta, Carlos Maria Federici oraz Mario Levrero. *Związek Maeterlincka* Federiciego odkrywa przed czytelnikiem niezwykłą hipotezę bohatera opowiadania, naukowca, dotyczącą mutacji gatunku ludzkiego po katastrofie nuklearnej, a zarazem jest wyzwaniem rzuconym, z przymrużeniem oka, amerykańskiej literaturze SF:

„A potem myślał o czasach, nie tak odległych, w których bohaterowie i poszukiwacze przygód obowiązkowo musieli wykazać się obywatelstwem amerykańskim...”

Natomiast Mario Levrero, autor *La maquina de pensar en Gladys* (1966), *Aguas salobres* (1973) wprowadza w dziwny labirynt ekologiczny — reprodukcja jest tu wynikiem symbiozy roślin, owadów i ludzi:

„Płynął czas i rodziła się we mnie świadomość słońca, powietrza, barw i tego wszystkiego, co kochałem. Ziarna, wiele ziaren, pociło na żyzną ziemię i zakiełkowało, tworząc nowe formy mojego istnienia. Wszędzie. W lesie, w polu, na wyspie; w piasku, w ziemi, za rzeką; dalej i jeszcze dalej, głębiej i jeszcze głębiej, wyżej i jeszcze wyżej. I w innym wymiarze. Zapomnę o tej kamiennej głowie zakopanej na plaży, bowiem oto rodzę się słodko i radośnie, aby rozpocząć prawdziwe

życie”.

W Wenezueli na szczególną uwagę zasługują dwaj pisarze: Pedro Berreoeeta, autor powieści *La Salamandra* (1977) oraz Luis Britto Garcia, który za *La rajatabla (Prosto w twarz)* otrzymał nagrodę „Casa de las Americas” w r. 1970 oraz za *Abrapalabra* (1977) również tego samego, kubańskiego, pisma w r. 1979. Utwory Britto Garcii można zaliczyć do konwencji political fietion, pisanych w stylu poetyckim i zabarwionych dużą dozą humoru. W Ameryce łacińskiej działają też wydawcy i twórcy antologii. W Urugwaju Marcial Souto powołał „La revista de ciencia ficción y fantasia”, „Entopia”, „Pendulo”. W Argentynie Jorge A. Sanchez wydał antologię *El cuento de la ciencia ficción del siglo XIX* oraz *Los universos vislumbrados*. Rudolfo Alonso opublikował *Primem antologia de la ciencia ficción latinoamericana*. Przedstawione w niniejszym opracowaniu tytuły powieści i opowiadań to owoce złotego wieku literatury fantastyczno–naukowej w Ameryce Łacińskiej; literatury, która mocno podkreśla związek człowieka ze światem, a dzięki swojemu humanizmowi oraz walorom literackim zyskuje sobie prawo obywatelstwa nie tylko w dziedzinie SF.

## Noty o autorach

### José B. Adolph

Urodził się w r. 1933 w Stutgarcie. Rodzice opuścili Niemcy w r. 1938 uciekając przed represjami narodowego socjalizmu i schronili się w Limie w Peru, gdzie Jose B. Adolph znalazł sobie nową ojczyznę. Aktualnie pracuje jako dziennikarz w limańskiej „La crónica”. Jego artykuły charakteryzują się ostrą ironią i prowokatorskim, acz rzeczowym stylem. Jako pisarz powieści fantastyczno–naukowych pozostaje w pewnego rodzaju izolacji w swojej drugiej ojczyźnie. W prozie wielokrotnie łączy SF z typową fantazy. Spośród najważniejszych i najbardziej znanych utworów należy wymienić zbiory opowiadań: *El relomo de Aladino* (1968), *Hasta que la muerte* (1971), *Invisible para las fieras* (1972), *Cuentos del relojero abominable* (1974) — z tego tomu pochodzi opowiadanie *Persistencia* (*Wytrwałość*); *Mariana de las ratas* (1975). Druga powieść jest obrazem Trzeciego Świata, a w szczególności Limy w roku 2034.

### Ángel Arango

Urodził się w Hawanie w 1926 roku, jest doktorem prawa cywilnego, był szlifierzem diamentów, pracuje w lotnictwie. Żył wiele lat w Stanach Zjednoczonych, poznał Hiszpanię, Meksyk, Brazylię, Puerto Rico, Kanadę. Od kilku lat jest jurorem konkursów „David”, które odkrywają nowe talenty pisarskie z dziedziny literatury fantastyczno–naukowej. Jego najważniejsze utwory: *Adóde van los cefalomos?* (1964), *El planeta negro Robotomaquia* (1968). Opowiadanie *Cosmonauta* (*Kosmonauta*) pojawiło się po raz pierwszy w hiszpańskim czasopiśmie „Nueva dimensión”.

### Luis Britto García

Urodził się w Caracas w Wenezueli w r. 1940. Studiował w Universidad Central, w r. 1962 skończył studia prawnicze. Jest profesorem nauk społecznych i autorem wielu prac naukowych. W r. 1970 otrzymał za tłumaczoną także w Polsce *La rajatabla* (*Prosto w twarz*, Wydawnictwo Literackie Kraków, 1976, przekład Anny Grodzickiej) nagrodę „Casa de las Americas” (czasopismo literacko–społeczne wychodzące na Kubie). Z tego tomu pochodzi utwór *Futuro* (*Przyszłość*). Dalszą częścią *Prosto w twarz* jest wydana w roku 1978 *Abrapalabra*, która bardziej niż poprzednia należy do gatunku science fiction.

## André Canreiro

Jest znanym w Brazylii krytykiem literatury fantastyczno–naukowej i płodnym pisarzem. Najważniejsze jego utwory to zbiory opowiadań: *Diano da nave perdida* (1963) skąd pochodzi prezentowana nowela *A escuriaão (Ciemności)*; *O homen que adivinhava* (1967) oraz powieść *Piscina livre* (1975). André Canreiro jest także autorem znanych antologii: *Ilistórias do acontecerá* (1961) *Alan do tempo e do espaço* (1965). Spośród prac krytycznych należy wymienić *Introducãno ao estúdio da science–fiction* (1968). Nowela *Ciemności* posłużyła amerykańskiemu pisarzowi Leo Barrowowi do napisania scenariusza filmowego, a także została włączona do światowej antologii najlepszych opowiadań roku 1962 oraz była tłumaczona na kilka języków, m.in.: hiszpański, angielski, szwedzki.

## Hugo Correa

Urodził się w 1926 roku w Currepto w Chile, aktualnie mieszka w Santiago i pracuje w Departamencie Rady Narodowej Rozwoju Kraju oraz stale współpracuje z główną gazetą w Chile „Ercilla”. W roku 1969 otrzymał nagrodę „Alerce” za nowelę *Alguien mora en el viento (Kłós żyje w tym wichrze*, tłumaczenie polskie Marii Nowakowskiej ukazało się w „Fantastyce” w r. 1983). Jest autorem powieści *Los altisimos* (1959) *El que merodea en la lluvia* (1961) *Ojos del diablo* (1972) oraz zbiorów opowiadań: *Los titeres* i *Cuando Pilato se opuso*, skąd pochodzi *Meccano*. Wymienione utwory bardziej przynależą do fantasy, niemniej zawierają elementy typowe dla science–fiction. W r. 1981 ukazała się w Hiszpanii ostatnia powieść Hugo Correi *El nido de las furias*, która należy do gatunku fikcji politycznej — w wydaniu chilijskiego autora zawiera tematy i problemy o dużej aktualności. W roku 1961 Ray Bradbury opublikował wiele jego opowiadań w ważnych czasopismach SF amerykańskich, między innymi w „The Magazine of Fantasy and Science Fiction” i w „International Science Fiction”. Natomiast opowiadanie *Alter ego* zostało wybrane do słynnej amerykańskiej antologii powszechnej *Inrtoductory Through Science Fiction* (1974).

## Carlos Maria Federici

Urodził się w Montevideo w Urugwaju w 1941 roku. Utalentowany rysownik i ilustrator, jest przede wszystkim autorem literatury kryminalnej i ma na swoim koncie ogromną ilość opowiadań i ciekawych powieści, z których najbardziej znanymi są: *La orilla roja* (1972) *Mi trabajo es crimen* (1974) oraz *Dos caras para un crimen* (1975) i tom opowiadań *Transplante del cerebro* (1978) skąd pochodzi *Związek Maeterlincka*, Hiszpańskie specjalistyczne czasopismo „Nueva dimensión” odkryła w Carlosie Federicim wspaniałego twórcę literatury science–fiction. Po tym fakcie Urugwajczyk regularnie współpracuje z pismami zajmującymi się literaturą fantastyczno–naukową,

dostarczając im interesujących opowiadań.

## Elvio E. Gandolfo

Urodził się w Rosario w Argentynie w 1947 roku. Skończył szkołę handlową i rozpoczął pracę w jednej z argentyńskich drukarni. Razem z ojcem kierował pismem „El lagrimal trifurca”, które drukowało m.in. utwory Angeliki Gorodischer i Maria Levrero. Od roku 1970 mieszka w Montevideo, gdzie pisze artykuły krytyczne, które zamieszcza w urugwajskich i argentyńskich czasopiśmie, tłumaczy (takich autorów jak: Bester, Dick, Bayley, C.S. Lewis) oraz ostatnio zajmuje się twórczością fantastyczno–nukową. Pierwsza jego książka wyszła w „Centro Editor de America Latina” pod tytułem *La reina de las nieres* (opowiadania) w roku 1982. *Manuscrito de Juan Abal* (*Manuskrypt Juana Abala*) pochodzi z argentyńskiej antologii *Los unhersos vislumrados* (1978).

## Eduardo Goligorsky

Pisarz, którego nazwisko brzmi dla nas tak swojsko, urodził się w Argentynie w Buenos Aires w 1931 roku; obecnie mieszka w Hiszpanii, gdzie pracuje jako dziennikarz i tłumacz. Jest twórcą niezwykle płodnym: swoją działalność rozpoczął jako tłumacz najlepszych powieści amerykańskich z dziedziny literatury kryminalnej tzw. „czarnej serii” i równocześnie zajmował się tworzeniem nielicznych ich ilości, podpisując się pseudonimem James Alister. Pierwszą z długiego ciągu powieści była *Horo a mis muertos*. Pod pseudonimem wydał też tom opowiadań fantastycznych *Pesadillas*. Z poetą Albertem Vanasco wydał tom opowiadań *Memorias delfutum* (1966) a następnie w r. 1967 *Adios al mañana*. W 1969 wydał, również zainspirowany przez Vanasca, antologię *Los argentios el la luna*, a w roku 1969, napisaną wspólnie z Marie Langer, pracę krytyczną *Ciencia ficción: realidady psicoanalysis*. W r. 1977 w Hiszpanii ukazał się zbiór najlepszych opowiadań fantastyczno–naukowych Goligorsky’ego *A la sombra de los baibarbaros*.

## Angélica Gorodischer

Tę niezwykle płodną argentyńską pisarkę, twórczynię literackiej szkoły w Rosario, można z całą odpowiedzialnością porównać do Borgesa. Angélica Gorodischer ma na swoim koncie wicie powieści i opowiadań. Do najbardziej znanych należą *Opus dos* (1967) w której w oryginalny sposób przedstawia problem rasizmu (co w pewnym stopniu przypomina twórczość Raya Bradbury) oraz kilka tomów opowiadań, objętych wspólnym tytułem *Bajo las jubeas en por* (1973). *Casta luna electronica* (1978) jest zbiorem opowiadań fantastyczno–naukowych, fantastycznych oraz nowelek kryminalnych. *Trafalgar* (1978) to opowieści o przygodach poety–awanturnika Trafalgera Medrano, podróżującego po wymyślonych kosmicznych światach. Obecnie Angelica Gorodischer pracuje w bibliotece, tłumaczy książki, poświęca swój czas dzieciom, mężowi, kotom... i pisze bezustannie.

## Marie Langer

Przede wszystkim zajmuje się psychoanalizą. Literatura science-fiction jest dla niej polem do badań naukowych, a następnie środkiem własnych wypowiedzi literackich. W r. 1957 napisała oryginalny esej *Fantasias etemas a la luz psicoanalisis*, a w 1969. wraz z Eduardem Goligorsky'm, studium *Ciencia Ficción: realidad y psicoanalisis*. Szczególnie zajmuje ją problem „homo gestaltensis”, człowieka czynu, stąd jej zainteresowanie dziełem Theodore Sturgeona *Mas que humano*. Wraz z grupą działaczy argentyńskich wydała w r. 1966 antologię opowiadań SF psychologicznych pt. *Zamiana*. Z pochodzenia Argentynka, stale mieszka w Meksyku oraz podróżuje po świecie.

## Mario Levrero

Urodził się w Urugwaju w Montevideo w 1940 roku. Jest uważany za mistrza prozy fantastycznej. Mimo swojego niezwykłego talentu pisarskiego miał się wielu zawodów, jako że (jak to się dzieje z niejednym pisarzem tworzącym w języku hiszpańskim) nie mógł wyżyć z pióra. W swoim dorobku ma dużo dobrych powieści, na przykład: *La ciudad* (1966) *Nick Carter se divierte mientras el lector es asesinado y yo agonizo* (1974) — ta ostatnia to powieść z pogranicza literatury kryminalnej i SF. Może wydawać się dziwne, ale wiele jego powieści i opowiadań znają obcy czytelnicy, choć nigdy nie ukazały się drukiem w oryginale, na przykład: *El lugar*, *Paris*, *La cinta de Moebius* oraz zbiór opowiadań *Aguas salobres*. W r. 1967 ukazał się drukiem tom jego najlepszych opowiadań *La maquina de pensar en Gladys*. Znany krytyk Ángel Rama w swojej książce *La generación crítica* tak pisze o twórczości Urugwajczyka: „Mario Levrero narzuca swojej prozie ścisły rygor: dany szczegół przedstawia w sposób wierny, lecz zarazem niezmiennie pozostawia go w oderwaniu od jego pierwotnego znaczenia, czynią to zgodnie z techniką surrealistyczną. Niemniej, w odróżnieniu od innych utworów surrealistycznych pokrewnych szkole kafkowskiej, która jednak głośnym echem odbiła się w twórczości Levrera, jego opowiadania nie ewoluują wewnątrz swojej struktury, lecz — zbaczając z kursu — przenoszą dany problem na inne postaci, inne sytuacje i okoliczności”.

## Magdalena Moujan Otaño

Magdalena Araceli Moujan Otaño jest profesorem doktorem nauk fizyczno-matematycznych i doradcą technicznym do spraw przemysłu. Obecnie pełni funkcję Szefa Wydziału Matematycznego i jest członkiem Rady Akademickiej na Uniwersytecie Katolickim w La Plata w Argentynie. Jej działalność na polu naukowym i wkład w rozwój przemysłu kraju jest w stanie wpędzić w kompleks niższości wielu Śmiertelników... Ponadto Magdalena Moujan Otaño pisze wspaniałe powieści i opowiadania fantastyczno-naukowe. *Gu ta gutarrak* w roku 1968 otrzymała na II Zjeździe Pisarzy

SF w Argentynie pierwszą nagrodę. Może nie należałoby pomijać informacji, że władze hiszpańskie, którym nie w smak żaden temat dotyczący Kraju Basków, skompromitowały się zakazem publikacji 14 numeru „Nueva dimensión” ... w którym zostało umieszczone to opowiadanie, będące w końcu satyrą na... społeczeństwo baskijskie.

## Emilio Rodrigué

Jest członkiem Argentyńskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego i członkiem założycielem Argentyńskiego Towarzystwa Psychologów i Psychoterapeutów Grupowych. Studiował w Londynie; w ciągu czterech lat pracy w Austen College Stockbridge (Massachusetts) założył koło lekarzy terapeutów. Ma swój udział w pracy *New Directions in Psycho-Analysis* — wydanej przez Melanie Klein oraz jest autorem *Psicoterapia de grupo, Grupo psicologico*, napisanej wspólnie z Leonem Grinbergiem i Marie Langer, a także *Biografía de una comunidad terapeutica i El contexto del proceso analítico*, których współautorką jest Genevieve de Rodrigué. Brał udział w tworzeniu słynnej antologii *Ecuacion fantastica*, gdzie swoje doświadczenia przetwarza na język SF. Opublikował tom opowiadań pod tytułem *Plenipotencia*, skąd pochodzi relacja o pani, która tworzyła nove.

## Alberto Vanasco

Urodził się w Buenos Aires w 1925 r. Twórczość literacką rozpoczął w 1947 od pisania poezji o charakterze eksperymentalnym. Wraz z grupą innych poetów ogłaszał swoje utwory w czasopiśmie „Zona”. Wydał dwa zbiory wierszy: *Ella en general* i *Cante redando*. Literaturą fantastyczno-naukową zajął się dość późno i traktuje ją jako twórczość marginalną. Alberto Vanasco i Eduardo Goligorsky napisali wspólnie dwa tomy doskonałych opowiadań: *Memorias del fuluro*, skąd pochodzi *Śmierć poety*, oraz *Adios al mariana*.

Opracował: Bernard Goorden

## Bernard Goorden

Autor prezentowanego wyboru opowiadań fantastyczno-naukowych pisarzy latynoamerykańskich pełni obecnie zaszczytną funkcję Sekretarza Generalnego Światowego Związku Pisarzy SF. Bernard Goorden urodził się w Brukseli w 1953 roku, ale przez dwadzieścia lat mieszkał w Niemczech. Chętnie powtarza, trawersując słowa Sokratesa, że nie jest ani Belgiem, ani Europejczykiem, lecz obywatelem świata. Po powrocie do Belgii w 1974 roku zakłada kolekcję „Ides... et autres”, która zawiera obecnie ponad dwadzieścia pięć antologii jego autorstwa, poświęconych literaturze fantastycznej, fantastyczno-naukowej oraz kryminalnej. W chwili obecnej kolekcja liczy ponad

czterdzieści pięć tytułów.

W r. 1978 był organizatorem podobnego Zjazdu w Brukseli i na tę okoliczność opublikował tom esejów pt.: *SF, fantastique et ateliers creatifs*. Od roku 1979 pracuje w Królewskiej Bibliotece jako szef działu wypożyczalni międzynarodowej (wykorzystując znajomość siedmiu języków) oraz kieruje Centrum Dokumentacji Literatury Zagranicznej. Jego prace bibliograficzne w tymże Centrum zostały wyróżnione europejską nagrodą SF podczas Zjazdu Pisarzy SF w Brighthon w r. 1984. Zajmuje się pracą translatorską: tłumaczy na język francuski literaturą fantastyczną i fantastyczno-naukową, szczególnie pisarzy hiszpańskich i latynoamerykańskich. Píše eseje, prace krytyczne na temat SF — w swoim dorobku ma ponad sto artykułów opublikowanych w dwudziestu krajach (w tym również w Polsce, patrz: „Fantastyka” nr 14/1983, przekład Andrzeja Niewiadomskiego) w wielu językach. Píše także utwory literackie. Zaprezentowana przez Bernarda Goordena antologia ukazała się wielokrotnie w Belgii, następnie w Niemczech, Hiszpanii i Szwecji.

Opracowała Z.S.

Opracowała: Z.S.

---

\* Imię rozmówczyni Davida — Estrella — po hiszpańsku znaczy „gwiazda” (przyp. tłum.)

\* My i nasi (w oryginale w j. baskijskim)

\* Gra polegająca na odbijaniu piłki, bardzo twardej, o ścianę (fronton) (przyp. tłum.).

\* Aluzja do żony Francisca Goyi — jak wieść niesie despotycznej i złej (przyp. tłum.).